

JEDYNE TE, KTÓRE PRZEŻYŁY OCALAŁE

RILEY
SAGER

PRZEŁOŻYŁ RYSZARD OŚLIZŁO

MO
VA

RILEY SAGER

JEDYNE OCALAŁE

PRZEKŁAD
Ryszard Osizto



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Final Girls

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcia na okładce: © beshoy; © andreiuc88 / Stock.Adobe.com

Copyright © 2017 by Todd Ritter

Copyright © 2024 for the Polish edition by Mova an imprint of
Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Oślizło, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-170-6

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



woblink

woblink.com

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

Cztery miesiące po Pine Cottage

Podziękowania

Reklama

Mike'owi



PINE COTTAGE

1:00

Las miał kły i pazury.

Ostre kamienie, ciernie i gałęzie atakowały Quincy, gdy biegła z krzykiem przez las, ale ona się nie zatrzymywała. Ani kiedy kamienie wbijały się w podeszwy jej bosych stóp, ani gdy cienka jak bicz gałązka smagnęła ją w twarz i po policzku pociekła strużka krwi.

Zatrzymanie się nie wchodziło w grę. Oznaczało śmierć. Biegła więc dalej, nawet kiedy jeżynowy pęd owinał się wokół jej kostki i wgryzał w ciało. Naprężył się i zadrżał jak struna, nim rozpedzona Quincy wyrwała się z kolczastego uścisku. Nawet jeśli zabolalo, niczego nie poczuła. Jej ciało nie mogło doznać więcej bólu.

Biegła, bo tak kazał jej instynkt. Podświadome przeświadczenie, że musi przeć naprzód, bez względu na wszystko. Już zapomniała dlaczego.

Wszelkie wspomnienia sprzed pięciu, dziesięciu czy piętnastu minut zniknęły bez śladu. Była pewna, że gdyby jej życie zależało od przypomnienia sobie, co ją skłoniło do tej ucieczki przez las, padłaby trupem na miejscu.

Więc biegła. I krzyczała. Usiłując nie myśleć o śmierci.

W oddali przed sobą ujrzała białą poświatę, ledwie widoczną za zasłoną drzew.

Reflektory samochodowe.

Czyli była blisko drogi? Quincy miała nadzieję, że tak. Wszelką orientację w terenie straciła razem z pamięcią.

Teraz biegła jeszcze szybciej, krzyczała jeszcze głośniejsz – pędziła w kierunku światła.

Znów jakaś gałąź uderzyła ją w twarz. Była grubsza niż poprzednia, jak wałek do ciasta; siła tego ciosu ogłuszyła ją i oślepiła. Głowa eksplodowała bólem, a w mroku przed oczami zatańczyły niebieskie iskierki. Kiedy zgasty, w blasku reflektorów ujrzała postać.

Jakiegoś mężczyzny.

Jego.

Nie. Nie Jego.

To był ktoś inny.

Wreszcie była bezpieczna.

Quincy przyspieszyła. Zakrwawione ramiona wyciągnęły się ku nieznanemu, jakby to mogło go do niej przybliżyć. Gwałtowny ruch wywołał w barku błysk bólu. Nie rozjaśnił pamięci i nie przywrócił wspomnień, ale coś jej uprzytomnił. Coś tak potwornego, że musiało być prawdą.

Tylko ona przeżyła.

Wszyscy inni zginęli.
Była Jedyłą Ocalałą.



1

Ręce mam całe oblepione lukrem, kiedy akurat dzwoni Jeff. Wbrew moim wysiłkom francuska polewa wyciekła mi na knykcie i zalała przestrzenie między palcami, gdzie zastygła jak klej. Tylko mały palec jest dość czysty, by stuknąć nim w przycisk głośnika w telefonie.

– Biuro detektywistyczne Carpenter i Richards – mówię zmysłowo modulowanym głosem sekretarki z czarnego kryminału. – Z kim pana połączyć?

Jeff podchwytuje w lot i odpowiada tonem rasowego twardziela w stylu Roberta Mitchuma albo Dany Andrews.

– Daj mi na słówko pannę Carpenter, ale migiem, kotku.

– Panna Carpenter jest bardzo zajęta. Coś jej przekazać?

– Tak – odpowiada Jeff. – Powiedz jej, że mój lot z Chi-Town ma opóźnienie.

Figlarny nastrój pryska.

– Och, Jeff. Serio?

– Przykro mi, skarbie. Uroki wylotów z Wietrznego Miasta.

– Duże to opóźnienie?

– Od dwóch godzin do „może dolecę do domu w przyszłym tygodniu” – stwierdza Jeff. – No ale chociaż ominie mnie początek sezonu wypieków, a to już coś.

– Nic z tego, koleś.

– A właśnie, jak ci idzie?

Patrzę na swoje dłonie.

– Marnie.

Mianem „sezonu wypieków” Jeff nazywa ten wyczerpujący okres od początku października do końca grudnia, kiedy to nieubłagane nadciąga lawina rozlicznych świąt i bez deserów ani rusz. Lubi wypowiadać te słowa złowieszczym tonem, unosząc przy tym ręce i przebierając palcami niczym pająk odnóżami.

Jak na ironię to właśnie przez pająka mam teraz dłonie uwalane lukrem. Wykonany jest z masy czekoladowej i balansuje tułowiem na krawędzi babeczki, oplatając czarnymi nóżkami jej górę i boki. Kiedy skończę, babeczki zostaną dekoracyjnie ułożone, sfotografowane i umieszczone na mojej stronie internetowej w dziale z pomysłami na halloweenowe wypieki. Tegoroczny motyw przewodni to „zemsta pyszności”.

– Jak jest na lotnisku? – pytam.

– Tłok, ale przeżyję, o ile dopcham się do baru w hali odlotów.

– Zadzwon, jeśli wylot opóźni się bardziej – proszę. – Będę czekała, cała w lukrze.

– No to piecz ile wlezie – odpowiada Jeff.

Po skończonej rozmowie czas wracać do czekoladowo-wiśniowej babeczki i przyczajonego na niej słodkiego pajączka. Jeśli wszystko zrobiłam, jak należy, czerwone nadzienie powinno wypłynąć przy pierwszym kęsie. To sprawdzę później. Teraz muszę się zająć tym, co widoczne.

Dekorowanie babeczek jest trudniejsze, niż się wydaje. Zwłaszcza jeżeli efekty mają się znaleźć w internecie, gdzie zobaczą je tysiące ludzi. Nie ma mowy o żadnych smugach czy zaciekach. W świecie wysokiej rozdzielczości każda skaza rzuca się w oczy.

„Szczegóły są ważne”.

Tak brzmi jedno z Dziesięciu Przykazań na mojej stronie internetowej, wciśnięte między „Miarki kuchenne to twoje przyjaciółki” a „Nie bój się porażek”.

Po skończeniu pierwszej babeczki pracuję nad drugą, kiedy znów dzwoni telefon. Tym razem upačkany mam nawet mały palec i muszę zignorować dzwonek. Komórka brzęczy i podryguje na blacie, a potem milknie i nieruchomieje, aby po chwili wydać z siebie wymowne piknięcie.

Esemes.

Zaciekawiona, odkładam rękaw cukierniczy, wycieram ręce i sprawdzam telefon.

Wiadomość od Coopa.

„Musimy pogadać. W 4 oczy”.

Moje palce zastygają nad ekranem. Choć dotarcie samochodem na Manhattan zajmuje Coopowi trzy godziny, już nieraz tu przyjeżdżał. Kiedy chodziło o coś ważnego.

Wystukuję odpowiedź:

„Kiedy?”

Odpowiedź przychodzi po paru sekundach.

„Teraz. Tam, gdzie zawsze”.

Czuję piknięcie niepokoju u dołu pleców. Coop już tu dotarł. A to oznacza tylko jedno: coś jest nie tak.

Przed wyjściem prędko powtarzam swój zwykły rytuał przed spotkaniem z Coopem. Myję zęby. Nabłyszczam usta. Łykam maleńką niebieską tabletkę xanaxu i popijam ją napojem winogronowym prosto z butelki. W windzie uświadamiam sobie, że się nie przebrałam. Wciąż mam na sobie strój roboczy: czarne dżinsy, jedną ze starych koszul Jeffa i czerwone buty na płaskim obcasie. Na wszystkim widać ślady mąki i spłowiałe plamy z barwników spożywczych. Na grzbiecie dłoni dostrzegam drobinki zaschniętego lukru; przez sinoczną warstwę prześwituje skóra. Słodkie resztki przypominają siniak. Zlizuję je.

Wychodzę na Osiemdziesiątą Drugą Ulicę i skręcam w prawo, w Columbus Avenue, gdzie już roi się od przechodniów. Na widok tyłu nieznanym moje ciało gwałtownie się napina. Przystaję i wpycham zeszywniałe palce do torebki, szukając pojemniczka z gazem pieprzowym, który zawsze w niej trzymam. W grupie bezpieczniej, jasne, ale i mniej pewnie. Dopiero kiedy znajduję sprej pieprzowy, ruszam dalej, marszcząc twarz w grymasie mówiącym „zostawcie mnie w spokoju”.

Choć świeci słońce, powietrze przenika wyraźny chłód. Typowy na początku października w Nowym Jorku, kiedy pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie i raz jest ciepło, a raz zimno. A jednak czuć, że jesień zbliża się wielkimi krokami. Gdy w moim polu widzenia pojawia się park Teodora Roosevelta, liście rosnących w nim drzew mieniają się zielenią i złotem.

Przez barwne korony widzę tyły Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej, gdzie tego ranka kłębi się chmara dzieci w wieku szkolnym. Ich głosy śmigają wśród drzew niczym ptaki. Nagle jedno z nich piszczy, a pozostałe milkną. Tylko na sekundę. Zamieram na chodniku, wytrącona z równowagi nie przez ten pisk, ale przez ciszę, która po nim następuje. Zaraz jednak znowu zaczyna się gwar, a ja się rozluźniam i idę dalej, w stronę kafejki położonej dwie przecznice na południe od muzeum.

To tam zawsze się spotykamy.

Coop czeka na mnie przy stoliku pod oknem, wygląda tak jak zwykle. Gdy jest odprężony, na jego kanciastej twarzy o ostrych rysach pojawia się wyraz zadumy, taki jak teraz. Ciało ma długie i masywne, a do tego wielkie dłonie. Na palcu zamiast obrączki ślubnej nosi studencki sygnet z rubinem. Jedyne, co się w nim zmienia, to włosy, zawsze tak samo króciutko przycięte, ale przy każdym spotkaniu coraz bardziej szpakowate.

Jego obecność w kawiarni zwraca uwagę wszystkich niań i spragnionych kofeiny hipsterów, których tu nie brakuje. Nic tak nie konsternuje ludzi jak gliniarz w pełnym umundurowaniu. Nawet i bez niego Coop onieśmiela posturą. To kawał chłopa, prawdziwy mięśniak. Wykrochmalona niebieska koszula i czarne spodnie o kantach ostrych jak brzytwa jeszcze podkreślają jego gabaryty. Kiedy wchodzę, unosi głowę i w jego oczach dostrzegam zmęczenie. Musiał tu przyjechać prosto po nocnej zmianie.

Na stoliku już czekają dwa kubki. Earl grey z mlekiem i podwójną porcją cukru dla mnie. Dla Coopa kawa. Czarna. Gorzka.

– Quincy – mówi ze skinieniem głowy.

Zawsze wita mnie tym gestem. To jego wersja uścisku dłoni. Nigdy się nie obejmujemy. Od tamtej nocy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy i tak rozpaczliwe do niego przywarłam. Zawsze na jego widok wraca do

mnie tamto wspomnienie i powtarza się w kółko, dopóki nie wezmę się w garść.

„Oni nie żyją – wykrztusiłam, oplatając go ramionami. Słowa bulgotały mi w gardle. – Wszyscy nie żyją. A on tam wciąż jest”.

Dziesięć sekund później ocalił mi życie.

– To dopiero niespodzianka – mówię, siadając. W moim głosie słycać drżenie, które próbuję stłumić. Nie wiem, dlaczego Coop do mnie zadzwonił, ale jeśli ma jakieś złe wieści, to chcę przyjąć je na spokojnie.

– Dobrze wyglądasz – stwierdza, obrzucając mnie tym szybkim, zatroskanym spojrzeniem, do którego zdążyłam się przyzwyczaić. – Ale trochę schudłaś.

W jego głosie pobrzmiewa niepokój. Wiem, że myśli o tym półrocznym okresie po wydarzeniach w Pine Cottage, kiedy zupełnie straciłam apetyt i znowu wylądowałam w szpitalu, gdzie musieli mnie karmić przez rurkę. Pamiętam, jak po przebudzeniu ujrzałam stojącego przy moim łóżku Coopa; wpatrywał się w plastikowy wężyk, którego końcówka zniknęła w moim nozdrzu.

„Nie zawieźdź mnie, Quincy – powiedział wtedy. – Nie po to przeżyłaś tamtą noc, żeby teraz mi tu umrzeć”.

– To nic takiego – odpowiadam. – W końcu się nauczyłam, że nie muszę zjadać wszystkiego, co upiekę.

– A jak ci z tym idzie? Z pieczeniem?

– Właściwie to wspaniale. W zeszłym kwartale przybyło mi pięć tysięcy obserwujących i zdobyłam następnego dużego reklamodawcę.

– To świetnie – mówi Coop. – Cieszę się, że wszystko ci się układa. Kiedyś w końcu powinnaś upiec coś dla mnie.

To też jeden ze stałych punktów programu Coopa, jak skinienie głową. Zawsze to mówi, ale nigdy na serio.

– Co u Jeffersona? – pyta.

– W porządku. Biuro Obrońcy Publicznego zleciło mu właśnie prowadzenie dużej, poważnej sprawy.

Przemilczam fakt, że będzie bronił człowieka oskarżonego o zabicie detektywa z wydziału narkotykowego podczas nieudanego nalotu. Coop i tak ma nie najlepsze zdanie o pracy Jeffa. Nie trzeba dolewać oliwy do ognia.

– To dobrze – mówi.

– Nie ma go od dwóch dni. Musiał polecieć do Chicago po oświadczenia członków rodziny. Żeby ława przysięgłych spojrzała łaskawiej na jego klienta.

– Hmm – mruczy z nieuwagą Coop. – Domyślam się, że jeszcze się nie oświadczył.

Zaprzeczam ruchem głowy. Mówiłam mu, że spodziewam się oświadczyć Jeffa podczas naszego sierpniowego urlopu na Outer Banks, ale jak dotąd nie mam pierścionka. I to z tego powodu ostatnio straciłam na wadze. Stałam się jedną z tych dziewczyn, które zaczynają uprawiać jogging tylko po to, aby się wcisnąć w hipotetyczną suknię ślubną.

– Nadal czekam – mówię.

– Zrobi to.

– A ty? – pytam, nie całkiem żartem. – Znalazłeś sobie wreszcie dziewczynę?

– Nie.

Unoszę brew.

– Chłopaka?

– Przyjechałem z twojego powodu, Quincy – ucina bez cienia uśmiechu.

– Jasne. Ty pytasz. Ja odpowiadam.

Tak wyglądają nasze rozmowy, gdy spotykamy się raz, dwa, może trzy razy do roku. Przypominają raczej sesje terapeutyczne i nie ma szans, żebym to ja mogła zadawać pytania. Jestem wtajemniczona tylko w podstawowe fakty z jego życia. Ma czterdzieści jeden lat, służył w piechocie morskiej, zanim został gliną, i właściwie nadal był nowicjuszem, kiedy znalazł mnie między drzewami, wrzeszczącą jak opętana. I chociaż wiem, że wciąż patroluje to samo miasteczko, gdzie wydarzyła się ta cała makabra, nie mam pojęcia, czy jest szczęśliwy. Albo zadowolony. A może samotny. Nigdy nie dostaję od niego pozdrowień z wakacji. Nigdy nie przysłał mi kartki na Boże Narodzenie. Dziewięć lat temu zjawił się na pogrzebie mojego ojca i usiadł w ostatniej ławce, ale wymknął się z kościoła, nim zdążyłam mu podziękować za przyjazd. Coś w rodzaju uczucia okazuje mi tylko w dniu moich urodzin. Co roku dostaję takiego samego esemesa:

„Kolejny rok, którego mogłaś nie doczekać. Przeżyj go w pełni”.

– Jeff w końcu dojrzeje do tej decyzji. – Coop znowu kieruje rozmowę na temat, który mu odpowiada. – Założę się, że zrobi to w Boże Narodzenie. Faceci często oświadczają się na święta.

Bierze potężny łyk kawy. Ja upijam łyczek herbaty i mrugam, przymykając oczy na nieco dłużej, w nadziei, że ciemność pozwoli mi poczuć kojące działanie xanaxu. Niestety czuję większy niepokój, niż kiedy tu weszłam.

Otwieram oczy i widzę wchodzącą do kafejki dobrze ubraną kobietę z pyzatem, równie dobrze ubranym szkrabem. Pewnie au pair, jak większość kobiet przed trzydziestką w tej okolicy. W ciepłe, słoneczne dni tarasują chodniki – parada dziewczyn ledwo po studiach, uzbrojonych w stopnie naukowe z literatury i kredyty studenckie. Akurat ta przykuwa

moją uwagę tylko z jednego powodu: wyglądamy podobnie. Świeża, wypucowana buzia. Blond włosy ściągnięte w kucyk. Ani za chuda, ani za pulchna. Dorodny plon mlekiem płynącej krainy Środkowego Zachodu.

To mogłabym być ja w innym życiu. Takim bez Pine Cottage i krwi, i sukienki, która zmienia kolor jak w sennym koszmarze.

To jeszcze jedno ze wspomnień powracających przy każdym spotkaniu z Coopem – on wtedy myślał, że moja sukienka jest czerwona. Tak zameldował szeptem dyspozytorowi, kiedy wzywał wsparcie. Jest to w policyjnym transkrypcie zgłoszenia, który czytałam wielokrotnie, i na nagraniu, którego byłam w stanie wysłuchać tylko raz.

„Ktoś biegnie przez las. Biała kobieta. Młoda. Ubrana w czerwoną sukienkę. Krzyczy”.

To prawda, biegłam przez las. Wręcz pędziłam. Każdy krok wzbijał w powietrze fontanny liści, a ja byłam zbyt otępiała, by czuć ból, który przeszywał moje ciało na wskroś. I choć jedyną rzeczą, jaką wtedy słyszałam, było dudniące mi w uszach serce, rzeczywiście krzyczałam. Jedyne, w czym Coop się pomylił, to kolor mojej sukienki.

Bo ona – jeszcze godzinę wcześniej – była biała.

Część krwi należała do mnie. Reszta do pozostałych. Głównie do Janelle, którą podtrzymywałam, tuż zanim sama zostałam ranna.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Coopa, kiedy uprzytomnił sobie swój błąd. Tych lekko rozszerzonych oczu. Wąskiej linii ust, które zaciskał, by stłumić wyrywający się krzyk. Zdumionego westchnienia, którego nie zdołał powstrzymać. Dwie części szoku, jedna część współczucia.

To jedna z nielicznych rzeczy, które pamiętam.

Moje wspomnienia z Pine Cottage dzielą się na dwie odrębne połowy. Jest początek, pełen strachu i dezorientacji, kiedy Janelle wyszła z lasu,

wciąż jeszcze żywa, choć niewiele życia w niej pozostało. I jest koniec, gdy Coop znalazł mnie w tej czerwonej nieczerwonej sukience.

Między tymi dwoma punktami w mojej pamięci nie ma nic. Godzina lub coś koło tego została kompletnie wymazana.

Oficjalna diagnoza brzmi: „amnezja dysocjacyjna”. Powszechniej znana jako syndrom wyparcia. Krótko mówiąc, to, czego byłam świadkiem, okazało się zbyt przerażające, by mój kruchy umysł zdołał to znieść. Więc tak jakby wycięłam ten fragment wspomnień. W pewnym sensie zrobiłam sobie autolobotomię.

Co jednak nie znaczy, że inni przestali nalegać, abym sobie coś przypomniała. Pełna dobrych chęci rodzina. Znajomi, święcie przekonani, że wiedzą, jak pomóc. Psychiatrzy omamieni wizjami swych publikacji na temat mojego przypadku. „Skup się – powtarzali mi wszyscy w kółko. – Myśl intensywnie o tym, co się tam wydarzyło”. Jakby to mogło cokolwiek zmienić. Jakbym przypominając sobie wszystkie krwawe szczegóły, mogła przywrócić życie reszcie przyjaciół.

Mimo to próbowałam. Terapii. Hipnozy. Nawet dziwacznej metody pobudzania pamięci sensorycznej, w ramach której jakaś specjalistka z rozwianym włosom zawiązała mi oczy i podtykała pod nos nasączone różnymi zapachami papierowe paski, za każdym razem dopytując się, co czuję. Nic nie działało.

Dla mnie ta godzina jest jak dokładnie wytarta szkolna tablica, na której został już tylko pył.

Rozumiem potrzebę uzyskania większej ilości informacji, to pragnienie szczegółów. Ale mnie samej jakoś ich nie brakuje. Wiem, co się stało w Pine Cottage. Nie muszę dokładnie pamiętać, jak się to odbywało. Bo tak to już jest ze szczegółami, że mogą odwrócić uwagę od sedna sprawy. Jeśli jest ich zbyt wiele, zaciemniają brutalną prawdę. Stają się krzykliwym

naszyjnikiem zasłaniającym bliznę po tracheotomii. Ja nie próbuję ukrywać swoich blizn. Po prostu udaję, że nie istnieją.

Teraz, w kawiarni, też udaję – że wcale nie spodziewam się bomby w postaci złych wiadomości, która zaraz na mnie spadnie. Jakby to mogło zapobiec katastrofie.

– Załatwiasz tu jakieś służbowe sprawy? – pytam. – Jeżeli zostajesz na dłużej, to Jeff i ja chętnie zjemy z tobą kolację. Jeśli dobrze pamiętam, ta włoska knajpa, w której byliśmy w zeszłym roku, wszystkim nam przypadła do gustu.

Coop rzuca mi spojrzenie nad stołem. Jego oczy mają najjaśniejszy odcień błękitu, jaki w życiu widziałam. Jaśniejszy nawet od tej tabletki, która właśnie w tej chwili przenika do mojego centralnego układu nerwowego. Ale to nie jest kojący błękit. Intensywność spojrzenia Coopa zawsze mnie zmusza do odwrócenia wzroku, choć chciałabym zajrzeć mu w oczy głębiej i w ten sposób dotrzeć być może do jego ukrytych myśli. Ten błękit ma w sobie coś dzikiego – dokładnie takie oczy powinien mieć ktoś, kto cię chroni.

– Dobrze wiesz, po co przyjechałem – mówi.

– Wcale nie, serio.

– Mam złe wieści. W gazetach jeszcze o tym nie napisali, ale napiszą. I to wkrótce.

On.

Moja pierwsza myśl. To musi mieć coś wspólnego z Nim. Chociaż widziałam, jak umiera, mózg w jednej chwili przenosi mnie w jakąś niepojętą wersję rzeczywistości, w której On przeżył strzały Coopa, uciekł, przyczaił się gdzieś na wiele lat, a teraz wychodzi z ukrycia, aby mnie dopaść i skończyć to, co zaczął.

On żyje.

Gula niepokoju ciąży mi w żołądku. Jakby wyrósł tam guz wielkości piłki do koszykówki. Nagle czuję, że chce mi się sikać.

– Nie o to chodzi – mówi Coop, z łatwością odgadując, co mi się roi w głowie. – Jego już nie ma, Quincy. Oboje o tym wiemy.

Choć miło to usłyszeć, wcale nie czuję się spokojniejsza. Mocno zaciskam dłonie w pięści i wciskam knykcie w blat stołu.

– Proszę, powiedz mi wreszcie, co się stało.

– Chodzi o Lisę Milner – odpowiada Coop.

– Co z nią?

– Ona nie żyje, Quincy.

Ta wiadomość pozbawia mnie tchu. Chyba wrywa mi się stłumiony okrzyk. Nie jestem pewna, bo słyszę tylko rozmyte echo głosu Lisy, które dociera do mnie z odmętów pamięci.

„Chcę ci pomóc, Quincy. Chcę cię nauczyć, jak być Jediną Ocalałą”.

I uczyła mnie. Przynajmniej przez jakiś czas. Zgodziłam się, bo uznałam, że wie o tym więcej niż ja.

A teraz jej nie ma.

Zostałyśmy tylko dwie.



2

W przypadku Lisy Milner odpowiednikiem Pine Cottage był żeński akademik w stanie Indiana. Pewnej lutowej nocy, dawno temu, do drzwi frontowych zapukał facet imieniem Stephen Leibman. Kiedyś studiował, ale przerwał naukę i odtąd mieszkał z ojcem. Był tusty, a jego żółtawa gęba trzęsa się niczym kurzy tłuszcz.

Stał na schodach z nożem myśliwskim w łapsku, kiedy jedna z mieszkanek domu otworzyła drzwi. Chwilę później już nie żyła. Leibman wciągnął jej zwłoki do środka, pozamykał wszystkie drzwi, a potem odciął prąd i linię telefoniczną. I urządził mniej więcej godzinną rzeź, pozabawiając życia dziewięć młodych kobiet.

Lisa Milner o mały włos nie zaokrągliła tej liczby do dziesięciu.

Podczas masakry ukryła się w jednym z pokoi i skulona ze strachu w szafie, wciśnięta w ubrania koleżanki, modliła się, żeby szalenciec jej tam nie znalazł.

Niestety jednak znalazł.

Gdy Stephen Leibman gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi szafy, pierwsze, co zobaczyła, to jego nóż, a dopiero potem twarz. Jedno i drugie ociekało krwią. Ugodził ją w ramię, ale zdołała kopnąć go kolaniem w krocze i uciec z pokoju. Zbiegła na parter i rzuciła się do wyjścia, lecz Leibman ją dopadł i zaczął dźgać nożem.

Dostała cztery ciosy w klatkę piersiową i brzuch, a gdy uniosła rękę, żeby się bronić, rozciął jej ramię na ponad dziesięć centymetrów. Kolejne pchnięcie by ją zabiło, ale wtedy krzyczącej z bólu i zamroczonej od utraty krwi Lisie jakimś cudem udało się chwycić Leibmana na kostkę. Przewrócił się. Nóż wypadł mu z ręki. Lisa złapała go i zatopiła w jego bebechach po samą rękojęść. Stephen Leibman wykrwawił się, leżąc na podłodze tuż obok niej.

Szczegóły. Płyną wartkim strumieniem, gdy nie dotyczą ciebie.

Miałam wtedy siedem lat i po raz pierwszy zwróciłam uwagę na coś, o czym mówiono w wiadomościach. Wiem dlaczego. Pamiętam, że matka stała jak wryta przed szafkowym telewizorem, przyciskając dłoń do ust i powtarzając na okrągło dwa słowa: „Słodki Jezu. Słodki Jezu”.

To, co zobaczyłam na ekranie, przeraziło mnie, zdezorientowało i przygnębiło. Pochlipujący gapie. Korowód przykrytych brezentem noszy prześlizgujący się pod żółtymi taśmami policyjnymi, którymi zapieczętowano drzwi na krzyż. Plama krwi odcinająca się jaskrawą czerwienią na śniegu. W tamtym momencie uświadomiłam sobie, że na świecie istnieje zło i że coś złego może stać się każdemu.

Rozplakałam się, więc ojciec wziął mnie na ręce i zaniósł do kuchni. Wyłożył na blat cały zestaw misek i napełnił je mąką, cukrem, masłem i jajkami, a mnie powoli zaczęły wysychać łzy. Wręczył mi łyżkę i pozwolił wszystko razem wymieszać. Moja pierwsza lekcja wypieków.

„Nie wolno przesadzić ze słodyczą, Quincy – oznajmił. – Wiedzą o tym wszyscy najlepsi cukiernicy. Potrzebna jest jakaś przeciwwaga. Coś ciemnego. Gorzkiego. Albo kwaśnego. Niesłodzona czekolada. Kardamon i cynamon. Cytryna i limonka. Przełamują smak cukru i go łagodzą, więc kiedy wyczuwasz słodycz, bardziej ją doceniasz”.

Teraz czuję w ustach wyłącznie cierpki kwas. Dosypuję do herbaty więcej cukru i opróżniam kubek. To wcale nie pomaga, a co gorsza, cukrowy haj koliduje z działaniem xanaxu, którego zbawienną moc wreszcie zaczęłam odczuwać. Zderzają się gdzieś głęboko we mnie, wywołując nerwowe drżenie.

– Kiedy to się stało? – pytam Coopa, gdy początkowy szok mija, wypierany przez rosnące niedowierzanie. – I jak?

– Wczoraj w nocy. Policja z Muncie znalazła jej ciało około północy. Zabiła się.

– Słodki Jezu.

Mówię to na tyle głośno, że przyciągam uwagę mojej siedzącej przy sąsiednim stoliku sobowtórki. Podnosi wzrok znad iPhone’a, przechylając głowę niczym cocker spaniel.

– Samobójstwo? – Czuję gorycz tego słowa na języku. – Myślałam, że jest szczęśliwa. Przynajmniej taka się wydawała.

Wciąż słyszę jej głos.

„Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, co możesz zmienić, to sposób, w jaki sobie z tym radzisz”.

– Czeka ją na raport toksykologiczny, żeby sprawdzić, czy piła albo coś brała – mówi Coop.

– Czyli to mógł być wypadek?

– To nie był wypadek. Miała podcięte nadgarstki.

Na moment serce zamiera mi w piersi. Mam świadomość pustki, którą powinien wypełniać puls. W tę próżnię wdziera się smutek, zalewając moje ciało tak gwałtownie, że dopada mnie zawrót głowy.

– Chcę znać szczegóły – mówię.

– Nie chcesz – odpowiada Coop. – To i tak niczego nie zmieni.

– Wolę wiedzieć. To lepsze niż nic.

Coop wbija wzrok w kawę, jakby przyglądał się mętnemu odbiciu swych jasnych oczu.

– Wiem tylko tyle – odzywa się w końcu – że kwadrans przed północą Lisa zadzwoniła na numer alarmowy. Może zmieniła zdanie.

– Co powiedziała?

– Nic. Zaraz się rozłączyła. Dyspozytor namierzył numer i wysłał do jej domu patrol. Drzwi nie były zamknięte, więc policjanci weszli do środka. Wtedy ją znaleźli. Leżała w wannie. Telefon też. Prawdopodobnie wypadł jej z ręki.

Coop wygląda przez okno. Jest zmęczony, to widać. I pewnie się boi, że któregoś dnia też mogę spróbować czegoś w tym stylu. Ale mnie taki pomysł nigdy nie przyszedł do głowy, nawet kiedy leżałam w szpitalu i karmiono mnie przez rurkę. Wyciągam ku niemu dłoń nad stołem, ale on cofa ręce, zanim zdążę ich dotknąć.

– Kiedy się o tym dowiedziałaś? – pytam.

– Dwie godziny temu. Zadzwoniła do mnie znajoma z policji stanowej w Indianie. Utrzymujemy kontakt.

Nie muszę pytać Coopa, skąd zna funkcjonariuszkę z Indiany. Nie tylko ocalałe z masakry potrzebują wsparcia.

– Uznała, że trzeba cię ostrzec – dodaje. – Bo niedługo wieść się rozejdzie.

Prasa. No jasne. Wygłodniałe sępy trzymające w dziobach śliskie, ociekające krwią flaki – tak właśnie widzę dziennikarzy.

– Nie zamierzam gadać z pismakami.

Znowu przyciągam uwagę au pair, która podnosi wzrok i mruży oczy. Patrzę na nią wyzywająco, aż w końcu odkłada iPhone'a na stolik i zaczyna udawać, że zajmuje się swoim małym podopiecznym.

– Nie musisz – mówi Coop. – Ale powinnaś pomyśleć o wydaniu oświadczenia, w którym złożysz kondolencje rodzinie. Gryzipiórki z tabloidów będą cię tropić jak psy gończe. Przydałoby się zawczasu rzucić im jakiś ochłap.

– Dlaczego mam im cokolwiek mówić?

– Wiesz dlaczego.

– Może Samantha coś powie?

– Nadal nikt nie wie, gdzie się zaszyla. I wątpię, żeby po tylu latach nagle wyszła z ukrycia.

– Szczęściara.

– Czyli zostajesz ty – konkluduje Coop. – Dlatego chciałem ci o tym powiedzieć osobiście. Do niczego cię nie zmuszam, ale to nie taki zły pomysł, żeby trochę ocieplić stosunki z prasą. Skoro Lisa nie żyje, a Samantha zniknęła, mają tylko ciebie.

Wyjmuję z torebki komórkę. Nikt się do mnie nie dobijał. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych nowych esemesów. Chyba że liczyć kilkadziesiąt służbowych maili, których rano nie miałam czasu odczytać. Wyłączam telefon – tymczasowy środek zaradczy. Prasa i tak w końcu mnie

wywęszy. Coop ma rację. Pismaki nie oprą się pokusie wyduszenia komentarza z Jedynej Ocalałej.

Przecież to oni nas stworzyli.

„Jedyna Ocalała” to w żargonie kinomaniaków bohaterka horroru, która dożywa do końca filmu. A przynajmniej tak mi to wyjaśniono. Nawet przed Pine Cottage nie lubiłam oglądać horrorów, bo drażniły mnie hektolitry sztucznej krwi, gumowe noże i te bohaterki, które podejmowały tak głupie decyzje, że – co stwierdzałam z lekką skruchą – same były sobie winne.

Tyle że to, co spotkało nas, nie działo się na ekranie. To była rzeczywistość. Nasze życie. Krew nie była sztuczna, a stalowe noże okazały się cholernie ostre. I żadna z ofiar nie zasłużyła na śmierć.

Jakimś cudem jednak to właśnie my krzyczałyśmy głośniejsze, uciekałyśmy szybciej, walczyłyśmy bardziej zażarcie od pozostałych. I przeżyłyśmy.

Nie wiem, kto pierwszy nazwał Lisę Milner Jediną Ocalałą. Prawdopodobnie napisano tak o niej w jednej z gazet na Środkowym Zachodzie, skąd pochodziła. Jakiś tamtejszy reporter, który wysmażył artykuł o rzezi w akademiku, próbował błysnąć kreatywnością i tak właśnie brzmiał efekt końcowy jego twórczych wypocin. Określenie przyjęło się tylko dlatego, że było wystarczająco proste i makabryczne, aby podchwycił je internet. Z lubością powtarzały je wszystkie świeżo namnożone i spragnione uwagi portale informacyjne, a za ich przykładem, aby nie zostać w tyle, ochoczo podążyły media tradycyjne. Najpierw tabloidy, potem dzienniki, a w końcu magazyny.

Wystarczyło kilka dni, by nastąpiła pełna transformacja. Lisa Milner nie była już zwykłą ofiarą, która przeżyła masakrę. Stała się bohaterką żywcem wyjętą z soczystego slashera – Jediną Ocalałą.

Cztery lata później to samo przytrafiło się Samancie Boyd, a po kolejnych ośmiu latach także mnie. Choć na przestrzeni tych lat zdarzały się inne wielokrotne zabójstwa, żadne z nich nie przykuło aż takiej uwagi opinii publicznej jak te z naszym udziałem. Z jakiegoś powodu to właśnie my byliśmy tymi szczęściarami, które przeżyły masakrę, gdy wszyscy inni zginęli. Zbroczonymi krwią ślicznotkami. Właśnie dlatego traktowano nas – każdą w swoim czasie – jak wielką rzadkość, coś egzotycznego. Jakbyśmy były pięknym ptakiem, który rozpościera olśniewające skrzydła raz na dziesięć lat. Albo tym kwiatem, który cuchnie zgniłym mięsem, kiedy łaskawie postanowi się rozwinąć.

Uwaga, którą skupiałam na sobie przez kilka miesięcy po Pine Cottage, raz wydawała się przejawem życzliwości, a innym razem zakrawała na dziwactwo. Czasem zaś stanowiła osobliwą mieszankę jednego i drugiego, jak wtedy, gdy pewne bezdzietne małżeństwo zaproponowało mi w liście, że opłaci mi chesne za studia. Odpisałam, że dziękuję za hojną ofertę, ale nie mogę jej przyjąć. Więcej się nie odezwali.

Bywała i bardziej niepokojąca korespondencja. Nie zliczę listów otrzymanych od samotnych gotów albo więźniów, którzy chcieli się ze mną umawiać, żenić, tulić mnie w swych wytatuowanych ramionach. Pewien mechanik samochodowy z Nevady zaproponował mi raz, że mnie przykuje do ściany w swojej piwnicy, aby już nigdy nie spotkała mnie żadna krzywda. Jego szczerość mnie powaliła – on chyba naprawdę uważał, że trzymając mnie w niewoli, spełni najlepszy z dobrych uczynków.

Była też i taka wiadomość, w której ktoś stwierdził, że powinno się mnie wykończyć, że moim przeznaczeniem jest zostać zarżniętą. Nie było podpisu. Ani adresu zwrotnego. List oddałam Coopowi. Na wszelki wypadek.

Zaczynam się czuć roztrzęsiona. To przez cukier i xanax, które nagle robią z moim ciałem to samo co jakiś wciągnięty na imprezie drag. Coop wyczuwa zmianę mojego nastroju i mówi:

– Wiem, że to sporo do ogarnięcia.

Kiwam głową.

– Chcesz stąd wyjść?

Znów przytakuję.

– To chodźmy.

Gdy wstaję z miejsca, au pair znowu udaje, że zajmuje się dzieciakiem, żeby tylko nie spojrzeć w moją stronę. Może mnie rozpoznała i czuje się nieswojo. Nie byłaby pierwszą osobą, która tak reaguje.

Kiedy ją mijam, idąc dwa kroki za Coopem, zgarniam ze stolika jej telefon, a ona nic nie zauważa.

Wsuwam łup głęboko do kieszeni i wychodzę z kawiarni.

Coop odprowadza mnie do domu, idąc nieco przede mną niczym osłaniający mnie agent Secret Service. Oboje rozglądamy się czujnie, wypatrując dziennikarzy. Jest czysto.

Gdy docieramy do mojej kamienicy, Coop przystaje tuż przed bordowym zadaszeniem nad frontowym wejściem. Budynek jest przedwojenny, elegancki i przestronny. Mieszkają tu starsze panie z towarzystwa tuszujące siwiznę niebieską płukanką oraz nobliwi geje w pewnym wieku. Coop pewnie nie może się nadziwić, jakim cudem zwykłą blogerkę i adwokata z urzędu stać na wynajem mieszkania na Upper West Side.

Prawda jest taka, że nas nie stać. Nie opłacilibyśmy czynszu ze śmiesznie niskiej pensji Jeffa, a już na pewno nie z tego, co zarabiam na

prowadzeniu bloga. Mieszkanie jest moje. Kupiłam je dzięki rekompensatom finansowym wygranym w licznych procesach wytoczonych po Pine Cottage. Rodzice ofiar pod wodzą ojczyma Janelle pozywali, kogo się dało. Szpital psychiatryczny, który pozwolił Mu uciec. Jego lekarzy. Koncerny farmaceutyczne odpowiedzialne za produkcję leków przeciwdepresyjnych i przeciwpsychotycznych, które zrobiły Mu papkę z mózgu. Nawet producenta szpitalnych drzwi z wadliwym zamkiem, przez które uciekł.

Wszyscy pozwani poszli na ugodę. Wiedzieli, że warto wydać kilka milionów dolarów, aby uniknąć złego rozgłosu, który im groził, gdyby podjęli walkę z pogrążonymi w żałobie rodzinami. Niektórym nie pomogły nawet ugody. Jeden ze środków przeciwpsychotycznych został wycofany z rynku. W ciągu roku szpital psychiatryczny w Blackthorn na zawsze zamknął swe wybrukowane podwoje.

Tylko Jego rodzice nie byli w stanie niczego zapłacić, bo zbankrutowali, włożywszy całe pieniądze w leczenie syna. Mnie to nie przeszkadzało. Nie chciałam, aby ci oszołomieni i udręczeni ludzie ponosili karę za Jego grzechy. Zresztą tego, co otrzymałam z pozostałych rekompensat, było aż nadto. Znajomy księgowy mojego ojca pomógł mi zainwestować większość pieniędzy w okresie, gdy akcje były jeszcze tanie, a mieszkanie kupiłam zaraz po studiach, akurat kiedy rynek nieruchomości podnosił się z kolosalnego kryzysu. Dwie sypialnie, dwie łazienki, salon, jadalnia i kuchnia z kąciakiem śniadaniowym, z którego zrobiłam namiastkę pracowni. Zapłaciłam tyle co nic.

– Wejdiesz? – pytam Coopa. – Jeszcze nie widziałeś mieszkania.

– Może innym razem.

Jeszcze jedna rzecz, którą zawsze powtarza, ale nigdy na serio.

– Pewnie się spieszysz – zgaduję.

- Przede mną długa jazda. Dasz sobie radę?
- Jasne – zapewniam. – Jak tylko się otrząsnę.
- Dzwoni albo pisz w razie czego.

To akurat mówi na serio. W każdej chwili gotów jest rzucić wszystko i przyjechać. Jak tamtego ranka po Pine Cottage, kiedy w nagłych przyływach bólu i żalu wyłam: „Chcę do tamtego policjanta! Proszę, pozwólcie mi się z nim zobaczyć!”. Znalazł się na miejscu w niecałe pół godziny.

Dziesięć lat później znowu jest przy mnie i właśnie żegna się ze mną skinieniem głowy. Odpowiadam tym samym gestem, a wtedy Coop zasłania błękit swoich oczu parą ray-banów i odchodzi, by w końcu zniknąć w tłumie innych przechodniów.

W mieszkaniu kieruję się prosto do kuchni i połykam drugi xanax. Słodczyz napoju winogronowego, którym popijam tabletkę, w połączeniu z cukrem w herbacie przyprawia mnie o ból zębów. Mimo to biorę jeszcze kilka łyżek i wyjmuję z kieszeni ukradzioną komórkę. Wystarczy szybki przegląd zawartości telefonu, by się dowiedzieć, że jego dotychczasowa właścicielka ma na imię Kim i że nie używa żadnej z funkcji zabezpieczeń. Mogę sprawdzić listę połączeń i historię wyszukiwań oraz przeczytać każdego esemesa, łącznie z tym, który przyszedł od jakiegoś Zacha, gościa z kwadratową szczęką.

„Chętna na trochę zabawy wieczorem?”

Odpisuję dla picu:

„Jasne”.

Telefon pika mi w dłoni. Nowa wiadomość od Zacha. Tym razem zdjęcie jego fiuta.

Uroczo.

Wyłączam komórkę. Na wszelki wypadek. Może Kim i ja podobnie wyglądamy, ale dzwonki mamy zupełnie inne. Potem odwracam urządzenie i patrzę na jego srebrny tył, cały pokryty odciskami palców. Wycieram je do czysta, tak dokładnie, że mogę się w nim przejrzeć. Odbicie twarzy mam zniekształcone jak w jednym z luster w gabinecie śmiechu.

Będzie w sam raz.

Przesuwam palcami po złotym łańcuszku, który zawsze noszę na szyi. Wisi na nim kluczyk otwierający jedyną szufladę w kuchni, która jest zawsze zamknięta. Jeff myśli, że trzymam w niej ważne dokumenty związane z blogiem. I niech tak pozostanie.

W środku wala się pobrzękująca kolekcja połyskujących metalem drobiazgów. Szminka w lśniącej sztyfcie i gruba złota bransoletka. Parę łyżek. Srebrna puderniczka, którą zwinęłam z pielęgniarskiej dyżurki tamtego dnia, kiedy wychodziłam ze szpitala po Pine Cottage. Jadąc do domu, przez całą długą drogę gapiłam się w to lustro, upewniając się, że naprawdę żyję. Teraz, wpatrując się w swoje zniekształcone odbicia, czuję tę samą otuchę i zapewnienie co wtedy.

Tak, nadal istnieję.

Dorzucam iPhone'a do pozostałych łupów, a potem zasuwam i zamykam szufladę na klucz, który znowu zawieszam sobie na szyi.

To moja tajemnica, czuję jej ciepło w okolicy mostka.



3

Przez całe popołudnie unikam patrzenia w stronę niedokończonych babeczek na blacie kuchennym, choć one wydają się na mnie gapić, jakby się domagały, aby zrobić z nimi to samo co wcześniej z dwiema innymi, które leżą opodal, w pełni udekorowane i bardzo z siebie zadowolone. Wiem, że powinnam je dokończyć, choćby tylko w celach terapeutycznych. Tak przecież brzmi pierwsze przykazanie mojego bloga: „Pieczenie działa lepiej niż terapia”.

Zazwyczaj w to wierzę. Pieczenie ma sens. W przeciwieństwie do tego, co zrobiła Lisa Milner.

Jestem jednak w tak kiepskim nastroju, że żadne wypieki mi nie pomogą. Przechodzę więc do salonu, przelotnie muskając opuszkami

palców nieprzeczytane egzemplarze „New Yorkera” i dzisiejszego „Timesa”, niby że sama nie wiem, dokąd właściwie idę. Tak czy inaczej docieram do celu. Wchodzę na krzesło przy regale pod oknem i sięgam na najwyższą półkę po stojącą na niej książkę.

Książkę Lisy.

Napisała ją rok po tym, jak los zetknął ją ze Stephenem Leibmanem, i nadała jej smutny z perspektywy czasu tytuł *Wola życia. Moja podróż od bólu do uzdrowienia*. Książka osiągnęła umiarkowany sukces, a kanał Lifetime nakręcił na jej podstawie film telewizyjny.

Natychmiast po wydarzeniach w Pine Cottage Lisa przysłała mi egzemplarz z dedykacją: „Quincy, mojej wspaniałej siostrze w sztuce przetrwania. Jeśli kiedykolwiek zechcesz porozmawiać, zadzwoń”. Pod spodem dopisała starannie i wyraźnie kilka cyferek – swój numer telefonu.

Nie miałam zamiaru z niego korzystać. Uznałam, że nie potrzebuję jej wsparcia. Przecież i tak niczego nie pamiętałam, więc w czym mogłaby mi pomóc?

Nie byłam jednak przygotowana na to, że każda gazeta i każda kablówka w kraju będzie się rozpisywać o „morderstwach w letnim domku Pine Cottage”. Tak właśnie wszyscy to nazywali: „morderstwa w letnim domku Pine Cottage”. Nikogo nie obchodziło, że to była zwykła leśna chatka, nie żaden letni domek. Ważne, że nagłówki dobrze brzmiały. Poza tym właśnie taka nazwa tej budy widniała wypalona na cedrowej desce, którą zawieszono nad drzwiami – pomysł rodem z letniego obozu dla młodzieży.

Nie licząc pogrzebów, prawie nie pokazywałam się publicznie. Jeśli już wychodziłam z domu, to szłam do lekarza albo na terapię. Ponieważ nasz trawnik zmienił się w dziennikarskie obozowisko, matka musiała przemycać mnie drzwiami od podwórza i przez ogródek sąsiadów do

czekającego przecnicę dalej samochodu. Mimo to moje zdjęcie z kroniki szkolnej wylądowało na okładce magazynu „People”, okraszone sloganem „Jedyna Ocalała”, który lekko zahaczał o mój pryszczaty podbródek.

Wszyscy domagali się wywiadu na wyłączność. Reporterzy dzwonili, ślali maile i esemesy. Pewna znana dziennikarka – odraza nie pozwala mi wymienić jej nazwiska – długo waliła w drzwi wejściowe, po których drugiej stronie siedziałam, przyciskając plecy do dygoczącego drewna. Zanim odeszła, wsunęła przez szparę nad podłogą karteczkę z nagryzmołoną odręcznie propozycją zapłaty stu tysięcy dolarów za wywiad w studiu. Liścik pachniał perfumami Chanel No. 5. Wyrzuciłam go do śmieci.

Nawet mimo złamanego serca i wszystkich ran, z których jeszcze nie zdjęto szwów, dobrze wiedziałam, o co w tym chodzi. Media zagięły na mnie parol – miałam być ich nową Jedyną Ocalałą.

Może zniosłabym to lepiej, gdyby moja sytuacja rodzinna była choć odrobinę stabilniejsza. Ale nie była.

Właśnie wtedy ojcu się pogorszyło. Rak wrócił, zajadły jak nigdy, a po chemioterapii tata ciągle miał mdłości i był zbyt osłabiony, żeby mógł podtrzymywać mnie na duchu. Mimo to próbował. Powiedział, że już raz prawie mnie stracił i moje dobro jest dla niego najważniejsze. Pilnował, żebym jadła, spała i nie pogrążała się w rozpacz. Chciał, bym poczuła się lepiej, choć z nim dobrze nie było. Gdy zbliżał się jego koniec, zaczęłam myśleć, że przeżyłam Pine Cottage tylko dlatego, że mój ojciec dobił targu z Bogiem, oddając za mnie swoje życie.

Przypuszczałam, że matka odczuwa to wszystko tak samo jak ja, ale strach i poczucie winy nie pozwalały mi jej o to zapytać. Nie żebym miała po temu szansę, bo wtedy już się jej włączył tryb perfekcyjnej pani domu i była zdecydowana za wszelką cenę udawać, że wszystko gra. Wmówiła

sobie, że kuchnia wymaga remontu, jakby nowe linoleum mogło jakimś cudem złagodzić tę podwójną tragedię w postaci raka i Pine Cottage. Kiedy akurat nie zawoziła mnie albo ojca na różne umówione wizyty, to porównywała blaty kuchenne i przeglądała próbki farb. Jakby tego było jej mało, rygorystycznie przestrzegała swojego grafiku wzorowej gospodyni domowej z przedmieścia, regularnie uczęszczając na sesje spinningu i spotkania klubu książki. Rezygnacja choćby z jednego obowiązku towarzyskiego byłaby równoznaczna z przyznaniem się do porażki.

Jako że moja woniejąca paczulą terapeutka twierdziła, że warto mieć w kimś oparcie, zwróciłam się do Coopa. Biedak robił, co mógł. Odebrał więcej niż kilka moich rozpaczliwych telefonów w środku nocy. Mimo to potrzebowałam kogoś, kto przeżył takie piekło jak ja w Pine Cottage. Lisa nadawała się do tej roli idealnie.

Zamiast uciec od miejsca, gdzie doznała traumy, ona wolała zostać w Indianie. Pozbierała się w pół roku, po czym wróciła na swoją dawną uczelnię i zdobyła tytuł psycholożki dziecięcej. Na uroczystości wręczenia dyplomów wszyscy zgromadzeni zgotowali jej owację na stojąco, a tłum dziennikarzy na tyłach audytorium uchwycił tę chwilę w oślepiającej kanonadzie fleszy.

Więc przeczytałam jej książkę. Odnalazłam numer telefonu. Zadzwoiłam.

„Chcę ci pomóc, Quincy – powiedziała. – Chcę cię nauczyć, jak być Jedyłą Ocalałą”.

„A jeśli nie chcę nią być?”

„To nie jest twój wybór. Tę decyzję już podjęto za ciebie. Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, co możesz zmienić, to sposób, w jaki sobie z tym radzisz”.

Według Lisy należało odważnie zmierzyć się z sytuacją. Zasugerowała, abym zgodziła się na kilka wywiadów dla prasy, ale na moich warunkach. Zapewniła, że publiczne mówienie o tym, co się stało, pomoże mi sobie z tym poradzić.

Posłuchałam jej i udzieliłam trzech wywiadów – „New York Timesowi”, „Newsweekowi” oraz pannie Chanel No. 5, która faktycznie zapłaciła mi te sto tysięcy, choć wcale się ich nie domagałam. Bardzo mi się przydały, kiedy przyszło do kupna mieszkania. A jeśli się komuś wydaje, że nie gryzie mnie z tego powodu sumienie, to grubo się myli.

Wywiady były okropne. Źle się czułam, tak otwarcie opowiadając o martwych przyjaciółach, którzy nie mogli już mówić za siebie, zwłaszcza że nie pamiętałam, co właściwie się z nimi stało. W gruncie rzeczy byłam naocznym świadkiem w takim samym stopniu jak ci wszyscy ludzie, którzy łykali moje słowa niczym młode pelikany.

Każda z tych rozmów zostawiała we mnie pustkę, której nie mogła wypełnić żadna ilość jedzenia. Dlatego przestałam próbować i w końcu ponownie wylądowałam w szpitalu, pół roku po jego opuszczeniu. Mój ojciec już przegrał walkę z rakiem i po prostu czekał na jego ostateczny cios. Mimo to był przy mnie każdego dnia. Chwiejąc się na wózku inwalidzkim, łyżkami wpychał mi do ust lody, żeby zabić gorzki smak leków przeciwdepresyjnych, które musiałam zażywać.

„Łyzeczka słodczy zaradzi goryczy, Quinn – mawiał. – Mary Poppins nie kłamie”.

Gdy tylko wrócił mi apetyt i wyszłam ze szpitala, odezwała się Oprah. Ni stąd, ni zowąd zadzwonił do mnie jeden z jej producentów i powiedział, że chcą zrobić z nami program. Z Lisą, mną i Samanthą Boyd. Trzy Jedyne Ocalałe wreszcie razem. Lisa, rzecz jasna, się zgodziła. Samantha również, co było niespodzianką, bo już wtedy próbowała tej swojej sztuczki ze

znikaniem. W przeciwieństwie do Lisy ona nigdy nie szukała ze mną kontaktu po Pine Cottage. Była równie nieuchwytna jak moje wspomnienia.

Ja też przyjąłem zaproszenie, choć na samą myśl o tym, że mam zasiąść przed chórem cmokających ze współczuciem gospodyń domowych, o mało nie rzuciłam się z powrotem w objęcia anoreksji. Niemniej chciałam stanąć twarzą w twarz z pozostałymi Jedynymi Ocalałymi. Zwłaszcza z Samanthą. Aby poznać alternatywę dla przytłaczającej otwartości Lisy.

Niestety program nie doszedł do skutku.

Tego ranka, kiedy razem z matką miałyśmy polecieć do Chicago, ocknęłam się, stojąc na środku jej świeżo wyremontowanej kuchni, a raczej tego, co z niej pozostało. Była kompletnie zdemolowana – podłoga zasłana szczątkami talerzy, sok pomarańczowy ciekący z otwartej lodówki, blaty pokryte skorupkami jajek, grudami mąki i tłustymi plamami z ekstraktu waniliowego. Wśród tego poboju siedziała moja matka i szlochała nad córką, którą wciąż miała przy sobie, a jakby ją straciła.

„Dlaczego, Quincy? – jęczała. – Dlaczego mi to zrobiłaś?”

Było jasne, że to ja przewróciłam jej kuchnię do góry nogami jak jakiś nieudolny włamywacz. Wystarczyło jedno spojrzenie na ten sajon, by to zrozumieć. W tej destrukcji dostrzegłam swoistą logikę. Bardzo znajomą. A jednak nie pamiętałam, żebym to wszystko zrobiła. Każda minuta spędzona na demolowaniu tego miejsca zniknęła z mojej pamięci tak samo jak tamta godzina w Pine Cottage.

„Nie chciałam – wyszeptałam. – Nie wiem, jak to się stało, przysięgam”.

Matka udała, że mi wierzy. Wstała, otarła policzki, ostrożnie poprawiła włosy. Jednak czający się w jej oczach niepokój zdradzał prawdziwe emocje. Nagle zdałam sobie sprawę, że ona się mnie boi.

Kiedy ja sprzątałam kuchnię, matka zadzwoniła do studia Oprah i odwołała mój udział w programie. Ponieważ miałyśmy wystąpić wszystkie albo żadna, ta decyzja storpedowała cały plan i telewizyjne spotkanie Jedynych Ocalałych nie doszło do skutku.

Jeszcze tego samego dnia matka zabrała mnie do lekarki, która wręczyła mi dożywotnią receptę na xanax. Matka wręcz nie mogła się doczekać, aby mnie nim nafaszerować, więc pierwszą tabletkę musiałam połknąć już na aptecznym parkingu, popijając jedynym płynem, jaki znalazł się w samochodzie – ciepłym napojem winogronowym.

„I wystarczy – oświadczyła. – Dość tych zamroczeń. Dość wpadania w amok. I dość uzalania się nad sobą. Będiesz brała leki i będziesz normalna, Quincy. Bez dyskusji”.

Zgodziłam się. Wcale nie chciałam, aby na mojej uroczystości wręczenia dyplomów pojawiła się zgraja reporterów. Nie chciałam pisać książki, udzielać kolejnych wywiadów ani głądzić, że wciąż swędzą mnie blizny, ilekroć zbiera się na burzę. Nie chciałam być dziewczyną napiętnowaną tragedią i kojarzoną wyłącznie z najgorszym dniem w moim życiu. Wciąż na haju po tym inauguracyjnym xanaxie, zadzwoniłam do Lisy i zakomunikowałam jej, że nie zamierzam więcej udzielać żadnych wywiadów. Że skończyłam z rolą wiecznej ofiary.

„Nie jestem Jedyną Ocalałą”, oświadczyłam.

Lisa odpowiedziała z niezmienną cierpliwością, która tak działała mi na nerwy.

„W takim razie kim jesteś, Quincy?”

„Jestem normalna”.

„Dla takich dziewczyn jak ty, ja i Samantha nie ma już czegoś takiego jak normalność – odparła. – Ale rozumiem, dlaczego chcesz spróbować”.

Życzyła mi powodzenia i dodała, że w razie potrzeby mogę na nią liczyć. To była nasza ostatnia rozmowa.

Teraz patrzę na twarz spoglądającą na mnie z okładki jej książki. Lisa ładnie wyszła na tym zdjęciu. Oczywiście podretuszowano je, ale delikatnie. Życzliwe oczy. Zgrabny nosek. Może nieco za duży podbródek i odrobinę za wysokie czoło. Żadna klasyczna piękność, po prostu ładna dziewczyna.

Nie uśmiecha się, ale nic w tym dziwnego. To nie jest wesoła lektura. Wyraz twarzy Lisy jest dokładnie taki, jaki być powinien. Ani pogodny, ani ponury. Idealnie wyważona mieszanka powagi i zadowolenia z siebie. Wyobrażam sobie, jak Lisa ćwiczy tę minę przed lustrem, i nagle robi mi się smutno. Potem widzę ją w wannie, skuloną, z nożem w dłoni. Ta myśl jest jeszcze gorsza.

Nóż.

To coś, czego nie rozumiem, nawet bardziej niż samego aktu samobójstwa. Różnie bywa. Życie jest do bani. Czasem ludzie sobie nie radzą i chcą się wypisać. Smutne, ale zdarza się bez przerwy. Nawet takim osobom jak Lisa.

Tylko że ona wybrała nóż. Nie łyknęła całej fiołki pigułek i nie popiła ich wódką (jak zrobiłabym ja, gdyby mnie kiedyś naszło). Nie otuliły jej łagodne objęcia zabójczego tlenu węgla. (Moja opcja numer dwa). Aby ze sobą skończyć, Lisa sięgnęła po narzędzie, którym przed laty nieomal pozbawiono ją życia. Z rozmysłem przeciągnęła ostrzem po nadgarstkach, tnąc na tyle głęboko, aby dokończyć to, co kiedyś zaczął Stephen Leibman.

Nie potrafię pozbyć się myśli o tym, co mogłoby się stać, gdybyśmy utrzymywały ze sobą kontakt. Może w końcu doszłoby do spotkania. Może zostałybyśmy przyjaciółkami.

Może byłabym w stanie ją uratować.

Wracam do kuchni i otwieram laptopa, którego używam głównie do prowadzenia bloga. Googluję Lisę Milner i po chwili okazuje się, że internet jeszcze nic nie wie o jej śmierci. Dowie się wkrótce, to nieuniknione. Wielką niewiadomą jest natomiast dla mnie to, jak bardzo ten fakt wpłynie na moje życie.

Parę kliknięć później grzęznę na Facebooku – mdławym bagienku lajków, linków i koszmarnej gramatyki. Sama nie mam kont w mediach społecznościowych. Ani na Twitterze, ani na Instagramie. Kiedyś prowadziłam osobisty profil na Facebooku, ale go usunęłam, bo miałam dość lamentujących nad moim losem obserwujących oraz zaproszeń od nieznajomych, którzy ślinili się na myśl o Jedynej Ocalałej. Nadal jednak prowadzę fanpage mojego bloga. Traktuję go jak zło konieczne, ale to dzięki niemu mogę teraz zajrzeć na profil Lisy. Była bądź co bądź fanką *Słodkości Quincy*.

Jej konto stało się wirtualną ścianą pamięci zapełnioną mnóstwem kondolencji, których nigdy nie przeczyta. Przewijam je – większość brzmi sztafpowo, ale szczerze.

„Będziemy za tobą tęsknić, Liso! Uściski”.

„Nigdy nie zapomnę twojego pięknego uśmiechu i wspaniałej duszy”.

„Spoczywaj w pokoju, Liso”.

Najbardziej wzruszający wpis zamieściła jakaś Jade, brunetka o sarnich oczach.

„Przetrwałaś najgorszy koszmar swojego życia, a dzięki twojej inspiracji ja przetrwałam swój. Zawsze będziesz moim natchnieniem, Liso. Teraz, kiedy odeszłaś do aniołów w niebie, czuwaj nad tymi z nas, którzy pozostali na ziemi”.

Przeoglądam liczne fotki, które Lisa wrzucała latami na swoją ścianę, i odnajduję zdjęcie Jade. Zrobiono je trzy miesiące temu i są na nim obie,

pozują policzek przy policzku chyba w jakimś parku rozrywki. W tle widać konstrukcję podtrzymującą drewnianą kolejkę górską. Lisa ściska w ramionach ogromnego pluszowego misia. Nie wątpię w szczerść ich uśmiechów. Takiej radości nie da się udawać. Bóg mi świadkiem, że próbowałam. Ich radość podszyta jest stratą. Widzę to w ich oczach. Taki sam podświadomy smutek zawsze wkrada się do moich zdjęć. Jak w zeszłe święta Bożego Narodzenia, kiedy odwiedzaliśmy z Jeffem moją matkę w Pensylwanii i całą trójką pozowaliśmy na tle choinki, udając prawdziwą, zwyczajną rodzinę. Oglądając później te fotografie na swoim komputerze, matka wzięła mój stęzwały uśmiech za grymas i rzuciła z rozdrażnieniem: „Czy choć raz nie mogłabyś się uśmiechnąć, Quincy?”.

Przez następne pół godziny przetrząsam zdjęcia Lisy, na których oglądam migawki z życia zupełnie innego niż moje. Choć nigdy nie wyszła za mąż, nie ustatkowała się ani nie miała dzieci, wydawało się, że wiedzie udane życie. Otoczyła się ludźmi – rodziną, przyjaciółmi i dziewczynami takimi jak Jade, które potrzebowały po prostu czyjejś życzliwości. Mogłam się stać jedną z nich, gdybym tylko się na to zgodziła.

Ja jednak robiłam coś wręcz przeciwnego. Trzymałam ludzi na dystans. W razie potrzeby ich odpychałam. Bliskość była dla mnie luksusem, na którego utratę nie mogłam znów sobie pozwolić.

Przeoglądając fotki Lisy, w myślach doklejam siebie do każdej z nich. Na tej pozuję z nią nad krawędzią Wielkiego Kanionu. Na tamtej ocieramy wodną mgiełkę z twarzy, stojąc przed wodospadem Niagara. A tu ja w grupce kobiet rozbawionej na maksa w kręgielni. Fotkę podpisano: „Psiapsi na kręglach!!!”.

Zatrzymuję się przy zdjęciu wstawionym trzy tygodnie temu. To selfie zrobione z wyciągniętej ręki, trochę z góry. Widoczna na nim Lisa unosi

butelkę wina w jakimś pokoju, który wygląda na wyłożoną drewnem jadalnię. Tym razem podpis brzmi: „Czas na wino! LOL!”.

W tle majaczy jakaś dziewczyna, prawie poza kadrem. Przywodzi mi na myśl te rzekome zdjęcia Wielkiej Stopy, które czasami pokazują w różnych żenujących programach o zjawiskach paranormalnych. Głowa odwrócona do tyłu i niewyraźna smuga czarnych włosów – to wszystko.

Czuję więź z tą bezimienną dziewczyną, nawet jeśli nie widzę jej twarzy. Ja też odwróciłam się od Lisy, wtopiłam się w tło, chciałam być sama.

Stałam się niewyraźną smugą – rozmytą plamą pozbawioną wszelkich szczegółów.



PINE COTTAGE

15:37

W pierwszej chwili Pine Cottage skojarzył się Quincy z bajką, głównie z powodu tej cudacznej nazwy.

Sosnowy Domek.

Od razu przyszły jej na myśl krasnoludki, królowny i leśne stworki garnące się do pomocy przy pracach domowych. Kiedy jednak SUV Craiga wjechał na żwirowy podjazd i w końcu tę chatę ujrzała, natychmiast zrozumiała, jak bardzo zawiodła ją wyobraźnia. W tym miejscu nie było nic bajkowego. Z zewnątrz Pine Cottage wyglądał na przysadzisty, masywny i obrzydliwie praktyczny. Niewiele gustowniejszy niż domek z drewnianych klocek dla dzieci. Stał pośród kępy wysokich sosen, które górowały nad jego łupkowym dachem, sprawiając, że wydawał się mniejszy, niż był w rzeczywistości. Budynek otaczała zwarta ściana gęsto

rosnących drzew i splątanych gałęzi, a rozciągający się za nimi gąszcz stopniowo zlewał się w głuchy, nieprzenikniony mrok.

Ciemny las. Klimat faktycznie baśniowy, tyle że bardziej w stylu braci Grimm niż Disneya, jak spodziewała się Quincy. Kiedy wysiadła z SUV-a i spojrzała w splątaną gęstwinię, przeszył ją nagły dreszcz lęku.

– Czyli to tu diabeł mówi dobranoc – stwierdziła. – Aż ciarki przechodzą.

– Trzęsidupa – prychnęła za jej plecami Janelle, obładowana nie jedną, ale dwiema walizkami.

– Wielbłądzica – odparowała Quincy.

Janelle wystawiła język i zastygła w tej pozie, czekając, aż do Quincy dotrze, że ma ją uwiecznić dla przyszłych pokoleń. Sumiennie wygrzebała z torby swojego nowego nikona i pstryknęła kilka fotek. A potem jeszcze parę, kiedy Janelle przestała pozować i próbowała podnieść obie walizki naraz, napinając z wysiłku chude ramiona.

– Quin-cee – wyjęczała śpiewnym głosikiem, który Quincy znała aż za dobrze. – Pomożesz mi? Ślicznie proszę!

Quincy powiesiła sobie aparat na szyi.

– Nic z tego. Po co to wszystko tu przytachałaś? Wątpię, czy włożysz choćby połowę tych ciuchów.

– Ale jestem przygotowana na każdą sytuację. Czy nie tak brzmi motto harcerzy?

– Bądź przygotowany – poprawił Craig, mijając je z lodówką turystyczną przewieszoną przez atletyczne ramię. – I mam nadzieję, że w ramach tych przygotowań spakowałaś klucz do tej budy.

Janelle skwapliwie skorzystała z okazji, by odłożyć walizki, i przeszukała kieszenie dzinsów. Ze znalezionym kluczem popędziła do drzwi i otwartą dłonią pacnęła w cedrową deseczkę z nazwą chaty.

– Grupowy portrecik? – rzuciła zachęcająco.

Quincy nastawiła samowyzwalacz i położyła aparat na masce SUV-a Craiga, a potem podbiegła do reszty grupy, już pozującej przed chatką. Cała szóstka wyszczerzyła się w oczekiwaniu na trzask migawki. „Ekipa z East Hall”, jak nazwała ich Janelle już na spotkaniu informacyjnym dla pierwszorocznych. Teraz, dwa miesiące po rozpoczęciu drugiego roku, nadal tworzyli zgraną paczkę.

Po sesji zdjęciowej Janelle dokonała uroczystego otwarcia domku.

– I co wy na to? – spytała, ledwie drzwi otwarły się ze skrzypnięciem i zanim ktokolwiek zdążył zerknąć do środka. – Przytulnie tu, co?

Quincy przytaknęła, choć w jej pojęciu przytulności nie mieściły się ani niedźwiedzie skóry na ścianach, ani wytarty dywanik na podłodze. Użyłaby raczej słowa „staromodny”, z akcentem na „staro”, zwłaszcza kiedy ujrzała zardzewiały zlew w kuchni i rdzawą wodę, którą wypłuły z siebie rury w jedynej łazience.

Niemniej domek był całkiem duży jak na leśną chatkę. Miał cztery sypialnie, a na tyłach taras, który tylko trochę uginał się pod krokami ekipy. W ogromnym salonie stał kamienny kominek – niewiele mniejszy niż pokój w akademiku, w którym mieszkały Janelle i Quincy – obok kominka zaś wznosił się równy stos polan.

Domek – a raczej cały ten weekendowy wypad – był urodzinowym prezentem dla Janelle od jej mamy i ojczyma, którzy aspirowali do miana „fajnych rodziców”, czyli takich, którzy chcą się kumplować ze swoimi dziećmi. Takich, którzy wychodzą z założenia, że ich córka w wieku studenckim na pewno pije i popala trawkę, więc chyba lepiej, żeby robiła to we względnie bezpiecznych warunkach w wynajętym domku w górach Pocono. Zafundowali jej więc czterdzieści osiem godzin bez asystentów

rezydenta, stołówkowego żarcia oraz identyfikatorów, które trzeba zbliżyć do czytnika przy każdych drzwiach i każdej windzie.

Zanim jednak ten weekend się rozpoczął, Janelle kazała wszystkim włożyć komórki do małej drewnianej skrzynki.

– Żadnych rozmów ani esemesów, a już na pewno żadnych zdjęć czy filmików – zarządziła, po czym zaniósła skrzyneczkę do SUV-a i ukryła w schowku.

– A mój aparat? – spytała Quincy.

– Możesz go zatrzymać. Ale będziesz mi robić tylko twarzowe zdjęcia.

– Jasna sprawa – odrzekła Quincy.

– Ja nie żartuję – ostrzegła ją Janelle. – A jeśli cokolwiek z tego weekendu zobaczę na Facebooku, usunę cię z listy znajomych. W sieci i w realu.

A potem, na jej znak, cała szóstka ruszyła pędem w kierunku sypialń, aby znaleźć dla siebie jak najlepszą. Amy i Rodney zajęli tę z łóżkiem wodnym, które aż zachlupotało, kiedy na nie wskoczyli. Betz, która przyjechała sama, bo nie miała chłopaka, posłusznie przyjęła pokój z łóżkiem piętrowym, po czym od razu klapnęła na dolnym materacu i zatopiła się w opasłym tomiszczu *Harry’ego Pottera i Insygniów Śmierci*. Quincy pociągnęła Janelle do sypialni z dwoma pojedynczymi łóżkami ustawionymi pod przeciwległymi ścianami, dokładnie tak samo jak w ich pokoju w akademiku.

– Nie ma to jak w domu – stwierdziła. – Da się wytrzymać.

– Niby tak. – W głosie Janelle nie było słyhać euforii. – Ale... czy ja wiem?

– Możemy zająć inny pokój. To twoje urodziny. Masz prawo wyboru.

– Racja. Więc będę... – Janelle chwyciła Quincy za ramiona i podniosła ją z grudkowego łóżka – ...spała sama.

Wyprowadziła Quincy z pokoju i lekko popchnęła ją w głąb korytarza, na którego końcu znajdowała się największa sypialnia. Z jej wykuszowego okna roztaczał się rozległy widok na las. Rozwieszane na ścianach ręcznie tkane narzuty tworzyły ozdobną mozaikę. A na skraju okazałego łóżka siedział Craig. Wbijał wzrok w podłogę, dokładnie w przestrzeń między swoimi wysokimi converse'ami. Dłonie opierał na kolanach i splatał palce, kręcąc młynka kciukami. Gdy Quincy weszła do pokoju, podniósł oczy i uśmiechnął się do niej z nieśmiałą nadzieją.

– Tu będzie ci znacznie wygodniej – oświadczyła Janelle, rzucając przyjaciółce znaczące spojrzenie. – Udanej zabawy! – Trąciła Quincy biodrem, wpychając ją za próg sypialni, po czym zamknęła za nią drzwi i oddaliła się korytarzem, głośno chichocząc.

– To był jej pomysł – powiedział Craig.

– Domyśliłam się.

– Nie musimy... – Urwał, zmuszając Quincy, by dopowiedziała sobie resztę. Dzielić sypialni? Spać ze sobą, jak to ewidentnie zaplanowała za nich Janelle?

– W porządku – powiedziała.

– Serio, Quinn. Jeśli nie jesteś gotowa...

Quincy usiadła obok niego i położyła dłoń na jego drżącym kolanie. Craig Anderson, wschodząca gwiazda koszykówki. Seksownie tyczkowaty Craig o brązowych włosach i zielonych oczach. Z wszystkich dziewczyn na kampusie wybrał akurat ją.

– W porządku – powtórzyła z całym przekonaniem, na jakie stać dziewiętnastolatkę, która rozważa utratę cnoty. – Cieszę się.



4

Gdy wraca Jeff, siedzę na kanapie z książką Lisy na kolanach i oczami zaczerwienionymi po przepłakanym popołudniu. Rzuca walizkę i obejmuje mnie, a ja kładę głowę na jego piersi i znowu zaczynam szlochać. Po czterech latach związku, w tym dwóch wspólnego mieszkania, dobrze wie, że lepiej nie pytać od razu, co się stało. Po prostu pozwala mi się wypłakać.

Dopiero kiedy kołnierzyk jego koszuli robi się mokry od łez, wyjaśniam:

– Lisa Milner popełniła samobójstwo.

Uścisk Jeffa staje się mocniejszy.

– Ta Lisa Milner?

– Właśnie ta.

To mu wystarcza. Już wszystko rozumie.

– Och, Quinn. Kochanie, tak mi przykro. Kiedy? Co się stało?

Siadamy wygodniej i o wszystkim mu opowiadam. Słucha bardzo uważnie – to skutek uboczny jego pracy, w której musi najpierw poznać wszystkie szczegóły, zanim wyłowi te istotne.

– Jak się czujesz? – pyta, gdy kończę.

– W porządku – odpowiadam. – Tyle że jestem w szoku. I w żałobie. To pewnie głupie...

– Wcale nie – protestuje Jeff. – Masz prawo tak się czuć.

– Czy ja wiem? Przecież nawet nie poznałam jej osobiście.

– To bez znaczenia. Dużo rozmawialiście. Pomogła ci. Byłyście bratnimi duszami.

– Byłyśmy ofiarami – poprawiam go. – Tylko to nas łączyło.

– Nie musisz tego trywializować, Quinn. Nie przy mnie.

Oto i on, Jefferson Richards, obrońca z urzędu. Wstawia tę swoją prawniczą gadkę, ilekroć się ze mną nie zgadza, co nie zdarza się często. Zwykle jest po prostu Jeffem, moim chłopakiem, który lubi się poprzytulać i gotuje o wiele lepiej ode mnie, a jego tyłek wygląda bosko w garniturach, które wkłada do sądu.

– Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co tamtej nocy przeszłaś – ciągnie. – Nikt tego nie zdoła zrozumieć. Nikt oprócz Lisy i tej drugiej dziewczyny.

– Samantha.

Jeff powtarza jej imię z roztargnieniem, jakby dobrze je znał.

– Samantha. Ona pewnie czuje to samo co ty.

– To bez sensu – mówię. – Nie rozumiem, dlaczego Lisa miałaby się zabić po tym, co przeszła. Wszystko poszło na marne. Myślałam, że ma

w sobie więcej siły.

Znów słyszę w głowie jej głos.

„Bycie Jedyną Ocalałą to swego rodzaju nobilitacja – powiedziała mi kiedyś. – I wielka łaska. Możemy inspirować innych cierpiących, bo same cierpiałśmy i zdołaliśmy przetrwać”.

Stek bzdur. Każde słowo.

– Przepraszam za to mazgajstwo – dodaję. – Samobójstwo Lisy. Moja reakcja. Wszystko wydaje się jakieś nienormalne.

– Oczywiście. Bo to, co cię spotkało, było nienormalne. Ale nie pozwoliłaś, żeby cię to zniszczyło. Podniosłaś się, ruszyłaś naprzód. I za to między innymi cię kocham.

Jeff już mi to mówił. Niejeden raz. Powtarzał to tak często, że w końcu zaczęłam mu wierzyć.

– Wiem – przytakuję. – Masz rację.

– Zrobiłaś dokładnie to, co należało. Zostawiłaś przeszłość za sobą. Skupiasz się na terażniejszości. I mam nadzieję, że ta terażniejszość cię uszczęśliwia.

Posyła mi uśmiech. Ten swój szeroki i promienny uśmiech hollywoodzkiego gwiazdora. To dzięki niemu zwróciłam uwagę na Jeffa, kiedy poznaliśmy się na pewnej służbowej imprezie, tak nudnej, że musiałam się lekko wstawić i trochę poflirtować.

„Niech zgadnę – zagaiłam. – Jesteś z reklamy pasty do zębów”.

„Przyznaję się do wszystkiego”.

„Jakiej marki? Może zacznę ją stosować”.

„Aquafresh. Ale mierzę wyżej – mój cel to paski wybielające Crest”.

Wybuchnęłam wtedy śmiechem. Nie rozbawił mnie aż tak bardzo, ale był przeuroczy, próbując mnie zadowolić. Jak golden retriever, poczciwy,

wierny i kojący. Ujęłam go za rękę, jeszcze zanim się przedstawił. I od tamtej chwili właściwie nigdy jej nie wypuściłam.

Po Pine Cottage moje życie towarzyskie praktycznie zamarło. Aż do poznania Jeffa. Kiedy w końcu poczułam się gotowa, by kontynuować studia, nie wróciłam na starą uczelnię, bo wiedziałam, że tam prześladowałyby mnie wspomnienia o Janelle i pozostałych. Przeniosłam się nieco bliżej domu i przez trzy lata mieszkałam sama w dwuosobowym pokoju w akademiku.

Oczywiście moja sława mnie wyprzedziła. Wszyscy wiedzieli, kim jestem i przez co przeszłam. Ale ja się nie wychylałam, trzymałam się z boku, codziennie łykałam tabletkę xanaxu i popijałam ją napojem winogronowym. Uśmiechałam się przyjaźnie, lecz nie szukałam przyjaciół. Nie stroniłam od ludzi, lecz zachowywałam dystans. Nie widziałam sensu w nawiązywaniu bliższych relacji.

Raz w tygodniu chodziłam na terapię grupową dla osób dotkniętych różnymi traumami. Uczestniczki tych sesji połączyła pewna więź. Niezbyt bliska, ale wystarczająca, abyśmy mogły do siebie zadzwonić, gdy wyjście do kina w pojedynkę napawało zbyt dużym lękiem.

A jednak było mi trudno znaleźć wspólny język z tymi rozbitymi wewnątrz dziewczynami, które przeżyły gwałt, fizyczną napaść czy wypadek samochodowy, z którego wyszły oszpecone. Ich trauma była zupełnie inna niż moja. Żadna z nich nie wiedziała, jak to jest, kiedy ktoś nagle pozbawia cię wszystkich najbliższych przyjaciół. Nie rozumiały, jak okropnie jest nie pamiętać najgorszej nocy w swoim życiu. Miałam wrażenie, że wręcz mi zazdroszczą tego braku wspomnień. Że same najchętniej by zapomniały. Jakby niepamiętanie było łatwiejsze.

Na studiach przyciągałam niekończący się sznur anemicznych wrażliwców pragnących odkryć sekret cichej, nieśmiałej dziewczyny, która

trzyma wszystkich na dystans. Z niektórymi się umawiałam. Na dziwaczne randki pod pretekstem wspólnej nauki. Na pogawędki przy kawie, podczas których bawiło mnie liczenie, na ile różnych sposobów próbują unikać tematu Pine Cottage. Czasem dawałam komuś buziaka na dobranoc, jeśli akurat poczułam się wyjątkowo samotna.

Tak naprawdę wołałam mięśniaków, jakich pełno przy kegu na hałaśliwych męskich imprezach. Znać ten typ. Szerokie bary. Napakowana klata plus lekki mięsień piwny. Takich gości nie obchodzi twoje blizny. Delikatności nie mają za grosz. Za to w łóżku są niezmordowani i nie mają żalu, kiedy po wszystkim wymykasz się, nie zostawiając im swojego numeru.

Po takich spotkaniach czułam się obolała, pocięta i dziwnie ożywiona. Zdobycie tego, czego się chce, dodaje wigoru, nawet kiedy tym czymś jest wstyd.

Ale Jeff jest inny. Idealnie normalny. Jak gość w koszulce polo od Ralphi Laurena. Spotykaliśmy się przez cały miesiąc, zanim w końcu odważyłam się wspomnieć o Pine Cottage. Myślał, że jestem Quincy Carpenter, laską od marketingu, która planuje założenie bloga o wypiekach. Nie miał pojęcia, że w rzeczywistości jestem Quincy Carpenter, ocalałą z masakry.

Muszę przyznać, że przyjął to lepiej, niż się spodziewałam. Powiedział wszystko, co trzeba, a na koniec dodał: „Jestem głęboko przekonany, że żaden człowiek nie musi tkwić uwięziony w przeszłości. Od złych rzeczy można się uwolnić. Ruszyć naprzód. Tobie się to z pewnością udało”.

Wtedy wiedziałam, że warto się go trzymać.

– Więc jak poszło w Chicago? – pytam.

Odpowiada wzruszeniem ramion, z czego wnioskuję, że nie najlepiej.

– Nie dowiedziałem się tego, o co mi chodziło – mówi. – Właściwie wolałbym o tym nie rozmawiać.

– A ja wolałabym nie rozmawiać o Lisie.

Jeff zrywa się z miejsca, jakby właśnie wpadł na jakiś pomysł.

– Więc najlepiej gdzieś chodźmy. Wystroimy się i pójdziemy do jakiejś eleganckiej knajpy, żeby się objadać i topić smutki w alkoholu. Pisziesz się?

Kręcę głową i wyciągam się na kanapie niczym kotka.

– Dzisiaj nie mam ochoty. Ale wiesz, na co mam ochotę?

– Na wino z kartonu – zgaduje Jeff.

– I?

– Pad thai na wynos.

Zdobywam się na uśmiech.

– Ależ dobrze mnie znasz.

Potem się Kochamy. To ja jestem inicjatorką. Wyrywam mu z rąk teczkę z aktami sprawy i siadam na nim, obejmując go udami. Jeff protestuje, ale słabo. Raczej się kryguje. Chwilę później już jest we mnie, niezwykle delikatny i uważny. Jeff jest z tych, co lubią sobie pogadać. W trakcie seksu zadaje mnóstwo pytań. „Czy tak jest dobrze? Za ostro? Tak lepiej?”

Zazwyczaj doceniam tę troskliwość, także słowną, o zaspokojenie moich potrzeb. Dzisiaj jest inaczej. Śmierć Lisy wytrąciła mnie z równowagi. Zamiast zalewających ciało fal rozkoszy czuję coraz większą frustrację. Tęsknię za czysto mechanicznym posuwaniem, jak z tamtymi bezimiennymi byczkami, którym się wydawało, że mnie uwiedli, choć było dokładnie odwrotnie. To tak, jakbym miała wewnętrzną wysypkę, swędzącą jak diabli, i ktoś powinien mnie zdrowo podrapać, a nie tylko miziać jak Jeff. Mimo to udaję, że wszystko gra. Jęczę i piszczę jak gwiazda porno,

a kiedy Jeff prosi o raport z postępów, przyciskam usta do jego warg, byle tylko przestał gadać.

Po wszystkim leżymy wtuleni w siebie i oglądamy klasyki kina na kanale TCM. To od zawsze taki nasz ponumerkowy zwyczaj, który ostatnio stał się moją ulubioną częścią seksu. Epilog. Czuję przy sobie jego umięśniony i owłosiony tors, a dialogi wygłaszane z typową dla kina lat czterdziestych szybkością karabinu maszynowego kołyszają nas do snu.

Ale dzisiaj sen nie przychodzi tak łatwo jak zwykle. Po części z powodu filmu – *Dama z Szanghaju*. Obejrzeliliśmy go do sceny finałowej, w której lustrzane odbicia Rity Hayworth i Orsona Wellesa rozpryskują się podczas strzelaniny w gabinecie luster. Jednak Jeff też nie jest bez winy, bo wciąż wierci się niespokojnie pod kołdrą.

– Na pewno nie chcesz pogadać o Lisie Milner? – odzywa się w końcu.

Zamykam oczy, marząc, aby sen złapał mnie za gardło i porwał w niebyt.

– Nie ma o czym – odpowiadam. – Ale może pogadamy o tej twojej zagwozdcie?

– To nie żadna „zagwozdka” – zjeżył się. – To moja praca.

– Przepraszam. – Urywam i nadal na niego nie patrząc, próbuję oszacować poziom jego irytacji. – Chcesz pogadać o twojej pracy?

– Nie – odburkuje, po czym zmienia zdanie. – Może trochę.

Obracam się na bok i podpieram lewym łokciem.

– Domyślam się, że obrona nie idzie najlepiej.

– Niestety. I to wszystko, co zgodnie z prawem mogę ci powiedzieć.

Niewiele może mi mówić o sprawach, które prowadzi. Tajemnicy adwokackiej nie wolno naruszyć nawet w rozmowie z małżonką. Także potencjalną, jak w moim przypadku. To kolejny z powodów, dla których tak dobrze do siebie pasujemy. Jeff nie może rozmawiać o swojej pracy. Ja nie

chcę rozmawiać o swojej przeszłości. W ten sposób przeskakujemy nad dwiema konwersacyjnymi pułapkami, w które zazwyczaj wpadają inne pary. Teraz jednak – po raz pierwszy od wielu miesięcy – czuję, że zaraz w którąś wdepniemy, i robię wszystko, by tego uniknąć.

– Powinniśmy iść spać – mówię. – Rano musisz chyba być w sądzie?

– Owszem – odpowiada Jeff, nie patrząc na mnie, lecz w sufit. – A nie przyszło ci do głowy, że właśnie dlatego nie mogę zasnąć?

– Nie przyszło. – Znow opadam na plecy. – Przepraszam.

– Chyba nie rozumiesz, jaka to duża sprawa.

– Było o niej w wiadomościach, Jeff. Zdążyłam się zorientować.

Teraz on się podnosi i opiera na łokciu, by na mnie spojrzeć.

– Jeżeli wygram... to może być dla mnie punkt zwrotny. Dla nas. Myślisz, że chcę być obrońcą z urzędu do końca życia?

– Nie wiem. Chcesz?

– Jasne, że nie. Wygrana w tej sprawie przede wszystkim otworzyłaby mi wiele drzwi. Może do jakiejś poważnej kancelarii, gdzie mógłbym wreszcie porządnie zarabiać i nie waletować w mieszkaniu kupionym przez moją dziewczynę za kasę z odszkodowania dla ofiar przestępstw.

Czuję się zbyt urażona, by coś powiedzieć, choć widzę, że Jeff już pożałował swych słów. Oczy zastygają mu na sekundę, usta wykrzywia grymas niepokoju.

– Quinn, ja nie chciałem.

– Wiem. – Wyślizguję się z łóżka. Wciąż jestem naga i tym bardziej czuję się obnażona i bezbronna. Chwytam i narzucam na siebie pierwszą rzecz, jaka wpada mi w rękę: wytarty frotowy szlafrok Jeffa. – W porządku.

– Wcale nie – kaja się Jeff. – Dupek ze mnie.

– Prześpij się – mówię. – Jutro masz ważny dzień.

Cicho przechodzę do salonu, nagle kompletnie rozbudzona. Na stoliku leży mój telefon, wciąż wyłączony. Włączam go i ekran rozbłyskuje w ciemności lodowatym błękitem. Mam dwadzieścia trzy nieodebrane połączenia, osiemnaście esemesów i ponad trzy tuziny maili. Prawie wszystkie od dziennikarzy.

Wiadomość o śmierci Lisy już wyszła na jaw. Prasa ruszyła na łowy.

Przewijam zawartość skrzynki odbiorczej, do której nie zagłębiałam od zeszłego wieczoru. Pod lawiną dziennikarskich zapytań dogrzebuję się do maili wcześniejszych i przyjemniejszych: wiadomości od fanów bloga i propozycji współpracy od różnych producentów przyborów kuchennych, którzy chętnie przekazaliby mi swój towar do wypróbowania. Wśród tej powodzi nazw, nazwisk i liczb, niczym wyskakująca z wody srebrnołuska ryba, wyróżnia się jeden adres.

Lmilner75

Odrywam palec od ekranu jak oparzona. To odruch bezwarunkowy. Gapię się w te litery i cyfry, dopóki ich obraz nie wryje się w moją siatkówkę tak mocno, że widzę je nawet, kiedy zamykam oczy.

Znam tylko jedną osobę, do której może należeć ten adres, a ona nie żyje od ponad doby. Kiedy to do mnie dociera, czuję nerwowe łaskotanie w gardle. Ciężko przełykam ślinę, po czym otwieram maila.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To niezwykle istotne. Bardzo Cię proszę, nie zignoruj tej wiadomości”.

Poniżej widnieje podpis Lisy i ten sam numer telefonu co w moim egzemplarzu jej książki.

Odczytuję wiadomość parokrotnie, aż łaskotanie w gardle zmienia się w uczucie, które można opisać tylko jednym słowem: trzepotanie. Mam wrażenie, jakbym połknęła kolibra, który bije skrzydełkami w mój przełyk.

Sprawdzam godzinę wysłania maila. Dwudziesta trzecia. Zanim policja namierzyła, skąd zadzwoniono pod numer alarmowy, i patrol dotarł na miejsce, musiało minąć dobrych kilka minut, a zatem Lisa napisała do mnie niespełna godzinę przed popełnieniem samobójstwa.

Być może jestem ostatnią osobą, z którą usiłowała się skontaktować.



5

Poranek budzi się szary, a ja półprzytomna. Jeffa już nie ma, wyszedł na spotkanie z tym swoim klientem, zabójcą gliniarza.

W kuchni czeka na mnie niespodzianka: wazon wypełniony nie kwiatami, ale akcesoriami do wypieków. Są tam drewniane łyżki, szpatułki i masywna trzepaczka z rączką grubości mojego nadgarstka. Szyjkę wazonu przewiązano czerwoną wstążką, do której doczepiono karteczkę.

„Jestem idiotą. Przepraszam. Zawsze będziesz moją najśłodsza babeczką. Kocham Cię, Jeff”.

Obok wazonu leżą niedokończone od wczoraj ciastka, które znów gapią się na mnie wyczekująco. Ignoruję je i sięgam po xanax; połykam tabletkę i popijam ją dwoma łykami napoju winogronowego. Potem przerzucam się

na kawę, którą szprycuję się w kącie śniadaniowym, żeby się jakoś dobudzić.

W nocy dręczyły mnie koszmary, chociaż myślałam, że ten etap mam już za sobą. Przez pierwsze kilka lat po Pine Cottage śniły mi się co noc. Idealny materiał do przerabiania na terapii: moja ucieczka przez las, Janelle wyłaniająca się spomiędzy drzew, On... Ostatnio jednak całe tygodnie, a nawet miesiące mijały bez tego typu wizji.

Zeszłej nocy przyśnili mi się dziennikarze, którzy drapali w okna, zostawiając na szybach krwawe ślady pazurów. Błazi i chudzi, zawodzili błagalnie niczym czekające na zaproszenie wampiry. Zamiast zębów i kłów mieli zatemperowane ołówki, a z ich ostrych jak szpikulce do lodu czubków zwisały połyskujące strzępki ścięgien.

W jednym z tych koszmarów pojawiła się Lisa. Wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciu z obwoluty swojej książki, a jej wyćwiczony przed lustrem wyraz twarzy nie zmienił się nawet wtedy, kiedy wyrwała ołówek jednemu z dziennikarzy i ostrym szpikulcem przeciągnęła sobie po nadgarstkach.

Oczywiście pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałam po przebudzeniu, był mail od niej. Przez całą noc tkwił w mojej głowie jak sprężynowa pułapka, czekając na choćby przebłysk świadomości, który mógłby ją uruchomić. Wciąż się tam czai, gdy wlewam w siebie cały kubek kawy. I jeszcze jeden.

Ani na chwilę nie mogę otrząsnąć się z myśli, że nie licząc przerwane połączenia alarmowego, jestem ostatnią osobą, z którą Lisa próbowała się skontaktować. A skoro tak, to dlaczego? Czy chciała, żebym to właśnie ja odwiodła ją od zamiaru rzucenia się w niebyt? Czy tylko dlatego, że nie sprawdziłam poczty, stałam się współodpowiedzialna za jej śmierć?

W pierwszym odruchu chcę zadzwonić do Coopa i mu o tym powiedzieć. Nie mam wątpliwości, że rzuciłby wszystko i przyjechał na

Manhattan drugi dzień z rzędu tylko po to, by mnie zapewnić, że w tym, co się stało, nie ma mojej winy. Nie jestem tylko pewna, czy chcę się z nim widzieć tak dzień po dniu. Byłby to pierwszy raz od czasu Pine Cottage i następnego ranka, a jakoś nie mam ochoty na powtórkę tamtego doświadczenia.

Wysyłam mu więc tylko esemesa, starając się, żeby zabrzmiał naturalnie.

„Zadzwoń do mnie w wolnej chwili. Bez pośpiechu. To nic ważnego”.

Intuicja podpowiada mi jednak, że to jest ważne. A przynajmniej może być. Bo jeśli nie jest, to dlaczego obudziłam się właśnie z tą myślą? I dlaczego mam teraz ochotę zadzwonić do Jeffa tylko po to, żeby usłyszeć jego głos, choć doskonale wiem, że kiedy jest w sądzie, wyłącza komórkę i wpycha ją na dno teczki?

Staram się o tym nie myśleć, co jednak okazuje się niemożliwe. Według mojego telefonu przeoczyłam kolejny tuzin połączeń. Poczta głosowa pęka w szwach od nowych nagrań. Odsłuchuję tylko jedno z nich – nieoczekiwaną wiadomość od mojej matki, która zadzwoniła wczesnym rankiem, dobrze wiedząc, że jeszcze śpię. Wymyśla coraz to nowe wybiegi, byle tylko uniknąć rozmowy ze mną.

„Quincy, tu twoja matka – zaczyna, jakby nie dowierzała, że zdołam rozpoznać jej nosowy, monotony głos. – Właśnie obudził mnie telefon od jakiegoś dziennikarza. Chciał, żebym skomentowała to, co się stało tej twojej znajomej Lisie Milner. Odesłałam go do ciebie, więc dzwonię, żeby cię uprzedzić”.

Nie widzę sensu, by do niej oddzwaniać. To ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Tak to wygląda, odkąd wróciłam na studia po Pine Cottage. Niedawno owdowiała i wyobrażała sobie, że będę mieszkać w domu

i dojeżdżać na uczelnię. Kiedy wyprowadziłam się do akademika, uznała, że ją porzuciłam.

Ostatecznie jednak to ja zostałam porzucona. Zanim skończyłam studia, matka ponownie wyszła za mąż – jej wybrankiem został dentysta imieniem Fred, ojciec trójki dorosłych dzieci z poprzedniego małżeństwa. Bez trosk, nijakich, szczerzących zęby. Wśród nich ani jednej Ocalałej. Idealna rodzina na miarę potrzeb mojej matki. Ja stałam się ledwie tolerowanym reliktem przeszłości. Nieznośną rysą w jej skądinąd nieskazitelnym nowym życiu.

Ponownie odtwarzam wiadomość, szukając w jej głosie choćby najdrobniejszego śladu zainteresowania bądź troski. Niczego takiego nie znajduję, więc kasuję nagranie i sięgam po dzisiejsze wydanie „Timesa”.

Ku swemu zdumieniu na dole pierwszej strony widzę artykuł o śmierci Lisy. Pochłaniam go łapczywie, chociaż z niesmakiem.

MUNCIE, Indiana: Lisa Milner, wybitna psycholożka dziecięca oraz jedyna ocalała z masakry w żeńskim akademiku, która swego czasu zmroziła miasteczka akademickie w całym kraju, zmarła w swoim domu w Muncie. Miała 42 lata. Wczoraj powyższą informację potwierdziła policja.

Większość artykułu skupia się na makabrze, której doświadczyła Lisa tamtej tragicznej nocy. Jakby nic innego w jej życiu nie było godne uwagi. Ton tej lektury daje mi pewne pojęcie o tym, jak zostanie napisany mój własny nekrolog. Żołądek podchodzi mi do gardła.

I nagle trafiam na jedno zdanie, które daje mi do myślenia. Jest na samym końcu, jakby zostało dopisane w ostatniej chwili.

„Policja nadal prowadzi śledztwo w sprawie”.

W sprawie czego? Lisa podcięła sobie żyły, moim zdaniem wygląda to całkiem prosto. Wtedy przypominam sobie, że Coop wspominał o testach

toksykologicznych. Żeby sprawdzić, czy Lisa coś brała przed śmiercią.

Rzucam gazetę na bok i sięgam po laptopa. Szerokim łukiem omijając internetowe portale informacyjne, od razu wyszukuję blogi o tematyce true crime, których niepokojąco wiele poświęconych jest wyłącznie Jedynym Ocalałym. Faceci, którzy je prowadzą – bo są to wyłącznie mężczyźni, nawiasem mówiąc; widać kobiety mają lepsze rzeczy do roboty – nadal co jakiś czas kontaktują się ze mną przez moją stronę i swoim słodkim pierdzeniem próbują namówić mnie na wywiad. Nigdy im nie odpowiadam. Tylko raz, kiedy dostałam tamten list z pogrózkami, Coop napisał do tych wszystkich blogerów z pytaniem, czy aby nie przysłał go któryś z nich. Oni, rzecz jasna, zaprzeczyli. Z braku lepszego określenia można by to od biedy nazwać korespondencją.

Zazwyczaj nie wchodzę na takie strony z obawy, co mogłabym tam o sobie wyczytać. Dziś jednak robię wyjątek i przeglądam jeden blog po drugim. Niemal wszystkie wspominają o samobójstwie Lisy. Podobnie jak artykuł w „Timesie” nie zawierają zbyt wielu nowych informacji. Większość z nich podkreśla ironię faktu, że jedna ze słynnych Ocalałych własnoręcznie odebrała sobie życie. Któryś z blogerów ma nawet czelność sugerować, że w jej ślady, być może, pójda pozostałe dwie.

Zniesmaczona zamykam przeglądarkę i zatraskuję laptopa. Potem wstaję, bo czuję, jak adrenalina buzuje mi w żyłach, i muszę wyrzucić z siebie choć trochę ogarniającej mnie wściekłości. Xanax, kofeina i ten chybiony pomysł surfowania po sieci tylko mnie zdenerwowały i rozdrażniły. Tak bardzo, że przebieram się w sportowe ciuchy i wkładam buty do biegania. Kiedy popadam w stan taki jak teraz, a dzieje się to często, mogę zrobić tylko jedno: biegać, dopóki mi nie przejdzie.

W windzie dociera do mnie, że przed kamienicą mogą być dziennikarze. Skoro znają mój numer telefonu i adres mailowy, to mam

wszelkie powody przypuszczać, że wiedzą też, gdzie mieszkam. Postanawiam, że dziś zrezygnuję ze zwykłego spaceru do Central Parku i ruszę biegiem natychmiast po wyjściu na ulicę. Zaczynam jeszcze w budynku i wyskakuję z windy lekkim truchtem.

Okazuje się jednak, że niepotrzebnie robię z igły widły. Zamiast tłumu reporterów czeka na mnie przed wejściem tylko jeden. Wydaje się młody, zdeterminowany i na swój kujonowski sposób całkiem przystojny. Okulary jak Buddy Holly. Świetna fryzura. Bardziej w stylu Clarka Kenta niż Jimmy'ego Olsena. Kiedy wypadam z budynku, rzuca się za mną, aż furkoczą kartki notatnika, który ściska w garści.

– Pani Carpenter.

Przedstawia się jako Jonah Thompson. Rozpoznaję jego nazwisko. To jeden z tych pismaków, którzy do mnie wydzwaniali, mailowali i esemesowali. Potrójne utrapienie. Podaje mi tytuł gazety, w której pracuje – jeden z największych szmatławców codziennych. Biorąc pod uwagę wiek tego dziennikarzyny, albo jest bardzo dobry w swojej robocie, albo nie ma żadnych skrupułów. Podejrzewam, że jedno i drugie.

– Bez komentarza – rzucam i przyspieszam do pełnego biegu.

Płaskie podeszwy jego oksfordów stukają o chodnik, kiedy próbuje za mną nadążyć.

– Chcę tylko spytać o Lisę Milner.

– Bez komentarza – powtarzam. – Jeśli jeszcze tu będziesz, gdy wrócę, zadzwonię po gliny.

Jonah Thompson zwalnia, a ja biegnę dalej. Czuję na karku jego spojrzenie. Aż parzy. Zwiększam tempo i szybko pokonuję przecznice dzielące mnie od Central Parku. Przed wejściem oglądam się przez ramię na wypadek, gdyby jakimś cudem Jonah Thompson zdołał tu za mną dotrzeć.

Mało prawdopodobne.

Nie w tych butach.

W parku kieruję się na północ, w stronę zbiornika retencyjnego. To moje ulubione miejsce do biegania. Jest tam bardziej płasko niż w innych częściach Central Parku, więc można objąć wzrokiem większy teren. Żadnych ścieżek pełnych zakrętów, za którymi może się cziąć Bóg wie co. Żadnych kęp drzew i ciemnych zakamarków. Tylko długie połacie żwiru, gdzie mogę zacisnąć zęby, wyprostować się i biec.

Niestety w ten rześki poranek trudno mi skupić się na bieganiu. Moje myśli błądzą gdzie indziej. Krążą wokół Jonaha Thompsona, jego młodzieńczej twarzy i irytującej nieustępliwości. Wokół artykułu o śmierci Lisy i obojętności jego autora na fakt, że to, przez co przeszła, tak bardzo namieszało jej w głowie, że postanowiła zatopić nóż w obydwu nadgarstki. Przede wszystkim jednak rozmyślam o samej Lisie i o tym, jakie uczucia się w niej kłębiły, gdy wysyłała mi tego maila. Smutek? Rozpacz? Czy drżące palce już zaciskała wokół noża?

Nagle czuję, że nie mogę tego wszystkiego znieść, i odpływa ze mnie cała adrenalina, która jeszcze przed sekundą buzowała mi w żyłach. Inni biegacze co chwila mnie wyprzedzają, a chrzęst żwiru pod ich stopami ostrzega mnie, gdy się zbliżają. Poddaję się, spowalням i schodzę na skraj ścieżki, a do domu wracam spacerowym krokiem.

Gdy zbliżam się do budynku, z ulgą stwierdzam, że Jonah Thompson już sobie poszedł. Niestety zamiast niego po drugiej stronie ulicy kręci się ktoś inny. Kobieta. Po przyjrzeniu się stwierdzam, że nie wygląda na zwykłą reporterkę. Wydaje się zbyt niesztampowa jak na przedstawicielkę mainstreamowych mediów. Przypomina mi jedną z tych podstarzałych Riot Grrrls, feministycznych buntowniczek, które trzęsły Williamsburgiem,

zanim wygryźli je hipsterzy. Kobieta, która ma gdzieś, że ubiera się jak młodsza o połowę nastolatka. Skórzana kurtka narzucona na czarną, opinającą biodra sukienkę. Kabaretki wystające ze zdartych gładów. Zza kruczoczarnej kurtyny jej rozdzielonych przedziałkiem włosów wyzierają obwiedzione eyelinerem oczy i usta pociągnięte krwistoczerwoną szminką. Pewnie blogerka. Z zupełnie inną grupą docelową czytelników niż moja.

A jednak ma w sobie coś znajomego. Już ją kiedyś widziałam. Chyba. Czuję ucisk w żołądku, jak zawsze, gdy nie potrafię sobie przypomnieć, skąd kogoś znam.

Za to ona rozpoznaje mnie natychmiast. Jej oczy szopa pracza mierzą mnie zza kotary ciemnych włosów. Odpłacam się tym samym i też się na nią gapię. Nawet nie mrugnie. Po prostu opiera się o budynek po drugiej stronie ulicy, w żaden sposób nie próbując wtopić się w otoczenie. Spomiędzy jej rubinowych warg wystaje papieros, z którego unosi się dym. Już mam wejść do budynku, kiedy nieznajoma woła mnie po imieniu.

– Quincy. – To raczej stwierdzenie niż pytanie. – Hej, Quincy Carpenter.

Zatrzymuję się, wykonuję półobrót i rzucam w jej stronę marsowe spojrzenie.

– Bez komentarza.

Marszczy brwi – chmura burzowa zasnuwa cieniem jej twarz.

– Nie chcę żadnego komentarza.

– To czego chcesz? – pytam, stając przodem do niej i piorunując wzrokiem, aby ją speszyć.

– Tylko pogadać.

– O Lisie Milner?

– No – przytakuje. – I nie tylko.

– Czyli jesteś reporterką. A ja niczego nie będę komentować.

– Jezu Chryste – mamrocze i rzuca niedopałek na ulicę. Sięga po wielki plecak leżący u jej stóp. Jest napakowany, a cokolwiek znajduje się w środku, musi być ciężkie, bo gdy go podnosi, naprężona tkanina o mało nie pęka w szwach. Przechodzi przez ulicę i po chwili stoi przede mną. Jej plecak ląduje na ziemi tak blisko mnie, że prawie miażdży mi prawą stopę.

– Nie musisz być taką suką – mówi kobieta.

– Co proszę?

– Słuchaj, chcę tylko pogadać. – Z bliska jej głos brzmi ochryple i uwodzicielsko. W oddechu czuć papierosy i whiskey. – Po tym, co się stało z Lisą, chyba powinniśmy.

I nagle uświadamiam sobie, kim ona jest. Wygląda inaczej, niż ją sobie wyobrażałam. W niczym nie przypomina dziewczyny ze szkolnego zdjęcia, które pewnego lata było we wszystkich gazetach. Zniknęły zbyt wysoko upięte włosy, rumiane policzki i podwójny podbródek. Znacznie schudła i straciła swój cherubinkowy blask młodości. Czas uczynił z niej spiętą i znużoną wersję dawnej siebie.

– Samantha Boyd – mówię.

Kiwa głową.

– Wolę Sam.



6

Samantha Boyd.

Druga Jedyna Ocalała.

Z naszej trójki oberwała najgorzej.

Stało się to dwa tygodnie po tym, jak skończyła liceum. Była zwykłą dziewczyną, która próbowała uzbierać dość pieniędzy, żeby zapłacić za college przygotowujący do wyższych studiów. Zarabiała sprzątaniami pokoi w motelu Nightlight Inn położonym przy autostradzie na obrzeżach Tampy. Jako nowa musiała brać nocne zmiany, podczas których zanosila ręczniki zmęczonym kierowcom ciężarówek i zmieniała pościel cuchnącą potem i spermą w pokojach wynajmowanych na godziny.

Czwartego dnia pracy, po dwóch godzinach od rozpoczęcia zmiany, pojawił się facet z workiem po ziemniakach na głowie i rozpiętało się piekło.

Był wędrownym majster-klepką świrującym na punkcie tych części Biblii, o których mało kto lubi wspominać. Wielka Nierządnicza. Wytępienie grzeszników. Oko za oko, ząb za ząb. Nazywał się Calvin Whitmer, ale od tamtego lata już na zawsze pozostał Workowym.

Celny przydomek, zważywszy, że woził w workach sporo różnych rzeczy. Miał ich pełno na pace swojego pikapa. Wyładowane pustymi puszkami. Zwierzęcymi skórami. Piaskiem, solą, otoczakami. Miał też worek pełen narzędzi, który przytargał ze sobą do motelu, a w nim brzeszczoty pił, dłuta i gwoździe budowlane. Policja znalazła łącznie dwadzieścia jeden narzędzi, z których większość pokrywała zaschnięta krew.

Samantha zapoznała się bliżej z dwoma z nich. Pierwszym było ostre wiertło, które wbiło się w jej plecy. Dwa razy. Drugim – piłka do metalu, która zatopiła się w jej udo i przecięła tętnicę. Zetknięcie z wiertłem nastąpiło, zanim Workowy przywiązał ją kłębem drutu kolczastego do drzewa za motelem. Piłką do metalu oberwała po tym, jak cudem udało jej się oswobodzić.

Tamtej nocy życie straciło sześć osób – czworo gości, nocny recepcjonista o imieniu Troy oraz Calvin Whitmer. Ten ostatni zginął z ręki Samantha – gdy tylko się uwolniła, chwyciła za to samo wiertło, którym wcześniej Workowy zranił ją w plecy, po czym wskoczyła na napastnika i dźgnęła go w pierś. Raz, drugi, trzeci... Tak właśnie znaleźli ją policjanci: owiniętą drutem kolczastym, siedzącą okrakiem na trupie i zawzięcie dźgającą go ostrym jak szpikulec wiertłem. Wiem o tym wszystkim z „Time’a”, którego, jak sądzili moi rodzice, nigdy nie czytywałam. Wtedy

jednak zrobiłam wyjątek i ślęcząc pod kołdrą z latarką w spoconej garści, zapoznałam się z całym artykułem. Koszmary dręczyły mnie przez tydzień.

Historia Sam krążyła tymczasem we wszystkich mediach, jak wcześniej historia Lisy, a w końcu i moja. Trafiła do wieczornych wiadomości. Na pierwsze strony gazet. Na okładki czasopism. Dziennikarze zlecieli się jak sępy. Pewnie ci sami, którzy później koczowali na trawniku przed domem moich rodziców. Sam udzieliła kilku wywiadów prasie i jednego na wyłączność w programie telewizyjnym tej suki od perfumowanego liściku – przypuszczam, że za mniej więcej tę samą cenę, którą zapłacono i mnie.

Żądała tylko, aby nie pokazywano jej twarzy w kamerze ani nie robiono jej żadnych nowych zdjęć. Publikowano więc wyłącznie to jedno zdjęcie z kroniki szkolnej i właśnie ta konkretna podobizna stała się symbolem przeżytej przez nią tragedii.

To dlatego taką sensację wzbudziła jej zgoda na udział w programie Oprah – miała wystąpić przed kamerą, pokazać twarz całemu światu. I dlatego jeszcze większa sensacja wybuchła, kiedy ja się wycofałam. Przeze mnie wszyscy stracili szansę ujżenia Samantha Boyd w innej odsłonie.

Rok później zniknęła.

Nie zrobiła tego nagle, z dnia na dzień. Raczej powoli się wycofywała, jakby stopniowo usuwała się w cień. I kiedy dziennikarze chcieli napisać o dziesiątej rocznicy „Morderstw w Nightlight Inn”, nagle odkryli, że nikt nie wie, gdzie się podziała. Jej matka w końcu oficjalnie przyznała, że straciła kontakt z córką. Władze federalne, które lubią mieć na oku ofiary brutalnych przestępstw, nie były w stanie jej namierzyć.

Była nieuchwytna. Poza radarem, jak ujął to Coop.

Nikt nie wiedział, co się z nią naprawdę stało, ale nie powstrzymywało to ludzi przed snuciem teorii, których raz-dwa namnożyło się jak grzybów

po deszczu. W jednym z artykułów, które przeczytałam, wysunięto przypuszczenie, że zmieniła nazwisko i przeprowadziła się do Ameryki Południowej. W innym sugerowano, że mieszka w odosobnieniu gdzieś na zachodzie. Portale internetowe żerujące na krwawych zbrodniach serwowały mroczniejsze wizje i teorie spiskowe, włącznie z samobójstwem, porwaniem i tuszowaniem faktów przez rząd.

A teraz Samantha jest tutaj, stoi przede mną. Pojawiła się tak nieoczekiwanie, że nie wiem, co powiedzieć. Jedyne, co jestem w stanie z siebie wykrztusić, to:

– Co ty tu robisz?

Sam przewraca oczami.

– Kiepsko ci idą powitania.

– Przepraszam – odpowiadam. – Cześć.

– Dobra robota.

– Dzięki. Ale nadal nie wiem, co tu robisz.

– A czy to nie oczywiste? Chciałam się z tobą zobaczyć. – Jej głos przywodzi na myśl klimat tajnego lokalu z czasów prohibicji, przydymiony i przesiąknięty gorzałą. Słyszę w nim też mroczną nutę czegoś zakazanego. – Pomyślałam, że powinnyśmy się w końcu spotkać.

Przez chwilę przypatrujemy się sobie nawzajem, szukając śladów poniesionych obrażeń. Coś mi się zdaje, że Sam też o mnie poczytała, bo najpierw zerka na mój brzuch, a potem na bark. Ja tymczasem rzucam okiem na jej nogę i staram się sobie przypomnieć, czy utykała, przechodząc przez jezdnię.

Przypominam sobie, co kiedyś powiedziała Lisa: „Stanowimy rzadkość, więc musimy trzymać się razem”.

Teraz, kiedy jej nie ma, nikt inny nie jest w stanie pojąć, przez co przeszliśmy. Zostałyśmy tylko my dwie: Sam i ja. I chociaż wciąż nie do

końca rozumiem, dlaczego wyszła z ukrycia tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć, odpowiadam jej niechętnym skinieniem głowy.

– No i się spotkałyśmy – dodaję głosem nadal stłumionym przez zaskoczenie. – Wejdiesz na górę?

Siedzimy w salonie, nie pijąc kawy, którą przed nami postawiłam. Zdążyłam zdjąć z siebie ciuchy do biegania i przebrać się w niebieskie dżinsy, czerwone pantofle i turkusową bluzkę. Tą feerią barw chcę skontrastować czerń, która spowija Sam.

Zajęłam miejsce na krześle z aksamitną fioletową tapicerką i prostym oparciem. Jest sztywne i niezbyt wygodne; może i estetyczne, ale niefunkcjonalne. Sam chyba też czuje się niekomfortowo. Siedzi na zabytkowej kanapie, ma złączone kolana i ramiona przyciśnięte do boków. Próbuje prowadzić towarzyską pogawędkę, która najwyraźniej nie jest jej mocną stroną. Wyrzuca słowa krótkimi, gwałtownymi seriami. Jakby odpalała kolejne petardy.

– Ładne mieszkanie.

– Dzięki.

– Wygląda na duże.

– Nie jest źle. Ale mamy tylko dwie sypialnie.

Mówiąc to, krzywię się. Tylko. Jakby mi czegoś brakowało. Sądząc po wypchanym plecaku Sam, śmiem wątpić, czy ona w ogóle ma gdzie mieszkać.

– Świetnie.

Poprawia się na kanapie. Mam wrażenie, że najchętniej zrzuciłaby buty i wygodnie się na niej wyciągnęła. Wydaje się równie zakłopotana jak ja.

– Nie żeby tu było ciasno – dodaję w desperackiej próbie zapewnienia jej, że wcale nie jestem zepsuta. – Wiem, że mam szczęście. A drugi pokój przydaje się, kiedy odwiedza nas rodzina Jeffa. Jeff to mój chłopak. Jego rodzice mieszkają w Delaware, a brat z żoną i dwoma synami w Maryland. Lubią tu przyjeżdżać. Miło jest od czasu do czasu pobyć z dziećmi.

Uwielbiam rodzinę Jeffa. Wszyscy są równie idealni jak on. Wiedzą o Pine Cottage. Jeff im powiedział, kiedy tylko nasz związek zaczął się robić poważny, a ci szacowni protestanci z klasy średniej okiem nie mrugnęli. Jego matka wysłała mi nawet kosz owoców z odręcznym bilecikiem, w którym napisała, że chce w ten sposób uprzyjemnić mi dzień.

– A twoja rodzina? – pyta Sam.

– Co masz na myśli?

– Też często cię odwiedza?

Myślę o jedynej wizycie mojej matki. Wprosiła się, twierdząc, że posprzeczała się z Fredem i chce od niego odpocząć przez weekend. Jeff uznał to za dobry znak. Naiwnie przyznałam mu rację. Sądziłam, że zaimponuję matce tym, jak sobie ułożyłam życie. Ona jednak przez cały pobyt krytykowała wszystko, poczynając od tego, jak się ubieram, a kończąc na tym, ile wina wypiałam do kolacji. Kiedy wyjeżdżała, już prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Nie – odpowiadam. – Nieczęsto. A jak jest u ciebie?

– Tak samo.

Kiedyś widziałam panią Boyd udzielającą wywiadu w programie *20/20*, krótko po tym, gdy świat się dowiedział, że Sam zaginęła. Była niechlujną kobietą o skórze pokrytej czerwonymi plamami i tlenionych włosach z ciemnymi, pięciocentymetrowymi odrostami. Podczas wywiadu sprawiała wrażenie szokująco pozbawionej sentymentów względem córki. Głos wydobywający się spomiędzy zaciśniętych szczęk brzmiał nieszczerze

i nieżyczliwie. Wyglądała na bardzo zmęczoną, wręcz steraną. Choć Sam otacza podobna aura znużenia, rozumiem, dlaczego chciała uciec od tej kobiety. Pani Boyd przywodziła na myśl dom, którym targano zbyt wiele burz.

Moja matka jest jej przeciwieństwem. Sheila Carpenter nie pozwala, aby ktokolwiek dostrzegł, jak bardzo zniszczyło ją życie. Kiedy po Pine Cottage leżałam w szpitalu, każdego ranka odwiedzała mnie w pełnym makijażu i z perfekcyjnie ułożoną fryzurą. Owszem, jej jedyne dziecko ledwie zdołało umknąć z rąk szaleńca, który bestialsko wymordował jej przyjaciół, ale to przecież nie powód, by chodzić jak ostatnia fleja. Jeśli matka Sam jest jak zaniedbana rudera do remontu, to moja przypomina podmiejską, nowobogacką willę o nieskazitelnej elewacji, ale rozpadającym się wnętrzu.

– Chyba ostatnio gdzieś się zaszyłaś – mówię.

– Tak jakby – odpowiada Sam.

– Więc gdzie się podziewałaś przez te kilka lat?

– Tu i tam. Wiesz, wolałam nie rzucać się w oczy.

Nagle zdaję sobie sprawę, że siedzę z rękami założonymi na piersi i dłońmi wbitymi pod pachy. Wysuwam je i układam grzecznie na kolanach. Parę sekund później same wracają do poprzedniej pozycji. Całe moje ciało domaga się xanaxu.

Sam niczego nie zauważa. Jest zbyt zajęta zakładaniem sobie kosmyków za uszy, by móc obrzucić pokój kolejnym niby nieuważnym, a jednak krytycznym spojrzeniem. Mieszkanie urządziłam w stylu shabby chic. Nic tu do siebie nie pasuje, od niebieskich ścian poprzez lampy z pchlego targu aż po biały, szorstki dywan z długim włosiem, który kupiłam dla beki, a potem szczerze pokochałam. Nagle dociera do mnie, że

tak wygląda mieszkanie kogoś, kto usiłuje ukryć, że ma pieniądze, i nie umiem stwierdzić, czy Sam to imponuje, czy raczej ją drażni.

– Pracujesz? – pyta.

– Tak. To znaczy... hmm...

Waham się jak zawsze, zanim komuś powiem o swoim niepoważnym zajęciu, bardziej przypominającym kaprys niż prawdziwą pracę. Zwłaszcza komuś takiemu jak Sam, kto przez całe życie zмага się z biedą. Wskazują na to oczka w jej kabaretkach, buty łątane taśmą izolacyjną, twarde spojrzenie. Bije od niej tak potężna desperacja, że powietrze wokół zdaje się wibrować.

– Nie musisz mi mówić – bąka. – Właściwie się nie znamy.

– Jestem blogerką? – Moja odpowiedź brzmi jak pytanie. Jakbym sama nie miała pojęcia, kim jestem. – Mam swoją stronę internetową. Nazywa się *Słodkości Quincy*.

Sam posyła mi uprzejmy półuśmiech.

– Milusia nazwa. Że niby kotki i inne pierdołki?

– Wypieki. Ciasta, ciasteczka, muffinki. Wrzucam tam fotki i porady dotyczące dekorowania. I przepisy. Setki przepisów. Wspomnieli o mnie na Food Network.

Jezu. Przechwalam się notką na Food Network? Mam ochotę popukać się w czoło. Ale Sam kwituje moje słowa nieuważnym skinieniem głowy.

– Super – dodaje.

– To niezła zabawa. – Mój głos w końcu schodzi na niższe rejestry.

– A dlaczego ciasta? Czemu nie głód na świecie, polityka albo...

– Kotki i inne pierdołki?

Tym razem uśmiech Sam jest pełny i szczery.

– Właśnie.

– Zawsze lubiłam piec. To jedna z niewielu rzeczy, w których jestem dobra. Gdy piekę, czuję się odprężona. Szczęśliwa. Po tym... – Znowu się waham, choć teraz z innego powodu. – Po tym, co się stało...

– Mówisz o morderstwach w Pine Cottage? – podpowiada Sam.

W pierwszej chwili jestem zdumiona, że zna tę nazwę. Potem sobie uświadamiam, że nic w tym dziwnego. Przecież ja też wiem o Nightlight Inn.

– Tak – odpowiadam. – Po tym wszystkim kiedy mieszkałam w domu, dużo piekłam. Dla znajomych i sąsiadów. Żeby im podziękować. Ludzie byli dla mnie tacy mili. Co wieczór ktoś zjawiał się z zapiekanką, i tak całymi tygodniami.

– Niezła wyżerka. – Sam podnosi palce do ust i zaczyna obgryzać skórki przy paznokciach. Rękaw skórzanej kurtki zsuwa się, odsłaniając ciemny tusz na nadgarstku. Tatuaż ukryty przed niepowołanym wzrokiem. – To musiała być miła dzielnica, co?

– Była.

Sam chwyta zębami skórkę, odrywa ją szarpnięciem i wypluwa.

– Nie taka jak moja.

Następuje chwila ciszy, a mnie przez głowę przelatuje mnóstwo pytań. Na te osobiste Sam mogłaby nie chcieć odpowiedzieć. Jak długo byłaś przywiązana drutem kolczastym do tego drzewa? Jak się uwolniłaś? Co poczułaś, zatapiając to wiertło w sercu Calvina Whitmera?

Zamiast je zadać, pytam więc o coś innego:

– Porozmawiamy o Lisie?

– Mówisz, jakbyśmy miały wybór.

– Wcale nie musimy.

– Ona się zabiła – mówi Sam. – Jasne, że musimy.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobiła?

– Może nie mogła tego dłużej znieść.

Wiem, co ma na myśli. Poczucie winy, koszmary, niekończący się smutek. A nade wszystko nękające, nieodparte przekonanie, że nie powinniśmy były przeżyć. Że jesteśmy jedynie rozpaczliwie wijącymi się robakami, które los zapomniał rozgnieść.

– Czy to z powodu samobójstwa Lisy wyszłaś z ukrycia po tak długim czasie?

Sam patrzy mi prosto w oczy.

– A jak myślisz?

– Że tak. Bo zszokowało cię to tak samo jak mnie.

Sam milczy.

– Mam rację, prawda?

– Możliwe.

– I chciałaś w końcu poznać mnie osobiście. Bo byłaś ciekawa, jaka jestem.

– Ależ ja wiem o tobie wszystko – oznajmia Sam.

W końcu się rozluźnia i rozsiada wygodniej na kanapie. Zakłada nogę na nogę, opiera lewy but o prawe kolano. Ramiona, które dotąd przyciskała do boków, teraz rozkłada niczym skrzydła, obejmując leżące po obu stronach poduszki. Ja też się odprężam. Opuszczam ręce założone dotąd na piersi i pochylam się do przodu.

– Mogłabyś się zdziwić.

Sam unosi brew. Obie są narysowane czarną konturówką i kiedy jedna wędruje do góry, pod ciemną smugą widać kilka włosków.

– Niespodziewane wyzwanie ze strony panny Quincy Carpenter.

– To nie wyzwanie – prostuję. – To zwykły fakt. Mam swoje sekrety.

– Jak wszyscy – odpowiada Sam. – Ale czy jesteś kimś więcej niż tylko młodą Marthą Stewart, którą udajesz na swoim blogu? Oto jest pytanie.

– Skąd wiesz, że udaję?

– Bo jesteś Jedyną Ocalałą. A my jesteśmy inne.

– Nie jestem żadną Ocalałą – oponuję. – I nigdy nią nie byłam. Jestem sobą i tyle. Nie zamierzam ci wmawiać, że nie myślę o tym, co się stało. Bo myślę. Choć nie za często. Zostawiłam to za sobą.

Sam wygląda, jakby mi nie wierzyła. Teraz unosi już obie narysowane brwi.

– Więc twierdzisz, że uleczyła cię terapeutyczna moc pieczenia?

– Pomaga mi – upieram się.

– Udowodnij.

– Mam ci to udowodnić?

– Tak – mówi Sam. – Upiecz coś.

– Teraz?

– Jasne. – Sam wstaje i się przeciąga, a potem chwyta mnie za rękę i zmusza do wstania z krzesła. – Pokaż mi tę prawdziwą siebie.



7

Pieczenie jest jak nauka ścisła, rządzi się równie rygorystycznymi zasadami jak chemia czy fizyka. I trzeba tych zasad przestrzegać. Za dużo tego składnika, za mało tamtego i katastrofa gotowa. Znajduję w tym ukojenie. Świat za oknem to bezładne miejsce, w którym grasują szaleńcy z ostrymi nożami. W świecie wypieków panuje ład i porządek.

To dlatego istnieją *Słodkości Quincy*. Kiedy skończyłam studia, zdobyłam dyplom z marketingu i przeprowadziłam się do Nowego Jorku, wciąż uważałam się za ofiarę. Inni też mnie za nią uważali. Pieczenie wydawało mi się jedynym sposobem, by to zmienić. Chciałam wlać swoje bezbarwne, bezkształtne istnienie do formy w kształcie człowieka,

zwiększyć temperaturę i poczekać, aż z tej płynnej masy powstanie nowa jakość, miękka i sprężysta.

Jak dotąd to działało.

Na blacie kuchennym rozkładam dwa rzędy misek, według rozmiaru, po czym wypełniam je odpowiednimi składnikami. Największe zawierają bazę: sypkie kopczyki mąki i cukru piętrzą się niczym śnieżne zasy. W średnich trzymam spoiwo: wodę, jajka, masło. W najmniejszych smaki i aromaty – im bardziej intensywne, tym oszczędniej stosowane: dyniowe purée, skórkę pomarańczową, cynamon i żurawinę.

Sam patrzy niepewnie na ten arsenał składników.

– Co upieczesz?

– Upieczemy chlebek dyniowo-pomarańczowy.

Chcę, aby Sam aktywnie uczestniczyła w tym procesie i doświadczyła płynącego z niego poczucia bezpieczeństwa; chcę, aby się przekonała, w jaki sposób pieczenie pomogło mi stać się kimś więcej niż tylko dziewczyną, która na oślep pędziła z krzykiem przez las, byle dalej od Pine Cottage.

Jeśli ona w to uwierzy, może to faktycznie prawda.

Sam zastyga w bezruchu, spoglądając przez chwilę na mnie, a potem omiatając wzrokiem kuchnię. Myślę, że dzięki kojącym zieleniom i błękitom jest tu przytulnie. Na parapecie stoi wazonik stokrotek, a na ścianach wiszą kiczowate rękawice kuchenne. Sprzęty są nowoczesne, choć stylizowane na retro. Sam patrzy na to wszystko z ledwie skrywanym przerażeniem. Wygląda jak zdziczałe dziecko, które nagle znalazło się w samym centrum cywilizacji.

– Umiesz piec? – pytam.

– Nie – odpowiada Sam. – Mam mikrofalę.

I wybucha śmiechem. Ochrypłym, gardłowym śmiechem, który wypełnia całą kuchnię. To mi się podoba. Kiedy jestem sama, panuje tu głucha cisza.

– To proste – zapewniam ją. – Możesz mi wierzyć.

Ustawiam Sam przed jednym rządkiem misek, a sama stoję przy drugim. Potem demonstruję jej, krok po kroku, jak się uciera masło z cukrem, dodaje mąkę, wodę i jajka, a wreszcie jeden po drugim aromaty. Sam miesza składniki krótkimi, chaotycznymi ruchami, co przypomina mi jej sposób mówienia. Nad miską fruwią obłoki mąki, a wokół roi się od dyniowych kleksów.

– Hmm, dobrze to robię?

– Prawie – odpowiadam. – Ale postaraj się być delikatniejsza.

– Jakbym słyszała wszystkich moich byłych – żartuje Sam, lecz stosuje się do wskazówki i miesza składniki z nieco mniejszym impetem. Rezultaty widać od razu. – Hej, to działa!

– Spiesz się powoli. To dziesiąte przykazanie mojego bloga.

– Powinnaś napisać książkę kucharską – orzeka Sam. – *Pieczenie dla żółtodziobów.*

– Wolałabym zwykły zbiór przepisów. Już się nad tym zastanawiałam.

– A nad książką o Pine Cottage?

Sztywnieję na dźwięk zlepku tych dwóch słów. Oddzielnie żadne z nich nie ma nade mną władzy. *Pine* to tylko sosna. *Cottage* – domek. Nic strasznego. Jednak w połączeniu stają się ostre jak nóż, który ugodził mnie w bark i brzuch. Wiem, że jeśli tylko mrugnę, zobaczę Janelle wypadającą spomiędzy drzew, niby wciąż żywą, ale w istocie już martwą. Dlatego nie mrugam, lecz wbijam spojrzenie w masę, która gęstnieje w stojącej przede mną misce.

– Byłaby bardzo krótka – odzywam się w końcu.

– No tak. – W jej głosie słyhać fałszywą nutę, jakby Sam dopiero teraz przypomniała sobie o mojej utracie pamięci. – Racja.

Ona też się gapi, tyle że na mnie, nie w swoją miskę. Jej spojrzenie parzy mnie w policzek jak wpadające przez kuchenne okno popołudniowe słońce. Mam niepokojące wrażenie, że Sam poddaje mnie jakiejś próbie. I że jeśli podniosę na nią wzrok, to przegram. Więc nadal wpatruję się w miskę z gęstym i połyskującym ciastem na chleb.

– Czytałaś książkę Lisy? – pytam.

– Nie – odpowiada Sam. – A ty?

– Nie.

Sama nie wiem, dlaczego kłamie. Zresztą to też kłamstwo. Bo przecież wiem. Próbuję zamącić jej nieco w głowie. Pewnie jest przekonana, że przeczytałam książkę Lisy od deski do deski, i cóż, ma rację. A nie ma nic nudniejszego, niż być przewidywalną.

– A wy nigdy się nie spotkałyście? – pytam.

– Lisa nie miała tej przyjemności – rzuca kpiąco Sam. – Wy się poznałyście?

– Rozmawiałyśmy przez telefon. O traumie i jak sobie z nią radzić. O tym, czego ludzie od nas oczekują. Ale to nie to samo co spotkanie w realu.

– I nie to samo co wspólne pieczenie.

Sam trąca biodrem moje biodro i parska śmiechem. Nie wiem, co miała na celu próba, której mnie poddawała, ale zdaje się, że ją przeszłam.

– Czas włożyć to do piekarnika – oznajmiam.

Szpatułką przekładam masę do keksówki. Sam po prostu przechyla swoją miskę nad foremką, ale źle wycelowuje i ciasto wylewa się na blat.

– Cholera – złości się. – Gdzie znajdę taki płaski pagaj?

– Chodzi ci o szpatułkę? Są tam.

Wskazuję na jedną z szuflad pod blatem za jej plecami, ale Sam ciągnie za uchwyt innej, która znajduje się poniżej. Tej zamkniętej na klucz. Mojej szuflady. Z jej wnętrza dobiega nas cichy grzechot.

– Co tam masz?

– Nie ruszaj!

W moim głosie słyszeć więcej paniki i gniewu, niżbym chciała okazać. Dłoń natychmiast wędruje do zawieszzonego na szyi kluczyka, jakbym sprawdzała, czy jakimś cudem nie przeniósł się do zamka szuflady. Rzecz jasna, wisi na swoim miejscu, dotykając skóry w okolicy mostka.

– Moje przepisy – mówię już spokojniej. – Te ściśle tajne.

– Wybacz. – Sam puszcza uchwyt.

– Nikomu ich nie pokazuję – dodaję.

– Jasne. Git.

Unosi obie ręce. Rękaw kurtki znowu się zsuwa i tym razem odsłania cały tatuaż na nadgarstku. To jedno słowo, wypisane czarnym tuszem.

PRZETRWAŁAM

Litery są drukowane i pogrubione. W tym jednym słowie zawiera się deklaracja i prowokacja. „No dalej – zdaje się mówić. – Chcesz ze mną zadrzeć?”

Godzinę później wszystkie wczorajsze babeczki są już przybrane, a wyjęte z piekarnika dwa dyniowo-pomarańczowe bochenki stygną na kuchence. Sam – umęczona, lecz dumna – przygląda się efektom naszej pracy; smuga mąki na jej policzku przywodzi na myśl barwy wojenne.

– Co teraz? – pyta.

Zaczynam dekoracyjnie układać babeczki na masywnych talerzach ze szklawionej ceramiki; czarna polewa znakomicie prezentuje się na tle jasnozielonej zastawy.

– Teraz artystycznie wyeksponujemy nasze desery i zrobimy zdjęcia, które potem wrzucę na bloga.

– Chodziło mi o nas – precyzuje Sam. – Poznałyśmy się. Pogadałyśmy. Podziałyśmy w kuchni. Było magicznie. A co teraz?

– To zależy, dlaczego naprawdę tu przyjechałaś – odpowiadam. – Śmierć Lisy to jedyny powód?

– A twoim zdaniem niewystarczający?

– Mogłaś zadzwonić. Albo wysłać maila.

– Chciałam się z tobą zobaczyć – wyjaśnia Sam. – Kiedy się dowiedziałam, co zrobiła Lisa, chciałam sprawdzić, jak sobie radzisz.

– No i jak sobie radzę?

– Nie mam pojęcia. Może mała podpowieź?

Skupiam się na babeczkach, wypróbując różne aranżacje; Sam staje za moimi plecami.

– Quincy?

– Jest mi smutno, okej? – Odwracam się na pięcie i teraz stoimy twarzą w twarz. – Jej samobójstwo mnie przygnębiło.

– A mnie nie. – Mówiąc to, Sam uważnie przygląda się swoim dłoniom i wydłubuje resztki ciasta spod paznokci. – Ja jestem wściekła. Po tym wszystkim, co przeżyła, zafundowała sobie taką śmierć? Wkurza mnie to.

Chociaż mniej więcej to samo powiedziałam wczoraj Jeffowi, czuję, jak ogarnia mnie irytacja. Znów odwracam się w stronę babeczek.

– Nie bądź zła na Lisę.

– Nie jestem. Wściekam się na siebie. Za to, że nigdy nawet z nią nie porozmawiałam. Ani z tobą. Może gdybym to zrobiła...

– Zapobiegłabyś temu, co się stało? – wtrącam. – Witamy w klubie.

Mimo że nadal jestem odwrócona do niej plecami, wiem, że znowu się na mnie gapi. Tym razem oprócz żaru wbijanego we mnie spojrzenia czuję lekki chłód – to niewyartykułowana ciekawość Sam. Niczego bardziej nie pragnę, niż opowiedzieć jej o mailu, który Lisa wysłała mi przed śmiercią. Poczuję ulgę, mogąc o tym porozmawiać i mając świadomość, że Sam bierze na siebie choć trochę tego irracjonalnego poczucia winy, które mnie dręczy. Ale częściowo to właśnie poczucie winy przywiodło ją do moich drzwi. Nie zamierzam jej go dokładać, zwłaszcza jeśli ta wizyta jest swego rodzaju aktem pokuty.

– To, co się stało z Lisą, mnie dobija – mówi Sam. – Czuję się fatalnie, kiedy pomyślę, że mogłam... a właściwie mogliśmy... jakoś jej pomóc. Nie chcę, żeby z tobą było tak samo.

– Ja nie mam myśli samobójczych – wtrącam.

– A ja nie jestem duchem świętym, żeby o tym wiedzieć. Więc jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy albo coś, to wal do mnie jak w dym. Ja zrobię to samo. Musimy wzajemnie się o siebie troszczyć. Naprawdę możesz pogadać ze mną o tym, co się stało. No wiesz, jeśli cię kiedyś najdzie.

– Nie martw się – uspokajam ją. – Jestem szczęśliwa.

– Świetnie. – To słowo brzmi pusto, jakby mi nie uwierzyła. – Dobrze wiedzieć.

– Serio. Z blogiem idzie mi dobrze. Jeff jest fantastyczny.

– Będę mogła go poznać?

To pytanie jest jak matrioszka – kryje w sobie inne, niewypowiedziane.

Jeśli otworzę „czy poznam Jeffa?”, znajdę „lubisz mnie?”, a z niego zaraz wyskoczy „zaprzyjaźnimy się?”. I tak dalej, aż do tego najgłębiej ukrytego i najważniejszego pytania, które stanowi samo sedno: „Czy jesteśmy takie same?”.

– Jasne – odpowiadam za jednym zamachem na wszystkie. – Musisz zostać na kolacji.

Kończę deserową kompozycję, ustawiając babeczki w taki sposób, aby pająki z masy czekoladowej wypełniły kadr. Jako tło wybrałam pas tkaniny z odważnym nadrukiem z lat pięćdziesiątych oraz stylowe ceramiczne dynie, które wyszperałam na pchlim targu.

– Milusio – kwituje Sam. Zmarszczony nos sygnalizuje, że to nie był komplement.

– Na blogu z wypiekami milusie ma wzięcie. Taki biznes.

Stoimy ramię w ramię, przyglądając się aranżacji. Mimo tych wszystkich misternych poprawek wciąż coś jest nie tak. Czegóż brakuje. Jakiejś nieuchwytnej iskiej, która musiała mi umknąć.

– Zbyt idealne – wyrokuje Sam.

– Wcale nie – protestuję, choć wiem, że ma rację. Cała ta ekspozycja wydaje się płaska, bez życia. Tak nieskazitelna, że równie dobrze mogłaby być sztuczna. I tak też wygląda. Plastikowa polewa na podstawie z pianki. – A ty co byś zmieniła?

Sam podchodzi bliżej, dotykając palcem wskazującym podbródka. Przez chwilę przypatruje się aranżacji z głębokim namysłem, po czym rusza do ataku, niczym Godzilla tratująca Tokio. Część talerzy, z których zsunęła babeczki, układa w niedbały stos. Przewraca na bok ceramiczną dynię, a potem zgniata w rękę serwetkę i ciska ją na środek pobojuwiska. Zrywa papilotki z trzech babeczek i dorzuca je do reszty.

Jeszcze przed chwilą nieskazitelna kompozycja teraz tonie w chaosie. Wygląda jak stół po obłądnej imprezie, na którym panuje naturalny, beztroski nieład.

To jest to.

Chwytam aparat i zaczynam robić zbliżenia sponiewieranych babeczek. W tle majaczy nierówny stosik ceramiki, której zieleń tu i ówdzie znaczą ślady czarnej polewy.

Sam podnosi babeczkę i odgryza gigantyczny kęs, aż lecą okruchy i wypływa wiśniowe nadzienie.

– Zrób mi zdjęcie.

Waham się z powodów, których nie byłaby w stanie pojąć.

– Nie publikuję na blogu zdjęć ludzi – wyjaśniam. – Tylko jedzenia.

W ogóle nie fotografuję ludzi, ani na bloga, ani dla siebie. Żadnych selfie w stylu Lisy. Nie po Pine Cottage.

– Tylko ten jeden raz – prosi Sam, robiąc niby nadąsaną minę. – Dla mnie?

Z wahaniem patrzę w wizjer aparatu i wciągam powietrze w płuca. Jakbym spojrzała w kryształową kulę, tyle że zamiast w przyszłość zaglądam w przeszłość. Widzę Janelle, która stoi przed Pine Cottage i wygina się w dziwacznych pozach wśród góry bagażu. Wcześniej nie dostrzegłam podobieństwa, ale teraz jest ono aż nadto wyraźne. Choć Sam nie przypomina Janelle pod względem fizycznym, to jednak bije od niej ta sama siła ducha. Pełna wigoru, nieposkromiona i zdumiewająco żywa.

– Coś nie tak? – pyta Sam.

– Nie. – Naciskam migawkę, robiąc jedno zdjęcie. – Wszystko gra.

Sam podbiega i ponagla mnie szturchnięciem, żebym pokazała jej fotkę.

– Fajna – ocenia. – Koniecznie musisz ją wrzucić na bloga.

Dla świętego spokoju obiecuję, że to zrobię, chociaż zamierzam skasować to zdjęcie przy pierwszej okazji.

Teraz pora odpowiednio ułożyć i sfotografować dyniowy chlebek. Pozwalam Sam pokroić jeden z bochenków i po chwili nierówne kromki leżą obok, ułożone niczym kartki wydarte z książki. Ceramiczne dynie zastępuję stylowymi filiżankami, na które tydzień temu natrafiłam w West Village. Nalewam do nich kawy, do jednych mniej, do innych więcej. Trochę napoju się rozchlapuje i wokół podstawy filiżanki tworzy się kałuża, ale nie wycieram jej. Jeszcze tylko ostatni akcent, który dopełni obrazu: Sam podnosi do ust jedną z filiżanek i upija z niej spory łyk, głośno przy tym siorbiąc. Na krawędzi naczynia pozostawia ślad szminki, niczym rubinowy pocałunek, tajemniczy i uwodzicielski. Potem robi krok w tył, żebym mogła zacząć fotografować, a ja nie potrafię oderwać oczu od powstałego chaosu i naciskam migawkę raz po raz, pstrykając więcej fotek, niż potrzebuję.



8

W niemal panicznym pośpiechu szykuję kolację, do ostatniej chwili dopieszczając szczegóły. Przygotowuję linguini z domowym sosem puttanesca według przepisu matki Jeffa. Jest też sałatka, świeżo upieczone paluszki chlebowe i butelkowane wino – wszystko dekoracyjnie ułożone na jadalnianym stole z ręcznie ciosanego drewna, który kupiliśmy zeszłego lata w Red Hook.

Kiedy Jeff wraca z pracy, witają go dźwięki popowych standardów Rosemary Clooney płynące z zestawu stereo w salonie i ja – z promienną, zaróżowioną twarzą – wystrojona w sukienkę koktajlową z połowy lat pięćdziesiątych, której włożeniu nie mogłam się oprzeć. Bóg jeden wie, co sobie myśli. Na pewno jest zdezorientowany. Może się zastanawia, czy nie

zwariowałam, bo rzeczywiście zakrawa to na przesadę. Ale mam nadzieję, że w tej mieszance uczuć jest też trochę dumy z tego, co osiągnęłam. Z faktu, że po tylu wizytach jego licznej rodziny w końcu i ja mam swojego gościa.

Wtedy z jadalni wyłania się Sam – tym razem bez śladów mąki na policzkach, za to ze świeżo nałożoną na usta szminką – i już wiem, co Jeff sobie myśli. Na jego twarzy widzę niepokój i podejrzliwość z domieszką zaskoczenia.

– Jeff, to jest Sam – wyjaśniam.

– Samantha Boyd? – upewnia się Jeff, zwracając się bardziej do mnie niż do niej.

Sam uśmiecha się w odpowiedzi i wyciąga rękę.

– Wolę Sam.

– Jasne. Cześć, Sam. – Jeff jest tak oszołomiony sytuacją, że prawie zapomina uścisnąć jej dłoń. W końcu to robi, ale jakoś słabo. Ujmuje jej dłoń, lecz jej nie ściska.

– Quincy, mogę z tobą zamienić słówko?

Przechodzimy do kuchni, gdzie naprędce relacjonuję mu popołudnie, a na koniec dodaję:

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zaprosiłam ją na kolację.

– Na pewno jestem zaskoczony – stwierdza.

– Fakt, to wszystko stało się tak nagle.

– Powinnaś była do mnie zadzwonić.

– Próbowalbyś wybić mi to z głowy – bronię się.

Jeff wie, że mam rację, więc nawet nie komentuje tej uwagi.

– Po prostu dziwię się, że pojawiła się tak ni stąd, ni zowąd. To nie jest normalne, Quincy.

– Nie za bardzo pan podejrzliwy, panie prawniku?

– Byłbym spokojniejszy, wiedząc, po co tu przyjechała.

– Sama się nad tym zastanawiam.

– Więc dlaczego zaprosiłaś ją na kolację?

Chcę opowiedzieć mu o dzisiejszym popołudniu, o tym, jak w pewnym momencie Sam wydała mi się tak bardzo podobna do Janelle, że z wrażenia zaparło mi dech. Ale wiem, że on by tego nie rozumiał. Ani on, ani nikt inny.

– Trochę mi jej żal – mówię. – Po tym, co przeszła, pewnie potrzebuje wsparcia.

– Okej. Skoro uważasz, że wszystko w porządku, to ja też.

Jego nachmurzona mina świadczy jednak o czymś wręcz przeciwnym. Kiedy wracamy do jadalni, Sam uprzejmie udaje, że nie wie, o kim przed chwilą rozmawialiśmy.

– Wszystko dobrze? – pyta.

Uśmiecham się tak szeroko, że aż bolą mnie policzki.

– Idealnie. Zjedzmy coś!

Podczas posiłku gram rolę gościnniej pani domu, podając jedzenie, nalewając wino i ze wszystkich sił starając się nie zwracać uwagi na fakt, że Jeff rozmawia z Sam jak ze swoją klientką – jest uprzejmy, ale dociekliwy. Jak wytrawny ogar. Jeśli coś zwęszy, to już nie odpuści.

– Quinn mówi, że zniknęłaś na kilka lat – mówi.

– Powiedziałabym raczej, że się nie wychylałam.

– Jak ci się żyło?

– Spokojnie. Nikt nie wiedział, kim jestem. Ani co mnie spotkało.

- To brzmi, jakbyś próbowała przed czymś uciec.
- Trochę tak – przyznaje Sam. – Tylko że ja nie zrobiłam nic złego.
- Więc po co się ukrywać?
- A dlaczego nie?

Na to Jeff nie znajduje odpowiedniej riposty i zapada milczenie, sporadycznie przerywane postukiwaniem sztućców o talerze. Zaczynam się denerwować i chwilę później mam pusty kieliszek. Dolewam sobie, zanim przychodzi mi do głowy, by zadbać o innych.

- Sam? Dolać ci?

Chyba wyczuwa moje zdenerwowanie i uśmiecha się, aby mnie uspokoić.

– Pewnie – odpowiada i dopija resztę wina ze swojego kieliszka, żebym mogła znów go napełnić.

Patrzę na Jeffa.

- Jeszcze wina?

– Nie, dziękuję – odpowiada i zwraca się do Sam: – A gdzie właściwie się podziewałaś?

- Tu i tam.

Usłyszał tę samą odpowiedź co ja. Tyle że Jeff na niej nie poprzestaje. Opuszcza widelec i przeszywa Sam przenikliwym spojrzeniem jak na przesłuchaniu.

- Czyli gdzie?

- I tak o tym miejscu nie słyszałeś – zbywa go Sam.

– Słyszałem o wszystkich pięćdziesięciu stanach. – Jeff błyska w jej stronę przyjaznym uśmiechem. – Nawet umiem wymienić stolice większości z nich.

– Myślę, że Sam woli zachować to w tajemnicy – wtrącam. – Na wypadek gdyby chciała tam wrócić i utrzymać swoją anonimowość.

Po drugiej stronie stołu Sam kiwa głową, patrząc na mnie z wyraźną wdzięcznością. Troszczę się o nią. Robię to, czego chciała. Mimo że akurat w tym przypadku umieram z ciekawości tak samo jak Jeff.

– Jestem pewna, że w końcu sama nam powie – dodaję. – Prawda, Sam?

– Może. – Tonem głosu jasno daje do zrozumienia, że nie ma mowy o żadnym „może”. Niemniej próbuje nieco złagodzić wrażenie szorstkości, żartując: – To zależy od deseru.

– Zresztą to nieistotne – stwierdza Jeff. – Najważniejsze, że w końcu nadarzyła wam się okazja, aby się poznać. Wiem, jak wiele to znaczy dla Quinn. Była naprawdę załamana tym, co się stało z Lisą.

– Ja też – mówi Sam. – Jak tylko o tym usłyszałam, postanowiłam przyjechać i wreszcie pogadać.

Jeff przechyla głowę na bok. Z tymi potarganymi włosami i wielkimi brązowymi oczami wygląda jak spaniel, któremu właśnie rzucono kość – wygłodniały i czujny.

– Więc wiedziałaś, że Quinn jest w Nowym Jorku?

– Od lat miałam na oku i ją, i Lisę.

– To ciekawe. Dlaczego?

– Chyba z ciekawości. Lubiłam wiedzieć, że sobie radzą. Albo chociaż myśleć, że tak jest.

Jeff kiwa głową, spuszcza wzrok na swój talerz i przez chwilę gmera w linguini widelcem. W końcu mówi:

– To twoja pierwsza wizyta na Manhattanie?

– Nie. Już tu byłam. Kilka razy.

– Kiedy ostatnio?

– Dawno temu – odpowiada Sam. – W dzieciństwie.

– Czyli przed tym zajściem w hotelu?

– Tak. – Sam łypie na niego nad stołem, mrużąc oczy i najwyraźniej tłumiąc gniew. – Przed tym zajściem.

Jeff udaje, że nie zauważa sarkastycznego nacisku na ostatnie słowo.

– Więc upłynęło sporo czasu.

– Owszem.

– A teraz przyjechałaś tylko ze względu na dobro Quincy?

Wyciągam rękę i poklepuję go po dłoni, dając mu do zrozumienia, że przegina, że posuwa się za daleko. On zwykle korzysta z takiego samego znaku, kiedy jesteśmy u mojej matki i zaczynam żreć się z nią o... cóż, o wszystko.

– A niby po co innego? – pyta Sam.

– Pewnie znalazłby się niejedyn powód – odpowiada Jeff, a ja mocno przyciskam dłoń do jego dłoni. – Może szukasz rozgłosu po śmierci Lisy. Może potrzebujesz pieniędzy.

– Nie po to przyjechałam.

– To dobrze. Mam nadzieję, że chciałaś tylko sprawdzić, jak miewa się Quinn.

– Tego zawsze chciała Lisa – mówi Sam. – Żebyśmy spotkały się wszystkie trzy, wiesz? I żebyśmy sobie pomagały.

Nastrój radykalnie się zmienia. Nad stołem zawisa podejrzliwość, robi się nieprzyjemnie. Pod wpływem impulsu unoszę kieliszek. Znów jest prawie pusty, tylko na dnie połyskuje odrobina czerwieni.

– Powinniśmy wznieść toast – oznajmiam. – Za Lisę. Co prawda nigdy nie spotkałyśmy się we trzy, ale myślę, że teraz jest z nami duchem. Myślę też, że ucieszyłaby się, widząc przynajmniej dwie z nas w końcu razem.

– Za Lisę – wtóruje mi Sam.

Ochoczo dolewam sobie wina, po czym napełniam kieliszek Sam, choć wciąż jest prawie pełny.

Stukamy się nad stołem z rozmachem, a kryształowe szkło brzęka głośno, jakby miało rozbić się na drobne kawałki. Odrobina pinot noir przelewa się przez krawędź mojego kieliszka i chlapie na sałatkę oraz paluszki chlebowe. Wsiąka w nie, a na powierzchni zostają plamy czerwieni.

Wyrywa mi się nerwowy chichot. Sam wybucha donośnym śmiechem. Jeff, zupełnie nierozbawiony, rzuca mi jedno z tych miażdżących spojrzeń, którymi czasem przeszywa mnie na swoich drętowych imprezach służbowych, jakby pytał: „Upiłaś się?”. Otóż nie, nie upiłam się. W każdym razie jeszcze nie. Ale rozumiem, dlaczego tak myśli.

– Jak zarabiasz na życie, Sam? – pyta.

Wzrusza ramionami.

– Różnie.

– Rozumiem.

– Właśnie zmieniam pracę.

– Rozumiem – powtarza Jeff.

Upijam kolejny łyk wina.

– A ty jesteś prawnikiem? – W ustach Sam brzmi to jak oskarżenie.

– Owszem – przytakuje Jeff. – Obrońcą z urzędu.

– To ciekawe. Pewnie stykasz się z różnymi ludźmi.

– Rzeczywiście.

Sam odchyła się na oparcie krzesła i kładzie rękę na brzuchu. Drugą sięga po kieliszek i podnosi go do ust, a potem posyła Jeffowi uśmiezek znak krawędzi.

– I wszyscy twoi klienci to kryminaliści?

Jeff przyjmuje identyczną pozę jak Sam. Rozsiada się na krześle i zaciska dłoń na kieliszku. Patrzę, jak wzajemnie mierzą się wzrokiem, a ledwo tknięta kolacja już zalega mi w żołądku.

– Moi klienci są niewinni, dopóki sąd nie uzna ich za winnych – odpowiada Jeff.

– Ale najczęściej tak się dzieje, prawda? Zostają uznani za winnych?

– Chyba można tak powiedzieć.

– I jakie to uczucie? Świadomość, że facet w pożyczonym garniaku siedzący obok ciebie w sądzie zrobił wszystko, o co jest oskarżony?

– Pytasz, czy mam z tego powodu poczucie winy?

– A masz?

– Nie – odpowiada Jeff. – Czuję, że postępuję szlachetnie, bo jako jedna z nielicznych osób nikogo nie potępiam z góry.

– A jeśli ten gość zrobił coś naprawdę złego? – naciska Sam.

– Co masz na myśli? Morderstwo?

– Coś gorszego.

Wiem, do czego zmierza Sam, i coraz mocniej ściska mnie w żołądku. Opieram dłoń na brzuchu i zaczynam go lekko masować.

– Niewiele jest rzeczy gorszych niż morderstwo – odpowiada Jeff, który też przejrzał zamiary Sam i wcale się tym nie przejmuje. Z przyjemnością pozwoli jej doprowadzić tę rozmowę na skraj kłótni. Dla niego to nie pierwszozna.

– Reprezentowałeś kiedyś mordercę?

– Tak. Szczerze mówiąc, właśnie prowadzę taką sprawę.

– I nie przeszkadza ci to?

– To bez znaczenia. Robię, co muszę.

– A gdyby on zabił kilka osób?

– I tak potrzebuje obrońcy.

– A gdyby chodziło o tego psychola, który wymordował wszystkich w Nightlight Inn? Albo w Pine Cottage? – Gniew Sam jest teraz wręcz namacalny, jakby po drugiej stronie stołu buchał ogień. Słowa płyną coraz szybciej, każde z nich twardsze i bardziej szorstkie. – I gdybyś ty o tym wiedział, to czy nadal siedziałbyś zadowolony obok tego skurwiela, próbując wybronić go przed pójściem do paki?

Jeff zastyga w bezruchu, jeśli nie liczyć drgającej mu szczęki. Nie spuszcza oka z Sam. I nawet nie mruga.

– Jakie to wygodne – cedzi – mieć coś, na co możesz zwałać winę za wszystko, co ci w życiu nie wyszło.

– Jeff. – Gardło mam suche, a wydobywający się z niego głos jest tak słaby, że łatwo go zignorować. – Przestań.

– Quinn też by tak mogła. I Bóg mi świadkiem, miałyby do tego pełne prawo. Ale tego nie robi. Zostawiła przeszłość za sobą. Ma w sobie siłę i nie jest jakąś...

– Jeff, proszę...

– ...bezradną ofiarą, która porzuca bez słowa rodzinę i przyjaciół, zamiast spróbować poradzić sobie z czymś, co spotkało ją dziesięć lat temu.

– Dosyć!

Zrywam się z miejsca, potrącając kieliszek, którego zawartość rozlewa się na stole. Osuszam plamę serwetką. Biała tkanina nasiąka czerwienią.

– Jeff. Do sypialni. Ale już.

Stoimy za zamkniętymi drzwiami naprzeciwko siebie; nasze ciała to istne studium kontrastów. Jeff jest spokojny i rozluźniony, a jego ręce

zwisają wzdłuż boków. Ja obejmuję się ramionami jakby spętana kaftanem bezpieczeństwa; moja pierś unosi się i opada, pulsując gniewem.

– Nie musiałeś być taki okrutny.

– Po tym, jak mnie potraktowała? Chyba musiałem, Quinn.

– Przyznaj, że sam zacząłeś.

– Bo byłem ciekaw?

– Bo byłeś podejrzliwy – koryguję. – Bezlitośnie ją maglowałeś. Nie jesteś w sądzie, Jeff. A ona nie jest twoją klientką!

Mój podniesiony głos odbija się od ścian. Oboje milkniemy i zerkamy na drzwi, jakby sprawdzając, czy Sam to usłyszała. Jestem pewna, że tak. I nawet jeśli nie zauważyła, że mówię coraz bardziej piskliwie, to doskonale wie, że znowu mówimy o niej.

– Zadawałem jej całkiem rozsądne pytania – upiera się Jeff, ścisząc głos, żeby zrównoważyć mój krzykliwy ton. – Nie sądzisz, że robiła uniki?

– Bo nie chce o tym rozmawiać. I wcale jej się nie dziwię.

– To nie znaczy, że ma prawo tak do mnie mówić. Jakbym to ja na nią napadł.

– Jest na tym punkcie przeczulona.

– Bzdura. Podpuszczała mnie.

– Broniła się – poprawiam go. – Ona nie jest wrogiem, Jeff. Jest przyjaciółką. A przynajmniej mogłaby nią być.

– Czy ty w ogóle chcesz się z nią zaprzyjaźnić? Jeszcze wczoraj miałem wrażenie, że wolisz nie identyfikować się z tymi Jedynymi Ocalałymi. Co się nagle zmieniło?

– Oprócz samobójstwa Lisy Milner?

Jeff wzdycha.

– Rozumiem, że to był dla ciebie szok. Wiem, że jesteś przygnębiona i zawiedziona. Ale skąd ta nagła chęć zaprzyjaźnienia się z Sam? Nawet jej nie znasz, Quinn.

– Znam ją. Przeżyła to samo co ja, Jeff. Doskonale wiem, kim jest.

– Martwię się tylko, że jeśli się do siebie zbliżycie, zaczniesz rozpamiętywać to, co cię spotkało. A przecież już się od tego uwolniłaś.

Jeff chce dobrze. Wiem, że tak. A życie ze mną nie zawsze jest łatwe. To też wiem. Ale jego słowa wkurzają mnie jeszcze bardziej.

– Moich przyjaciół bestialsko zamordowano. Od czegoś takiego nie da się uwolnić.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło.

Rozzłoszczona, unoszę wyzywająco podbródek.

– W takim razie o co?

– O to, że przestałaś być ofiarą – precyzuje Jeff. – Że tamta noc nie ma już władzy nad twoim... naszym życiem. I nie chcę, żeby to się zmieniło.

– To, że jestem miła dla Sam, niczego nie zmieni. A dobrze wiesz, że nie mam przyjaciół na pęczki.

Nie zamierzałam tego powiedzieć. W rozmowach z Jeffem na ogół unikam tematu mojej samotności. Gdy wraca z pracy i pyta, jak mi minął dzień, odpowiadam mu promiennym uśmiechem. „Świetnie”, mówię niezmiennie, choć w rzeczywistości często mam wrażenie, że kolejne dni zlewają się ze sobą. Całe popołudnia przesiaduję w kuchennej pustelni, gdzie ciągle coś wypiekam, a od czasu do czasu zagaduję do piekarnika, żeby usłyszeć choćby swój własny głos.

Nie mam przyjaciółek, co najwyżej znajome. Dawne koleżanki ze studiów i z pracy. Zapracowane mężatki zajęte dziećmi i karierą, więc niezbyt zainteresowane regularnymi spotkaniami. Tak długo trzymałam je

na dystans, że obecnie nasz kontakt ogranicza się do sporadycznej wymiany esemesów oraz maili.

– Naprawdę tego potrzebuję, Jeff – mówię.

Kładzie mi dłonie na ramionach, ściska krzepiąco. Patrzy mi w oczy i dostrzega w nich coś zaskakującego, niewypowiedzianego.

– Czego mi nie mówisz?

– Dostałam maila – wyznaję.

– Od Sam?

– Od Lisy. Wysłała go na godzinę, zanim...

„Ze sobą skończyła” – mam to na końcu języka. Dopełniła dzieła Stephena Leibmana.

– ...odeszła.

– Co w nim było?

Treść wbiła mi się w pamięć, więc recytuję ją słowo w słowo.

– Dlaczego to zrobiła? – pyta Jeff, jakbym znała odpowiedź.

– Nie wiem i nigdy się tego nie dowiem. Ale z jakiegoś powodu pomyślała o mnie tuż przed śmiercią. A teraz ja ciągle myślę o tym, że gdybym odczytała tego maila w porę, to mogłabym ją uratować.

W kącikach oczu zbierają mi się piekące łzy. Mrugam, żeby je tam zatrzymać, ale na próżno. Jeff przyciąga mnie do siebie, a gdy opieram głowę na jego piersi, mocno mnie obejmuje.

– Jezu, Quinn. Tak mi przykro. Nie wiedziałem.

– Bo i skąd?

– Ale przecież nie możesz czuć się odpowiedzialna za śmierć Lisy.

– Nie czuję się odpowiedzialna – mówię. – Ale myślę, że przegapiłam okazję, aby jej pomóc. Nie chcę powtórzyć tego błędu w przypadku Sam. Wiem, że jest nieokrzesana. Ale myślę, że mnie potrzebuje.

Jeff wydaje z siebie długie westchnienie na znak, że się poddaje.

– Będę dla niej miły – mówi. – Słowo.

Pocałunkiem pieczętujemy zgodę; na ustach czuję słone łzy. Ocieram je, kiedy Jeff wypuszcza mnie z objęć i potrząsa rękami, żeby się rozluźnić. Poprawiam sukienkę i wygładzam wilgotne od moich łez miejsce na jego koszuli. Potem wychodzimy z sypialni i idziemy korytarzem, trzymając się za ręce. Jak przystało na zgrany duet.

W jadalni nikogo nie ma, a krzesło Sam stoi odsunięte od stołu. Kuchnia też jest pusta. Podobnie jak salon. Plecak, który leżał przy drzwiach w przedpokoju, zniknął.

Samantha Boyd zniknęła po raz drugi.



9

O trzeciej nad ranem rozzwania się mój telefon, wrywając mnie z koszmaru, w którym pędzę na oślep przez las. Uciekam od Niego. Potykam się i krzyczę, a gałęzie drzew wyciągają się ku mnie i zaciskają wokół moich nadgarstków. Kiedy się budzę, wciąż przebieram nogami pod kołdrą, jakbym ciągle biegła. Komórka nie przestaje dzwonić – nagłący sygnał rozdziera panującą w pokoju ciszę. Jeff ma naprawdę twardy sen i niczym pies Pawłowa reaguje wyłącznie na dzwonek budzika. Dlatego teraz śpi jak zabity. Aby tak pozostało, czym prędzej zasłaniam wyświetlacz telefonu, tłumiąc bijący z niego blask. Potem zerkam między palcami na ekran, żeby sprawdzić, kto dzwoni.

Nieznany numer.

– Halo? – szepczę, wyślizgując się z łóżka i ruszając do drzwi.

– Quincy?

To Sam. Jej głos zagłuszają hałasy w tle. Słysząc gwar, czyjeś wołanie i smętne stukanie w klawiaturę komputera.

– Sam? – Jestem już na korytarzu i zapuchniętymi od snu oczami usiłuję przeniknąć ciemność. W głowie mam mętlik. – Gdzieś ty zniknęła? I dlaczego dzwonisz po nocy?

– Przepraszam. Serio. Ale coś się stało.

Właściwie spodziewam się, że zaraz powie coś o Nim. To wina koszmaru, który wciąż zdaje się mnie oblepiać niczym wysychający na skórze pot. Zbieram się w sobie, szykując się na wieść, że On znów zaatakował, że stało się to, czego się zawsze bałam. Nieważne, że On nie żyje. Że z przyjemnością patrzyłam, jak umiera.

Zamiast tego Sam mówi:

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Pomocy? Co się stało?

– Tak jakby mnie aresztowano.

– Że co?!

Mój okrzyk niesie się echem przez korytarz i budzi Jeffa. Z sypialni dobiega mnie skrzypnięcie materaca, gdy mój chłopak wyskakuje z łóżka i woła moje imię.

W telefonie słyszę głos Sam:

– Proszę, przyjedź po mnie. Posterunek przy Central Parku. Przyrowadź Jeffa.

Rozłącza się, nim zdążę zapytać, skąd ma mój numer.

Na posterunek, który znajduje się na południe od zbiornika retencyjnego, dojeżdżamy taksówką. Niejeden raz przebiegałam obok tego budynku, nieodmiennie zdumiona połączeniem starego i nowego stylu. Ciąg niskich budynków z cegły – równie wiekowych jak sam park – przepołowiono nowoczesnym, jasno oświetlonym atrium. Efekt przywodzi mi na myśl dickensowską wioskę zamkniętą w szklanej kuli śnieżnej.

Wchodzimy do środka, gdzie proszę o widzenie z Samanthą Boyd. Policjant dyżurny to rumiany Irlandczyk w mundurze opinającym oponki na brzuchu. Zagląda do komputera i oznajmia:

– Nie mamy nikogo o takim nazwisku, proszę pani.

– Przecież sama mi powiedziała, że tu jest.

– Kiedy to było?

– Dwadzieścia minut temu – odpowiadam, poprawiając wyłożoną zza paska bluzkę.

Ubieraliśmy się z Jeffem w pośpiechu, więc włożyłam te same ciuchy, które nosiłam po południu. Jeff wskoczył w dzinsy i bluzę z długim rękawem, a potargane włosy sterczą mu dziko na wszystkie strony.

Dyżurny Oponka marszczy brwi.

– Nikogo takiego tu nie mam.

– Może już ją zwolniono – odzywa się Jeff, wygłaszając swoje pobożne życzenie. – Czy to możliwe?

– I tak byłaby w systemie. Może pomyliły się jej posterunki. Albo pani źle usłyszała nazwę.

– Wymieniła ten posterunek – upieram się. – Jestem tego pewna.

Omiotam wzrokiem pokaźne, jasne wnętrze, którego wysoki sufit i otwarta przestrzeń przywodzi na myśl raczej nowoczesny dworzec kolejowy niż komisariat. Obrazu dopełniają elegancka klatka schodowa,

nowatorskie oświetlenie i wypolerowana posadzka, na której rozbrzmiewa głośny stukot kroków.

– Aresztowano niedawno jakieś kobiety? – pyta Jeff.

– Jedną – odpowiada dyżurny, znowu zerkając do komputera. – Trzydzieści pięć minut temu.

– Jak się nazywa?

– Niestety to informacja poufna.

Patrzę na Jeffa z nadzieją.

– Może to ona. – Potem zwracam się błagalnie do policjanta: – Możemy się z nią zobaczyć?

– To byłoby wbrew przepisom.

Jeff wyjmuje portfel i błyska mu przed nosem legitymacją służbową, po czym niezmiennie uprzejmym tonem wyjaśnia, że jest obrońcą z urzędu i że nie chcemy sprawiać kłopotu, ale nasza znajoma powiadomiła nas, że przebywa w areszcie na tym posterunku.

– Proszę – dodaję od siebie. – Bardzo się o nią martwię.

Ustępuje i poleca innemu funkcjonariuszowi – większemu, silniejszemu i bez oponek – aby się nami zajął. Idziemy za nim w głąb budynku. W pomieszczeniu panuje rozedrgana atmosfera, jakby wszyscy wypili za dużo kawy. Wnętrze rozjaśnia rześiste biurowe oświetlenie – wszak jest środek nocy. W końcu zauważamy Sam, która siedzi przy jednym z biur, przykuta do niego kajdankami.

– To ona – mówię, ale kiedy ruszam w jej stronę, prowadzący nas policjant chwyta mnie za ramię i stanowczo zatrzymuje w miejscu. – Sam! – wołam więc.

Funkcjonariusz, który właśnie ją spisuje, wstaje od biurka i zadaje pytanie, które odczytuję z ruchu jego warg: „Zna pani tę kobietę?”. Sam potakuje i wreszcie wolno mi do niej podejść, choć nawet wtedy dłoń

gliniarza zaciska się na moim ramieniu niczym imadło. Puszczą dopiero, kiedy stoję na wyciągnięcie ręki od jego kolegi.

– Sam? – pytam. – Co się stało?

Przepytyujący ją policjant rzuca jej kolejne spojrzenie, marszcząc czoło.

– Na pewno zna pani tę kobietę?

– Tak – odpowiadam za nią. – To Samantha Boyd i jestem pewna, że cokolwiek się stało, zaszło jakieś nieporozumienie.

– Przy aresztowaniu podała inne nazwisko.

– Jak to?

Gliniarz przerzuca papiery, pokaszując.

– Mam tu informację, że zatrzymana nazywa się Tina Stone.

Kieruję wzrok na Sam. Ma podpuchnięte i zaczerwienione policzki – pewnie na skutek tej późnej godziny – a rozmazana konturówka spływa czarnymi smugami pod oczy i pogłębia cienie.

– Czy to prawda?

– Tak. – Wzrusza ramionami. – Zmieniłam nazwisko. Już dość dawno.

– Czyli naprawdę nazywasz się Tina Stone?

– Teraz tak. Formalnie. Wiesz czemu.

Wiem. Przez pierwszy rok po Pine Cottage sama o tym myślałam, więc Sam nie musi mi niczego tłumaczyć. Miałam serdecznie dosyć tego, że nieznanym, którym mnie przedstawiano, moje nazwisko mgliście się z czymś kojarzyło, a kiedy wreszcie uświadamiali sobie z czym, ich twarze gwałtownie tężały, choćby tylko na ułamek sekundy. Niedobrze mi się robiło na myśl, że moje nazwisko już zawsze będzie kojarzone z Nim.

Dopiero Coop mi to wyperswadował. Powiedział, że powinnam zachować swoje nazwisko i nosić je z dumą. Że przyjmując inne, nie sprawię, iż „Quincy Carpenter” przestanie być łączona z potwornościami,

które rozegrały się w Pine Cottage. Że mogę tego dokonać tylko w jeden sposób: kiedy ruszę ze swoim życiem naprzód i stanę się kimś innym. Kimś więcej niż Jedyna Ocalała.

– Skoro kwestia nazwiska została już wyjaśniona – wtrąca Jeff – to czy ktoś może mi powiedzieć, o co ta pani jest oskarżona?

– Jest pan jej adwokatem? – pyta policjant.

Jeff wzdycha.

– Najwyraźniej.

– Pani Stone – mówi gliniarz – usłyszała zarzuty napaści trzeciego stopnia na funkcjonariusza policji i stawiania oporu przy aresztowaniu.

Szczegóły poznajemy po kawałku – od Sam i spisującego ją policjanta. Jeff, który zadaje im pytania, jest spokojny i opanowany, za to ja niemal dostaję kręcka, bo starając się nadażyć, obracam głową na wszystkie strony. Mój mózg ledwo kontaktuje z niewyspania. Z tego, co udaje mi się ogarnąć, wynika, że Sam, obecnie znana także jako Tina Stone, zaraz po opuszczeniu mojego mieszkania udała się do baru na Upper West Side. Wypiła kilka drinków i wyszła na papierosa. Na zewnątrz natknęła się na kłójące się małżeństwo. Jej zdaniem zażarcie. Doszło do rękoczynów. Kiedy mężczyzna popchnął kobietę, Sam postanowiła zainterweniować.

– Próbowałam przerwać bójkę – oświadcza stanowczo.

– Zaatakowała go pani – koryguje policjant.

W jednym są zgodni – że Sam w końcu uderzyła tego faceta. Kiedy on wzywał policję, ona wypytywała jego żonę: czy nic jej nie jest, czy jej mąż często wszczyna takie awantury i czy kiedykolwiek ją uderzył. Gdy nadjechał patrol, Sam przebiegła przez Central Park West i zniknęła w parku.

Policjanci rzucili się w pogoń, złapali ją i chcieli skuć. A wtedy Sam stawiała opór.

– Chcieli mnie aresztować za nic, do cholery! – broni się.

– Uderzyła pani człowieka – mówi policjant.

Sam pociąga nosem.

– Próbowałam pomóc. Bałam się, że on tę kobietę zatłucze. I pewnie by to zrobił, jakbym nie wkroczyła.

Sfrustrowana tą jawną niesprawiedliwością – to słowa Sam, nie moje – zamachnęła się na jednego z policjantów i strąciła mu czapkę, za co została aresztowana.

– Spadła mu czapka i tyle – mamrocze na koniec. – Przecież nie zrobiłam mu krzywdy ani nic.

– On odebrał to inaczej – stwierdza policjant. – Uważa, że miała pani zamiar go uderzyć.

– Przejdźmy do sedna – mówi Jeff. – Jedyne zarzut dotyczy zajścia w parku, mam rację?

Gliniarz kiwa głową.

– Mężczyzna, którego uderzyła przed barem, nie wniósł oskarżenia.

– Zatem z pewnością uda nam się dojść do porozumienia.

Jeff odciąga policjanta na bok. Przez chwilę naradzają się pod ścianą. Ściszą głośnie, ale nie na tyle, żeby nie dosłyszała, co mówią. Stoję obok Sam, ściskając jej ramię i wbijając palce w miękką skórę kurtki. Ona nie zwraca sobie głowy podsłuchiwaniami. Gapi się tylko w przestrzeń i zgrzyta zębami.

– Mnie to wygląda na wielkie nieporozumienie – stwierdza Jeff.

– A mnie nie – odpowiada gliniarz.

– Oczywiście, że nie powinna tego wszystkiego robić. Ale próbowała pomóc tamtej kobiecie, a gdy zrobiło się gorąco, trochę ją poniosło.

– Pana zdaniem zarzuty powinny zostać wycofane?

Funkcjonariusz zerka w naszą stronę. Posyłam mu uśmiech, mając nadzieję, że da się przekonać. Jakby mój rozpromieniony i niewinny wyraz twarzy mógł przechylić szalę na korzyść Sam.

– Moim zdaniem w ogóle nie należało ich stawiać – odpowiada Jeff. – Gdyby pan wiedział, co ją spotkało, zrozumiałby pan jej zachowanie.

Gliniarz patrzy na Jeffa wzrokiem bez wyrazu.

– Więc proszę mi powiedzieć, co ją spotkało.

Jeff odpowiada mu szeptem i tym razem wychwytyuję tylko dwa słowa: „Nightlight” i „morderstwa”. Policjant znów się odwraca, aby spojrzeć na Sam. Teraz w jego wzroku ciekawość miesza się ze współczuciem. Takie spojrzenie widziałam tysiące razy. W ten sposób patrzy ktoś, kto sobie uświadamia, że ma przed sobą Jedyną Ocalałą.

Szeptuje coś do Jeffa, który odpowiada mu tak samo. Wymiana szeptów trwa jeszcze przez kilka sekund, po czym mężczyźni podają sobie ręce i Jeff podchodzi do nas szybkim krokiem.

– Bierz swoje rzeczy – mówi do Sam. – Jesteś wolna.

Wychodzimy i przez chwilę stoimy na dziedzińcu tuż przy szklanej fasadzie posterunku, a Dyżurny Oponka obserwuje nas ze swojego stanowiska. Chłodny powiew od strony parku szczypie mnie w uszy i nos. Wypadliśmy z domu w takim pośpiechu, że zapomniałam włożyć sweter i teraz obejmuję się ramionami, próbując się trochę rozgrzać.

Sam zapina zamek skórzanej kurtki aż pod szyję, a kołnierz stawia na sztorc. Na ramiona zarzuca plecak i zatacza się lekko pod jego ciężarem.

– Dzięki za pomoc – zwraca się do Jeffa. – Po tym wszystkim, co ci dziś nagadałam, nie zdziwiłabym się, gdybyś nie kiwnął palcem i pozwolił

mnie zapuszkować.

– Nie ma za co – odpowiada Jeff. – Chyba jednak nie taki zły ze mnie gość, co?

Zadowolony z siebie, posyła nam szeroki uśmiech. Odwracam się. Wiem, że powinnam być wdzięczna, a mimo to czuję lekki dreszcz irytacji.

Natomiast Sam faktycznie jest wdzięczna. Wyciąga do niego rękę, a wtedy spod rękawa wyziera jej tatuaż. Jeff ściska ją, zerkając w moją stronę, jakby czuł, że coś jest nie tak. Uciekam wzrokiem.

Zamiast uścisnąć mi dłoń, Sam szybko mnie przytula.

– Quincy, dobrze było cię w końcu poznać.

– Zaraz... ty się żegnasz?

– Chyba już dość kłopotów ci narobiłam – odpowiada. – Chciałam się tylko przekonać, jak sobie radzisz. No i już wiem. Radzisz sobie doskonale. Co bardzo mnie cieszy, mała.

– Ale dokąd pójdziesz?

– Tu i tam – odpowiada niefrasobliwie. – A ty dbaj o siebie, dobra?

Odwraca się i odchodzi. A może tylko udaje, gdyż dobrze wie, że ją zatrzymam. Trudno powiedzieć, bo objuczona ciężkim plecakiem idzie powolnym, nierównym krokiem. Tak czy inaczej nie mogę pozwolić, żeby znowu zniknęła. Nie w taki sposób.

– Sam, zaczekaj – mówię. – Wiem, że nie masz gdzie się zatrzymać.

Odwraca się, a podmuch wiatru rozrzuca jej włosy po twarzy.

– Nie martw się. Nic mi nie będzie.

– Wiem – odpowiadam. – Bo wracasz z nami do domu.



10

Zaraz po przekroczeniu progu mieszkania kierujemy się z Jeffem do sypialni, zamykamy za sobą drzwi i rozmawiamy półszepem, żeby nasze głosy nie dotarły do uszu Sam w salonie.

– Może zostać na jedną noc – mówi Jeff.

– Noc właśnie się kończy – warczę w odpowiedzi. Wciąż jestem na niego wściekła, choć sama nie wiem dlaczego. – Zostanie na dwie noce. Co najmniej.

– To nie są negocjacje.

– Czemu tak się opierasz?

– A czemu ty tak się upierasz? Nie znasz jej, Quinn. Nawet nie powiedziała ci, jak się naprawdę nazywa.

– Wiem, jak się nazywa. To Samantha Boyd. I znam ją, nie jest obca. To ktoś, kto przeszedł przez to samo co ja i kto teraz potrzebuje noclegu.

– To Manhattan – mówi Jeff. – Pełno tu miejsc, gdzie można się zatrzymać. Nazywają się hotele.

– Jej raczej nie stać na hotel.

Jeff wzdycha, przysiada na łóżku i zrzuca buty.

– Już choćby to jedno powinno cię zastanowić. Kto przyjeżdża Bóg wie skąd do Nowego Jorku bez pieniędzy? I bez żadnego planu, skoro o tym mowa?

– Ktoś bardzo rozbity tym, co się stało z Lisą Milner. I kto próbuje jakoś się pozbierać.

– Nie jesteśmy za nią odpowiedzialni, Quinn.

– Przyjechała tu dla mnie – odpowiadam. – Więc tak, jesteśmy za nią odpowiedzialni. W każdym razie ja jestem.

– A dzięki mnie uniknęła poważnych kłopotów z policją. Zrobiliśmy aż nadto, zważywszy, że jej nie znamy.

Jeff ściąga koszulę, zdejmuje spodnie i wczołguje się do łóżka, najwyraźniej chcąc mieć już tę noc za sobą. Ja nadal stoję przy drzwiach, krzyżując ręce na piersi i emanując falami niewypowiedzianej złości.

– No jasne. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

Jeff siada i mruga, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Zaraz. Jesteś zła, że to zrobiłem?

– Jestem zła, że tak szybko wyciągnąłeś kartę ofiary. Wystarczyło raz wspomnieć o Nightlight Inn.

– Sam to nie przeszkadzało.

– Tylko dlatego, że cię nie słyszała. Gdyby wiedziała, miałyby inne zdanie.

– Nie będę przeproszał za to, że nie pozwoliłem jej zamknąć.

– I dobrze. Ale przynajmniej przyznaj, że mogłeś to załatwić lepiej. Szkoda, że nie widziałeś, jak ten gliniarz spojrział na Sam. Jak na rannego psa. To dlatego zmieniła nazwisko, Jeff. Żeby ludzie przestali się nad nią litować.

A jednak wściekam się na niego nie tylko z powodu Sam. Kiedy tak szeptał do tamtego gliniarza, ujrzałam w nim Jeffersona Richardsa przy pracy. Prawnika. Faceta gotowego powiedzieć wszystko, byle tylko pomóc klientce, nawet jeśli miałyby to oznaczać zrobienie z niej obiektu litości. I nie byłam tym zachwycona.

– Posłuchaj – mówi pojednawczo Jeff, wyciągając do mnie rękę. – Przepraszam, że to zrobiłem. Ale wtedy wydawało mi się, że to najszybszy sposób na załatwienie tej sprawy.

Zaciskam mocniej założone na piersi ręce.

– A gdyby chodziło o mnie? Gdyby to mnie aresztowano, zrobiłbyś to samo?

– Jasne, że nie.

W jego głosie wyczuwam pewien fałsz, jakby wahanie, które sprawia, że znowu przechodzi mnie dreszcz irytacji. Drapię się nerwowo po karku, żeby pozbyć się tego uczucia.

– Ale tym właśnie jestem, prawda? – naciskam. – Ofiarą. Tak jak Sam.

Jeff wzdycha z niezadowoleniem.

– Wiesz, że jesteś kimś więcej.

– Sam też. I dopóki u nas zostanie, będziesz ją tak traktował.

Jeff usiłuje wydukać kolejne przeprosiny, ale ucinam tę próbę, odwracając się na pięcie i gwałtownym szarpnięciem otwierając drzwi sypialni. A potem wychodzę i zatraskuję je za sobą z hukiem, od którego drżą ściany.

Pokój gościnny jest mały, schludny i duszny. Czerwony abażur lampki na stoliku nocnym barwi ściany różową poświatą. Późna pora sprawia, że wszystko wokół wydaje się mienić i drzeć, odrealnione jak w świetle ze snu. Wiem, że powinnam spróbować się zdrzemnąć, ale nie chcę. Nie kiedy Sam ani myśli spać, a ja czuję pulsujące od niej ciepło, energię i życie. Więc przytulamy się w tym okazałym łóżku, próbując zagrzać pod kołdrą uwolnione od butów stopy.

Nagle Sam wstaje i podchodzi do swojego plecaka, który niedbale rzuciła w kąt, sięga do środka i wyjmuję butelkę Wild Turkey.

– Małe co nieco – mówi, włączając z powrotem do łóżka. – Na rozweselenie.

Podajemy sobie butelkę, na zmianę pociągając bourbona prosto z gwinta. Przy każdym łyku czuję się tak, jakbym przełykała płonącą kulę. Wracają okruchy wspomnień. Pierwszy wspólny wieczór, mój i Janelle, w naszym pokoju w akademiku. Siedzimy ramię w ramię, ona raczy się drinkiem na winie wyłudzonej od jakiegoś starszego studenta, którego specjalnie w tym celu zbałamuciła, ja popijam colę zero. Właśnie wtedy zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Nadal tak o niej myślę: moja najlepsza przyjaciółka. Nieważne, że od dziesięciu lat leży w grobie, a ja zdaję sobie sprawę, że nasza przyjaźń nie mogłaby przetrwać, nawet gdyby Janelle przeżyła.

– To tylko na jedną noc – mówi Sam. – Rano sobie pójdę.

– Możesz zostać tak długo, jak potrzebujesz.

– Potrzebuję tylko do rana.

– Trzeba było powiedzieć, że masz kłopoty. Chętnie ci pomogę. Pożyczę pieniędzy. Coś wymyślimy.

– Twój chłopak będzie zachwycony.

Pociągam łyk Wild Turkey i dopada mnie nagły kaszel.

– Jeffem się nie przejmuj.

– Nie lubi mnie.

– Nie zna cię, Sam. – Urywam na chwilę. – A może wolisz Tina?

– Sam – odpowiada. – Tina jest na oficjalne okazje.

– Kiedy zmieniłaś nazwisko?

Sam upija łyk i odpowiada zdławionym głosem:

– Lata temu.

– Zaraz po zniknięciu?

– No. Miałam dość bycia Samantha Boyd, Jediną Ocalałą. Chciałam być kimś innym. Przynajmniej na papierze.

– Twoja rodzina wie?

Sam kręci głową i podaje mi butelkę, po czym żwawo wyskakuje z łóżka. Najpierw zagląda do plecaka, z którego wyjmuje paczkę papierosów, a potem podchodzi do okna i pyta, czy może zapalić.

W odpowiedzi wzruszam ramionami, więc Sam otwiera okno, za którym cienkie chmury zasnuwają sinoczarne niebo. Półmrok zaczyna powoli ustępować. Budzi się świt.

– Muszę rzucić – mówi Sam, zapalając papierosa. – Palenie zrobiło się cholernie drogie.

– A do tego zabija.

Wydmuchuje kłęb dymu przez moskitierę.

– Akurat to mnie nie wzrusza. Już raz wykiwałam śmierć, co nie?

– Więc zaczęłaś po Nightlight Inn?

– Potrzebowałam czegoś, żeby się wyciszyć, rozumiesz?

Jeszcze jak. Moje sprawdzone środki uspokajające to xanax i wino. Czerwone, białe albo coś pomiędzy, wszystko jedno. Janelle na pewno doceniłaby ironię tego faktu.

– Dziwię się, że ty i Lisa nie zaczęłyście palić – dodaje Sam. – Mnie ta reakcja wydała się naturalna.

– Raz spróbowałam. To nie dla mnie. – Nagle coś mi zaświtało w głowie. – Skąd wiesz, że Lisa nie paliła?

– Tak przypuszczam – odpowiada Sam. – Bo nie wspomniała o tym w książce ani nigdzie.

Pierwszy centymetr jej papierosa zdążył zmienić się w słupek popiołu, który zaraz spadnie na podłogę. Sam odsuwa się od okna, ale tak, że dłoń z papierosem pozostaje przy moskitierze, a ona wyciąga wolną rękę i sięga do plecaka, z którego coś wyjmuje. To przenośna popielniczka, która wygląda jak skórzana, zamykana na zatrzask podkówka na monety. Sam otwiera ją zręcznym ruchem zdradzającym długoletnią praktykę i energicznym stuknięciem strząsa do środka popiół.

– Czyli jednak przeczytałaś jej książkę? – zauważam.

Sam się zaciąga, potakuje i wydmuchuje dym.

– Nawet mi się podobała. Ale nie pomogła mi poradzić sobie z tym, co spotkało mnie.

– Często o tym myślisz?

Biorę kolejny łyk Wild Turkey. Już prawie przywykłam do tego ciepła w gardle. Sam wyciąga rękę znaczącym gestem.

Kiedy oddaję jej butelkę, pociąga dwa pokaźne łyki, które rozdziela jedynie szybkim dymkiem.

– Cały czas.

Oddaje mi butelkę.

Podnoszę ją do ust, a moje ciche słowa zderzają się ze szklaną powierzchnią.

– Chcesz o tym pogadać?

Sam dopala papierosa, wydmuchując potężny kłęb dymu, po czym gasi niedopałek w popielniczce i zaraz ją zatrzaskuje. Kiedy zamyka okno, gryzący dym wciąż unosi się w pokoju jak złe wspomnienie.

– Myślimy, że coś takiego zdarza się tylko w filmach – mówi. – Nigdy w prawdziwym życiu. Przynajmniej nie w taki sposób. I na pewno nie nam. A jednak to się zdarzyło. Najpierw w akademiku w Indianie. Potem w motelu na Florydzie.

Zdejmuje kurtkę, odsłaniając resztę czarnej sukienki. Ramiona i barki ma odkryte, widzę napięte mięśnie i bladą skórę. Na plecach, tuż poniżej prawego barku, widnieje tatuaż kostuchy, której czerep jest obecnie przepołowiony ramiączkiem sukienki.

– Calvin Whitmer – mówi Sam, wślizgując się z powrotem do łóżka. – Workowy.

Na dźwięk tego nazwiska i przydomku moje wnętrze przeszywa głęboki dreszcz. Jakby gdzieś w trzewiach pojawiła się nagle bryła lodu.

– Wymówiłaś jego nazwisko.

– A dlaczego nie?

– Ja nigdy nie wypowiedziałam Jego nazwiska. – Nie muszę niczego wyjaśniać. Ona wie, o kim mówię. – Ani razu.

– Dla mnie to nie problem – mówi Sam, wyjmując mi z ręki butelkę. – Bez przerwy o nim myślę. I nadal go widzę, wiesz? Kiedy zamknę powieki. Miał w tym worku wycięte otwory na oczy. I niewielką szparę nad nosem, żeby mógł oddychać. Nigdy nie zapomnę, jak materiał w tym miejscu unosił się i opadał. Ani sznurka, którym obwiązał sobie ten worek wokół szyi, żeby się lepiej trzymał.

Czuję, jak w moich wnętrznościach powstaje kolejna lodowa gruda. Odbieram Sam bourbona, choć jeszcze nie skończyła pić, i pociągam dwa hausty z nadzieją, że alkohol rozpuści ten lód.

– Za dużo szczegółów? – domyśla się Sam.

Kręcę głową.

– Szczegóły są ważne.

– A ty? Pamiętasz jakież?

– Kilka.

– Ale nie za wiele.

– Nie.

– Słyszałam, że to nieprawda – mówi Sam. – Całe to wypieranie wspomnień.

Biorę kolejny łyk, próbując zignorować jej prowokacyjne aluzje. Choć wiele nas łączy, Sam nie jest w stanie zajrzeć mi do mózgu i zobaczyć tej czarnej dziury ziejącej w miejscu, w którym powinnam mieć wspomnienia z Pine Cottage. Nigdy się nie dowie, jakie ukojenie, a zarazem frustrację odczuwa ktoś, kto pamięta wyłącznie początek i zakończenie czegoś, w czym brał udział. To tak, jakby wyjść z kina pięć minut po rozpoczęciu seansu i wrócić dopiero na napisy końcowe.

– Wierz mi – mówię. – To prawda.

– I nie przeszkadza ci, że nie pamiętasz?

– Myślę, że tak jest lepiej.

– A nie chcesz wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło?

– Wiem, jak się skończyło. I to mi wystarczy.

– Podobno wciąż stoi – mówi Sam. – Pine Cottage. Tak czytałam na jednej z tych gównianych stron true crime.

Też o tym czytałam, kilka lat temu. Prawdopodobnie na tej samej stronie. Po zakończonym śledztwie właściciel Pine Cottage próbował sprzedać całą nieruchomość, ale oczywiście nikt jej nie chciał. Nic tak nie obniża wartości ziemi jak wsiąknięta w nią krew. Kiedy zbankrutował,

działka stała się własnością wierzycieli. Oni też nie zdołali jej sprzedać, więc Pine Cottage przetrwał i stoi do dzisiaj w tych pensylwańskich lasach niby nagrobek wielkości domku letniskowego.

– Myślałaś kiedyś, żeby tam wrócić i się rozejrzeć? – pyta Sam. – Może udałoby ci się coś przypomnieć.

Żołądek natychmiast podchodzi mi do gardła.

– Nigdy.

– A myślisz czasem o nim?

Sam chce, żebym wymówiła Jego imię, to jasne jak słońce. Jej chciwe wyczekiwanie czuję tak samo wyraźnie jak ciepło bijące od jej skóry.

– Nie – kłamię.

– Spodziewałam się takiej odpowiedzi – kwituje tylko.

– To prawda.

Biorę kolejny łyk alkoholu i przyglądam się butelce, zdumiona tym, ile wypiliśmy. A raczej ile ja wypiałam. Sam, co nagle sobie uświadamiam, niewiele mi w tym pomogła. Zamykam oczy i czuję lekkie bujanie. Balansuję na krawędzi, jakbym zaraz miała odpłynąć. Jeden łyk załatwi sprawę.

Przechylam butelkę, pociągam dwa hausty i moje gardło zalewa piekąca rozkosz.

Nagle głos Sam staje się jakby odległy i metaliczny, choć przecież siedzimy obok siebie.

– Zachowujesz się, jakbyś przeszła nad tym wszystkim do porządku dziennego, a wcale tak nie jest.

– Mylisz się – protestuję.

– Więc mi to udowodnij. Wypowiedz na głos jego nazwisko.

– Powinnyśmy spróbować się przespać – odpowiadam, patrząc za okno na coraz jaśniejsze niebo. – Już późno. A raczej wcześniej.

– Nie bój się – mówi Sam. – Nie ma czego.

– Nie boję się.

– On od tego nie ożyje.

– Wiem.

– To skąd ten cykor?

Zupełnie jak Janelle. Najpierw lekki pstryczek. Potem szturchaniec. A w końcu bezpardonowe podjudzanie do czegoś, czego nie chcę zrobić. Czuję, jak wzbiera we mnie irytacja podszyta gniewem. Już chcę się znieczulić bourbonem, gdy zauważam, że Sam usunęła butelkę z mojego zasięgu.

– Wiesz, że mam rację – mówi. – Jesteś cykorem.

– Dość, Sam.

– Skoro zostawiłaś przeszłość za sobą, to wymówienie zwykłego nazwiska nie powinno być takie trudne.

– Idę spać.

Podnoszę się, ale ona chwyta mnie za ramię. Wyrywam się z jej uścisku i spadam z łóżka na twardą podłogę. Czuję dotkliwy ból w biodrze.

Oszołomiona bourbonem i brakiem snu przez chwilę nie mogę się pozbierać. Whiskey przelewa mi się w żołądku, pokój wiruje przed oczami, a Sam jeszcze wszystko pogarsza, mówiąc:

– Chciałabym, żebyś to jednak powiedziała.

– Nie.

– Tylko raz. Dla mnie.

Odwracam się do niej na mocno chwiejnych nogach.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– A skąd u ciebie ten opór?

– Bo On nie zasługuje na to, żebym wymawiała Jego nazwisko! – wrzeszczę, aż się echo niesie w przedrannej ciszy. – Bo po tym, co zrobił, nikt nie powinien wymawiać Jego cholernego nazwiska!

Sam patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Wie, że przegięła.

– I po co te nerwy? Nie można spokojnie?

– Chyba nie można – odpowiadam zgryźliwie. – Przygarnęłam cię, robię ci przysługę, pamiętasz?

– Pamiętam. I nie myśl, że tego nie doceniam.

– A jeśli mamy się zaprzyjaźnić, to musisz też wiedzieć, że ja nie rozmawiam o Pine Cottage. Nie wracam do tego.

Sam spuszcza wzrok na butelkę bourbona, którą ściska w dłoniach i tuli do piersi.

– Wybacz – mamrocze. – Nie chciałam być taką suką.

Na chwilę wraca mi trzeźwość umysłu. Przystaję w drzwiach z ręką na obolałym biodrze i z całych sił staram się wyglądać na mniej pijaną, niż jestem.

– Może masz rację. Może najlepiej będzie, jeśli rano się pożegnamy.

Po tych dwóch składnych zdaniach na nowo ogarnia mnie pijackie otępienie. Mocno się chwiejąc, wychodzę z pokoju i zamykam za sobą drzwi, choć ten ostatni manewr udaje mi się dopiero po kilku próbach. Drzwi do mojej sypialni też stawiają mi opór i tu z kolei muszę się naszarpać, żeby je otworzyć.

Gdy w końcu padam na łóżko, rozespany Jeff mamrocze:

– Słyszałem krzyki.

– To nic.

– Na pewno?

– Tak – odpowiadam, za bardzo zmęczona, żeby coś dodać.

I nagle, gdy już mam odpłynąć w niebyt snu, przez pijacką mgłę do świadomości przebija się pewna myśl. Właściwie to przebłysk, obraz – niepożądane wspomnienie. On przy naszym pierwszym spotkaniu. Zanim zaczęła się ta makabra. Zanim stał się Nim.

Pojawia się druga myśl, jeszcze bardziej niepokojąca niż pierwsza.

Sam chciała obudzić moje wspomnienia.

Nie rozumiem tylko dlaczego.



PINE COTTAGE

17:03

Janelle zażyczyła sobie zwiedzić las, doskonale świadoma, że cała grupa zawczasu zgodziła się spełniać wszelkie zachcianki solenizantki. Słowo się rzekło, więc zagłębili się w gąszcz, który praktycznie wdzierał się na taras z tyłu chaty.

Craig, były harcerz, stanął na czele wyprawy, traktując swoją rolę z nedorzeczną wręcz gorliwością. Jako jedyny miał odpowiednie obuwie – trampy – i porządne skarpety sięgające nad łydkę oraz chroniące przed atakiem kleszczy. W rękę trzymał absurdalnie długi kostur, którym stukał rytmicznie w ziemię.

Quincy i Janelle szły zaraz za nim, traktując tę eskapadę o wiele mniej poważnie. Ubrane w dzinsy, pasiaste swetry i zupełnie niepraktyczne kedsy, brnęły naprzód, grzęznąc w opadłych liściach, których wciąż przybywało,

bo z drzew sypały się coraz to nowe. Cienkie i kruche, wirowały i koziółkowały w powietrzu, połyskując w późnopołudniowym słońcu niczym różnobarwne spadające gwiazdy: czerwone, pomarańczowe i żółte.

Janelle złapała jeden w locie i zatknęła go sobie za ucho. Ognisty pomarańcz zdawał się płonąć na tle jej kasztanowych włosów.

– Żądam zdjęcia – oświadczyła stanowczo.

Quincy posłusznie pstryknęła dwie fotki. Potem odwróciła się, aby uwiecznić Betz, która człapała za nimi z niezmiennie ponurą miną. Cały ten wypad traktowała raczej jak obowiązek niż przyjemność. Dla niej był to weekend, który musiała jakoś znieść.

– Uśmiech – zarządziła Quincy.

Betz zmarszczyła brwi.

– Dopiero kiedy ta łązega się skończy.

Quincy i tak zrobiła jej zdjęcie, a potem też Amy i Rodneyowi, którzy szli krok w krok i biodro w biodro. Jako że byli praktycznie nierozłączni, wszyscy mówili o nich „Ramdy”.

Amy miała na sobie jedną z flanelowych koszul Rodneya, której zbyt długie rękawy zakrywały jej czubki palców. Idący obok niej Rodney, z kilkudniowym zarostem na twarzy i masą włosów na kłacie, których kępki wystawały z dekoltu jego bluzy w serek, przywodził na myśl niedźwiedzia grizzly. Widząc wycelowany w nich obiektyw, przypadli do siebie i zaczęli robić miny.

– Świetnie – pochwaliła Quincy. – I jeszcze buziaka, słodziaki!

– Nadążacie tam z tyłu? – zawołał do nich Craig, kiedy cała grupka zaczęła się wspinać na niewielkie wniesienie. Opadłe liście pod nogami były śliskie, więc Janelle i Quincy złapały się za ręce i na przemian holowały jedną drugą pod górę.

– Lepiej nie zostawać w tyle, mówię serio – powiedziała Janelle tonem doświadczonego przewodnika wycieczek. – Te lasy są nawiedzone.

– Bzdury – skwitował Rodney.

– To prawda. Setki lat temu zamieszkiwało tu indiańskie plemię. Potem przybyli biali mężczyźni i wszystkich wyrznęli. Mamy ich krew na rękach, moi drodzy.

– Jakoś jej nie widzę – rzekł Rodney, oglądając dłonie z udawaną uwagą.

– Zachowuj się – zbesztła go Amy.

– W każdym razie – ciągnęła Janelle – podobno duchy Indian straszą w tych lasach i mordują każdego białego, jaki wpadnie im w ręce. Więc pilnuj się, Rodney.

– Dlaczego ja?

– Bo Craig jest zbyt silny, żeby dać się pokonać jakiemuś duchowi, nawet indiańskiemu – odrzekła Quincy.

– A ty?

– Powiedziałam, że wymordowali ich biali mężczyźni – podkreśliła Janelle. – A my jesteśmy kobietami. Z nami nie mają na pieńku.

– Tutaj naprawdę ktoś zginął.

Betz to powiedziała. Cicha obserwatorka Betz. Spoglądała na nich tymi swoimi jakby za dużymi i trochę upiornymi oczami.

– Mówił mi o tym jeden facet, z którym chodzę na zajęcia z literatury światowej – wyjaśniła. – W zeszłym roku zginęła w tych lasach para obozowiczów. Chłopak i dziewczyna. Policja znalazła ich zadźganych w namiocie.

– Złapali tego, kto to zrobił? – spytała Amy, przyciskając się mocniej do Rodneya.

Betz pokręciła głową.

– Z tego, co wiem, to nie.

Przez resztę drogi na szczyt wzgórza nikt się nie odzywał. Nawet chrzęst stóp na zasłanej liśćmi ziemi zdawał się cichszy, jakby las chciał ułatwić im podświadome nasłuchiwanie dźwięków dobiegających z gęstwiny. W tej nowej, niezwyklej ciszy Quincy poczuła nagle, że nie są sami. Wiedziała, że to głupie. Że to skutek tego, co nagadała im Betz. A jednak nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że ktoś im towarzyszy. Że jest niedaleko. Że ich obserwuje.

Gdzieś obok trzasnęła gałązka. Niespełna dziesięć metrów od nich. Quincy wyrwało się piśnięcie, po nim zaś nastąpiła reakcja łańcuchowa w postaci wrzasków, które niemal jednocześnie wydały z siebie Janelle, Betz i Amy.

Rodney natomiast wybuchnął śmiechem.

– Boże! – zawołał. – Ale z was panikary!

Wskazał na źródło hałasu – zwykłą wiewiórkę, której ogon niczym biała flaga powiewał nad poszyciem. Teraz i pozostali zaczęli się śmiać. Nawet Quincy, która natychmiast zapomniała, jak dziwnie roztrzęsiona czuła się ledwie chwilę wcześniej.

Na szczycie wzniesienia znaleźli okazały płaski głaz, szeroki jak małżeńskie łóżko. Na jego powierzchni ujrzeli dziesiątki wyrytych imion – pamiątki po innych śmiałkach, którzy przybyli tu przed nimi. Rodney od razu sięgnął po jakiś ostry kamień i zaczął się dopisywać. Głaz był otoczony wiankiem z puszek po piwie i niedopałków papierosów, a z wiotkiej gałązki pobliskiego drzewka zwisała rozwinięta prezerwatywa, na widok której Janelle i Quincy aż kwiknęły z niesmakiem.

– Może zrobisz to z Craigiem tutaj – szepnęła Janelle. – Zabezpieczenie macie już zapewnione.

– Jeżeli to zrobimy – odparła Quincy – to na pewno nie na tym głazie, który na moje oko tylko czeka, żeby przekazać dalej jakiegoś syfa.

– Zaraz... jeszcze nie zdecydowałaś?

– Zdecydowałam, że nie będę decydować z góry – oznajmiła Quincy, choć tak naprawdę już to zrobiła, a zgodą na spanie w jednym łóżku z Craigiem tylko tę decyzję przypieczętowała. – Co będzie, to będzie.

– Lepiej niech będzie szybko – powiedziała Janelle. – Craig to niezłe ciacho, Quinn. Wiele dziewczyn dałoby się pokroić, żeby go schrupać.

– Ciekawa metafora – odparła sucho Quincy.

– Radzę ci tylko nie zwlekać za długo, bo mu przejdzie ochota.

Quincy spojrzała na Craiga, który przed chwilą wgramolił się na głaz i teraz wbijał wzrok w horyzont. Jemu chodziło o coś więcej niż tylko seks. Quincy była tego pewna. Na początku byli przyjaciółmi – poznali się pierwszego dnia studiów i przez cały rok tylko niewinnie sobie flirtowali. Randkować zaczęli dopiero pod koniec sierpnia, kiedy oboje wrócili na kampus i zdali sobie sprawę, jak bardzo za sobą nawzajem tęsknili. I jeśli nawet ostatnio Quincy wyczuwała u niego pewną niecierpliwość dotyczącą seksu, to uważała ją raczej za skutek pożądania niż tłumionej frustracji, o której mówiła Janelle.

Stojący na krawędzi głazu Craig przyłapał jej spojrzenie. Quincy szybko podniosła aparat i zawołała:

– Uśmiech!

Craig nie poprzestał na uśmiechu. Stał z pięściami opartymi o biodra i wypiął pierś niczym Superman. Quincy parsknęła śmiechem. Trzasnęła migawka.

– Ładny widok?

– Odlotowy.

Schylił się, podał jej rękę i pomógł wspiąć się na głaz, który okazał się wyższy, niż Quincy się spodziewała. Rozciągał się z niego widok na porośnięte lasem zbocze, które ostro opadało ku pogrążonej w cieniu dolinie półtora kilometra dalej. Po chwili dołączyli do nich pozostali, a wtedy Janelle zażyczyła sobie kolejnego zdjęcia.

– Teraz grupowe – zarządziła. – Żeby byli wszyscy. Ty też, Quincy.

Ścieśnili się, a Quincy wyciągnęła rękę jak najdalej przed siebie, żeby cała grupa zmieściła się w kadrze. Po zrobieniu zdjęcia uważnie przyjrzała się wariackiemu ujęciu i dopiero wtedy spostrzegła, że w oddali za ich plecami coś majaczy. Pośrodku doliny panoszył się jakiś potężny budynek, którego szare mury prawie całkowicie przesłaniały gęste drzewa.

– Co to jest? – spytała, wskazując na budowlę.

Janelle wzruszyła ramionami.

– Pojęcia nie mam.

Za to wszechwiedząca Betz wiedziała. A jakże.

– To zakład psychiatryczny – wyjaśniła.

– Jezu – sarknęła Amy. – Czy ty nas próbujesz wykończyć nerwowo?

– Tylko mówię. To szpital dla obłąkanych.

Quincy spojrzała w stronę budynku. Wiatr poruszał gałęziami otaczających go drzew, sprawiając, że także przesłonięty nimi gmach zdawał się niespokojnie drzeć. Jak gdyby był żywą istotą. Otulała go wyraźna aura smutku, którą Quincy odbierała nawet z tak daleka, w ich punkcie obserwacyjnym na głazie. Zupełnie jakby nad doliną wiecznie wisiała chmura burzowa, wprawdzie niewidoczna, ale doskonale wyczuwalna.

Zamierzała pstryknąć fotkę, lecz nagle zmieniła zdanie. Na myśl o uwiecznieniu tego miejsca jej aparatem ogarnął ją bliżej niesprecyzowany niepokój.

Stojący obok niej Craig przyglądał się niebu. Słońce zaszło już za linię drzew i rozświetlało las ognistą poświatą. Ciemne pnie przecinały tę iluminację, a ich długie cienie krzyżowały się na poszyciu.

– Musimy się zbierać – stwierdził. – Lepiej będzie wrócić przed zmrokiem.

– No bo wiecie, duchy Indian – dodała Janelle.

– Oraz szaleńcy – zawtórowała jej Quincy.

Wyruszyli z opóźnieniem, bo Rodney uparł się dokończyć swoją naskalną bazgraninę. Dopisał imię Amy pod własnym i połączył je plusem, a całość otoczył pospiesznie naskrobany sercem. Dopiero wtedy mogli się udać w drogę powrotną. Raz-dwa znaleźli się na płaskim terenie, a stamtąd do chaty mieli już blisko. Wcześniej ta sama droga wydawała im się dłuższa, bo szli pod górę. W rzeczywistości odległość między płaskim głazem a Pine Cottage wynosiła niewiele ponad pół kilometra.

Zanim jednak wynurzyli się z lasu, słońce zaszło już całkowicie, zalewając chatę typowo jesienną różowawą poświatą. Pobliskie drzewa rzucały cienie, które skradały się w stronę domku i muskały jego podmurówkę z polnych kamieni. Wciąż idący przodem Craig nagle stanął jak wryty. Kiedy Quincy wpadła mu na plecy, odepchnął ją do tyłu.

– Co do...

– Ciii – syknął, wyężając wzrok i próbując przeniknąć półmrok spowijający taras za domkiem.

I nagle Quincy zobaczyła to samo co on. Pozostali także. Ktoś był na tarasie. Przykładał złożone dłonie do okienka w tylnych drzwiach i zaglądał do środka.

– Hej! – zawołał Craig, unosząc groźnie swój kostur i robiąc krok naprzód.

Nieznajomy pod drzwiami – mężczyzna, teraz Quincy to dostrzegła – odwrócił się zaskoczony.

Był chyba w ich wieku. Może parę lat starszy. Trudno było to stwierdzić, bo nosił okulary, które odbijały dogasające światło dnia, a tym samym zasłaniały oczy. Był chudy, wręcz patykowaty; długie ręce przyciskał sztywno do boków beżowego swetra w warkocze, na ramieniu widniała dziura wielkości dziesięciocentówki, przez którą prześwitywał biały T-shirt. Jego spodnie z zielonego sztruksu były przetarte na kolanach i tak luźne w pasie, że musiał wetknąć palec wskazujący w szlufkę i je podtrzymywać, żeby nie opadały.

– Przepraszam, jeżeli was przestraszyłem. – Każde słowo wypowiadał z lekkim wahaniem, jakby dobierał je z trudem. Mówił po angielsku jak cudzoziemiec: niepewnie i oficjalnie. Quincy nasłuchiwała śladów obcego akcentu, ale na próżno. – Zaglądałem do środka, żeby sprawdzić, czy ktoś tu mieszka.

– Owszem, my – oznajmił Craig, odważnie robiąc kolejny krok naprzód, czym zaimponował Quincy. Niewykluczone, że taki właśnie miał zamiar.

– Cześć – powiedział nieznajomy i pomachał ręką, którą nie podtrzymywał spodni.

– Zgubiłeś się? – spytała Janelle, raczej zaciekawiona niż przestraszona.

– Poniekąd. Zepsuł mi się samochód, parę kilometrów stąd. Szedłem przez całe popołudnie. W końcu zobaczyłem podjazd prowadzący do tego domku i miałem nadzieję, że znajdę tu kogoś, kto mi pomoże.

Janelle oderwała się od reszty, wyszła z lasu i trzema pewnymi krokami pokonała odległość dzielącą ją od tarasu. Nieznajomy drgnął nerwowo. Przez chwilę Quincy myślała, że facet rzuci się do ucieczki i zniknie między drzewami niczym spłoszony jelen. Nie zrobił tego jednak i trwał

w bezruchu, kiedy Janelle przyglądała się jego bujnej czuprynie ciemnych włosów, lekko zakrzywionemu nosowi i dość seksownej krzywiznie ust.

– Przez całe popołudnie, tak? – spytała.

– Większość.

– Pewnie jesteś zmęczony.

– Trochę.

– No to wejdź i odpocznij. Urządzamy imprezę. – Janelle uścisnęła jego wolną rękę, bo palec wskazujący tej drugiej nadal tkwił w szlufce spodni. – Jestem Janelle, a to moi przyjaciele. Mam dziś urodziny.

– Wszystkiego najlepszego.

– Jak się nazywasz?

– Jestem Joe. – Nieznajomy skinął głową i posłał jej ostrożny uśmiech.

– Joe Hannen.



11

Kiedy się budzę, jest już po dziesiątej. Łóżko po stronie Jeffa jest od dawna puste, a prześcieradło chłodne w dotyku. W korytarzu zatrzymuję się przed pokojem gościnnym. Drzwi są otwarte, ale wiem, że Sam wciąż znajduje się w mieszkaniu. Jej plecak leży w kącie, a Wild Turkey nadal stoi na stoliku nocnym. W butelce została resztką bursztynowego płynu.

Z kuchni dolatuje nagły hałas – trzaskanie szuflad, brzęk naczyń. Zastaję tam Sam w białym fartuszk, spod którego wystają T-shirt Sex Pistols i czarne dżinsy.

Głowa mi pęka, wskutek nie tyle przedawkowania bourbona, ile surrealistycznych okoliczności, w jakich go piłam. Chociaż ostatnią noc pamiętam jak przez mgłę, to jednak bez trudu przypominam sobie, z jakim

uporem Sam usiłowała mnie nakłonić, abym wypowiedziała na głos Jego nazwisko. Wkurzam się na to wspomnienie. I na Sam.

Ona dobrze o tym wie, a dowodem na to jest jej przepraszący uśmiech. I kubek kawy, który wręcz wpycha mi w dłoń. A także wydobywający się z piekarnika jagodowy zapach.

– Ty pieczesz?

Sam kiwa głową.

– Muffinki cytrynowo-jagodowe. Według przepisu z twojego bloga.

– Mam być pod wrażeniem?

– Raczej nie – wzdycha Sam. – Choć miałam nadzieję, że trochę będziesz.

W głębi ducha jestem. Od śmierci ojca nikt niczego nie upiekł specjalnie dla mnie. Nawet Jeff. A tu proszę – Sam zerka na minutnik piekarnika, który odlicza do zera. Niechętnie przyznaję, że czuję się wzruszona.

Wyjmuje muffinki z pieca i nie pozwalając im wystarczająco przestygnąć, przechyla blaszkę. Muffinki wysypują się na blat wraz z lawiną okruszków i jagodowych bryzgów.

– Jak mi poszło, pani ekspertko? – pyta z pełnym nadziei spojrzeniem.

Biorę próbnego gryza. Muffinka jest trochę sucha, co znaczy, że Sam pożałowała masła. Cukru też jest zdecydowanie za mało, przez co smak owoców nie jest dość wyrazisty. Zamiast cytryn i jagód czuć samo ciasto. Upijam łyk kawy. Za mocna. Gorycz z języka przesącza się do moich słów.

– Musimy pogadać o wczorajszej nocy...

– Byłam straszną suką – przerywa mi Sam. – Jesteś taka miła, a ja...

– Nie rozmawiam o Pine Cottage, Sam. To temat zamknięty, okej? Skupiam się na przyszłości. I ty też powinnaś.

– Jasne – zgadza się Sam. – Chciałabym ci to jakoś wynagrodzić. Oczywiście jeśli pozwolisz mi zostać dłużej.

Bierze głęboki oddech i w napięciu czeka na moją odpowiedź. A może tylko udaje. W duchu podejrzewam, że Sam jest pewna, że się zgodzę. Tak jak wczoraj wieczorem była pewna, że nie pozwolę jej odejść. Rzecz w tym, że ja nie mam już pewności co do niczego.

– Tylko na dzień lub dwa – dodaje, gdy nie odpowiadam.

Upijam kolejny łyk kawy, bardziej ze względu na kofeinę niż smak.

– Po co tak naprawdę przyjechałaś?

– Chciałam cię poznać, to nie wystarczy?

– Powinno wystarczyć. Ale to nie jedyny powód. Te wszystkie pytania i naciski...

Sam podnosi grudkowatą muffinkę, odkłada ją, otrzepuje palce z okruszków.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jeśli zamierzasz tu zostać, to muszę wiedzieć.

– Dobra. Czas na prawdę. Bez ściemy. – Sam znów bierze głęboki oddech; wciąga powietrze jak dziecko przed zanurzeniem się w wodzie. – Przyjechałam, bo chciałam zobaczyć, czy jesteś tak samo wściekła jak ja.

– Z powodu tego, co zrobiła Lisa?

– Nie. Z powodu tego, że jesteś Jediną Ocalałą.

– Nie jestem.

– Nie jesteś wściekła czy nie jesteś Jediną Ocalałą?

– Ani jedno, ani drugie.

– A może powinnaś.

– To już za mną.

– Wczoraj powiedziałaś Jeffowi co innego.

Czyli jednak słyszała naszą kłótnię w sypialni. Przynajmniej część, a prawdopodobnie całość. Na pewno dość dużo, żeby zabrać manatki i zniknąć.

– Wiem, że to wcale nie jest za tobą – ciągnie. – Za mną też nie. I nigdy nie będzie, chyba że wytniemy numer w stylu Lisy Milner. Życie przywaliło nam z grubej rury. Połknęło nas w całości i wysrało, a wszyscy wokół chcą, żebyśmy przeszły nad tym do porządku dziennego.

– Przynajmniej przetrwałyśmy.

Sam unosi nadgarstek i macha mi przed nosem swoim tatuażem.

– Jasne. I od tamtej pory żyjesz długo i szczęśliwie?

– Mam się dobrze – odpowiadam i wzdrygam się, bo gadam jak moja matka, która wymachuje tym zwrotem niczym sztyletem, opędzając się od wszelkich emocji. „Mam się dobrze – powtarzała każdemu na pogrzebie ojca. – Quincy i ja mamy się dobrze”. Jak gdyby całe nasze życie nie rozpadło się na kawałki w ciągu jednego roku.

– To widać – mówi Sam.

– Co to ma niby znaczyć?

Sięga do przedniej kieszeni dzinsów i wyjmuję iPhone’a, którego kładzie z trzaskiem na blacie przede mną. Wyświetlacz ożywa i na ekranie ukazuje się zdjęcie męskiego penisa w całej okazałości.

– Zaryzykuję stwierdzenie, że to nie sprzęt Jeffa – oznajmia Sam. – A to nie twoja komórka.

Przenoszę wzrok na drugą stronę kuchni i nagle kawa z muffinką podchodzą mi do gardła. Moja szuflada – zawsze zamknięta na klucz – teraz jest wysunięta. Ciemne rysy wokół dziurki układają się w gwiaździstą aureolę

– Włamałaś się?!

Sam kiwa głową z zadowoloną miną.

– To jeden z moich nielicznych talentów.

Dopadam do otwartej szuflady, żeby sprawdzić, czy wszystkie moje łupy są na swoim miejscu. Wyjmuję srebrną puderniczkę i zaglądam do lusterka. Ze zdumieniem patrzę na swoje zmęczone odbicie.

– Mówiłam, żebyś tego nie ruszała. – Więcej we mnie zażenowania niż złości.

– Wyluzuj. Nikomu nie powiem – mówi Sam. – Serio, dobrze wiedzieć, że pod tą maską perfekcyjnej pani domu kryje się coś mrocznego. Co za ulga.

Wstyd pali mi policzki. Odwracam się i opieram rozpostartymi dłońmi o pokryty okruszkami blat.

– To nie tak, jak myślisz.

– Wcale cię nie oceniam. A bo to ja nigdy nie kradłam? Zwijałam wszystko: jedzenie, ciuchy, papierosy. Ktoś tak biedny, jak ja byłam kiedyś, szybko wyzbywa się poczucia winy. – Sam zanurza dłoń w szufladzie i wyjmuje ukradzioną szminkę. Przekręca sztyft, układa usta w idealne „o”, po czym przeciąga wiśniową pomadką po wargach. – Jak myślisz? Pasuje mi ten kolor?

– To nie ma nic wspólnego z tym, co się stało w Pine Cottage – mówię.

– Jasne – odpowiada Sam, cmokając umalowanymi ustami. – I jesteś całkowicie normalna.

– Pierdol się.

Posyła mi uśmiech. Wiśniowe wargi lśnią niczym neon.

– I o to właśnie chodzi! Wreszcie trochę emocji, Quinn. To dlatego chciałam, żebyś wymówiła jego nazwisko. Dlatego włamałam się do twojej sekretnej szufladki ze skarbami. Chcę zobaczyć, jak się wkurzasz. Masz prawo do gniewu. Nie próbuj ukrywać go za swoim blogiem z ciastami,

muffikami i chlebkami. Jesteś popaprana. Tak samo jak ja. Możesz to przyznać. Jesteśmy felerne, mała.

Znów zerkam do szuflady, przyglądam się każdemu przedmiotowi, jakbym widziała go po raz pierwszy, i nagle dociera do mnie, że Sam ma rację. Tylko ktoś porządnie popaprany kradnie łyżki, iPhone'y i posrebrzane puderniczki. Czuję ogarniające mnie upokorzenie. Przeciskam się obok Sam i na sztywnych nogach podchodzę do szafki, w której trzymam xanax. Wytrząsam na dłoń jedną tabletkę.

– Wystarczy ci, żeby poczęstować całą klasę?

Gapię się na nią tępym wzrokiem, błędząc myślami gdzie indziej. Wszystkie neurony skupiają się na jednym celu: wprowadzić tę jasnyniebieską tabletkę do organizmu.

– Xanax – mówi Sam. – Daj jeden.

Wyłuskuję tabletkę z mojej dłoni. Nie połyka jej, tylko ją rozgryza, miażdży zębami jak dziecko witaminy. Ja zażywam swoją jak zwykle i popijam napojem winogronowym.

– Ciekawa metoda – stwierdza Sam i przesuwa językiem po zębach, zbierając zabłakane granulki.

Upijam jeszcze jeden łyk napoju.

– Łyżeczka słodyczy zaradzi goryczy. Mary Poppins nie kłamie.

– Widać każdy ma swoje sposoby. – Sam wyciąga rękę. – Daj jeszcze jedną.

Wysypuję na jej otwartą dłoń drugą tabletkę. Leży tam niczym błękitne jajeczko rudzika, a ona obrzuca mnie zaciekawionym spojrzeniem.

– Nie bierzesz dokładki?

Ona nie pyta.

Rzuca wyzwanie.

I nagle czuję się tak, jakby powtarzało się wczorajsze popołudnie. Znów jesteśmy w kuchni, Sam patrzy badawczo, a ja, sama nie wiem dlaczego, chcę jej zaimponować.

– Pewnie – odpowiadam.

Łykam drugi xanax i znowu popijam napojem winogronowym. Tym razem Sam nie rozgryza swojej tabletki; wskazuje na butelkę. Pociąga dwa solidne łyki i wydaje krótkie beknięcie.

– Masz rację. Faktycznie lepiej wchodzi. – Znowu wyciąga rękę. – Do trzech razy sztuka.

Tym razem połykamy tabletki jednocześnie i szybko podajemy sobie butelkę z napojem. Cały ten xanax zostawił mi na języku gorzki posmak, jeszcze spotęgowany lepką słodkością napoju winogronowego, którą wciąż czuję na zębach. Absurdalność tej sytuacji sprawia, że wybucham śmiechem. Dwie ocalałe z masakry opychają się xanaxem. Lisa nie byłaby tym zachwycona.

– Kumpele? – pyta Sam.

Łagodne światło poranka pada z kuchennego okna na jej twarz. Choć nie zapomniała nałożyć makijażu, słońce odsłania siateczkę drobnych zmarszczek okalających jej oczy i kąciki ust. Przyciągają mój wzrok tak samo jak obrazy van Gogha: zawsze doszukuję się prześwitów płótna między pacnięciami farby. Tak jak teraz szukam prawdziwej Sam ukrywającej się pod maską twardzielki.

Ten przebłysk, który dostrzegam, jest mroczny i niepokojąco wręcz pociągający. Widzę kobietę, która wciąż usiłuje zrozumieć, co się stało z jej życiem. Samotną, smutną, niepewną absolutnie wszystkiego.

Widzę siebie i kiedy tylko to sobie uświadamiam, zalewa mnie fala ulgi, że nie jestem sama, że jest ktoś inny taki jak ja.

– Tak – odpowiadam. – Kumpele.

Xanax zaczyna działać piętnaście minut później, kiedy biorę prysznic. Moje ciało stopniowo się odpręża i czuję się tak, jakby gorąca para wnikała we mnie przez wszystkie pory, wibrowała pod skórą, wypełniała mnie całą. Gdy się ubieram, ogarnia mnie wrażenie odrealnienia. Lekka i bezwładna jak piórko, sunę przez korytarz, na którego końcu, przy drzwiach wejściowych, czeka już na mnie Sam z roześmianymi oczami, też jakby nie całkiem realna.

– Chodźmy. – Jej głos jest stłumiony, przyciszony. Jakby dobiegał ze słuchawki, podczas rozmowy zamiejscowej.

– Dokąd? – Brzmie, jakbym była kimś innym. Kimś szczęśliwszym i beztroskim. Kimś, kto nigdy w życiu nie słyszał nazwy Pine Cottage.

– Chodźmy – powtarza Sam.

Więc chwytam torebkę i sunę za nią: na korytarz, do windy, do holu i na ulicę, gdzie słońce zalewa nas swym złocistym, ciepłym i promiennym blaskiem. Sam też promienieje, jej włosy połyskują w słońcu, a zaróżowiona cera lśni. Parę razy próbuję się przejrzeć w szklanych drzwiach, które mijamy, bo chcę sprawdzić, czy wyglądam równie promiennie, ale Sam ciągnie mnie do taksówki, którą przywołała nie wiadomo kiedy.

Pędzimy dalej. Pokonujemy miejską duchotę i docieramy do Central Parku, gdzie do wnętrza samochodu, przez lekko uchylone okno, wpływa wąska strużka świeżego powietrza. Przymykam oczy, pozwalając, by jesienny wietrzyk pieścił moją twarz, dopóki taksówka się nie zatrzymuje. Sam znowu ciągnie mnie za rękę, a ja ledwo czuję jej dotyk.

– Jesteśmy na miejscu – mówi.

Tym miejscem jest Piąta Aleja, a dokładniej betonowa twierdza Saksa. I oto suniemy przez chodnik i drzwiami wejściowymi wnikamy w głąb lśniącego labiryntu stoisk perfumeryjnych. Zapachy są tak intensywne, że

niemal widzę, jak unoszą się w powietrzu w postaci różowych i lawendowych smużek. Podążam za Sam, płynąc przez tę świetlistą, tęczową salę, a potem w górę, schodami ruchomymi. A może to wcale nie są ruchome schody. Może to ja się unoszę. Przenikam do działu damskiego, gdzie pojawia się kolejna tęcza, tym razem składająca się z rzędów bawełny, jedwabiu i atłasu.

Wokoło snują się inne kobiety. Znużone ekspedientki, wyniosłe matrony i apatyczne nastolatki, które powinny być w szkole, ale wolą być tutaj i wzdychać do swoich komórek. Rzucają nam krytyczne spojrzenia, jeśli w ogóle raczą nas zauważyć.

Są zazdrosne.

Wiedzą, że jesteśmy wyjątkowe.

– Cześć – zagajam do jednej i chichoczę.

– Niezłe wdzianko – mówi do innej Sam.

Prowadzi mnie do stojaka z bluzkami. Białymi, w kolorowe ciapki. Zdejmuje wieszak z jedną z nich, przykłada do siebie i pyta:

– I jak myślisz?

– Byłoby ci w niej bosko! – zapewniam.

– Serio?

– Tak, musisz ją przymierzyć.

Sam ściąga bluzkę z wieszaka.

– Daj mi swoją torebkę – mówi.

Moją torebkę. Zapomniałam, że ją ze sobą przyniosłam. I nagle zamroczony umysł przeszywa błysk przytomności. Tak silny, że przyprawia mnie o zawrót głowy.

– Chyba nie chcesz jej ukraść – mamrocę.

Sam patrzy na mnie z pustym wyrazem twarzy. Złocisty blask jej skóry blednie i szarzeje.

– To nie kradzież, jeśli na coś zasłużyłaś. A po tym, co przeszliśmy, mała, zasłużyłyśmy na tę bluzkę z nawiązką. Poproszę torebkę.

Rękami tak zdrętwiałymi, że ledwo je czuję, podaję Sam torebkę, a ona wtyka ją sobie pod pachę i znika w przymierzalni.

Kiedy zostaję sama, mój wzrok przyciąga jakiś błysk, który wabi mnie na drugi koniec sali. Jest tam niewielka wystawa akcesoriów – cienkie paski, masywne bransolety i naszyjniki z koralików. Ale tym, co przykuwa moją uwagę, jest para kolczyków. Dwa dyndające owale przypominają lusterka, pobłyskujące odbijanym światłem.

Promienne.

Jak ja.

Jak Sam.

Trącam jeden z nich palcem, a on migocze. Na jego powierzchni błyska odbicie mojej twarzy – wydłużonej i bladej.

– Chcesz je, co nie? – Sam już wyszła z przymierzalni i teraz stoi za mną, szepcząc mi do ucha. – No dalej. Wiesz, co robić.

Wpycha mi torebkę do rąk. Nie muszę zaglądać do środka, by wiedzieć, że jest w niej tamta bluzka. Cała torebka wręcz parzy i pulsuje mi w dłoniach. Rozpinam suwak – tylko odrobinę – i widzę skrawek białego jedwabiu z kolorową ciapką.

– Nikomu nie zrobisz krzywdy – szepcze dalej Sam. – To ciebie skrzywdzono, Quinn. Ciebie, mnie i Lisę.

Podchodzi do pobliskiego stojaka ze swetrami. Chwyta ich tyle, ile może, i zrzuca na podłogę. Stukot plastikowych wieszaków zwabia ekspedientkę, która w te pędy zjawia się obok.

– Niezdara ze mnie – mówi ze skruchą Sam.

To sygnał dla mnie. Gdy Sam ze sprzedawczynią zbierają rozrzucone swetry, zwijam kolczyki z wystawy, wrzucam je do torebki i szybkim krokiem oddalam się z miejsca przestępstwa. Jestem w połowie drogi do wyjścia z działu damskiego, kiedy dogania mnie Sam. Chwyta mnie za nadgarstek i zmusza do spowolnienia, szepcząc:

– Spokojnie, mała. Lepiej nie wzbudzać podejrzeń.

Mimo to wyglądamy podejrzanie. I jestem pewna, że wszystkie te znudzone ekspedientki, wyniosłe matrony i apatyczne nastolatki, które powinny teraz siedzieć na lekcjach, wiedzą, co zrobiłyśmy. Spodziewam się, że będą się na nas gapić, kiedy będziemy je mijać, ale nie, żadna nawet nie zerknie. Promienieujemy tak mocno, że stałyśmy się niewidzialne.

Tylko jeden facet zwraca na nas uwagę. Dwudziestokilkulatek ubrany w wytarte dżinsy, polówkę Brooks Brothers i lśniące czarne tenisówki z czerwonymi paskami po bokach. Śledzi nas wzrokiem zza jednego ze stoisk perfumeryjnych, gdzie zastygł w trakcie spryskiwania się wodą kolońską. Baczenie przygląda się, jak suniemy do wyjścia. Ja też się na niego gapię i nagle dostrzegam w jego spojrzeniu niepokojący błysk.

– Zauważył nas – rzucam do Sam. – Ten ochroniarz.

Serce wali mi w piersi jak młotem, coraz szybciej i mocniej. Przerazenie, podniecenie i wyczerpanie zapierają mi dech w piersiach. Chciałabym rzucić się do ucieczki, ale Sam wciąż mocno trzyma mnie za rękę, nawet kiedy facet odstawia buteleczkę, sięga po leżącą na ladzie gazetę i rusza za nami.

– Przepraszam! – woła w naszą stronę.

Sam przeklina pod nosem. Serce wali mi jeszcze szybciej.

– Przepraszam – powtarza facet, tym razem dobitniej, czym przyciąga uwagę innych klientek, które podnoszą wzrok i patrzą na niego, a potem na nas.

Znowu jesteście widzialne.

Sam wydłuża krok, zmuszając mnie do tego samego. Docieramy do drzwi i już mamy wyjść na zewnątrz, kiedy facet także przyspiesza i nas dogania. Wyciąga rękę, żeby poklepać mnie po ramieniu.

Na ulicy Sam szykuje się do ucieczki. Jej ciało się spina, gotowe do sprintu. Ja też się spinam, choć głównie dlatego, że teraz typ stoi tuż za mną. Gdy jego dłoń opada na moje ramię, odwracam się i wyciągam przed siebie torebkę, jakbym mu ją wręczała.

Nieznajomy nie patrzy jednak na nią, tylko na nas, głupio szczerząc przy tym zęby.

– Wiedziałem, że to wy.

– Nie znamy cię, koleś – mówi Sam.

– Ale ja znam was – oświadcza. – Quincy Carpenter i Samantha Boyd, co nie? Jedyne Ocalałe. – Facet wkłada rękę do kieszeni dżinsów i wyciąga długopis zaplątany w pęk kluczy. Wyszarpuje go i podaje mi. – Byłoby ekstra, gdybyście dały mi autografy.

I podtyka nam gazetę pod nos. To brukowiec. Z jego pierwszej strony gapi się na mnie moja własna twarz.

– Widzicie? – Facet jest wyraźnie z siebie dumny.

Robię chwiejny krok w tył. Pod stopami czuję nieprzyjemną twardość chodnika. Nagle znów jestem na planecie Ziemia. Drugie spojrzenie na brukowiec tylko potwierdza to, co już zdążyło dotrzeć do mojej świadomości.

Niespodziewanie Sam i ja znowu trafiłyśmy na czołówki gazet.



12

Nasze zdjęcie zajmuje prawie całą pierwszą stronę aż po samą winiętę. Widać na nim Sam i mnie podczas naszego pierwszego spotkania: stoimy przed wejściem do mojej kamienicy i mierzymy się wzrokiem. Ujęcie jest fatalne – ciężar ciała opieram na prawej nodze i wystaje mi biodro, a ręce krzyżuję na piersi, łypiąc podejrzliwie na rozmówczynię. W kadrze widać tylko fragment bladego profilu Sam. Jej plecak leży u moich stóp, a ona otwiera usta, najwyraźniej coś mówiąc. Pamiętam tę chwilę doskonale. To wtedy Sam powiedziała: „Nie musisz być taką suką”.

Pod zdjęciem widnieją wielkie czerwone litery, układające się w nagłówek: JEDYNE OCALAŁE.

Pod spodem znajduje się fotografia Lisy Milner, podobna do tej z okładki jej książki. Obok ciągnie się nagłówek nieco mniejszy rozmiarem, lecz nie mniej dramatyczny: SPOTKANIE JEDYNYCH OCALAŁYCH PO SAMOBÓJSTWIE NIEDOSZŁEJ OFIARY MASAKRY, LISY MILNER.

Przenoszę wzrok na winietę. To ten sam brukowiec, którego reporter pętał się wczoraj przed moją kamienicą. W głowie kołacze mi się jego nazwisko: Jonah Thompson. Przebiegły kutas. Pewnie wciąż czaił się w pobliżu i nas szpiegował, skulony na przednim siedzeniu zaparkowanego samochodu, z opartym o deskę rozdzielczą aparatem fotograficznym.

Wyrywam gazetę z rąk łowcy autografów i odchodzę.

– Hej! – woła za mną.

Idę dalej, w głąb Piątej Alei. Po solidnej dawce xanaxu nogi mam jak z waty, ale wszystkie mięśnie dopominają się kolejnej tabletki. I jeszcze jednej. Tyłu, ile trzeba, aby zanurzyć się w niebycie na kilka dni. Co i tak nie zdołaloby stłumić całego gniewu.

Idąc, kartkuję szmatławca. W środku widzę większe zdjęcie Lisy i serię fotek szczegółowo dokumentujących moją pierwszą rozmowę z Sam – wszystkie zrobiono z tego samego miejsca. Na każdym kolejnym wydaję się mniej rozzłoszczona, a moje ciało i twarz stopniowo się rozluźniają. Co do artykułu, to ledwie udaje mi się przebrnąć przez dwa pierwsze akapity.

– Co tam piszą? – pyta Sam, podbiegając, by dotrzymać mi kroku.

– Że obie jesteśmy w mieście i że połączyło nas nagle samobójstwo Lisy.

– No, to w sumie prawda.

– Ale to, do cholery, nasza sprawa i nikogo więcej. I zamierzam to powiedzieć temu Jonahowi Thompsonowi.

Przeglądam gazetę, dopóki nie znajduję adresu siedziby redakcji. Zachodnia Czterdziesta Siódma. Dwie przecznice na południe i jedna na zachód. Ruszam naprzód, napędzana wściekłością. Robię dwa kroki, kiedy dociera do mnie, że Sam nawet nie drgnęła. Stoi na rogu, skubiąc skórki przy paznokciach i obserwując, jak się rozpędzam.

– Chodźmy – ponaglam ją.

Sam kręci głową.

– Dlaczego nie?

– Bo to nie jest dobry pomysł.

– Mówi kobieta, która przed chwilą namówiła mnie, żebym buchnęła coś w sklepie. – Na te słowa ogląda się za mną kilku przechodniów. Mam to gdzieś. – Idę tam, z tobą czy bez ciebie.

– Skoro cię to kręci...

– Ciebie to naprawdę nie rusza?

– Jasne. Jestem wkurzona.

– Więc powinniśmy coś z tym zrobić.

– To niczego nie zmieni – stwierdza Sam. – Od tego ta fotka nie zniknie z pierwszej strony.

Oglądają się na nas kolejni przechodnie. Łypię spode łba na tych, którzy napotykają wzrokiem moje spojrzenie. A potem na Sam, zirytowana jej biernością. Ledwie godzinę temu namawiała mnie do wyładowania gniewu, a teraz stoi przede mną, jakby nie była sobą, nagle rozbrojona tym samym xanaxem, od którego ja czuję się wręcz podminowana.

– I tak idę – upieram się.

– Nie rób tego.

Znów ruszam naprzód, gnana wściekłością. Przez ramię rzucam przeciągłe „iiiiidęęęę”, co brzmi tak, jak gdybym się z nią droczyła.

– Quinn, zaczekaj.

Ale już na to za późno. Dotarłam do drugiego końca przecznicy i właśnie przechodzę przez ulicę na czerwonym świetle. Sam chyba coś jeszcze za mną woła, lecz jej głos zlewa się z panującym wokół hałasem. Prę naprzód z gazetą w garści, zdecydowana zatrzymać się dopiero wtedy, gdy stanę oko w oko z Jonahem Thompsonem.

Nie da rady przemknąć się obok stanowiska ochrony. Znajduje się zaraz przy wejściu do holu, parę metrów od rzędu wind. Mogłabym puścić się pędem w stronę ciągle otwierających się i zamykających drzwi, ale ochroniarz jest ode mnie wyższy o dobre trzydzieści centymetrów. Zaraz by mnie dogonił i zastąpił mi drogę.

Dlatego od razu do niego podchodzę i trzymając w dłoni zwiniętą gazetę, oznajmiam:

- Chcę się widzieć z Jonahem Thompsonem.
- Nazwisko?
- Quincy Carpenter.
- Jest pani umówiona?
- Nie – odpowiadam. – Ale wiem, że zechce się ze mną spotkać.

Ochroniarz sprawdza numer w spisie i dzwoni, a potem każe mi poczekać naprzeciwko wind, przy pokaźnym muralu w stylu art déco. To panorama Manhattanu utrzymana w stonowanych barwach. Wciąż ją oglądam, gdy za moimi plecami rozlega się głos.

– Quincy – mówi Jonah Thompson. – Zmieniłaś zdanie i chcesz porozmawiać?

Odwracam się na pięcie. Na jego widok aż się we mnie gotuje. Ma na sobie koszulę w kratkę i wąski krawat, a na twarzy zadowoloną z siebie

minę. Pod pachą trzyma pękata teczkę na dokumenty. Pewnie jakieś brudy na temat jego kolejnej ofiary.

– Przyszłam po przeprosiny, ty sukinsynu.

– Czyli widziałaś artykuł.

– A teraz całe cholerne miasto wie, gdzie mieszkam – mówię, wymachując mu gazetą przed nosem.

Mruga zza okularów w grubej oprawie, raczej z rozbawieniem niż z niepokojem.

– Ani w artykule, ani w podpisach zdjęć nie ma o tym słowa. Dopilnowałem tego. Nie podałem nawet nazwy ulicy.

– Nie, ale opublikowałeś nasze zdjęcia. Zdradziłeś naszą tożsamość. I teraz cały świat może nas wygooglować i zobaczyć, jak wyglądamy, Samantha Boyd i ja. Wystawiłeś nas na tacy każdemu psycholowi i stalkerowi.

O tym nie pomyślał. Jego lekko pobladła twarz świadczy o tym jasno i wyraźnie.

– Nie chciałem...

– Jasne, że nie. Bo myślałeś tylko o tym, jak wam podskoczy sprzedaż. I jaką dostaniesz podwyżkę. A także ile zaoferuje ci serwis TMZ, bo oni takiej gratki nie przepuszczą.

– Ja nie dlatego...

– Mogłabym cię pozwać – przerywam mu znowu. – Obie mogłybyśmy to zrobić, Sam i ja. Więc lepiej się módl, aby żadnej z nas nie spotkało nic złego.

Jonah ciężko przetyka ślinę.

– Więc przyszłaś mi powiedzieć, że pozwiecie gazetę?

– Przyszłam cię ostrzec, że się nie wypłacicie, jeśli jeszcze raz wspomnicie w tym brukowcu o mnie albo Samancie Boyd. Od tego, co nas spotkało, minęło wiele lat. Dajcie nam wreszcie spokój.

– Jest coś, co musisz wiedzieć o tym artykule – mówi Jonah.

– Możesz go sobie wsadzić w dupę. – Odwracam się, żeby odejść, ale on chwyta mnie za ramię i przytrzymuje w miejscu. – Nie dotykaj mnie!

Jonah jest silniejszy, niż się wydaje, a jego uścisk robi się wręcz stalowy. Wykręcam sobie rękę, próbując się uwolnić, i czuję nagły ból w łokciu.

– Posłuchaj – nie ustępuje dziennikarz. – Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamuje.

– Puść mnie!

Popycham go. Mocniej, niż zamierzałam. Wystarczająco mocno, żeby przyciągnąć uwagę ochroniarza, który rzuca w moją stronę:

– Niech pani lepiej stąd wyjdzie.

Jakbym tego nie wiedziała. Jakbym nie czuła, że im dłużej przebywam w obecności Jonaha, tym bardziej jestem wściekła. Tak bardzo, że kiedy on znów robi krok w moją stronę, odpycham go drugi raz – celowo mocniej niż poprzednio.

Zatacza się do tyłu i teczka wypada mu spod pachy. Otwiera się w locie i ze środka wysypuje się cała zawartość. Dziesiątki wycinków prasowych wirują w powietrzu i lądują na podłodze, a wszystkie nagłówki krzyczą o tym samym, choć różnymi słowami.

Pine Cottage. Masakra. Ocalała. Zabójca.

Większość artykułów okraszona jest kiepskiej jakości zdjęciami. Dla kogoś innego są prawie nieczytelne. Kopie kopii, pikseloza, ciemne smugi i plamy niczym atramentowe kleksy z testu Rorschacha. Tylko ja wiem, co naprawdę przedstawiają. To ujęcia Pine Cottage z zewnątrz, przed

morderstwami i po nich. Fotografie z kroniki szkolnej, a na nich Janelle, Craig i pozostali. Jest i moje zdjęcie. To, które umieszczono wbrew mojej woli na okładce magazynu „People”.

On też tam jest. Jego podobizna znajduje się obok mojej, w oddzielnej obwódce. Nie widziałam tej twarzy od dziesięciu lat. Od tamtej nocy. Zaciskam oczy, ale jest już za późno. To jedno spojrzenie wystarczy, by coś we mnie pękło, mniej więcej tam, gdzie kiedyś wbił się Jego nóż. Z mojego gardła wydobywa się chrapliwy pomruk, a potem głośny charkot, kiedy to, co we mnie pękło i się oderwało, pełźnie do góry, czarne, gęste i gorzkie jak żółć.

– Niedobrze mi. Zwymiotuję – ostrzegam.

I spełniam groźbę dopóty, dopóki każdy z leżących na podłodze artykułów nie zostanie zarzygany.



PINE COTTAGE

18:18

Quincy i Janelle stały w części kuchennej oddzielonej od salonu sięgającym do pasa kontuarem. To Janelle wymyśliła, aby każda z dziewczyn upichciła jakieś danie na kolację. Dziwny pomysł, zważywszy, że Quincy nigdy nie widziała jej gotującej czegoś bardziej wykwintnego niż chińska zupka.

– Może po prostu zrobimy hot dogi – zaproponowała, kiedy planowały ten weekend. – W końcu to będzie biwak.

– Hot dogi? – powtórzyła wyraźnie zdegustowana Janelle. – Nie w moje urodziny.

Więc teraz tłoczyły się za kontuarem, co chwila zderzając się z Amy i Betz, którym przypadło w udziale upieczenie kurczaka jako dania głównego i przygotowanie kilku dodatków. Quincy miała się zająć ciastem

i w tym celu przytęszczyła ze sobą całą torbę przyborów, tortownicę, wszystkie niezbędne składniki i rękaw cukierniczy z zestawem końcówek. Owszem, matka i ojczym Janelle zapłacili za wynajem chatki, ale Quincy postanowiła odwdzińczyć się tortem.

Janelle miała najprostsze zadanie – mianowała się barmanką – więc kiedy Betz i Amy użerały się z kurczakiem, a Quincy dekorowała tort, ona tylko postawiła na blacie kilka wielkich plastikowych butelek z tanimi alkoholami. Zamierzała serwować je w czerwonych kubkach jednorazowych, których przywiozła pokaźny zapas.

– Jak długo zostanie z nami Joe? – spytała ją szeptem Quincy.

– Jak długo zechce – odszepnęła Janelle.

– Że niby całą noc? Serio?

– Jasne – powiedziała Janelle. – Robi się późno, a tu jest mnóstwo miejsca. Będzie fajnie.

Quincy tak nie uważała. Inni też nie, chociaż woleli to przemilczeć. Nawet sam Joe, z tą jego dziwną wymową i zamglonym wzrokiem za upačkanymi okularami, nie wydawał się zachwycony tym pomysłem.

– A nie pomyślałaś, że Joe może chciałby wrócić do domu? – zauważyła Quincy. – Prawda, Joe?

Ich niespodziewany gość siedział na wytartej kanapie w salonie, obserwując Craiga i Rodneya klęczących przed przepastnym kominkiem i sprzecających się o najlepszy sposób rozpalenia ognia. Kiedy dotarło do niego, że ktoś go o coś pyta, wzdrygnął się nerwowo i spojrzał w stronę Quincy.

– Nie chcę sprawiać kłopotu – powiedział.

– Nie sprawiasz – zapewniła go Janelle. – Chyba że się gdzieś spieszysz.

– Nie.

– I pewnie zgłodniałeś, co?

Joe wzruszył ramionami.

– Trochę.

– Mamy mnóstwo jedzenia i picia. Oraz kanapę, nie wspominając o dodatkowym łóżku.

– Mamy też samochód – dodała Quincy. – A w nim pełno komórek. Craig mógłby zadzwonić po pomoc drogową albo go podwieźć. No wiesz, z powrotem do jego auta. Albo do domu.

– To zajmie całe wieki. Zresztą może Joe ma ochotę zostać na imprezie.

– Janelle rzuciła mu spojrzenie z nadzieją, że poprze jej pomysł. – Skoro już się poznaliśmy.

– Formalnie rzecz biorąc, wciąż jest obcy – stwierdziła Quincy.

Janelle błysnęła zniecierpliwionym spojrzeniem, jak zawsze, gdy uważała, że Quincy zachowuje się jak świętoszka. Tak samo zareagowała, gdy Quincy jeden jedyny raz napiła się piwa i wzięła jednego bucha z jointa. W obu przypadkach Janelle użyła całej siły woli, żeby namówić ją do zrobienia czegoś, na co wcale nie miała ochoty. Teraz jednak jej frustrację dodatkowo wzmagają okoliczności. Wszystko, co miało związek z tym weekendem – chatka, urodziny, brak jakiegokolwiek nadzoru – sprawiało, że zaczynało jej lekko odbijać.

– Mamy się tu dobrze bawić, nie? – rzuciła z oskarżycielską nutą w głosie, jakby podejrzewała, że spośród obecnych tylko jej zależy na dobrej zabawie. – No to już. Bawmy się.

To najwyraźniej zamykało sprawę. Joe miał zostać tak długo, jak zechce. Zgodnie z życzeniem solenizantki.

– Czym się trujesz? – spytała Joego, gdy już ogarnęła prowizoryczny barek.

Spojrzał na rząd butelek i aż zamrugął, jednocześnie zmieszany i oszołomiony szerokim wyborem.

– Ja... właściwie nie piję.

– Poważnie? – zdumiała się Janelle. – Tak całkiem nie?

– Tak. – Zmarszczył brwi. – To znaczy nie.

– To tak czy nie?

– Może nie chce pić – wtrąciła się Quincy, ten niezłomny głos rozsądku, anioł niestrudzenie szepczący do ucha Janelle. – Może tak jak ja woli zachować trzeźwość umysłu.

– Ty nie pijesz, bo jesteś cykor. Bo jakby mamusia i tatuś się dowiedzieli, toby się wściekli – uciszyła ją Janelle. – A Joe taki nie jest. Prawda?

– Ja po prostu... nigdy nie próbowałem – rzekł Joe.

– Nawet z kolegami?

Joe zaczął się jąkać, próbując wydukać odpowiedź, ale było już za późno. Janelle rzuciła się na ofiarę.

– Co? Kolegów też nie masz?

– Mam kolegów – odparł z rozdrażnieniem Joe.

– A dziewczynę? – drążyła Janelle.

– Może. N-nie wiem...

– Pewnie wymyślona – mruknęła Betz za plecami Quincy.

Janelle łypnęła na nią, po czym znowu zwróciła się do Joego:

– No to będziesz miał o czym jej opowiadać przy następnym spotkaniu.

Chlusnęła do kubka po trochu alkoholu z kilku butelek i uzupełniła drinka sokiem pomarańczowym. Podeszła do Joego i zacisnęła jego palce na czerwonym plastiku.

– Do dna.

Zamiast podnieść kubek do ust, Joe nachylił się nad nim, wtykając nos do środka, jak ptak zanurzający dziób w poidelku. Pociągnął pierwszy łyk i z wnętrza plastiku dobiegło kasłanie. Kiedy poderwał głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, miał wybałuszone oczy i głupkowatą minę.

– Niezłe – powiedział.

– Niezłe? Porządnie ci zasmakowało – poprawiła go Janelle.

Joe oblizwał wargi.

– Za słodkie.

– Da się naprawić. – Janelle wyjęła mu kubek z rąk równie szybko, jak przed chwilą go w nie wetknęła. Raz-dwa znalazła się przy barze, chwyciła cytrynę i rozejrzała się po blacie.

– Ktoś ma nóż?

Zauważyła leżący na kontuarze nóż do mięsa, którym Amy i Betz miały pokroić kurczaka. Chwyciła go i wbiła ostrze w cytrynę, przecinając skórkę, miąższ, a na koniec swój palec.

– Cholera!

W pierwszej chwili Quincy pomyślała, że tylko dramatyzuje na użytek Joego. Że odstawia swoją zwykłą „szopkę Janelle”, jak reszta paczki nazywała to za jej plecami. Ale potem ujrzała krew przesączającą się przez papierową serwetkę przyciśniętą do palca i skapującą na kontuar kroplami wielkości płatków róży.

– Au! – jęczała Janelle ze łzami w oczach. – Auaaa!

Quincy czym prędzej rzuciła się z pomocą, gruchając uspokajająco i sumiennie spełniając swój obowiązek wzorowej współlokatorki.

– Już dobrze. Podnieś rękę. I uciskaj w tym miejscu.

Miotła się po kuchni, szukając apteczki, a Janelle nerwowo przestępowała z nogi na nogę, wzdrygając się na widok własnej krwi.

– Pospiesz się – poganiała przyjaciółkę.

W końcu Quincy znalazła plastry opatrunkowe pod zlewem, w blaszanej puszcze – takiej staroświeckiej, z wieczkiem na zawiasach. Nie pamiętała, żeby taki starość kiedykolwiek poniewierał się po jej domu. Chwyliła największy plaster i owinęła go wokół palca Janell, błagając ją, żeby się nie wierciła.

– Gotowe – powiedziała i cofnęła się, unosząc ręce. – Palec jak nowy.

Cała ta histeria wywabiła Joego z kanapy. Podszedł bliżej i zerkał na Janelle uważnie oglądającą swój zalepiony palec. Potem spuścił wzrok na porzucony na kontuarze nóż o zakrwawionym ostrzu.

– Wygląda na ostry – powiedział, podnosząc go i dotykając czubka opuszką palca wskazującego. – Trzeba bardziej uważać.

Wbił spojrzenie w Janelle i Quincy, jakby czekał na zapewnienie, że tak, oczywiście, będą uważać. Na jego dolnej wardze drżały kropelki płynu – resztki pierwszego w życiu koktajlu. Otarł je grzbietem dłoni, nie wypuszczając noża z ręki, a potem oblizał usta.



13

Pół godziny później przyjeżdża po mnie Jeff, wezwany przez Jonaha Thompsona, który znalazł jego numer w mojej komórce. Wręczyłam mu ją, kiedy spytał, czy ma do kogoś zadzwonić, po tym jak zarzygałam mu buty. Kiedy dociera na miejsce, jestem w damskiej toalecie w holu, pochylona nad sedesem, choć żołądek mam opróżniony do sucha. Przychodzi po mnie jedna ze współpracowniczek Jonaha. Drobną jak ptaszek dziennikarka o imieniu Emily, która woła mnie nerwowo, ledwie przestąpiwszy próg łazienki, jakby mogła się ode mnie czymś zarazić, jakby trzeba było się mnie bać.

Po powrocie do mieszkania Jeff kładzie mnie do łóżka, choć protestuję, że czuję się już o wiele lepiej. Chyba jednak nie mam racji, bo zasypiam,

gdy tylko przykładam głowę do poduszki. Przesypiam niespokojnym snem resztę popołudnia, mgliście świadoma, że Jeff i Sam na zmianę zaglądają do sypialni, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wieczorem budzę się na dobre i jestem głodna jak wilk. Jeff przynosi mi tacę z posiłkiem jak dla chorej – rosół z makaronem, tost i napój imbirowy.

– To nie grypa, wiesz? – mówię.

– Nigdy nie wiadomo – odpowiada Jeff. – Słyszałem, że porządnie wymiotowałaś.

To przez brak snu i mieszankę bourbona z xanaxem. I przez Niego, rzecz jasna. Przez Jego zdjęcie.

– Pewnie coś zjadłam – kwituję lekceważąco. – Ale już mi lepiej. Wszystko gra, słowo.

– Więc na pewno się ucieszysz, że dzwoniła twoja matka.

Jęczę.

– Powiedziała, że sąsiedzi pytają, dlaczego znowu jesteś na pierwszych stronach gazet – ciągnie Jeff.

– Jednej gazety – poprawiam.

– Chce wiedzieć, jak ma im odpowiadać.

– No pewnie.

Jeff sięga po trójkątny tost, bierze kęs, a resztę odkłada na tacę.

– Nie zaszkodziłoby do niej zadzwonić – mówi, jedząc.

– I wysłuchiwać, jaka to jestem nieidealna? Nie, dzięki.

– Martwi się o ciebie, skarbie. Ostatnio wiele się działo. Samobójstwo Lisy. Ten artykuł. Sam i ja też się niepokoiimy, jak sobie z tym wszystkim radzisz.

– To znaczy, że wreszcie normalnie ze sobą porozmawialiście?

– Owszem – przytakuje Jeff.

– Uprzejmie?

– Ogromnie.

– Coś podobnego. I o czym była mowa?

Jeff znowu sięga po tost, ale odtrącam jego dłoń pacnięciem. Więc zrzuca kopniakiem buty i podciąga nogi na łóżko, a potem kładzie się na boku, przysuwa bliżej i przytula do mnie całym ciałem.

– O tobie. I że byłoby dobrze, gdyby Sam została jeszcze przez tydzień.

– A niech mnie. Kim ty jesteś i co zrobiłeś z prawdziwym Jeffersonem Richardsem?

– Mówię poważnie – mówi Jeff. – Przez cały dzień myślałem o tym, co powiedziałaś wczoraj wieczorem. I masz rację. To, w jaki sposób przekonałem tego policjanta, żeby wypuścił Sam, było nie w porządku wobec niej. Zasłużyła na lepszą obronę. Przepraszam.

Podaję mu tosta.

– Przeprosiny przyjęte.

– A poza tym – ciągnie między kolejnymi kęsami – ta sprawa o zabójstwo policjanta się przeciągnie, a wolałbym, żebyś nie była w domu non stop sama. Zwłaszcza teraz, kiedy twoja podobizna jest wszędzie.

– Czyli chcesz, żeby Sam była moją niańką?

– Towarzystką – koryguje Jeff. – I to właściwie był jej pomysł. Wspomniała, że wczoraj razem trochę piekłyście. Byłoby miło mieć jakąś pomoc podczas sezonu wypieków. Zawsze powtarzasz, że przydałaby ci się asystentka.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – pytam. – Taki układ będzie dla ciebie trudny.

Jeff przygląda mi się, przechylając głowę.

– Mówisz tak, jakbyś sama nie była pewna.

– Myślę, że pomysł jest znakomity. Po prostu nie chcę, żeby ta sytuacja źle na ciebie wpłynęła. Albo na nas.

– Dobra, będę z tobą szczery. Przyznaję, że Sam i ja pewnie nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi. Ale między wami jest jakaś więź. A przynajmniej mogłaby być. Wiem, że nieczęsto rozmawiamy o tym, co cię spotkało...

– Bo i po co – wtrącam szybko.

– Racja – zgadza się Jeff. – Twierdzisz, że nigdy się nie uwolnisz od tego, co się wydarzyło, ale ty już to zrobiłaś. Nie jesteś tamtą dziewczyną. Jesteś Quincy Carpenter, boginią wypieków.

– Dobra, dobra – mamroczę, choć jego słowa sprawiają mi przyjemność.

– Być może jednak potrzebujesz dodatkowego wsparcia. Ze strony kogoś innego niż Coop. I jeśli Sam jest tą osobą, to ja nie chcę stawać między wami.

Nie pierwszy raz uświadamiam sobie, jakie mam szczęście, że znalazłam kogoś takiego jak Jeff. Przychodzi mi na myśl, że to właśnie on jest tym, co najbardziej odróżnia mnie od Sam. Bez niego byłabym dokładnie taka jak ona – nabuzowana, wściekła i samotna. Jak rozszalała burza, która nigdy nie cichnie.

– Jesteś niesamowity – mówię i odsuwam tacę na bok, żeby na niego wskoczyć.

Całuję go, a on oddaje mi pocałunek, jeszcze mocniej mnie przytulając.

Całodniowy stres przeradza się w pożądanie i nagle, niewiele myśląc, zaczynam rozbierać Jeffa. Rozluźniam mu krawat, który wciąż ma na szyi. Rozpinam guziki jego oksfordzkiej koszuli. Całuję różowe sutki otoczone gąszczem włosów, a potem zsuwam się niżej i czuję jego rosnące podniecenie.

Na stoliku nocnym zaczyna brzęczeć moja komórka. Próbuję ją zignorować, uznając, że to pewnie jakiś dziennikarz. Albo gorzej: matka. Ale telefon nieustępliwie grzechocze o lampkę nocną. Zerkam na wyświetlacz.

– To Coop – mówię.

Jeff wzdycha, jego pożądanie przygasa.

– Czy to nie może poczekać?

Nie może. Coop próbował dodzwonić się do mnie wczoraj wieczorem, po moim esemesie w stylu „luzik, wszystko gra”. Ale akurat byłam zbyt zajęta, żeby odebrać, bo szykowałam kolację, no i Sam kręciła się po kuchni. Jeżeli nie odbiorę i teraz, na pewno się zaniepokoi.

– Nie kiedy moje zdjęcie znów jest na pierwszej stronie – odpowiadam Jeffowi.

Wyskakuję z łóżka, z telefonem w garści pędzę do łazienki i zamykam za sobą drzwi.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że skontaktowała się z tobą Samantha Boyd? – wita mnie pytaniem Coop.

– Skąd o tym wiesz?

– Mam ustawiony alert Google – wyjaśnia i ta odpowiedź jest tak nieoczekiwana, że nie zaskoczyłby mnie bardziej, oznajmiając, że powiadomili go kosmici. – Choć wolałbym usłyszeć to od ciebie.

– Zamierzałam zadzwonić – mówię, co jest prawdą. Chciałam to zrobić zaraz po konfrontacji z Jonahem. – Sam zjawiała się u mnie wczoraj. Po śmierci Lisy uznała, że dobrze byłoby się ze mną spotkać.

Oczywiście mogłabym powiedzieć Coopowi coś więcej. O tym, że parę lat temu Sam zmieniła nazwisko. Że sprowokowała mnie do połknięcia o dwa xanaxy za dużo. Że zwymiotowałam wszystkie trzy na widok Jego zdjęcia.

- Nadal u ciebie jest? – pyta Coop.
- Tak. Zostanie na trochę.
- Jak długo?
- Nie wiem. Dopóki się nie ogarnie.
- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?
- Dlaczego pytasz? Martwiłeś się o mnie?
- Zawsze się o ciebie martwię, Quincy.

Milczę, niepewna, co odpowiedzieć. Jeszcze nigdy Coop nie wyrażał się tak bez ogródek. Nie wiem, czy uznać to za zmianę na lepsze, czy na gorsze. W każdym razie miło usłyszeć tak jawne wyznanie, że mu na mnie zależy. To zdecydowanie bardziej budujące niż kiwanie głową.

– Przyznaj się – odzywam się w końcu. – Gdy zobaczyłeś ten alert, pewnie o mało nie wsiadłeś w samochód, żeby tu przyjechać i sprawdzić, co u mnie.

– Zawróciłem z końca podjazdu – odpowiada Coop.

Nie wątpię, że to prawda. To dzięki takiemu oddaniu czułam się bezpiecznie przez te wszystkie lata.

– Czemu zmieniłeś zdanie?

– Wiedziałem, że umiesz o siebie zadbać.

– Podobno.

– Ale i tak niepokoi mnie fakt, że Samantha Boyd się ujawniła – mówi Coop. – Sama przyznaj, że to dziwne.

– Zaczynasz gadać jak Jeff.

– Jaka ona jest? Czy jest...

Pierwszym słowem, jakie przychodzi mi do głowy, jest to, którego dziś rano użyła Sam. „Felerna”. Zamiast je powtórzyć, mówię:

– Normalna? Jasne, na tyle, na ile może być normalny ktoś, kogo spotkało to co ją.

– Ale nie tak normalna jak ty.

W głosie Coopa wyczuwam uśmiech. Wyobrażam sobie, jak błyszczą jego błękitne oczy, co zdarza się w tych rzadkich chwilach, kiedy pozwala sobie na opuszczenie gardy.

– Ależ skąd – odpowiadam. – Ja jestem królową normalności.

– A zatem, królowo Quincy, co powiesz na to, żebym przyjechał i poznał Samanthę? Chciałbym wyrobić sobie o niej zdanie.

– Dlaczego?

– Bo jej nie ufam. – Odrobinę łagodzi swój ton, jakby wiedział, że robi się zbyt dobitny. – I to się nie zmieni, dopóki jej nie poznam. Chcę się upewnić, że niczego nie knuje.

– Nie knuje – odpowiadam. – Jeff już ją wymaglował.

– Ale ja nie.

– Nie chciałabym zawracać ci głowy.

– Nie ma sprawy – stwierdza Coop. – Mam wolny dzień i jest ładna pogoda, a w górach Pocono liście zaczęły zmieniać barwy. Zapowiada się miła przejażdżka.

– Więc dobrze – zgadzam się. – Może być w południe?

– Jak najbardziej. – Mimo że rozmawiamy przez telefon, wiem, że Coop kiwa głową. Czuję to. – Tam, gdzie zawsze.

– No to jesteśmy umówieni – podsumowuję.

Coop znowu poważnieje.

– A do tego czasu – mówi ściszym, ochryplym głosem – zachowaj ostrożność. Wiem, że twoim zdaniem za bardzo się martwię, ale to nie tak.

Nie znasz jej, Quincy. A ona doświadczyła wiele złego. Nie wiemy, czy nie zrobiła się przez to jakaś popaprana. Nie wiemy, do czego jest zdolna.

Przysiadam na krawędzi wanny i ściskam kolana, bo nagle ogarnia mnie chłód. W głowie słyszę głos Jonaha Thompsona: „Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamuje”. Co za śliski drań.

– Nie martw się – uspokajam Coopa. – Myślę, że ją polubisz.

Żegnamy się, a Coop jak zwykle dodaje na koniec, żebym się nie wahała dzwonić albo esemesować, jeśli będę czegoś potrzebowała.

Ochlapuję twarz nad umywalką i zużywam pokaźną porcję płynu do płukania ust. Wydymam wargi do lustra, przybierając kuszącą minę i szykując się mentalnie na ciąg dalszy igraszek z Jeffem.

Ale kiedy wychodzę z łazienki, okazuje się, że Jeff miał dosyć czekania, a może po prostu był bardzo zmęczony – w każdym razie już zasnął.

O północy wybudzam się na dobre, mimo że umysł mam wyczerpany. Popołudniowa drzemka sprawiła, że moje ciało pulsuje energią. Przewracam się z boku na bok, bo pod kołdrą jest mi za ciepło, a bez niej za chłodno. Jeff nie ma tego problemu. Pochrapuje cicho tuż obok, zanurzony w odmętach snu. Zamiast męczyć się w łóżku, wstaję i wkładam dżinsy, T-shirt i kardigan. Mam ochotę coś upiec. Staroświeckie pierogi z jabłkami. To kolejny punkt na liście *Słodkości Quincy*, której realizacja już i tak jest o jeden dzień opóźniona.

Kiedy mijam pokój gościnny – teraz to właściwie pokój Sam – widzę smugę światła sączącą się spod drzwi. Postanawiam zapukać. Tylko raz, nieśmiało.

– Otwarte – słyszę głos Sam.

Zastaję ją w kącie pokoju, grzebiącą w swoim plecaku. Wyjmuje kolczyki z Saksa i rzuca je na łóżko; na ich widok wraca przykre wspomnienie. Zupełnie o nich zapomniałam.

– Gdy wróciłaś do domu, wyjęłam ci je z torebki – wyjaśnia. – Na wypadek gdyby Jeff chciał do niej zajrzeć.

– Dzięki – odpowiadam, gapiąc się na nie ponurym wzrokiem. – Chyba już ich nie chcę.

– Więc ja je wezmę. – Sam zgarnia kolczyki z łóżka i wrzuca je z powrotem do plecaka. – Bo zwrócić ich nie możemy. Jak się czujesz?

– Lepiej. Ale nie mogę teraz spać.

– Też mi to nie wychodzi najlepiej.

– Jeff mówił, że rozmawialiście – mówię. – I cieszę się. Oboje się cieszymy. No wiesz, że tu jesteś. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to mów. Czuj się jak u siebie w domu.

Widzę, że już się tak poczuła. Na stoliku nocnym leży parę książek. Wymiętoszone tanie wydania powieści science fiction i egzemplarz *Sztuki wojny* w twardej oprawie. Mimo otwartego okna w pokoju nadal unosi się lekki zapach papierosowego dymu. Na parapecie leży skórzana podkówka-popielniczka Sam.

– Przepraszam, że zostawiłam cię samą przez resztę dnia – mówię. – Mam nadzieję, że się zanadto nie wynudziłaś.

– Spoko. – Sam siada po jednej stronie łóżka i poklepuje materac, dopóki nie przysiadam po drugiej stronie. – Połaziłam trochę po okolicy. Miło pogawędziłam z Jeffem.

– Jutro ci to wynagrodzę – obiecuję. – A właśnie! Coś sobie przypomniałam. Spotkamy się jutro z jednym gościem. Nazywa się Franklin Cooper.

– To ten gliniarz, który uratował ci życie?

Jestem zaskoczona, że go kojarzy. Ona naprawdę miała mnie na oku.

– Właśnie – potwierdzam. – Chce cię poznać. Przywitać się.

– I sprawdzić, czy nie jestem psycholką – dodaje Sam. – Nie martw się. Kapuję. Musi się przekonać, czy można mi ufać.

Odchrząkuję.

– A to oznacza, że lepiej nie wspominać o xanaxie.

– Jasne – zgadza się Sam.

– Ani o tym, że...

– Czasem masz lepkie rączki?

– Tak – przytakuję, wdzięczna, że nie muszę mówić tego na głos. – Właśnie o tym.

– Będę bardzo grzeczna – obiecuje Sam. – I nie będę przeklinać.

– Potem zabawimy się w turystki. Empire State Building. Centrum Rockefellera. Pójdziemy, dokąd zechcesz.

– Do Central Parku?

Nie mam pojęcia, czy to żart, którym chce nawiązać do tego, co się stało wczoraj wieczorem.

– Jeśli będziesz miała ochotę.

– Po co czekać do jutra? Czemu by nie pójść od razu?

Teraz już wiem, że żartuje.

– To nie jest dobry pomysł – mówię.

– A rzyganie na tamtego dziennikarza było?

– Nie planowałam tego.

– Powiedział coś?

I znowu w mojej głowie rozlega się natarczywy głos Jonaha Thompsona, ja zaś znowu go ignoruję. Sam okłamała mnie tylko w kwestii zmiany nazwiska, a przecież już o tym wiem. Większym kłamcą był Jonah,

który chciał, żebym wylewała przed nim swoje żale, jak to źle być Jedyką Ocalałą. No i faktycznie coś się ze mnie wylało, choć raczej nie tego się spodziewał.

– Nic ważnego – odpowiadam. – Nie poszłam tam, żeby go słuchać. Poszłam go opieprzyć.

– To ci się nieźle udało.

Nagle przychodzi mi do głowy myśl, która sprawia, że ściszam głos.

– A właściwie dlaczego nie poszłaś ze mną? I dlaczego próbowałaś wybić mi to spotkanie z głowy?

– Bo trzeba wiedzieć, kiedy odpuścić – mówi Sam. – Już dawno się nauczyłam, że walka z mediami nie ma sensu. I tak zawsze wygrają. A takich gnojków jak ten Jonah Thompson tylko to zachęca. Jutro pewnie znowu o nas napisze.

Na samą myśl o tym aż sztywnieję ze strachu.

– Przepraszam, jeśli przeze mnie...

– To nic wielkiego. Przynajmniej w końcu coś cię ruszyło. – W jej oczach migają iskierki. – Jak się poczułaś, kiedy mu nawrzucałaś?

Przez chwilę się nad tym zastanawiam; analizuję mgliste wspomnienia, usiłując oddzielić swoje prawdziwe uczucia od skutków xanaxu. Chyba mi się podobało. Wróc. Na pewno mi się podobało. Czułam, że mam rację, byłam nabuzowana i niezłomna, przynajmniej dopóki nie dopadły mnie mdłości.

– Poczulałam się świetnie – odpowiadam.

– Dlatego warto się wkurzać. Dalej jesteś wściekła?

– Nie.

Sam daje mi żartobliwego kuksańca.

– Nie kłam.

– No dobra. Tak. Dalej jestem wściekła.

– Więc powstaje pytanie, co zamierzasz z tym zrobić?

– Nic – odpowiadam. – Przed chwilą sama stwierdziłaś, że walka z prasą nie ma sensu.

– Ale teraz nie mówię o prasie, tylko o życiu. O świecie. Wszędzie pełno jest nieszczęść, niesprawiedliwości i kobiet takich jak my, krzywdzonych przez facetów, którzy powinni mieć więcej rozumu. I mało kogo to wszystko obchodzi. A jeszcze mniej jest takich, których to wkurza i zmusza do działania.

– Czyli takich jak ty.

– Żebyś wiedziała. Chcesz się przyłączyć?

Wpatruję się w siedzącą po drugiej stronie łóżka Sam i te jej błyskające w oczach iskierki. Serce mi przyspiesza, a w piersi coś drży, jakby motyl trzepotał skrzydłami, próbując się wydrzeć ze swego kokonu. Nagle dociera do mnie, że to tęsknota. Że znów pragnę się poczuć jak dziś rano z Sam. Że znów chcę promienieć.

– Nie wiem – odpowiadam ostrożnie. – Może.

Sam chwyta kurtkę, wciąga ją na siebie i zdecydowanym ruchem zasuwa zamek.

– No to chodźmy.



14

Dam radę. Powtarzam to sobie raz za razem.

Przecież idziemy tylko do Central Parku, na litość boską. To nie jakaś głusza na końcu świata. Mam gaz pieprzowy. I jest ze mną Sam. Nic nam nie będzie.

Jednak na ulicy ogarniają mnie wątpliwości. Nocne powietrze jest przeraźliwie zimne. Pocieram sobie ramiona, żeby się rozgrzać, gdy Sam zapala papierosa pod zadaszeniem wejścia do budynku. Potem ruszamy dalej. Serce bije mi jak szalone, kiedy przechodzimy przez Columbus Avenue. Sam idzie przodem, ciągnąc za sobą smużkę dymu.

Gdy docieramy do Central Park West, mój niepokój wzrasta. Przyjście tutaj to oczywisty błąd. Czuję to wręcz fizycznie, jakby sumienie było

jednym z organów wewnętrznych, szkarłatnym i mięsistym, który raz po raz przeszywa niepojęty ból. Nie powinno nas tu być. Nie o tej porze.

Chciałam znowu poczuć, że promienieję. Zamiast tego czuję się zgaszona, pusta i mała.

– Chyba już zaszliśmy wystarczająco daleko.

Mój głos ulatuje z chłodnym wiatrem. Nawet gdyby Sam mnie usłyszała, pewnie i tak by się nie odwróciła. Zdecydowanym krokiem przechodzi przez ulicę i skręca w prawo, zmierzając w kierunku wejścia do parku oddalonego o jedną przecznicę na południe stąd. Pędzę za nią, dopóki jej nie doganiam, pokonując tę samą trasę, którą biegam każdego ranka.

– Po co tu tak właściwie przyszliśmy? – pytam.

– Zobaczysz.

Sam rzuca niedopałek na ziemię i skręca do parku, ale ja zatrzymuję się na chwilę przed wejściem. Mój cień na chodniku wygina się w świetle samochodów jadących Central Park West. Mam ochotę zawrócić. I prawie to robię. Moje ciało jest gotowe, by popędzić z powrotem do domu, wskoczyć do łóżka i wtulić się w Jeffa. Ale Sam już zniknęła mi z oczu, jakby połknięta przez mroczną paszczę parku.

– Sam? – wołam. – Wracaj!

Żadnej odpowiedzi.

Czekam z nadzieją, że zaraz się wyłoni i z szerokim uśmiechem oznajmi, że to był jeden z jej testów. Który oblałam. Ale kiedy nie wraca, poziom mojego niepokoju wzrasta o kolejną kreskę. Sam jest w parku. Zupełnie sama, i to w środku nocy. Wiem, że potrafi się o siebie zatroszczyć, ale i tak się martwię, więc zaciskam palce wokół wąskiego pojemniczka z gazem pieprzowym w kieszeni. Pluję sobie w brodę, że nie wzięłam xanaxu. W końcu robię głęboki, drżący wdech i wkraczam do parku.

Sam stoi tuż za bramą. Nie zgubiła się, tylko zniknęła w cieniu. Czeka na mnie wyraźnie zniecierpliwiona. Albo zirytowana. Nie jestem do końca pewna.

– No chodź już – mówi. Chwyta mnie za ramię i ciągnie za sobą.

Dobrze znam tę część parku. Byłam tu tysiąc razy.

Po naszej lewej znajduje się plac zabaw imienia Diany Ross – w tej chwili zamknięty – po prawej zaś biegnie łukowaty wylot Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. A jednak noc zmieniała ten park w miejsce zakazane i obce. Ledwo je rozpoznaję. Zasnęwa je mgła, gęsta i drżąca. Ociera się o moją skórę, prawie szeleszcząc, i rozprasza blask latarni stojących wzdłuż ścieżki, tworząc wokół nich świetliste aureole. Rozmyte refleksy płożą się na trawniku i kłębią w koronach drzew, sprawiając, że park wydaje się gęstszy i dzikszy niż w rzeczywistości.

Choć bardzo się staram, nie umiem odpędzić natrętnych myśli o lesie wokół Pine Cottage. O gąszczu pełnym czających się niebezpieczeństw. Czuję się tak, jakbym znowu się tam znalazła, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki, aby ratować życie.

Sam rusza w głąb parku. Idę za nią, choć niespokojny głos w mojej głowie powtarza w kółko jak mantrę: „To niebezpieczne. Robisz błąd”.

We mgle majaczy zarys amfiteatru Delacorte. Tuż za nim, na skałach, wznosi się Zamek Belwederski – miniaturowa forteca jak z bajkowego lasu.

W takim miejscu człowiek mógłby się zgubić, myślę. Zboczyć ze ścieżki i zginąć bez śladu.

Tak jak Janelle.

Jak oni wszyscy.

Sam i ja nigdzie nie zbaczamy. Trzymamy się ścieżki, która biegnie na południe, blisko zachodniej granicy parku. Mimo późnej godziny nie jesteśmy same. Gdzieś tam migają mi inni ludzie – przemykające

w oddali sylwetki. Jakaś para ze spuszczoneymi głowami spieszy przez mgłę. Za nami amator nocnego biegania; słyszę jego ciężki oddech i metaliczne dźwięki muzyki dobiegające ze słuchawek. Za każdym razem, gdy kogoś zobaczę, serce podskakuje mi w piersi.

Tu i ówdzie kręcą się też samotni mężczyźni spragnieni dreszczyku emocji w postaci anonimowego seksu. Wielu z nich jest podobnie ubranych, jakby obowiązywał ich specjalny dress code: spodnie od dresu, drogie buty do biegania i bluza z kapturem, koniecznie rozpięta, aby odsłonić obcisły T-shirt. Wyłaniają się z mgły ze wszystkich stron. Przez chwilę krążą, zerkając na boki, i znowu znikają. Za nami się nie oglądają. Nie jesteśmy w ich typie.

– Powinnyśmy wracać – odzywam się.

– Wyluzuj – ucina Sam.

Jest w niej to samo napięcie, które wyczuwam u tych parkowych napaleńców. Coś ją napędza. Głód. Nieodparte pragnienie. Opada na ławkę i podrygując prawą nogą, omiata wzrokiem horyzont. Dotychczasowy żar w jej oczach zastąpiło spojrzenie twarde i zimne jak stal.

Siadam obok niej, czując, jak mocno wali mi serce. Dziwne, że ławka się nie trzęsie. Sam sięga do kieszeni kurtki i wygrzebuje z niej papierosa. Zapala go, a błysk zapalniczki we mgle zwraca uwagę jednego z parkowych krążowników, który ciągnie do ognia niczym wystrojona w skórę ćma. Rusza w naszą stronę, a ja cała tężeję i zaciskam dłoń na pojemniku z gazem pieprzowym w kieszeni.

Kiedy podchodzi do naszej ławki, widzę wyraźnie jego twarz i siwawy zarost pokrywający linię szczęki. Facet jest przystojny i smukły; bije od niego aura mrocznej zmysłowości.

– Hej – zagaja przyciszonym i przeprasającym tonem, jakby głośne rozmowy były tu zabronione. – Kopsniecie szluga?

Sam wyjmując z kieszeni papierosa i wsuwa mu go w dłoń gładkim ruchem, jakby to była działka narkotyku. Pstryka zapalniczką, mężczyzna się nachyla i koniuszek papierosa żarzy się przez chwilę mocno, po czym przygasa. Nieznajomy kiwa głową i wydmuchuje dym, który miesza się z mgłą.

– Dzięki.

– Spoko – odpowiada Sam. – Szczęśliwych łowów.

Facet uśmiecha się szelmowsko i seksownie, po czym oddala się dumnym krokiem w tym swoim skórzanym wdzianku, rzucając przez ramię:

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy, skarbie. – I już go nie ma; rozplywa się we mgle, z której się wyłonił.

A ja myślę o Nim. W innym lesie. W innym czasie. Szkoda, że On się tak nie rozplynął, że po prostu nie odszedł, że nie zostawił nas w spokoju.

– Sam, chcę wracać do domu – mówię.

– Dobra – odpowiada Sam. – To idź.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Nie.

– Po co tu jesteśmy?

Sam mnie ucisza. Zrywa się z miejsca i czujnie patrzy w kierunku, z którego przyszliśmy. Stoi skupiona i opanowana, jakby szykowała się do ataku. Podążam za jej spojrzeniem i natychmiast dostrzegam, co postawiło ją w stan gotowości. Z mgły wyłania się kobieta – jakieś sto metrów od nas. Jest sama, idzie przez park pospiesznym krokiem, przyciskając do piersi nieporęczną płócienną torbę. Wygląda na młodą i ambitną. Pewnie wybrała skrót przez park, żeby zaoszczędzić na taksówce, i nie przyszło jej do głowy, że to wyjątkowo zły pomysł.

Z mgły tuż za jej plecami wyłania się mężczyzna, jest tak blisko, że mógłby być jej cieniem. Zwłaszcza w tej czarnej bluzie z kapturem. Idzie miarowym krokiem, szybciej niż dziewczyna przed nim, więc łatwo ją dogania. Ona zdaje sobie z tego sprawę i przyspiesza kroku, już prawie biegnie.

– Sam? – wykrztuszam z trudem, czując, jak serce głucho łomocze mi w piersi. – Myślisz, że on chce ją okraść? Albo...

Zrobić coś gorszego. Właśnie to mam na myśli. Albo zrobić coś gorszego.

Nim zdążę dokończyć, pół człowiek, pół cień dopada dziewczyny. Jedną ręką chwyta ją za ramię, a drugą próbuje dosięgnąć torby albo zasłoniętych nią piersi.

Sam wyrywa naprzód i pędzi ścieżką niemal bezgłośnie, bo mgła tłumi jej kroki. Instynkt każe mi pobiec za nią, choć tylko niejasno podejrzewam, co się święci.

Na widok Sam dziewczyna próbuje odskoczyć. Jakby spodziewała się nowego ataku. Słaniając się na nogach, usiłuje wyrwać się z uścisku napastnika, wyciągając przed siebie torbę niczym tarczę. Sam omija ją szerokim łukiem i rozpędzona wpada na mężczyznę.

Siła zderzenia odrzuca go od dziewczyny i powala na trawę. Sam odbija się od niego i zatacza do tyłu. Dziewczyna rzuca się do ucieczki, zbyt przerażona, by się obejrzeć. Zastępuję jej drogę, unosząc ręce i czując, jak adrenalina buzuje mi w żyłach.

– Spokojnie – mówię kojącym tonem. – Pomożemy ci.

Widzę, że jej napastnik pośliznął się na trawie, próbując uciec. Sam rzuca się ku niemu i skacze mu na plecy. Szybko odprowadzam niedoszłą ofiarę do najbliższej ławki, każę jej usiąść i nigdzie się nie ruszać. Potem czym prędzej zawracam w stronę Sam.

Jakimś cudem zdołała powalić przeciwnika na kolana. Z każdą chwilą coraz bardziej przygniata go do ziemi, aż w końcu typ szoruje gębą po trawie.

W uszach dźwięczą mi słowa Coopa: „Nie wiemy, do czego jest zdolna”.

– Sam, nie rób mu krzywdy!

Mój głos przecina ciszę w parku i dekoncentruje Sam, która podnosi wzrok. Nie na długo. Tylko na ułamek sekundy. Ale tamtemu to wystarczy. Jego stopa uderza ją w brzuch i Sam zwija się na trawniku.

Mężczyzna zrywa się błyskawicznie z ziemi, nogi ma szeroko rozstawione i ugięte w kolanach. Jak sprinter na linii startu. Jego buty lekko ślizgają się na wilgotnej trawie, kiedy rzuca się do ucieczki. Sam wciąż leży na plecach i usiłuje przekręcić się na bok, wciągając powietrze, żeby złagodzić ból brzucha. Co prawda to nie był nokaut, ale prawie.

Zrywam się do biegu, dosyć niezdarnie, jednocześnie grzebiąc ręką w kieszeni w poszukiwaniu gazu pieprzowego. Mężczyzna też biegnie, ale ja jestem szybsza – wszystkie te przebiegnięte kilometry zrobiły swoje. Doganiam go, chwytam za bluzę i zdieram mu z głowy kaptur. Pod nim ma lekko przekrzywioną bejsbolówkę. Widzę gęstą czuprynę kruczoczarnych włosów i ciemną skórę na karku. Jedno ostre szarpnięcie za kaptur wystarczy, żeby go spowolnić: adidasy znów się ślizgają, a ręce gwałtownie młóć powietrze.

Kiedy się odwraca, spodziewam się ujrzeć jego twarz. Zamiast niej widzę lecącą ku mnie pięść. A potem następuje uderzenie – brutalny cios w policzek, tak mocny, że aż głowa odskakuje mi w prawo.

Przed oczami robi mi się czerwono, a pulsujący ból blokuje wszystko inne. Czegóż takiego nie czułam od wielu lat. Od dziesięciu, mówiąc ściśle.

Gdy uciekałam z Pine Cottage, biegnąc przez las i krzycząc. Gdy ogłuszyła mnie tamta gruba gałąź.

I nagle jakbym znowu tam była. Znow czuję ten sam głęboki, tętniący ból. Czas się kurczy i przybiera postać ciemnego tunelu, który zaraz mnie wciągnie i wypluje w tamtym przeklętym lesie, gdzie zdarzył się koszmar.

A jednak nie, nic takiego się nie dzieje. Wciąż jestem tu i teraz, choć szok sprawił, że cała zdrętwiałam. Moja dłoń rozluźniła się mimowolnie i wypuściłam kaptur z uścisku. Przez czerwoną mgłę zasnuwającą mi wzrok widzę jeszcze, jak facet – teraz już wolny – ucieka na południe, oddalając się coraz bardziej, aż wreszcie niknie mi z oczu.

Zamiast niego pojawiają się dwie inne postacie, nadbiegające z różnych stron. Jedną z nich jest Sam – słyszę, jak zbliża się za moimi plecami, wołając moje imię – a drugą dziewczyna, którą właśnie uratowałyśmy. Wstała z ławki i podchodzi do mnie z ręką głęboko zanurzoną w swojej płóciennej torbie.

– Krwawisz – mówi.

Podnoszę dłoń do nosa i czuję, że z nozdrzy wypływa coś ciepłego i wilgotnego. Spuszczam wzrok i widzę połyskującą na palcach krew.

Dziewczyna podaje mi chusteczkę higieniczną. Ostrożnie przykładam ją do nosa, a Sam obejmuje mnie z tyłu i mocno przytula.

– Cholera, mała – mówi. – Niezła z ciebie wojowniczką.

Oddycham przez usta, chłonąc rześkie powietrze i delikatną woń trawy. Czuję, jak moje ciało buzuje od adrenaliny zmieszanej z przestraczem i dumą, że Sam może mieć rację. Jestem wojowniczką i cała promienieję.

Uratowana dziewczyna – której imienia nigdy nie poznamy – też ma zdumioną minę. Gdy szybkim krokiem idziemy przez mgłę w stronę wyjścia z parku, pyta nas przyciszonym i pełnym podziwu tonem, czy należymy do straży obywatelskiej.

– Nie – odpowiadam.

– Tak – mówi jednocześnie Sam.

Wychodzimy na Central Park West, a ja przywołuję taksówkę i dopilnowuję, żeby dziewczyna naprawdę do niej wsiadła. Nim zamknę drzwi, wsuwam jej w dłoń dwudziestkę i zaciskając jej palce na banknocie, mówię:

– Zapłać za taryfę. I nie chodź już sama nocą po parku.



15

Twarz boli mnie jeszcze po przebudzeniu – tępy, szczątkowy ból promieniuje wzdłuż kości policzkowej aż do nosa. Pod prysznicem puszczam tak gorącą wodę, jaką tylko jestem w stanie wytrzymać, i przez dobre pięć minut wdycham i wydecham parę przez nozdrza, żeby usunąć z nich zaschniętą krew. Następnie unoszę twarz i pozwalam, aby strumień gorącej wody kłuł skórę niczym igiełki.

Na samo wspomnienie wczorajszej nocy nogi zaczynają mi drżeć tak mocno, że muszę się oprzeć o ściankę kabiny, aby nie upaść. Nie mogę uwierzyć, że tak bezmyślnie naraziłam się na niebezpieczeństwo. Ten bandzior mógł być uzbrojony. Mógł pchnąć mnie nożem, postrzelić, zabić. Właściwie to mam szczęście, że skończyło się na uderzeniu w twarz.

Po wyjściu spod prysznica przecieram dłonią zaparowaną powierzchnię łazienkowego lustra i przyglądam się swojemu odbiciu. Na policzku widzę lekki, ledwo zauważalny, a jednak bolesny siniak. Gdy delikatnie naciskam go opuszkami palców, aż się wzdrygam.

Ten nowy ból obudził starsze rany. Pchnięcia nożem, które zadano mi w Pine Cottage, nie spowodowały co prawda trwałych uszkodzeń, ale pozostawiły po sobie blizny. Dziś po raz pierwszy od lat czuję, jak pulsują. Wyginam lekko plecy, żeby zobaczyć w lustrze szramę na brzuchu – mlecznobiałą linię na zaczerwienionej od gorąca skórze. Potem nachyliłam się i przyglądam dwóm bliznom znajdującym się tuż pod barkiem i oddalonym od siebie o niecałe trzy centymetry. Jedna z nich jest pionowa. Druga trochę ukośna. Pewnie by się przecięły, gdyby nóż był większy.

Wycieram się i wkładam ubranie, a kiedy kończę, ból jest już znacznie słabszy. Nadal irytujący, owszem, ale da się znieść.

W kuchni, jak zwykle przed spotkaniem z Coopem, łykam xanax i pijam napojem winogronowym, a potem czekam, aż Sam opuści swój pokój. Wychodzi kilka minut później, odmieniona wręcz nie do poznania. Włosy założyła za uszy, odsłaniając ledwie muśniętą makijażem twarz. Oprawę oczu ma subtelniejszą, a zazwyczaj rubinowe usta pociągnęła błyszczkiem o barwie brzoskwiniowego rózu. Zrezygnowała ze zwykłej czerni na rzecz ciemnych džinsów, niebieskich butów na płaskim obcasie i bluzki podwędzonej wczoraj w Saksie. Z uszu zwisają jej złote kolczyki, które ukradłam ja.

- No, no! – rzucam z uznaniem.
- Nieźle jak na laskę w moim wieku, co nie?
- Bomba.
- Chcę zrobić dobre wrażenie.

Idąc do kawiarni, przyciągamy spojrzenia kilku przechodniów, choć trudno stwierdzić, czy to skutek artykułu Jonaha Thompsona, czy nowego image'u Sam. Pewnie tego drugiego. Niewiele osób zerka w moją stronę, a jeśli już, to mam wrażenie, że tylko porównują mnie z Sam.

Robi to nawet Coop, kiedy docieramy na miejsce i mijamy jego stałe miejsce przy oknie. Przez szybę widzę, jak wita mnie krótkim skinieniem głowy, a Sam uważnie taksuje wzrokiem. Czuję na karku ukłucie irytacji.

Gdy pojawiajemy się w drzwiach, Coop podnosi się z miejsca. W przeciwieństwie do naszego poprzedniego spotkania ubrany jest tak, że z łatwością wtapia się w kawiarniany tłumek złożony w większości z przedstawicieli wyższej klasy średniej. Dziś ma na sobie spodnie khaki i czarną koszulkę polo. Dobrze w niej wygląda, bo krótkie rękawki podkreślają jego napięte bicepsy z wystającymi żyłami.

– Ty pewnie jesteś Samantha – mówi.

Niespiesznie wyciąga rękę. Trochę niezręcznie, jakby niepewnie. Sam przejmuje inicjatywę i sięga nad stolikiem, żeby uścisnąć mu dłoń.

– Funkcjonariusz Cooper, prawda? – upewnia się.

– Coop – poprawia ją szybko. – Wszyscy nazywają mnie Coop.

– A mnie wszyscy mówią Sam.

– Świetnie – rzucam z wymuszonym uśmiechem i zajmujemy miejsca.

– No to już wszyscy się znamy.

Na stoliku przed Coopem stoją dwa kubki. Jego kawa i moja herbata. Spogląda na nie i mówi:

– Zamówiłbym i dla ciebie, Sam, ale nie wiedziałem, co wolisz.

– Kawę – oznajmia Sam. – Przyniosę sobie, a wy nadrabiacie zaległości.

Rusza w głąb kawiarni, lawirując między stolikami. Przy jednym z nich siedzi brodaty koleś w odwróconej daszkiem do tyłu bejsbolówce. Pisarz,

sądząc po otwartym przed nim laptopie. Obok komputera leżą skórzana teczka, iPhone i lśniące pióro wieczne Montblanc na notatniku z żółtymi kartkami. Brodacz patrzy z uznaniem na mijającą go Sam, a ona posyła mu uśmiech i zalotnie porusza palcami w powietrzu.

– Czyli to jest Samantha Boyd – mówi Coop.

– We własnej osobie. – Przenoszę na niego wzrok i przez chwilę przyglądam mu się, jak obserwuje Sam na drugim końcu kawiarni. – Coś nie tak?

– Jestem w szoku i tyle – odpowiada. – Nie spodziewałem się, że pojawi się tak ni stąd, ni zowąd. Jakbym zobaczył ducha.

– Ja też byłam zaskoczona.

– Inaczej ją sobie wyobrażałem.

– Czyli jak?

– Myślałem, że będzie bardziej szorstka. Na tamtym zdjęciu z kroniki szkolnej wyglądała inaczej, nie uważasz?

Mogłabym powiedzieć Coopowi, że tak naprawdę Sam jest zupełnie inna, że tylko dla mnie stonowała swój zwykły wizerunek, aby wywrzeć na nim wrażenie. Ale milczę.

– Wczoraj wieczorem trochę poczytałem o Nightlight Inn – wyznaje Coop. – Nie do wiary, przez co ona przeszła.

– Miała ciężkie życie.

– Jak się ze sobą dogadujecie?

– Świetnie. Natomiast z Jeffem nie we wszystkim są zgodni.

Coop pozwala sobie na półuśmiech.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– To raczej z Jeffem powinieneś się bliżej poznać. Znajomość z Sam jest przelotna. Jeff jest w moim życiu na stałe, czy ci się to podoba, czy nie.

Nie wiem, dlaczego to mówię. Te słowa po prostu mi się wymykają, nie planowałam ich. W jednej chwili półuśmiech Coopa znika bez śladu.

– Ale dziękuję, że przyjechałeś – dodaję łagodniejszym tonem, żeby pozbyć się poczucia winy. – Miło z twojej strony, że to zaproponowałeś, choć zaczynam się czuć, jakbym była dla ciebie ciężarem.

– Nie jesteś ciężarem, Quincy. Nigdy nie byłaś i nigdy nie będziesz.

Coop wpatruje się we mnie tymi swoimi oczami. Przesuwam palcem po posiniaczonej twarzy, zastanawiając się, czy jakimś sposobem zauważył to niedostrzegalne zaróżowienie wzdłuż kości policzkowej. W głębi ducha mam nadzieję, że o to zapyta, abym mogła wykorzystać to kłamstwo, które zawczasu sobie przygotowałam. „Och, to? Wpadłam na drzwi”. Jestem zawiedziona, kiedy patrzy nad moim ramieniem na Sam, która wraca do nas z parującym kubkiem w ręku. Przechodząc obok pisarza, przypadkowo potrąca jego stolik i kubek z kawą niebezpiecznie się przechyla.

– Bardzo przepraszam! – kaja się Sam.

Mężczyzna podnosi wzrok z uśmiechem.

– Nie ma problemu.

– Fajny laptop – dodaje na odchodne Sam.

Po chwili jest już przy naszym stoliku i siada obok mnie. Jeszcze raz taksuje Coopa i konstatuje:

– Inaczej cię sobie wyobrażałam.

– Lepiej czy gorzej? – pyta Coop.

– Myślałam, że będziesz brzydszy. A tu proszę.

– Czyli wiedziałaś o mnie wcześniej.

– Oczywiście – przytakuje Sam. – Tak samo jak ty o mnie. Potęga internetu. Już nikt nie ma tajemnic.

– To dlatego wolałaś żyć w ukryciu?

– Głównie dlatego – przyznaje Sam. – Ale teraz wróciłam do świata żywych.

– Właśnie widzę. – W głosie Coopa czai się nutka niedowierzania, jakby nie przekonywała go ta poza grzecznej dziewczynki, którą Sam konsekwentnie próbuje zamydląć mu oczy. Odchyła się na krześle, przekrzywia głowę i taksuje ją w taki sam sposób, jak ona przed chwilą jego. – Dlaczego postanowiłaś wyjść z ukrycia?

– Gdy usłyszałam, co spotkało Lisę, pomyślałam, że mogłabym pomóc Quincy – wyjaśnia Sam i dodaje: – oczywiście gdyby potrzebowała pomocy.

– Quincy nie potrzebuje pomocy – oświadcza Coop, jakbym nie siedziała dokładnie naprzeciw niego. Jakbym była niewidzialna. – Jest silna.

– Ale ja o tym nie wiedziałam – mówi Sam. – I dlatego tu jestem.

– Na długo przyjechałaś?

Sam niefrasobliwie wzrusza ramionami.

– Może. Na razie trudno powiedzieć.

Upijam łyk herbaty. Jest zbyt gorąca i parzy mi język, ale piję dalej z nadzieją, że ból przyćmi irytację, która znowu kłuje mnie w kark. Tym razem mam wrażenie, jakby w skórę wbijał mi się kciuk.

– Sam zmieniła imię i nazwisko – oznajmiam. – To dlatego nikt nie był w stanie jej wyśledzić.

– Serio? – Coop unosi brwi ze zdziwienia. Spodziewam się kazania podobnego do tego, które wygłosił, kiedy sama się nad tym zastanawiałam. A jednak mówi coś zupełnie innego: – Nie zamierzam pytać, gdzie przebywałaś ani pod jakim nazwiskiem. Mam nadzieję, że z czasem mi zaufasz i sama o tym opowiesz. Proszę tylko, abyś dała znać rodzinie, że nic ci nie jest.

– Moja rodzina jest jednym z powodów, dla których zniknęłam – mówi cicho Sam. – Nawet i przed Nightlight Inn w domu nie było najlepiej. A potem zrobiło się jeszcze gorzej. Kocham ich i w ogóle, ale niektóre rodziny nie powinny trzymać się zbyt blisko.

– Mógłbym skontaktować się z nimi w twoim imieniu – proponuje Coop – i powiedzieć im, że jesteś bezpieczna.

– Nie mogłabym cię o to prosić.

Coop wzrusza ramionami.

– Nie poprosiłaś. Sam zaproponowałam.

– Jak przystało na prawdziwego stróża prawa – stwierdza Sam. – Zawsze byłeś gliniarzem?

– Nie zawsze. Przedtem służyłem w wojsku. W piechocie morskiej.

– Brałeś udział w jakichś akcjach?

– W kilku. – Coop odwraca głowę i wbija te swoje błękitne oczy w świat za oknem, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. – W Afganistanie.

– Cholera – mamrocze Sam. – Pewnie widziałeś tam różne popaprane rzeczy.

– Tak. Ale nie lubię o tym mówić.

– Cóż, ty i Quincy macie ze sobą coś wspólnego.

Coop odrywa spojrzenie od okna i patrzy na Sam, mnie omijając wzrokiem. Znowu ma nieodgadniony wyraz twarzy. Nagle sprawia wrażenie przeraźliwie smutnego.

– Każdy radzi sobie z traumą po swojemu – mówi.

– A jak ty radzisz sobie ze swoją? – pyta Sam.

– Łowię ryby – odpowiada Coop. – I poluję. I chodzę po górach. No wiesz, jak to chłopak z Pensylwanii.

– Pomaga?

- Przeważnie.
- Może i ja powinnam spróbować – zastanawia się Sam.
- Chętnie zabiorę was kiedyś na ryby, jeśli macie ochotę.
- Quincy ma rację. Naprawdę jesteś super.

Sam wyciąga rękę nad stołem i ściska dłoń Coopa, a on jej nie odsuwa. Moja irytacja wzrasta. Napięcie spina mi ramiona i przebija się przez cienką osłonę xanaxu. Najchętniej wziąłabym drugą tabletkę. Czyżbym już była kobietą, która musi wziąć drugą tabletkę?

– Idę do toalety – mówię i chwytam leżącą na stoliku torebkę. – Przyłączysz się, Sam?

– Jasne. – Mruga do Coopa. – Dziewczyny. Jesteśmy przewidywalne, co nie?

Po drodze na drugi koniec sali Sam znowu macha do pisarza, a on jej odmachuje. Obie wciskamy się do łazieneczki przeznaczonej dla jednej osoby i stajemy przed przybrudzonym lustrem, stykając się ramionami.

- No i jak mi idzie? – pyta Sam, sprawdzając swój makijaż.
- Pytanie, co właściwie robisz.
- Jestem miła. Nie o to ci chodziło?
- No tak...
- Więc w czym problem?
- Po prostu trochę przystopuj – radzę. – Jeśli przeszarżujesz, Coop się połapie, że udajesz.
- I co wtedy?
- Może się zrobić niezręcznie.
- Mnie to nie rusza – stwierdza Sam.

Przeszukuję torebkę z nadzieją, że zawieruszyła się tam jakaś tabletką xanaxu.

– Ale Coopowi może się to nie spodobać.

– O! – W tym jednym dźwięku mieści się morze aluzji. – Czyli coś się między wami pokomplikowało.

– To tylko znajomy – podkreślam.

– Jasne. Znajomy.

– Serio.

Na dnie torebki znajduję kilka listków gumy do żucia i jednego zakurzonego mentosa. Żadnego xanaxu. Zamykam suwak.

– Niczego nie twierdzę – mówi Sam.

– Nie, tylko sugerujesz.

– Ja? – Udaje urażoną. – Wcale nie sugeruję, że masz chrapkę na tego seksownego glinę.

– Chyba właśnie to zrobiłaś.

– Ja tylko mówię, że jest seksowny.

– Nie zauważyłam.

Sam wyjmuje błyszczyk i szybkim ruchem nakłada go na obie wargi.

– Pieprzysz, mała. Tego nie da się nie zauważyć.

– A jednak. On uratował mi życie. O kimś takim nie myśli się w ten sposób.

– Faceci myślą. Udają, że nie, ale to ściema.

Ostatnią uwagę wygłasza tonem doświadczonej starszej siostry pouczającej młodszą w sprawach seksu. Ciekawe, z jakimi mężczyznami się umawia. Pewnie ze starszymi. Motocyklistami o wielkich klatkach, jeszcze większych brzuchach i przyprószonych siwizną brodach. A może woli młodszych. Błdych, żylastych wymoczków, tak niedoświadczonych, że wdzięczni są choćby za zrobienie im laski na odczepnego.

– Nawet gdyby Coop tak o mnie pomyślał – mówię – to jako dżentelmen pominąłby to milczeniem.

– Dżentelmen? – prychna Sam. – To gliniarz. A z doświadczenia wiem, że prawdziwe z nich jebaki.

Nie reaguję, bo wiem, że ona tylko czeka na wyraz dezaprobaty z mojej strony, aby mnie zbesztać, że taka ze mnie cnotka. Janelle ciągle tak robiła.

– Żartuję – mówi Sam. – Wyluzuj.

Kolejna ze sztuczek Janelle. Gdy tylko poczuła, że przeholowała, wycofywała się, obracając wszystko w żart. Tyle że Sam robi coś więcej.

– Wybacz, Quinn. Przystopuję. Serio. – Zanurza rękę w kieszeni. – A przy okazji: pomyślałam, że to ci się spodoba. Coś do twojej szuflady skarbów.

Wyjmuje pióro Montblanc, gładkie i lśniące jak srebrny pocisk, i wciska mi je do ręki. Jeszcze przed chwilą należało do brodatego pisarza z kawiarni. Teraz należy do nas. Stało się naszym nowym wspólnym sekretem.



PINE COTTAGE

18:58

Musieli przebrać się do kolacji. Kolejna zasada Janelle. Zanim ruszyli w drogę, dopilnowała, aby każdy zabrał ze sobą stosowny strój. „Flejtuchy wrócą do domu”, zapowiedziała.

Quincy spakowała dwie sukienki – jedyne dwie, które przywiozła ze sobą do college’u. Obie wybrała jej matka w złudnej nadziei, że Quincy – tak jak kiedyś ona – będzie brylowała na imprezach studenckich.

Jedna z tych sukienek była czarna i Quincy uznała, że nada się na tę okazję. Niestety w mizernym oświetleniu leśnej chaty wyglądała w niej raczej jak wdowa na pogrzebie niż Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany’ego*. Pozostawała więc ta niebieska, która nagle wydała jej się nie tak gustowna, jak dotąd sądziła.

– Wyglądam jak klucha – stwierdziła Quincy.

Wiedziała, że ma rację, bo Janelle miała bardziej przerażoną minę, niż kiedy pół godziny temu niemal odcięła sobie palec. Teraz wycelowała go, owinięty pomarszczonym plastrem, w Quincy.

– Gorzej – orzekła. – Wyglądasz jak dziewica.

– To nie powód do rozpacz.

– Owszem, jeżeli chcesz, żeby ktoś cię bzyknął.

– Craig wie, że to będzie mój pierwszy raz.

– A w tej kiecce nie dasz mu o tym zapomnieć – ucięła Janelle i jeszcze raz omiotła ją od stóp do głów. – Mam pomysł.

Otworzyła jedną ze swoich dwóch waliz i rzuciła coś przyjaciółce. To była sukienka. Z białego jedwabiu. Chłodna i połyskująca jak woda w basenie.

– A biały to nie jest przypadkiem najbardziej dziewiczy z kolorów? – spytała Quincy.

– Kolor dziewicy, ale fason ładacznic. Dwa w jednym. Craig będzie zachwycony.

Quincy przewróciła oczami. Janelle miała istną obsesję na punkcie zespołu Madonny i ładacznic, odkąd usłyszała o nim na wykładach ze wstępu do psychologii.

– A ty co włożysz?

Janelle znowu zajrzała do walizki.

– Przywiozłam zapasową oczywiście.

– Oczywiście.

Quincy przyłożyła sukienkę do ciała i przejrzała się w brudnym kwadratowym lustrze, które wisiało w pokoju. Głęboki dekolt i asymetryczna spódnica były nieco zbyt seksowne jak na jej gust. Mimo że stała plecami do przyjaciółki, Janelle i tak wyczuła jej wahanie.

– Po prostu ją przymierz, Quinn.

Quincy zdjęła niebieską sukienkę, a Janelle natychmiast skorzystała z okazji, aby obrzucić krzywym spojrzeniem jej stanik i majtki. Nie do pary i znoszone, stanowiły wręcz antytezę seksapilu.

– Boże, Quinn, serio? Czy ty nie zaplanowałaś tego weekendu pod żadnym względem?

– Nie – odparła Quincy, przyciskając do piersi dopiero co zdjętą sukienkę, jakby próbowała się za nią ukryć. – Bo planowanie oznacza presję, a ja nie chcę czuć presji. Cokolwiek zrobimy z Craigiem w ten weekend, chcę, żeby stało się to naturalnie.

Janelle posłała przyjaciółce siostrzany uśmiech i odgarnęła kosmyk blond włosów z jej twarzy.

– Trochę nerwów to nic złego.

– Nie denerwuję się. – Quincy skrzywiła się, słysząc nerwowe drżenie we własnym głosie. – Po prostu... nie mam doświadczenia. A co, jeśli jestem...

– Kiepska w te klocki?

– Hmm, można to tak ująć.

– Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz – stwierdziła Janelle.

– A jeśli Craigowi nie będzie się podobało?

Quincy przypomniało się, co Janelle mówiła wcześniej, o tym, że poza nią Craig ma mnóstwo innych opcji do wyboru. Doskonale wiedziała o cheerleaderkach, które mizdrzą się przed nim po meczach, i o kibickach szkolnej drużyny, które wykrzykują jego imię na dziedzińcu college'u. Każda z nich aż nazbyt ochoczo wskoczyłaby na miejsce Quincy, gdyby Craig poczuł się nią rozczarowany.

– Będzie mu się podobało – oświadczyła Janelle. – Przecież to facet.

– A jeśli mnie się nie spodoba?

– Spodoba ci się. Po prostu trzeba się przyzwyczaić.

Quincy poczuła, jakby coś zatrzepotało jej w brzuchu. Coś większego niż motyl. Raczej ptak.

– Długo trwa to przyzwyczajanie?

– Będzie dobrze – zapewniła ją Janelle. – A teraz pokaż mi się w tej kiece.

Quincy włożyła sukienkę i poczuła łaskotanie białego jedwabiu na nagich udach. Gdy poprawiała ramiączko, Janelle zapytała:

– Co sądzisz o Joem? Nie rajcuje cię?

– Raczej przyprawia o ciarki – odparła Quincy.

– Jest tajemniczy.

– To prawie to samo.

– A ja myślę, że jest tajemniczy. I seksowny.

– I zajęty – dodała Quincy. – Nie zapominaj, że ma dziewczynę.

Teraz Janelle przewróciła oczami.

– Nieważne.

– Tak dla zasady chciałabym zaznaczyć, że reszta z nas go tu nie chce. Zgadzą się, żeby został, tylko dlatego, że masz urodziny.

– Niech ci będzie – skwitowała Janelle. – I nie martw się. Osobiście dopilnuję, żeby się dobrze bawił.

Quincy uporowała się z sukienką i cofnęła o krok, aby Janelle zapięła jej suwak na plecach. Potem obie uważnie przyjrzały się jej odbiciu w lustrze. Sukienka była bardziej obcisła niż te, w których zwykle chodziła Quincy, ale Janelle miała rację. Wyglądała w niej seksownie.

– No, no – wyrwało jej się.

Janelle gwizdnęła z uznaniem.

– Wyglądasz tak, że sama mogłabym cię bzyknąć.

– Dzięki. Chyba.

Janelle poprawiła jeszcze to i owo, obciągając dół sukienki i wygładzając zmarszczki materiału na łopatkach przyjaciółki.

– Idealnie.

– Tak myślisz? – spytała Quincy, choć sama wiedziała, że wygląda naprawdę idealnie. A jednak coś nadal ją niepokoiło.

– O co chodzi? – spytała Janelle.

– Będzie bolało, prawda?

– Tak – odparła z westchnieniem Janelle. – Ale będzie też przyjemnie.

– A czego poczuję więcej? Bólu czy przyjemności?

– I tu się zdziwisz. To jest jedno i to samo.

Quincy spojrzała prosto w oczy swojemu odbiciu w lustrze i poczuła się nieswojo, widząc w nich strach.

– Jesteś pewna?

– Możesz mi wierzyć. – Janelle mocno objęła przyjaciółkę od tyłu. – Czy ja bym ci mogła wciskać kit?



16

Coop nalega, aby odprowadzić nas do mojego mieszkania, mimo że obie z Sam doskonale potrafimy o siebie zadbać. Czego dowiodła wczorajsza noc. Sam idzie obok niego, starannie dopasowując krok do jego tempa.

Ja trzymam się z tyłu, kierując twarz ku słońcu. Trwa jasne, gorące popołudnie – ostatnie przebłyski babiego lata, zanim zima zacznie powoli przejmować kontrolę. Siniak na mojej twarzy, rozgrzany słońcem, lekko pulsuje. Wyobrażam sobie, jak czerwienieje i staje się widoczny na skórze. Chcę, żeby Coop się odwrócił, wreszcie go zauważył i z niepokojem szeroko otworzył oczy. On jednak wciąż idzie o dwa kroki przede mną, a Sam obok niego, krok w krok. Zgodnie skręcają za róg, w Osiemdziesiątą Drugą Ulicę.

I nagle oboje stają jak wryci.

Ja również.

Coś się dzieje przed moim budynkiem. Kłębi się tam horda dziennikarzy, tak liczna i głośna, że zwraca naszą uwagę, choć dzielą nas dwie przecznice.

– Coop – wykrztuszam słabym głosem, który brzmi jak jego własne echo. – Coś jest nie tak.

– No co ty nie powiesz – prycha Sam.

– Spokojnie – mówi Coop. – Nie wiemy na pewno, po co przyszli.

A jednak wiem. Przyszli po nas.

Sięgam do torebki i wydaję telefon, który wyłączyłam, kiedy razem z Sam wyszliśmy z mieszkania. Ożywa istną eksplozją powiadomień. Nieodebrane połączenia. Nieodczytane maile i esemesy. Przesuwam je zdrętwiałymi z niepokoju dłońmi. Większości numerów nie znam – pewnie należą do dziennikarzy. Jedyny, który rozpoznaję, należy do Jonaha Thompsona. Dzwonił trzy razy.

– Lepiej stąd chodźmy – mówię, bo dobrze wiem, że za chwilę ktoś nas zauważy. – Albo odjedźmy taksówką.

– Niby dokąd? – pyta Sam.

– Nie wiem. Do biura Jeffa. Do Central Parku. Dokądkolwiek, byle dalej stąd.

– To wcale nie taki zły pomysł – odzywa się Coop. – Zyskamy trochę czasu i dowiemy się, co się dzieje.

– A oni nie mogą tu przecież koczować bez końca. – Zerkam w głąb ulicy na skłębiony tłum, który przez ostatnie pół minuty chyba jeszcze się powiększył. – Prawda?

– Nie będę tyle czekała – mamrocze Sam.

Rusza naprzód, prosto ku reporterom. Chwytam za tył jej bluzki i ciągnę, próbując ją zatrzymać. Na próżno. Jedwab wyslizguje mi się z palców.

– Zrób coś – ponaglam Coopa.

Ale on tylko odprowadza Sam spojrzeniem zwężonych w szparki błękitnych oczu. Sama nie wiem, czy błyska w nich niepokój, czy podziw. Może jedno i drugie. Ja jednak czuję wyłącznie to pierwsze i dlatego biegnę co tchu za Sam; doganiam ją w chwili, kiedy dociera do mojej przecznicy.

Oczywiście reporterzy nas dostrzegają, niemal jednocześnie odwracają głowy w naszą stronę. Jak stado sępów, które właśnie ujrzały świeżą padlinę. Kamerzyści przepychają się wzajemnie, walcząc o najlepsze miejsce. Fotoreporterzy przykucają między nimi, migawki trzaskają.

Jednym z nich jest Jonah Thompson – jakżeby inaczej – i razem z innymi wykrzykuje nasze imiona, kiedy się zbliżamy. Jakby nas znał. Jakby mu na nas zależało.

– Quincy! Samantha!

Cofamy się o kilka kroków, osaczone gęstym kręgiem kamer i mikrofonów. Nagle czuję na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, ciężkiej i silnej. Nawet nie muszę się oglądać, by wiedzieć, że należy do Coopa, który w końcu nas dogonił.

– Koniec przedstawienia – mówi do reporterów. – Dajcie im przejść.

Sam rusza przed siebie. Zamaszystymi ruchami rąk toruje sobie drogę, nie przejmując się, że komuś przyłoży.

– Wypierdalać stąd, kurwa, ale już! – wykrzykuje, doskonale wiedząc, że materiał z przekleństwami nie trafi do wiadomości telewizyjnych. – Nie mamy wam, kurwa, nic do powiedzenia.

– Czy to znaczy, że nie będzie komentarza? – pyta jakiś facet. To jeden z reporterów telewizyjnych; kamera za jego plecami wpatruje się w Sam

niczym oko wściekłego cyklopa.

– No, kurwa, raczej nie.

Odwraca od niego wzrok i patrzy na mnie. Błyski fleszy zalewają Sam luminescencyjną poświatą, która spłaszczcza jej rysy, a twarz czyni tak bladą i wyzutą z emocji jak księżyc w pełni.

Kątem oka dostrzegam przedzierającego się ku mnie Jonaha.

– Naprawdę nie zamierzacie skomentować tej sprawy z Lisą Milner? – pyta.

Nagle obudzona ciekawość popycha mnie w jego stronę. Lisa popełniła samobójstwo parę dni temu. Przy dwudziestoczterogodzinnym cyklu nadawania wiadomości to cała wieczność. Czyli chodzi o coś innego. O coś nowego.

– Co masz na myśli? – pytam, podchodząc bliżej.

Kamery natychmiast zajmują miejsce, które zwolniłam, i znowu ciasno mnie otaczają.

– To, że ona się nie zabiła – odpowiada Jonah. – Jej śmierć uznano za zabójstwo. Lisa Milner została zamordowana.

Oto szczegóły:

W noc swojej śmierci Lisa Milner spożyła dwa kieliszki merlota. Nie piła sama. Ktoś u niej był i też pił wino. Ten sam ktoś zaprawił kieliszek Lisy sporą dawką anitrofiliny, silnego antydepresanta, który czasami służy jako środek nasenny dla osób po wyjątkowo ciężkich przeżyciach. W organizmie Lisy wykryto go w ilości zdolnej powalić dorosłego goryla.

Wino i anitrofilinę wykryto dzięki testom toksykologicznym przeprowadzonym po śmierci Lisy. Gdyby ich nie wykonano, wszyscy nadal uważaliby, że się zabiła. Zresztą nawet teraz nie wykluczano

samobójstwa. Policjanci trafili na ślady anitrofiliny na blacie kuchennym. Nie znaleźli natomiast pustej buteleczki po leku ani recepty wypisanej przez lekarza Lisy, co jednak niewiele znaczy w dobie internetowych aptek, które za potrójną stawkę sprowadzają leki z Kanady. Wszystko, czego tylko dusza na farmaceutycznym głodzie zapragnie, znajduje się o krok za północną granicą.

Gdy jednak okazało się, że raport toksykologiczny jest pełen niespodzianek, do domu Lisy ponownie wysłano zespół techników kryminalistyki. Dopiero wtedy zbadali wszystko dokładniej, tak jak należało to zrobić już kilka dni wcześniej, kiedy olali sprawę, bo wszyscy uznali, że Lisa sama ze sobą skończyła. Znaleźli kieliszek, którego dno pokrywał osad z anitrofiliny. Na stole w jadalni odkryli dwa kółeczka z zaschniętego wina – ślady po dwóch kieliszkach. Jeden i tylko jeden z tych śladów zawierał anitrofilinę. Nie znaleziono natomiast tego drugiego kieliszka. Ani żadnych oznak walki czy też włamania.

Lisę zabił ktoś, komu ufała.

Lekarz sądowy badający nacięcia na przegubach Lisy zauważył coś dziwnego. Były głębsze niż większość ran, jakie powstają, kiedy ktoś kaleczy się własnoręcznie. Zwłaszcza jeśli ten ktoś jest całkowicie odurzony. Jeszcze wymowniejszy był kierunek tych nacięć – od prawej do lewej na lewym nadgarstku i od lewej do prawej na prawym. Zazwyczaj jest odwrotnie. Zresztą nawet gdyby uznać, że Lisa mogła się pociąć w ten nietypowy sposób, teorii samobójstwa i tak przeczył kąt, pod jakim te nacięcia powstały. Nie było szans, aby zrobiła to sobie sama. Żył podciął jej ktoś inny. Ta sama osoba, która dosypała jej środka nasennego do wina, a potem zabrała ze sobą kieliszek.

Zasadnicze pytanie – oprócz tego, kto to zrobił i dlaczego, rzecz jasna – brzmi: kiedy Lisa zadzwoniła ze swojej komórki pod numer alarmowy?

Policja w Muncie podejrzewa, że stało się to po jej odurzeniu, ale przed podcięciem żył. Zgodnie z tą teorią Lisa zdała sobie sprawę, że została odurzona, i zdołała wybrać numer, lecz zabójca zabrał jej telefon i zakończył połączenie, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Wiedząc, że policja i tak wkrótce się zjawi, morderca chwycił nóż, zaciągnął półprzytomną ofiarę do wanny i podciął jej żyły. To wyjaśnia obecność ran na przegubach, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa zabiłaby ją sama anitrofilina.

Policja nie wie jednego – przynajmniej dopóki nie przejrzy dysku twardego z komputera zamordowanej – a mianowicie, że jakąś godzinę przed tym wszystkim Lisa wysłała maila. Uprzytamniam to sobie, gdy otaczamy komórkę Coopa przełączoną na głośnik, aby żadne z nas nie uroniło ani słowa.

„Quincy, muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Proszę, proszę, nie zignoruj tej wiadomości”.

Znajdujemy się w jadalni, gdzie stoję u szczytu stołu, zbyt zdenerwowana i załamana, by usiąść. Lisa wciąż nie żyje. Ten fakt pozostaje niezmienny. A jednak mój smutek jest teraz inny, bardziej dojmujący.

Morderstwo to coś gorszego niż samobójstwo, choć rezultat jest taki sam. Nawet te dwa słowa się różnią. „Samobójstwo” syczy jak wąż – jest skutkiem choroby umysłu i duszy. „Morderstwo” natomiast kojarzy mi się ze szlamem, ciemnym i gęstym, pełnym bólu. Łatwiej mi było pogodzić się ze śmiercią Lisy, gdy uważałam ją za samobójstwo. Wówczas mogłam myśleć, że sama podjęła decyzję o zakończeniu swojego życia. Ten wybór, słuszny czy niesłuszny, należał do niej.

Morderstwo nie pozostawia wyboru.

Coop i Sam wydają się równie ogłuszeni. Siedzą w milczącym bezruchu po przeciwnych stronach stołu. Ponieważ Coop nigdy nie był w moim mieszkaniu, jego obecność jeszcze pogłębia surrealizm sytuacji. Jest coś nienaturalnego w jego potężnej postaci w cywilnym ubraniu siedzącej niepewnie na delikatnym krześle w mojej jadalni. Jakby to nie był prawdziwy Coop, ale oszust czający się w miejscu, gdzie nie powinno go być.

Tymczasem fałszywa, wesołkowata Sam została w kawiarni, a tutaj jest ta prawdziwa, która obgryza paznokcie aż do krwi, wpatrując się w telefon Coopa, jakby na ekranie widziała naszą rozmówczynię, a nie tylko szarą, niczym się niewyróżniającą sylwetkę.

Głos, który słyszymy, należy do znajomej Coopa z policji stanowej w Indianie. Ma na imię Nancy i jest policjantką, która jako pierwsza przyjechała do żeńskiego akademika po tym, jak Stephen Leibman dokonał w nim krwawej masakry. Dla Lisy była kimś, kim dla mnie jest Coop.

– Nie będę owijała w bawełnę – mówi cicho z wyczerpaniem i smutkiem w głosie. – W tej sprawie jest za mało dowodów.

Nie mogę w pełni skupić się na jej słowach, bo w głowie przez cały czas słyszę głos Lisy odczytującej mi raz po raz swojego maila.

„Quincy, muszę z tobą porozmawiać”.

– Wszystko mogłoby wyglądać inaczej, gdyby ci idioci porządnie przeszukali jej mieszkanie zaraz po znalezieniu ciała, tak jak im mówiłam. Ale tego nie zrobili i Bóg jeden wie, ilu ludzi się tam przewinęło, zanim wreszcie się tym zajęli. Całe miejsce zbrodni jest zanieczyszczone, Frank. Wszędzie pełno odcisków palców.

„To bardzo ważne”.

– Więc mogą nigdy nie znaleźć sprawcy? – pyta Coop.

– Nigdy nie mówię nigdy – odpowiada Nancy. – Ale nie wygląda to za dobrze.

W tej krótkiej chwili ciszy, jaka zapada po jej słowach, wszyscy uświadamiamy sobie, że najprawdopodobniej nigdy nie dowiemy się więcej, niż wiemy teraz. Zabójca nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Motyw tej zbrodni będzie nieznan. Podobnie jak powód, dla którego Lisa napisała do mnie tuż przed tym, jak przełknęła pierwszy łyk wina, nieświadomie przypieczętowując swój los.

„Proszę, proszę, nie zignoruj tej wiadomości”.

Do głowy wślizguje mi się kolejna myśl, złowieszcza i alarmująca.

– Czy Sam i ja powinniśmy się martwić? – pytam.

Coop marszczy czoło, udając, że dotąd o tym nie pomyślał, choć to oczywiście nieprawda.

– No więc? – nie ustępuję.

– Nie sądzę, aby były powody do niepokoju – odpowiada. – Jak myślisz, Nancy?

Z telefonu dobiega niepewny głos Nancy:

– Nic nie wskazuje na to, że ta sprawa ma coś wspólnego z tym, przez co wszystkie przeszłyście.

– A gdyby tak było? – drązę.

– Quincy? – Coop rzuca mi spojrzenie, którego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Jest w nim surowość z nutą rozczarowania, że mogę coś przed nim ukrywać. – O czym mi nie mówisz?

O czymś, co powinnam była mu powiedzieć dużo wcześniej. Nie zrobiłam tego, bo wydawało mi się, że Lisa napisała do mnie w desperackiej nadziei, że wybije jej z głowy samobójcze myśli. Teraz wiem, że się myliłam. I podejrzewam, że ona próbowała mnie ostrzec. Przed czym – nie mam pojęcia.

– Dostałam maila od Lisy – wyznaję.

Sam w końcu odrywa wzrok od komórki Coopa i zastyga z dłonią przy ustach i paznokciem serdecznego palca między zębami.

– Co?!

– Kiedy? – W oczach Coopa żywo płonie niepokój.

– Tej nocy, kiedy umarła. Jakąś godzinę wcześniej, mówiąc ściśle.

– Powiedz mi, co napisała – żąda Coop. – Co do słowa.

Mówię im wszystko. Co było w mailu. Kiedy go dostałam. I kiedy faktycznie go przeczytałam. Próbuję nawet wyjaśnić, dlaczego tak długo nie wspominałam o tym nikomu poza Jeffem, choć Coopowi jest to najwyraźniej obojętne. Skupia się na samym fakcie, że o tym nie wiedział.

– Powinnaś mi o nim powiedzieć, jak tylko go dostałaś, Quincy.

– Wiem – kajam się.

– Wszystko mogło potoczyć się inaczej.

– Wiem, Coop.

Gdybym to zrobiła, być może policja staranniej przeszukałaby dom Lisy i wcześniej odkryto by, że została zamordowana. Może nawet znaleźliby ważną wskazówkę co do tożsamości mordercy. Ta świadomość budzi we mnie poczucie winy, które z kolei przeradza się w gniew. Na siebie. Na zabójcę Lisy. Nawet na samą Lisę za to, że postawiła mnie w takiej sytuacji. Gniew we mnie aż kipi, bierze górę nad smutkiem i zaskoczeniem.

– To też nie znaczy, że ty czy Samantha jesteście zagrożone – stwierdza Nancy.

– Może w ogóle nic nie znaczy – dodaje Coop.

– A może znaczy, że według Lisy ktoś ma nas na celowniku – mówię.

– Niby kto? – pyta Coop.

– Mnóstwo ludzi – odpowiadam. – Wariatów nie brakuje. Sam zaglądałeś na te strony o zbrodniach. Widziałeś, ilu świrów ma obsesję na naszym punkcie.

– Bo was podziwiają – odpowiada Coop. – Za to, przez co przeszłyście. I że zdołałyście przetrwać. Niewielu ludziom by się to udało, Quincy. A wy dałyście radę.

– Więc skąd tamten list?

Nie muszę wyjaśniać, co mam na myśli. Coop doskonale wie, o jakim liście mowa. O tym z pogroźkami. Tym strasznym. Wytrącił go z równowagi tak samo jak mnie.

NIE POWINNAŚ ŻYĆ.
POWINNAŚ BYŁA ZGINĄĆ W TEJ CHACIE.
TWOIM PRZEZNACZENIEM BYŁO ZOSTAĆ
ZŁOŻONĄ W OFIERZE.

Anonim został wystukany na maszynie do pisania. A ten, kto go napisał, walił w klawisze tak mocno, że odciśnięte na papierze litery wyglądały jak wypalone na skórze ślady. Każde „O” było w rzeczywistości zerem, co oznaczało, że klawisz z tą literą był najprawdopodobniej uszkodzony. Coop stwierdził, że dzięki tej wskazówce policja może trafić na trop autora listu. Minęły dwa lata i już nie czekam z zapartym tchem na wielkie odkrycie, zwłaszcza że wyczerpano wszystkie inne możliwości zidentyfikowania sprawcy. Nie znaleziono żadnych odcisków palców ani na papierze, ani na kopercie, którą zakleiono nie przy pomocy śliny, ale wilgotnej gąbki. W ten sam sposób przyklejono znaczek. Natomiast stempel pocztowy wskazywał, że list wrzucono do skrzynki pocztowej w mieście Quincy w stanie Illinois.

To nie był przypadek.

Kiedy dostałam ten list, Jeff i ja mieszkaliśmy razem zaledwie od miesiąca. Dla niego był to pierwszy prawdziwy przedsmak tego, jak będzie wyglądało nasze wspólne życie. Oczywiście wpadłam w histerię i nalegałam na natychmiastową przeprowadzkę. Najlepiej za granicę. Jeff wybił mi to z głowy, tłumacząc, że ten list to tylko obrzydliwy, ale koniec końców nieszkodliwy żart.

Coop jak to Coop, potraktował sprawę poważniej. Wtedy nasz kontakt ograniczał się już do jednego lub dwóch esemesów co kilka miesięcy. Nie widzieliśmy się od ponad roku.

Ten list to zmienił. Kiedy mu o nim powiedziałam, przyjechał, żeby mnie uspokoić. Spotkaliśmy się tam gdzie zawsze, zamówiliśmy kawę i herbatę, a on przysiągł, że nigdy nie pozwoli, aby stało mi się coś złego, i nalegał, abyśmy odtąd widywali się przynajmniej co pół roku. Co było dalej – wiadomo.

– Tamten list napisał szaleniec – mówi Coop. – Chory człowiek. To było dawno temu, Quincy. I nic z tego nie wynikło.

– No właśnie – podchwytyję. – Psycholowi, który mi go przysłał, uszło to na sucho. Ale on wciąż gdzieś tam jest, Coop. I może pisał też do Lisy albo Sam. Może uznał, że pora przejść do działania.

Przenoszę wzrok na Sam, która z każdą chwilą bardziej przypomina dawną siebie. Włosy wysunęły się zza uszu i znowu zasłaniają większość twarzy niczym ochronny welon.

– Dostałaś jakieś pogróżki?

Sam lekko kręci głową.

– Od dawna nie dostaję żadnej poczty. Kiedy żyjesz w ukryciu, nikt nie zna twojego adresu.

– No to teraz znają go wszyscy – mówię. – Był na pierwszej stronie.

Na myśl o Jonahu Thompsonie i o tym, co zrobił, zalewa mnie nowa fala wściekłości. Dłonie zwijają się w pięści wbrew mojej woli, na zmianę zaciskam i rozprostowuję palce, marząc o tym, by przefasonować mu gębę.

– Czy Lisa dostawała jakieś pogróżki? – mówi Coop do Nancy, nachylając się do telefonu.

– Parę razy – odpowiada policjantka. – Niektóre z nich budziły większy niepokój niż inne. Wszystkie traktowaliśmy poważnie i nawet udało nam się namierzyć kilku facetów, którzy je napisali. Same zbzikowane odludki, nic więcej. Na pewno nie zabójcy.

– Czyli uważa pani, że mnie i Sam nic nie grozi? – podsumowuję.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, skarbie – mówi Nancy. – Nic nie wskazuje na jakieś zagrożenie, ale ostrożności nigdy za wiele.

Nie to chciałam usłyszeć i czuję, jak mój gniew rośnie. Pragnę odpowiedzi, potwierdzenia albo zaprzeczenia. Czegoś stanowczego i konkretnego, co pozwoli mi ruszyć naprzód. Bez tego czuję się jak we mgle, gęstej niczym ta, która wczoraj w nocy spowijała Central Park.

– Czy nikogo innego to nie obchodzi? – pytam.

– Oczywiście, że obchodzi – mówi Coop. – I gdybyśmy znali odpowiedź, też byś ją znała.

Odwracam się, nie mogąc dłużej patrzeć mu w oczy, bo chociaż szczerze próbuje mnie pocieszyć, w jego spojrzeniu widzę tylko niepewność. Jak dotąd Coop zawsze był dla mnie prawdziwą opoką, kimś, na kim mogłam polegać, choćby reszta mojego świata waliła się w gruzy. A teraz nawet on nie jest w stanie zapanować nad sytuacją.

– Złóscisz się – mówi.

– Tak.

– To zrozumiałe. Ale nie powinnaś się bać, że to, co się stało z Lisą, spotka też ciebie.

– Dlaczego nie?

– Bo gdyby istniało takie zagrożenie, Nancy by o nim powiedziała – wyjaśnia Coop. – A gdybym sądził, że ktoś naprawdę chce cię skrzywdzić, już wyjeżdżalibyśmy z miasta. Zabrałbym cię tak daleko stąd, że nawet Jeff nie dałby rady cię znaleźć.

Zrobiłby to. Nie mam co do tego wątpliwości. W końcu dostałam odpowiedź, na którą czekałam, i przez chwilę czuję, że to wystarczy, aby stłumić mój gniew. Ale wtedy spojrzenie błękitnych oczu Coopa przenosi się na Sam.

– Ciebie też, Sam – dodaje. – Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Sam kiwa głową. A potem zaczyna płakać. A może płakała już od jakiegoś czasu, tylko mnie i Coopowi jakoś to umknęło. Za to teraz Sam dokładnie starań, aby przyciągnąć do siebie naszą uwagę. Kiedy odgarnia włosy z twarzy, nie sposób nie zauważyć spływających po policzkach łez.

– Przepraszam – mówi. – Ta... cała ta sytuacja... naprawdę daje mi w kość.

Nie ruszając się z miejsca, usiłuję dociec, czy aby łyzy Sam są prawdziwe, po czym robi mi się wstyd, że w ogóle mogłam podejrzewać coś innego. Coop natomiast od razu wstaje i okrążywszy stół, podchodzi do niej.

– To nic złego, że się denerwujesz – mówi. – Ta sytuacja jest trudna dla wszystkich.

Sam kiwa głową i ociera oczy. Wstaje. Wyciąga ręce, szukając pocieszenia w postaci uścisku.

Coop posłusznie ją przytula. Patrząc, jak krzepkimi ramionami obejmuje Sam i przyciska ją do swojego torsu, dając jej to, czego mnie odmawiał przez ostatnie dziesięć lat.

Odwracam wzrok i maszeruję do kuchni. Łykam drugi xanax i zabieram się do pieczenia.



17

Właśnie przygotowuję ciasto na pierogi z jabłkami, kiedy Coop w końcu przychodzi do kuchni. Na blacie przede mną stoi rząd miseczek ze składnikami. Mąka, sól, proszek do pieczenia, tłuszcz roślinny i trochę mleka, żeby wszystko ze sobą połączyć. Coop opiera się o futrynę drzwi i w milczeniu przygląda się temu, jak mieszam suche składniki, dodaję tłuszcz, a na koniec mleko. Wkrótce na blacie leży wielka kula ciasta, pulchna i lśniąca. Zaciskam pięść i kilka razy mocno w nią uderzam, rozgniatając ją w nieforemną masę.

- Trzeba je odgazować – wyjaśniam.
- Rozumiem – mówi Coop.

Biję dalej, a ciasto ugina się pod moimi knykciami. Przystaję dopiero, kiedy czuję, że uderzam w blat pod spodem; wtedy wycieram ręce.

– Gdzie Sam?

– Chyba poszła się położyć – odpowiada Coop. – W porządku?

Z trudem rozciągam usta w nieszczerym uśmiechu.

– Wszystko gra.

– Nie wydaje mi się.

– Serio, jest dobrze.

– Przykro mi, że jeszcze nie wiemy więcej o morderstwie Lisy. Rozumiem, że to dla ciebie trudne.

– Owszem – przytakuję. – Ale poradzę sobie.

Wielkie bary Coopa opadają, wręcz klęsną, jakby nagle uszło z nich powietrze. Biorę garść mąki i równomiernie rozsypuję ją na blacie. Potem ciskam na nią ciasto, aż w górę wzbijają się białe obłoczki. Rozwałkowuję ciasto długimi, mocnymi pociągnięciami wałka. Czuję, jak przy każdym ruchu napinają mi się mięśnie ramion.

– Odłożysz to i porozmawiasz ze mną, Quincy?

– Nie ma o czym – odpowiadam. – Mam nadzieję, że uda się złapać osobę, która zabiła Lisę, i wszystko wróci do normy. A do tego czasu ufam, że zrobisz, co w twojej mocy, żebym była bezpieczna.

– Taki mam plan.

Coop ujmuje mój podbródek, jak niegdyś robił to mój ojciec. Zazwyczaj wtedy, kiedy razem piekliśmy, a ja niezmiennie coś partaczyłam. Wysypywała mi się mąka z miski albo tak niezdarnie rozbijałam jajko, że drobinki skorupki lądowały w żółtku. Denerwowałam się, a on chwycił mój podbródek między palec wskazujący a kciuk i unosił go lekko, żeby mnie uspokoić. Mimo że teraz robi to Coop, efekt jest taki sam.

– Dziękuję – mówię. – Naprawdę. Wiem, że czasem bywam okropna. Szczególnie w taki dzień jak dziś.

Coop zaczyna coś mówić. Słyszę cichy mlask, kiedy język odkleja się od zębów, aby sformułować pierwsze słowo. Ale wtedy otwierają się drzwi wejściowe i w mieszkaniu rozlega się głos Jeffa.

– Quinn? Jesteś w domu?

– W kuchni.

Jeff zręcznie ukrywa zaskoczenie obecnością Coopa. Ledwie drgnęła mu powieka, to wszystko.

Ułamek sekundy zajmuje mu zrozumienie sytuacji i uświadomienie sobie, że Coop znalazł się tu z tego samego powodu, dla którego i on wrócił do domu wczesnym popołudniem z kartonem wina i dwiema torbami jedzenia na wynos z mojej ulubionej tajskiej knajpy.

– Wyszedłem z pracy, gdy usłyszałem, co się stało – mówi, wkładając dania do lodówki. – Dzwoniłem, ale od razu włączała się poczta głosowa.

To dlatego, że wyłączyłam komórkę, jak tylko weszliśmy do mieszkania. Przypuszczam, że esemesów, maili i nieodebranych połączeń mam już tyle, że chyba nigdy nie zdołam się przez nie przekopać.

Mając już wolne ręce, Jeff przyciąga mnie do siebie i przytula.

– Jak się czujesz?

– Wszystko gra – oznajmia sucho Coop.

Jeff kiwa głową w jego kierunku, dopiero teraz dając mi wyraźny sygnał, że zauważył jego obecność. Potem zwraca się do mnie:

– Na pewno?

– Jasne, że nie – odpowiadam. – Jestem wstrząśnięta, smutna i wściekła.

– Biedna Lisa. Chyba już wiedzą, kto to zrobił, prawda?

Kręcę głową.

– Nie. Ani kto, ani dlaczego. Wiedzą tylko jak.

Jeff, nie wypuszczając mnie z objęć, jeszcze raz odwraca się do Coopa. Moja oparta o jego pierś głowa mimowolnie obraca się razem z nim.

– Cieszę się, Franklin, że byłeś tu z Quinn i Sam. Na pewno dodałeś im obu otuchy.

– Żałuję, że nie mogłem zrobić nic więcej – mówi Coop.

– I tak wiele zrobiłeś – stwierdza Jeff. – Quinn ma szczęście, że jesteś w jej życiu.

– I ty – mówię do Jeffa. – Mam szczęście, że ty jesteś w moim życiu.

Przywieram do Jeffa, czując na policzku gładkość jego krawata. Chyba myśli, że robię to ze zdenerwowania – może ma rację – i przyciska mnie do siebie jeszcze mocniej. Wtulam w niego twarz; ciało Jeffa wypełnia mi pole widzenia i przesłania postać Coopa, który wpatruje się we mnie z drugiego końca kuchni.

Później Jeff i ja oglądamy kolejny film noir, leżąc w łóżku. To *Zostaw ją niebiosom*, z Gene Tierney w roli chorobliwie zazdrosnej, morderczej żony. Obdarzonej urodą. Dotkniętej psychiczną skazą. Po filmie oglądamy późne wydanie wiadomości, dopóki nie zaczyna się materiał poświęcony sprawie prowadzonej przez Jeffa. Związek zawodowy policjantów zorganizował konferencję prasową z udziałem wdowy po zabitym funkcjonariuszu, domagając się surowszych kar dla winnych przestępstw popełnionych na policjantach. Zanim Jeff zdąży chwycić pilota i wyłączyć telewizor, przez ułamek sekundy widzę na ekranie twarz wdowy. Błądą, pooraną głębokimi zmarszczkami, naznaczoną smutkiem.

– Chciałam to obejrzeć – protestuję.

– Myślałem, że wolisz odetchnąć od złych wiadomości.

– Nic mi nie jest – zapewniam go.

– Tak jak Sam nic nie jest. I Coopowi też.

Coop pożegnał się parę minut po powrocie Jeffa, mamrocząc wymówkę o długiej podróży do Pensylwanii. Sam była wyraźnie przygaszona i prawie się nie odzywała przez większą część kolacji. Ja natomiast byłam niezmiennie wściekła, mimo xanaxu, sesji pieczenia i chyba połowy kartonu wina. I nadal jestem, choć minęło już ładnych kilka godzin. Ciągle wypełnia mnie irracjonalna, wszechogarniająca wściekłość.

Na wszystko i na nic. Na życie.

– Wiem, jak ci ciężko.

– Nie masz o tym żadnego pojęcia – pry cham.

Przemawia przeze mnie coś więcej niż złość. Taka jest brutalna prawda. Jeff nie wie, jak to jest, kiedy jedna z dwóch osób takich jak ty nagle znika z powierzchni ziemi. Nie wie, jakie to smutne, straszne i konsternujące uczucie.

– Przepraszam – kaja się. – Masz rację. Nie wiem, jak to jest. I nigdy się nie dowiem. Ale rozumiem, że jesteś wściekła.

– Nie jestem – kłamię.

– Jesteś. – Urywa.

Spinam się w sobie, bo wiem, że zaraz powie coś, czego nie chcę usłyszeć.

– A skoro już i tak się złościysz, to równie dobrze mogę ci powiedzieć, że znowu muszę jechać do Chicago.

– Kiedy?

– W sobotę.

– Ale dopiero co stamtąd wróciłeś.

– To fatalny moment, wiem – mówi Jeff. – Tylko że pojawił się nowy świadek, gotów potwierdzić dobrą reputację mojego klienta.

Wbijam wzrok w wyłączony telewizor, oczyma wyobraźni wciąż widząc na ekranie twarz wdowy po policjancie.

– Och – bąkam.

– To jego kuzyn – ciągnie Jeff, choć wcale nie chcę słuchać o dobrej reputacji jego klienta. – Jest pastorem. Razem dorastali. Razem zostali ochrzczeni. To naprawdę może mi pomóc w jego obronie.

Przekręcam się na bok, twarzą do ściany.

– On zabił policjanta.

– Rzekomo – poprawia mnie Jeff.

Myślę o Coopie. A gdyby to jego zastrzelił tamten typ? Albo gdyby zamordował Lisę? Czy wtedy też musiałabym udawać, jak bardzo się cieszę, że słodkie pierdzenie jakiegoś klechy może skrócić jego wyrok? Na pewno nie. A jednak Jeff najwyraźniej tego ode mnie oczekuje.

– Ale wiesz, że według wszelkiego prawdopodobieństwa on jest winny, prawda? – pytam. – Że zastrzelił tego policjanta, tak jak się powszechnie uważa.

– Nie mnie o tym decydować.

– Doprawdy?

– Oczywiście – odpowiada Jeff z rozdrażnieniem równym mojemu. – Nieważne, o co jest oskarżony. Jak każdy człowiek zasługuje na dobrą obronę.

– Ale uważasz, że to zrobił?

Opieram się na łokciu i oglądam przez ramię na Jeffa. Wciąż leży na plecach z rękami pod głową i wpatruje się w sufit. Mruga jeden raz, a ja

w tym krótkim ruchu powiek dostrzegam całą prawdę. On wie, że jego klient jest winny.

– Nie jestem droгим obrońcą, który specjalizuje się w sprawach karnych – mówi, jakby to była jakaś różnica. – Nie bogacę się na obronie ewidentnych morderców. Stoję na straży amerykańskiego systemu sprawiedliwości. Każdy ma prawo do uczciwego procesu.

– A co, gdyby przydzielono ci obronę kogoś naprawdę złego? – pytam, opadając z powrotem na bok i tracąc go z oczu.

– Wtedy nie miałbym wyboru.

A właśnie że miałby. Gdyby jego klientem został rzeźnik Stephen Leibman albo Calvin Whitmer, Workowy, mógłby odmówić, uznając, że tacy jak oni nie zasługują na obronę.

W głębi duszy wiem jednak, że Jeff nie skorzystałby ze swego prawa do odmowy. Stanąłby po ich stronie. Aby ich bronić. Aby im pomóc.

Nawet Jemu.

– Zawsze jest wybór – mówię.

Jeff milczy. Wpatruje się w sufit, aż w końcu jego powieki robią się ciężkie i się zamykają. Kilka minut później już śpi.

Ja nie mogę zasnąć. Nadal jestem wściekła. Więc tylko wiercę się pod kołdrą, szukając wygodnej pozycji. Szczerze mówiąc, robię to także dlatego, że jakaś część mnie chce obudzić Jeffa. Żeby też nie mógł spać. Ale mijają kolejne godziny – dwudziesta trzecia, północ, potem pierwsza – a on śpi w najlepsze.

Kwadrans po pierwszej wyślizguję się z łóżka, wskakuję we wczorajsze ciuchy i przemykam na palcach przez korytarz. Pod drzwiami pokoju Sam nadal widać smugę światła, więc pukam.

– Wejdz, Quinn – słyszę.

Siedzi po turecku na łóżku i czyta kieszonkowe wydanie powieści Asimova, odginając miękką okładkę do tyłu. Przebrała się z powrotem w czarne dżinsy i T-shirt Sex Pistols. Na wierzch narzuciła skórzaną kurtkę. Kiedy podnosi na mnie wzrok, mam wrażenie, że wyczuwa mój gniew. I doskonale wie, po co przyszłam.

W milczeniu zsuwa się z łóżka i grzebie w plecaku, aby po chwili wyjąć z niego, o dziwo, torebkę. Istne paskudztwo ze skaju, o krótkich uchwytych, które da się przesunąć tylko do zgięcia łokcia. Następnie wyciąga z plecaka stos książek w miękkich okładkach i wpycha je do torebki.

– Łap – mówi, rzucając mi ją, jakby to była piłka.

Łapię ją posłusznie, zaskoczona jej ciężarem.

– Po co to?

– Przynęta.

Bez słowa wychodzę za Sam z pokoju, ściskając uchwyty torebki w spoczonej dłoni, a po chwili wmykamy się z budynku prosto w noc.



18

Powietrze jest czyste, ale nieco zbyt ciepłe jak na tę porę roku, a przez to męcząco duszne. Jakby wciąż przesiąknięte dziennym upałem. Nim docieramy do parku, jestem już cała spocona, a twarz mam lepka i lśniąca.

W parku jest tak gorąco, że większość kręcących się tu mężczyzn rzuciła bluzy z kapturem i z zadowoleniem buszuje po parku w obcisłych T-shirtach.

Niektórych pozdrawiamy skinieniem głowy, jakbyśmy były jednymi z nich, jakbyśmy też wyruszyły na łowy.

W pewnym sensie tak jest.

Tym razem nie ma mgły. Nocne powietrze jest niemal krystalicznie czyste. Żdźbła trawy odbijają księżycowy blask, połyskują bielą niczym

ostre kły. Liście zwisają smętnie z gałęzi drzew jak chmary świeżo powieszonych wisielców.

Wybieramy ławkę stojącą niedaleko tej, na której siedzieliśmy zeszłej nocy. Widzę ją po drugiej stronie alejki, w plamie światła latarni. Przypominam sobie, jak zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu siedziałam na niej, dygocząc z nerwów i marząc tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu. Teraz omiatam uważnym spojrzeniem pobliskie ciemne zakamarki. Każdy cień zdaje się grozić jakimś bliżej nieokreślonym niebezpieczeństwem. Jestem na nie gotowa. Pragnę go.

– Widzisz coś? – pytam.

– Nie – odpowiada Sam.

Wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i wyłuskuje jednego.

Wyciągam rękę.

– Daj.

– Serio?

– Kiedyś paliłam – mówię, choć w rzeczywistości robiłam to tylko raz, i to wyłącznie dlatego, że podjudziła mnie Janelle. Gdy tylko się zaciągnęłam, zaczęłam tak gwałtownie kaszleć, że musiała odebrać mi tego papierosa, aby mi bardziej nie zaszkodził. Dzisiaj radzę sobie lepiej: lekko zaciągam się aż dwa razy, zanim zanoszę się kaszlem.

– Amatorka – prychna Sam i sztachnąwszy się głęboko, wypuszcza kilka kółek dymu.

– Szpanerka – odcinam się.

Potem już tylko trzymam papierosa, podczas gdy ona wypala resztę swojego, i obie czujnie się rozglądamy, ani na chwilę nie przestając lustrować ciemnych czeluści parku.

– Jak się czujesz? – pyta Sam. – W związku z Lisą.

– Jestem wściekła.

– I dobrze.

– Spotkało ją coś potwornego. Już chyba łatwiej było...

Reszta tego zdanie nie chce mi przejść przez gardło. Że dopóki śmierć Lisy wydawała się samobójstwem, łatwiej było się z nią pogodzić. Coś takiego trudno powiedzieć na głos, nawet jeśli to prawda.

– Naprawdę uważasz, że ktoś na nas dybie? – pyta znów Sam.

– To niewykluczone – odpowiadam. – Jesteśmy sławne, w pewnym sensie.

A raczej niesławne. Znane z tego, że uszliśmy z życiem z niewyobrażalnej wręcz makabry. Niektórzy ludzie – tacy jak psychol, który pojechał do Quincy w Illinois, aby wysłać mi tamten list – mogą uznać to za wyzwanie dla siebie. I chcieć dokończyć to, co nie udało się komuś innemu.

Sam wciąga w płuca resztki dymu ze swojego papierosa. Potem go wydmuchuje, jednocześnie mówiąc:

– Zamierzałaś mi w ogóle powiedzieć o tym mailu od Lisy?

– Nie wiem – odpowiadam. – Chciałam.

– Więc czemu tego nie zrobiłaś?

– Bo nie wiedziałam, co właściwie oznacza.

– Teraz wiadomo: że coś nam grozi.

I mimo to siedzimy w Central Parku o tej karygodnej porze, jakbyśmy same prosiły się o kłopoty. Wręcz na nie liczymy. A jednak, chociaż powietrze tej nocy jest takie przejrzyste, nigdzie wokół nie widzę niczego godnego uwagi. Na ścieżce przed nami rozciągają się jedynie nasze cienie, na których tle jarzą się dwa dogasające niedopałki papierosów, to wszystko.

– Co jeśli nic się nie wydarzy? – pytam.

Sam ruchem głowy wskazuje na torebkę, którą wciąż trzymam na przedramieniu.

– Mamy przynętę.

– Kiedy jej użyjemy?

Unosi jedną podkreśloną brew i uśmiecha się mimowolnie.

– Teraz, jeśli chcesz.

Szybko układamy plan. Ponieważ jestem niższa, a zatem stanowią łatwiejszy cel, będę przechadzała się samotnie po parku, obnosząc się z wabikiem w postaci torebki. Sam pójdzie za mną w dyskretnej odległości i z dala od ścieżki, dzięki czemu trudniej będzie ją zauważyć. Jeśli ktoś na mnie napadnie, będziemy gotowe do kontrataku.

To solidny plan. Choć odrobinę lekkomyślny.

– Jestem gotowa – oznajmiam.

Sam wskazuje w głąb prowadzącej między drzewa ścieżki.

– Bierz ich, tygrysico.

Z początku idę za szybko. Torebka kołysze się dziko, kiedy zasuwam przed siebie żwawym krokiem, który mógłby zniechęcić do napadu nawet najbardziej doświadczonych bandziorów. Pędzę tak szybko, że Sam ledwo za mną nadąża.

Oglądam się przez ramię i widzę ją daleko z tyłu, jak kluczy między drzewami i pospiesznie przemyka przez trawę.

Po chwili zwalniam, przypomniawszy sobie, że mam pozować na bezbronną i łatwą zdobycz. Poza tym nie chcę, żeby Sam została za daleko z tyłu, bo wtedy mogłaby nie zdążyć nadbiec z pomocą, gdybym jej potrzebowała. W końcu zaczynam iść spokojnym, miarowym krokiem, kierując się na południe alejką obiegającą brzeg jeziora. Nikogo nie widzę.

Od czasu do czasu słyszę jedynie jakiś samochód przejeżdżający Central Park West i chrzęst własnych butów na ścieżce.

Z prawej strony, kawałek dalej, ciągnie się wysoki kamienny mur otaczający park. Z lewej mam jezioro, w którego gładkiej powierzchni odbijają się połyskujące światła budynków przy Upper West Side.

Nagle tracę z oczu Sam, która wciąż przemyka się w mroku gdzieś za moimi plecami. Jestem sama, co jednak nie wytrąca mnie z równowagi tak bardzo, jak powinno. Już bywałam sama w gęstwinie. W sytuacjach o wiele groźniejszych niż obecna.

Zrobienie pętli zajmuje mi kwadrans. Zatrzymuję się w miejscu, z którego wyruszyłam. Ciało mam lepkie od potu, a pod pachami dwie wilgotne plamy. Rozsądek podpowiada mi, że powinnam odszukać Sam i wracać do domu, do łóżka, do Jeffa.

Ale nie mam ochoty słuchać podszeptów rozsądku. Nie po dniu, który mam za sobą. W moich trzewiach powstaje ssący ból przypominający uczucie głodu. Jedno przejście przez park na pewno go nie ukoi. Więc zaczynam drugie okrążenie i znowu idę ścieżką wokół jeziora. Tym razem od lustra wody odbija się mniej światła. Otaczające mnie miasto zaczyna zasypiać i kolejne okna gasną jedno po drugim. Kiedy docieram do Bow Bridge na południowym końcu jeziora, robi się znacznie ciemniej. Noc otula mnie coraz mocniej, coraz bardziej pogrążam się w jej mroku.

I z tego mroku wyłania się jakiś kształt. Człowiek. Nadchodzi z prawej strony, ścieżką oddaloną od mojej o jakieś pięćdziesiąt metrów. Od razu widzę, że nie jest jednym z tych mężczyzn szukających parkowego seksu. Porusza się inaczej, mniej pewnie. Głowę ma spuszczoną, a ręce wbite w kieszenie czarnej kurtki. Idzie powoli, jakby spacerkiem. Stara się nie rzucać w oczy i wyglądać na niegroźnego.

A jednak mnie obserwuje. Widzę, jak jego bejsbolówka z logo Jankesów co chwila odwraca się w moją stronę.

Zwalniam i skracam krok, bo chcę, aby znalazł się przede mną, kiedy obie ścieżki się zejdą, co nastąpi za jakieś dwadzieścia metrów. Chętnie bym się obejrzała, żeby sprawdzić, czy Sam wreszcie mnie dogoniła, ale nie mogę tego zrobić. Mógłby zacząć coś podejrzewać. A tego ryzyka wolę uniknąć.

Facet zaczyna pogwizdywać. Panującą w parku ciszę przecina żwawa, przenikliwa, bliżej nieokreślona melodia. Mam wrażenie, że on próbuje mnie uspokoić i z nieznanym mi powodów uspić moją czujność.

Miejsce, gdzie schodzą się nasze ścieżki, jest już niedaleko. Przystaję i w ostentacyjny sposób zaczynam szukać czegoś w torebce. Na pewno ją widzi. Jest za duża, by ją przeoczyć. A jednak on udaje, że jej nie dostrzega, i kontynuuje swój niby-spacer, aż w końcu znajduje się na tej samej ścieżce co ja, tyle że przede mną. Nie przestaje gwizdać, żeby mnie nie przestraszyć i ośmielić do ruszenia za nim. Istny Szczurołap z Hamelin.

Więc ruszam. Robię krok, potem drugi i trzeci.

Gwizdanie ustaje.

Mężczyzna się zatrzymuje.

Nagle odwraca się na pięcie i staje ze mną twarzą w twarz. Strzela oczami we wszystkie strony. Żrenice ma ciemne i niespokojne. Jak narkoman na głodzie. Ale na groźnego nie wygląda. Ma zapadnięte policzki. Jest wychudzony jak szczapa. Mniej więcej mojego wzrostu, może nawet niższy. W kurtce wydaje się nieco tęższy, ale to tylko złudzenie. Waga piórkowa.

Ostrość rysów twarzy wzmaga pot połyskujący na jego wysokim czole i sterczących kościach policzkowych. Skórę ma napiętą jak na bębnie. Cały

aż dygocze z głodu i desperacji. Kiedy się odzywa, jego głos brzmi bełkotliwie.

– Nie chcę ci nic zrobić, okej? Ale potrzebuję trochę forsy. Na jedzenie, dobra?

Nie odzywam się. Zwlekam. Daję Sam czas, żeby mogła się podkraść. O ile w ogóle gdzieś tu jest.

– Słyszysz, co mówię, niunia?

Nadal milczę. Decyzję zostawiam jemu. Może odejść. Albo zostać. Jeżeli zostanie i mnie zaatakuję, Sam na pewno runie na niego z krzaków.

Mam nadzieję.

– Naprawdę jestem głodny – mówi facet, rzucając spojrzenie na moją torebkę. – Masz tam coś do jedzenia? Albo parę drobnych dla mnie?

W końcu zerkam za siebie, szukając wzrokiem skradającego się cienia Sam.

Nie ma jej tam.

Ani nikogo innego.

Jestem tu sam na sam z tym kolesiem i torebką pełną książek. Jeśli do niej zajrzy, porządnie się wkurzy. Powinam się bać. Powinam być przerażona od samego początku. Ale nie jestem. Ogarnia mnie zupełnie inne uczucie.

Promienieję.

– Nie – odpowiadam. – Nie mam.

Gapię się na niego, śledząc każdy jego ruch i czekając choćby na drgnięcie ręki albo zaciśnięcie pięści. Coś, co by wskazywało, że chce mnie skrzywdzić.

– Na pewno nic tam nie masz? – dopytuje się.

– Grozisz mi?

Facet podnosi ręce i cofa się o krok.

– Zaraz, niunia. Ja nic nie robię.

– Zaczepiasz mnie – mówię. – Czyli coś robisz.

Odwracam się, żeby odejść; torebka w moim ręku kołysze się bezwładnie. Facet pozwala mi odejść. Jest zbyt naćpany, żeby wszczynać bójkę. Więc tylko rzuca za mną obelgę.

– Zimna z ciebie suka.

– Coś ty powiedział?

Obracam się na pięcie i podchodzę do niego zamaszystym krokiem na tyle blisko, by poczuć jego oddech. Wali od niego bełtem, stęchłym dymem i zepsutymi zębami.

– Taki z ciebie chojrak? – warczę. – Pewnie myślałeś, że na sam twój widok będę się trzęsła ze strachu i oddam ci wszystko, czego sobie zażyczysz?

Popycham go mocno, aż się kołysze na piętach i macha rękami, żeby utrzymać równowagę. Jedną ręką zahacza o moją twarz, tak lekko, że prawie tego nie czuję.

– Ty mnie, kurwa, uderzyłeś!

Kolesiowi szczęka opada ze zdumienia.

– Ja nie chciałem...

Znów go popycham, nie dając mu dokończyć. I jeszcze raz. A kiedy facet krzyżuje ręce na piersi, zasłaniając się przed czwartym popchnięciem, rzucam torebkę na ziemię i zaczynam okładać go po ramionach i barkach.

– Ej, przestań!

Osuwa się na kolana, robiąc unik przed moimi ciosami. Coś wypada mu z kurtki na ścieżkę. Złożony nóż kieszonkowy. Na jego widok serce zamiera mi w piersi. Facet wyciąga rękę, żeby go chwycić, a wtedy rzucam

się na niego i uderzając go biodrem w bark, odpycham od noża. Kiedy wstaje, znowu zaczynam go okładać, dziko machając rękami i waląc pięściami po torsie, barkach, podbródku.

Zaczyna się bronić i też mnie popycha. Odpieram jego natarcie, wciąż wymachuję rękami i kopię go w golenie.

– Przestań! – skomli. – Nic ci nie zrobiłem!

Chwyta mnie za włosy i szarpie. Ból sprawia, że nieruchomieję. Mimowolnie zaciskam oczy. W tej nagle zapadłej ciemności coś błyska. Nie całkiem ból. Raczej jego wspomnienie. Podobny, a jednak inny niż ten, który czuję w tej chwili, kiedy mój przeciwnik ciągnie mnie do tyłu.

Eksploduje pod powiekami jak fajerwerki. Oślepia i parzy. Jestem na dworze. W pobliżu drzew. W tej mętnej wizji majaczy Pine Cottage. Ktoś inny chwyta mnie za włosy i wlecze do tyłu; słyszę czyjeś krzyki.

Wczepiam palce w kołnierz kurtki faceta i ciągnę go w dół, dopóki oboje nie lądujemy na ziemi. Ja padam na wznak, a on na mnie i oboje ciężko dyszymy. Kiedy znów sięga ku moim włosom, jestem gotowa. Robię unik, odchylając głowę w bok. Potem gwałtownie ją unoszę i walę czołem w jego nos, aż chrupie mu chrząstka.

Facet odrywa się ode mnie z krzykiem, przyciskając dłoń do nosa, z którego tryska krew. Podnosi się na kolana. Palce ma całe czerwone.

I nagle ból – ten prawdziwy i ten w mojej głowie – przeszywa mnie na wskroś, a moje mięśnie ożywają jak odpalony z kabli akumulator. Pęka skorupa odgradzająca mnie od wspomnień i z maleńkich prześwitów wyzierają przebłyski przeszłości.

On.

Tak samo przykucnięty na podłodze w Pine Cottage.

I też z zakrwawionym nożem w ręku.

Choć mam mglistą świadomość, że jestem gdzie indziej i kiedy indziej, widzę tylko Jego. Więc rzucam się na Niego i uderzam Go w twarz zaciśniętą pięścią. A potem drugi raz. I trzeci.

Wściekłość przejmuję nade mną kontrolę. Wypełnia mnie jak czarny szlam, wypływa przez pory skóry, zalewa oczy. Przestaję cokolwiek widzieć. Niczego nie słyszę. Nie czuję żadnego zapachu. Jedyne zmysł, jaki mi pozostaje, to dotyk i czuję tylko ból pięści, którymi miażdżę Mu twarz. Kiedy ten ból staje się nie do zniesienia, podnoszę się z ziemi i kopię Go w głowę.

Potem znowu.

I jeszcze raz.

Przy każdym kopniaku z moich ust wyrywa się imię, nie panuję nad tym. Wypluwam je niczym truciznę, raz za razem, jakbym chciała go nimi zarzygać.

– Janelle. Craig. Amy. Rodney. Betz.

– Quincy!

To nie jest mój głos. Należy do Sam, która nagle pojawia się tuż za mną, otacza mnie ramionami, próbuje odciągnąć na bok.

– Przestań! – mówi. – Dość, na miłość boską!

Przez kilka sekund wyrywam się z jej uścisku, ciskam się i warczę jak dziczyły pies, którego znowu wzięto na smycz. Uspokajam się dopiero na widok krwi. Na dłoni Sam ciągnie się śliska, ciemna smuga. Uderza mnie myśl, że to ja ją zraniłam. I natychmiast uchodzi ze mnie cała wściekłość.

– Sam – dyszę. – Ty krwawisz.

Mylę się. Dociera to do mnie, kiedy spuszczam wzrok na własne dłonie i widzę, że są całe we krwi. Tej samej, którą ma na sobie Sam. Tej samej, która spływa mi z ramion, plami ubranie, znaczy twarz i szyję ciepłymi kropelkami.

Po części jest moja.

W większości nie.

– Sam? Co się stało? Gdzie byłaś?

Nie odpowiada, tylko rozluźnia uścisk, wiedząc, że już nie będę się miotać. Błyskawicznie dopada do mężczyzny na trawie, który leży na boku, z jedną ręką odrzuconą do tyłu, a drugą podwiniętą pod siebie.

Nie mogę znieść widoku jego twarzy, ale nie potrafię odwrócić od niej spojrzenia. Od tego, co z niej pozostało. Opuchnięte oczy są zamknięte. Ze złamanego nosa broczy krew ciemniejsza niż z innych ran. Facet się nie rusza. Sam przyciska dwa palce do plamy krwi na jego szyi, szukając pulsu. Krzywi się z wyraźnym niepokojem.

– Sam? – pytam, czując, że ze strachu i z szoku kręci mi się w głowie. – On żyje, prawda?

Obraz rozmywa mi się przed oczami; Sam i ten chyba martwy mężczyzna na przemian tracą i odzyskują ostrość.

– Prawda?

Sam się nie odzywa. Ani wtedy, kiedy rękawem kurtki wyciera miejsce na szyi nieznajomego, aby usunąć wgłębienia po swoich placach. Ani wtedy, kiedy zgarnia leżący w trawie nóż i wpycha go sobie do kieszeni. Ani nawet wtedy, kiedy mnie stamtąd odciąga, nie mogąc mi spojrzeć w oczy, a ja cały czas skomlę:

– Co ja zrobiłam, Sam? Co ja zrobiłam?



19

Idziemy szybko, niczym para uciekinierek umykających pod osłoną ciemności. Sam narzuciła mi na ramiona swoją kurtkę i przyciskając dłoń do mojego krzyża, popycha mnie naprzód. Idę, bo muszę. Bo Sam nie pozwala mi się zatrzymać, choć pragnę tylko osunąć się na ziemię i zastygnąć w bezruchu.

Oddychanie stało się przykrym obowiązkiem. Każdy wdech utrudnia nerwowe drżenie. Każdemu wydechowi towarzyszy szloch. Klatka piersiowa rozszerza się z braku tlenu, a płuca desperacko napierają na żebra.

– Stój – dyszę z trudem. – Proszę, pozwól mi się zatrzymać.

Sam zwiększa nacisk na moje plecy, popychając mnie naprzód. Mijamy drzewa. Posągi. Wyciągniętych na ławkach meneli. Za każdym razem, gdy kogoś napotykamy – rowerzystę, trzech pijanych kolegów idących pod rękę – Sam odwraca się do mnie przodem, aby zasłonić moją zakrwawioną postać przed niepowołanym wzrokiem.

Zatrzymujemy się dopiero przy Conservatory Water – urokliwym płytkim stawie, na którym za dnia dzieci puszczają zdalnie sterowane żagłówki. Doprowadzona nad sam brzeg, przyklękam i zanurzam dłonie w wodzie. Sam obmywa mnie, na ile to możliwe, ochlapując moje ramiona, szyję i twarz. Po drugiej stronie stawu jakiś bezdomny robi to samo. Kiedy zaczyna się na nas gapić, Sam wrzeszczy na niego, a jej głos niesie się po wodzie.

– Na co się tak, kurwa, gapisz?

Mężczyzna czym prędzej się wycofuje: zgarnia swoje worki na śmieci i znika w ciemności.

Sam zanurza zgiętą dłoń w stawie, nabiera wody i polewa mi czoło.

– Posłuchaj – mówi. – Myślę, że on jeszcze żyje.

Chcę jej wierzyć, ale nie umiem sobie na to pozwolić.

– Nie – mamroczę. – Zabiłam go.

– Wyczułam puls.

– Jesteś pewna?

– Tak – mówi Sam. – Jestem pewna.

Zalewająca mnie ulga zdaje mi się bardziej oczyszczająca niż woda, którą Sam nadal ochlapuje moją zakrwawioną skórę. Nagle łatwiej mi się oddycha. Zaciśnięte gardło się rozluźnia i wyrywa się z niego kolejny szloch, tym razem pełen wdzięczności.

– Musimy wezwać pomoc – chlipię.

Sam znowu zanurza moje dłonie w wodzie i pociera je swoimi, zmywając z nich ślady mojego grzechu.

– Nie możemy tego zrobić, Quinn.

– Ale trzeba go zabrać do szpitala.

Próbuję wyszarpnąć dłonie z wody, lecz Sam mocno je przytrzymuje.

– Jeżeli zadzwonimy pod numer alarmowy, przyjedzie policja.

– I co z tego? – mówię. – Powiem, że się broniłam.

– A broniłaś się?

– On miał nóż.

– Zamierzał go użyć?

Tego nie wiem. Może w końcu by to zrobił. A może po prostu by sobie poszedł. Nigdy się tego nie dowiem.

– Ale go miał – upieram się, choć sama nie wiem, kogo właściwie usiłuję przekonać, Sam czy siebie. – Gdyby policja o tym wiedziała, nie zostałabym oskarżona.

Wreszcie Sam wyjmuję moje dłonie z wody i odwraca je, aby sprawdzić, czy zostały na nich ślady krwi. Są czyste. Blade i lśniące.

– Oskarżyliby cię, gdyby wiedzieli, po co tu przyszłyśmy – stwierdza. – Że próbowałyśmy sprowokować napad. Zwłaszcza gdyby odkryli, że bez trudu mogłaś uciec.

Skoro o tym wie, to z całą pewnością tam była. W ukryciu. I przez cały czas mnie obserwowała. Nawet wtedy, gdy z kieszeni nieznajomego wypadł nóż. Na chwilę ta świadomość przyćmiewa wszystko inne.

– Widziałaś mnie?

– Tak.

– Byłaś tam?

Znowu nie mogę złapać tchu, moje ciało aż drży, a seria łapczywych oddechów rozsadza mi płuca. Od nagłego braku powietrza robi mi się słabo. A może to tylko skutek szoku. Tak czy inaczej muszę się oprzeć o brzeg stawu, żeby do niego nie wpaść. W końcu wykrztuszam z siebie urywanym głosem:

– Dlaczego... mi nie... pomogłaś?

– Nie potrzebowałaś pomocy.

– On miał nóż – mówię, czując, jak ciepła gula gniewu podchodzi mi do gardła. Jakby ledwie przełknięty haust bourbona nagle zawrócił i powoli pełznął do góry. – A ty sobie, kurwa, tylko siedziałaś i patrzyłaś?

– Chciałam zobaczyć, co zrobisz.

– Prawie zabiłam człowieka! Zadowolona? Na coś takiego czekałaś?

Dlaczego nie próbowałaś mnie powstrzymać?

– Powinnaś się raczej zastanowić, dlaczego sama tego nie zrobiłaś.

W końcu udaje mi się wstać. Strzepuję wodę z dłoni, odwracam się i odchodzę. Jak najdalej od tego stawu. I od Sam.

– Quinn! – woła za mną. – Nie odchodź!

– Idę!

– Dokąd?

– Na policję.

– Aresztują cię.

Zatrzymuje mnie sposób, w jaki to mówi. Jej ton jest beznamiętny, a słowa niepokojąco rzeczowe. Wiem, że ma rację. W głębi trzewi czuję kotłującą się panikę. Jestem jak ćma, która przeszarżowała z płomieniem. I teraz pochłania mnie ogień.

– Miał nóż czy go nie miał, gliny tego nie zrozumieją – mówi Sam. – Po prostu uznają cię za mściwą sukę, która sama prosiła się o kłopoty. Wsadzą

cię za napaść kwalifikowaną. Albo za coś poważniejszego. A wtedy nawet ten twój Jeff nie da rady ich przekonać, żeby cię wypuścili.

Myślę o Jeffie, który znajduje się ledwie kilka przecznic stąd i śpi, nieświadomy tego, co się stało. Mój wybryk mógłby go zniszczyć. Nie ma z nim nic wspólnego, ale nikogo by to nie obchodziło. Moja wina wystarczy, aby zniszczyć nas oboje.

Znów kręci mi się w głowie, a resztę ciała ogarnia drżenie, które wręcz paraliżuje mi nogi. Chwieję się, niepewna, jak długo zdołam na nich ustać. Sam mówi dalej, co tylko pogarsza sprawę.

– Znowu trafisz do gazet, Quinn. Ale tym razem do wszystkich.

Och, tego jestem pewna. Już widzę te nagłówki: Jedyna Ocalała pęka i wpada w krwawy amok. Jonah Thompson pewnie by dostał orgazmu.

– Od tego nie ma odwrotu – dodaje Sam. – Jeśli pójdziesz do glin, twoje życie już nigdy nie będzie takie samo.

W jej ustach brzmi to okropnie, chociaż to prawda. Ale i tak jej nienawidzę. Za to, że się pojawiła, wtargnęła w moje życie, przyprowadziła mnie do tego parku. Nienawiść miesza się jednak z innym, niewygodnym uczuciem.

Desperacją.

Narasta we mnie, przyprawia o pot i łzy; czuję się tak bezsilna, że najchętniej rzuciłabym się do stawu i nigdy nie wypłynęła na powierzchnię.

– Więc co teraz zrobimy? – pytam łamiącym się z bezradności głosem.

– Nic – odpowiada Sam.

– Czyli po prostu wyjdziemy z parku, udając, że to się nie wydarzyło?

– Mniej więcej.

Podnosi swoją kurtkę, którą z siebie zrzuciłam. Znowu mnie nią okrywa, a potem popycha naprzód. Tym razem idziemy wolniej,

rozglądając się, czy gdzieś nie widać policji. Z parku wychodzimy inną drogą.

Po drodze z Central Park West do mojego budynku mijamy niewielu przechodniów. Ci, którzy nas widzą, biorą nas pewnie za dwie pijane kumpele wracające do domu. Wciąż kręci mi się w głowie i ledwo stoję na nogach, co tylko potwierdza takie domysły.

Po powrocie do domu napełniam wannę w gościnnej łazience i zdieram z siebie ciuchy. Ilość krwi, jaką są przesiąknięte, przyprawia mnie o mdłości. Nie wyglądają tak źle jak tamta biała, lecz szcerwieniła od krwi sukienka w Pine Cottage, ale niewiele lepiej. W każdym razie wystarczająco źle, abym znowu zaczęła szlochać, gdy tylko zanurzam się w kąpeli. W wodzie powstają różowe zawijasy, które lekko wirują, aby po chwili się rozpląnąć i zniknąć.

Zamykam oczy i wmawiam sobie, że cała dzisiejsza noc zniknie w taki sam sposób. Wszelkie wspomnienia wyblakną. Facet z parku przeżyje. Miał przy sobie nóż, więc nikomu nie powie, co mu zrobiłam. Wszystko odejdzie w niepamięć za kilka dni, tygodni, może miesięcy.

Przyglądam się swoim knykciom i widzę, że zrobiły się upiornie różowe. Pulsują bólem. Podobnie jak stopa, którą skopałam tego człowieka do nieprzytomności.

Wracają do mnie inne wrażenia. Szarpanie za włosy. A potem On – przykucnięty na podłodze, ściskający w ręku zakrwawiony nóż.

Wspomnienia.

Nie te z dzisiejszej nocy, ale sprzed dziesięciu lat.

Z Pine Cottage.

Obrazy, które jak sądziłam, zatarły się w mojej pamięci na zawsze.

Powtarzam sobie, że to niemożliwe. Że prawie całe zło, jakie spotkało mnie tamtej nocy, zostało starannie wykrojone z mojego umysłu. Ale

dobrze wiem, że to nieprawda.

Bo coś sobie przypomniałam.

Zamiast się wyprostować, zsuwam się głębiej pod wodę, z nadzieją, że gorąca kąpiel to ze mnie zmyje. Nie chcę pamiętać wydarzeń w Pine Cottage. Nie bez powodu mentalnie wycięłam je sobie z mózgu, prawda? Bo były zbyt straszne, aby trzymać je w głowie.

A jednak, czy mi się to podoba, czy nie, bezsprzecznie coś sobie dziś przypomniałam. Nic wielkiego. Tylko krótki przeblysł wspomnienia. Jak wyblakła fotografia. Ale to wystarczy, żebym zadrżała, choć leżę zanurzona po szyję w parującej kąpeli.

Słyszę pukanie do drzwi. To Sam uprzedza, że zamierza wejść. Zaraz za progiem staje jak wryta na widok kupki zakrwawionych ubrań na podłodze. Schyla się i podnosi je w milczeniu.

– Co z nimi zrobisz? – pytam.

– Nie masz się czym martwić. Znam się na rzeczy – mówi, po czym wynosi je z łazienki.

A jednak mam się czym martwić. Wspomnieniami, które nagle do mnie wróciły. Mężczyznę z parku. Tym, dlaczego Sam beczynnie patrzyła z ukrycia, kiedy go biłam do nieprzytomności, jakby to był jeden z testów, którym mnie poddawała.

Nagle uderza mnie pewna myśl. A właściwie pytanie, które wydaje mi się dość niewyraźne i odległe. Może to wina pary unoszącej się znad wody, a może mojego wyczerpania.

Skąd Sam wie, co zrobić z zakrwawionym ubraniem?

I jeszcze jedno: dlaczego była taka opanowana, gdy uciekałyśmy z miejsca mojego przestępstwa?

Teraz wydaje mi się, że to było coś więcej niż zwykle opanowanie. Czym prędzej mnie stamtąd odprowadziła, skrupulatnie zasłaniając moje

zakrwawione ubranie przed oczami przechodniów, a potem znalazła miejsce, w którym mogła mnie obmyć.

Nikt nie zareagowałby w tak przytomny sposób. Chyba że już kiedyś to robił.

Zaraz potem przez głowę przelatuje mi następna myśl. Tym razem to nie jest pytanie, lecz pewnik, który zniecka eksploduje mi w mózgu z takim impetem, że aż podrywam się w wannie, rozlewając wodę na boki.

Torebka.

Zostawiłyśmy ją w parku.



20

– **Nie przejmuj się tym, mała** – uspokaja mnie Sam, gdy informuję ją o zapomnianej torebce. – Wiem, że tam została. Gdyby miała jakieś znaczenie, tobym ją wzięła.

Jesteśmy w jej pokoju; ona pali przy oknie, a ja siedzę cała w nerwach na krawędzi łóżka.

– I jesteś pewna, że nie ma w niej niczego obciążającego? – upewniam się.

– Na sto procent – odpowiada Sam. – A teraz idź, prześpij się.

Mam znacznie więcej pytań. Co zrobiła z moim zakrwawionym ubraniem? Dlaczego pozwoliła, żeby tak mnie poniosło w parku? Czy to szal, który mnie opętał, wyzwolił we mnie przebłysk wspomnień z Pine

Cottage i sprawił, że ujrzałam Jego? Ale o nic już nie pytam. Nawet gdybym to zrobiła, Sam i tak by mi nie odpowiedziała.

Więc wychodzę. Idę do kuchni po xanax, który popijam napojem winogronowym, a potem kładę się na kanapie, gotowa na kolejną nieprzespaną noc. Ku mojemu zdziwieniu dość szybko odpływam. Jestem za bardzo zmęczona, żeby się oprzeć senności.

Sen trwa jednak krótko, bo wrywa mnie z niego koszmar z Lisą w roli głównej. Stoi na środku Pine Cottage, a z jej przeciętych nadgarstków broczy krew. W rękę trzyma torebkę Sam, na którą leje się posoka. Wyciąga ją w moim kierunku i mówi z uśmiechem: „Zapomniałaś jej, Quincy”.

Budzę się gwałtownie i siadam na kanapie, nerwowo machając rękami. Mimo że w całym mieszkaniu jest cicho, powietrze w salonie zdaje się drżeć. Jak gdyby wybrzmiewało echo krzyku, który przed chwilą wydobył się z moich ust. Mija minuta, a ja czekam na kogoś, kogo bez wątpienia wyrwałam ze snu. Jeff albo Sam na pewno słyszeli mój krzyk. Chyba że wcale nie krzyczałam. Może to był tylko sen.

Mrok za oknem szybko się przersedza. Niedługo zacnie świtać. Wiem, że powinnam spróbować jeszcze pospać, bo inaczej wkrótce będę padać z nóg. Ale nerwy mam jak kłęb iskrzących przewodów. Jedyne sposb, aby się uspokoić, to wrócić do parku i sprawdzić, czy torebka jeszcze tam jest.

Na palcach przechodzę więc do sypialni, gdzie z ulgą zastaję śpiącego w najlepsze i lekko pochrapującego Jeffa. Szybko wrzucam na siebie strój do biegania, a potem wkładam rękawiczki bez palców, żeby ukryć otarcia na knykciach, które już zaczynają pokrywać się strupami.

Kiedy wychodzę na ulicę, od razu ruszam szaleńczym sprintem i pruję przez wszystkie przecznice dzielące mnie od parku. Przez Central Park West przebiegam na czerwonym świetle, zmuszając nadjeżdżającą

taksówkę do ostrego hamowania, żeby uniknąć zderzenia. Kierowca wściekle trąbi. Ignoruję go. Zresztą ignoruję wszystko, pędząc do miejsca, gdzie wytracono mi z ręki torebkę. Do miejsca, gdzie tak mocno pobiłam człowieka, że jego twarz przypominała gnijące jabłko.

Teraz jednak tego człowieka tam nie ma. Torebki też nie. Jest za to policja – tuzin funkcjonariuszy kłębi się w obrębie pokaźnego kwadratu wyznaczonego żółtą taśmą policyjną. Przypomina to miejsce zbrodni. Takie jak w serialach kryminalnych. Funkcjonariusze przeszukują ogrodzony taśmą teren, naradzają się między sobą i popijają kawę parującą z papierowych kubków.

Drepczę w miejscu w pewnym oddaleniu. Mimo wczesnej godziny i wciąż panującej porannej szarówki zebrało się już paru innych gapiów.

– Co tu się stało? – pytam starszą kobietę z psem równie leciwym jak jego pani.

– Kogoś napadnięto i mocno pobito.

– To straszne. – Mam nadzieję, że brzmi to wystarczająco szczerze. – Wyjdzie z tego?

– Policjant powiedział, że jest w śpiączce. – Ostatnie słowo wypowiada prawie szeptem, z nutką sensacji w głosie. – To miasto jest pełne obłąkańców.

W moim wnętrzu kłębią się sprzeczne uczucia. Radość, że on wciąż żyje, że jednak go nie zabiłam. Ulga, że na razie nic nie powie policji, skoro leży w śpiączce. Poczucie winy, że czuję ulgę.

I jeszcze niepokój. To uczucie bierze górę nad innymi. Niepokoi mnie, co się stało z torebką. Może znalazła ją policja. Może ktoś ją ukradł. A może zawlokły ją w zarośla kojoty, którym w niewytłumaczalny sposób udaje się czasem zakraść do parku. Nieważne, co konkretnie się z nią stało.

Dopóki jej nie mam, stanowi potencjalne zagrożenie, bo może powiązać mnie z tym pobiciem. Są na niej moje odciski palców.

Dlatego wracam do domu z ponurą miną. Jeff już wstał i kiedy wślizguję się do mieszkania, stoi na środku kuchni w T-shircie i bokserkach.

– Quincy? Gdzie byłaś?

– Biegałam – odpowiadam.

– O tej porze? Jeszcze słońce nie wzeszło.

– Nie mogłam spać.

Jeff patrzy na mnie podpuchniętymi oczami, wciąż lekko otumaniony resztkami snu. Drapie się po głowie. I po kroczu.

– Wszystko gra? – pyta w końcu. – Bo jakoś dziwnie się zachowujesz, Quinn.

– Jasne, w porządku – odpowiadam, choć wyraźnie widać, że wcale nie. W środku czuję pustkę, jakby wydrążono mnie łyżką do lodów, której czasem używam do napełniania ciastem formy do muffinek. – W najlepszym.

– Chodzi o tę noc?

Zastygam w bezruchu niepewna, co – jeśli w ogóle – słyszał o tym, co się stało. Już sam fakt, że mam przed nim jakąś tajemnicę, sprawia, że czuję wyrzuty sumienia. A myśl, że mógłby ją odkryć, jeszcze wszystko pogarsza.

– O naszą rozmowę – dodaje. – Że muszę wyjechać do Chicago.

Oddycham z ulgą. Powoli, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Jasne, że nie.

– Bo chyba nieźle cię to wkurzyło. Wierz mi, też jestem wkurzony. Nie podoba mi się, że zostaniecie tu same.

– Poradzimy sobie – mówię uspokajająco.

Jeff lekko mruży oczy, nieznacznie marszcząc brwi. Istne ucieleśnienie troski.

– Na pewno wszystko okej?

– Tak – zapewniam go. – Dlaczego ciągle o to pytasz?

– Bo wyszłaś pobiegać przed szóstą – mówi Jeff. – I właśnie się dowiedziałas, że Lisa Milner została zamordowana, a policja nie ma żadnych podejrzanych.

– Dlatego nie mogłam spać. I dlatego poszłam pobiegać.

– Ale powiedziałaabyś mi, gdyby coś było nie tak, prawda?

Zmuszam się do uśmiechu, drżąc z wysiłku.

– Oczywiście.

Jeff przyciąga mnie do siebie i zamyka w uścisku. Jego ciało jest ciepłe i przyjemnie miękkie, lekko pachnie mieszanką potu i płynu zmiękczającego do tkanin. Chciałabym odwzajemnić uścisk, ale nie mogę. Nie zasługuję na tyle czułości.

Później Jeff szykuje się do pracy, a ja przygotowuję mu śniadanie. Jemy w milczeniu, każde zajęte czym innym: ja chowaniem pokiereszowanej dłoni pod ścierką do naczyń albo pod stołem na kolanach, a Jeff przeglądaniem „New York Timesa”. Zerkam ukradkiem na każdą przewracaną stronę, pewna, że zaraz ujrzę artykuł o napadzie w parku, choć przecież wiem, że na to za wcześnie. Popełniłam przestępstwo już po zamknięciu numeru. Ten news będzie musiał poczekać do jutrzejszego wydania.

Gdy tylko Jeff wychodzi, zdejmuję z szyi kluczyk i otwieram sekretną szufladę. Ukradzione przez Sam pióro leży w środku.

Wyjmuję je i wypisuję na nadgarstku jedno słowo.

PRZETRWAŁAM

Potem wskakuję pod prysznic i zmuszając się, żeby nie mrugać, przyglądam się, jak woda zmywa tusz.

Sam i ja nie rozmawiamy. Pieczemy.

Mamy ściśle określony zakres zadań. Ja przygotowuję jabłkową tartę tatin z polewą karmelową, a Sam kruche ciasteczka. Swoje stanowiska pracy rozłożyliśmy w przeciwległych częściach kuchni, jakbyśmy toczyły ze sobą wojnę. Zagniatając ciasto na tartę, co chwila zerkam na swoje dłonie, szukając śladów krwi, pewna, że zaraz wypatrzę szkarłatne plamy. Ale widzę jedynie lekko obrzmiałą i zaróżowioną skórę – skutek wielokrotnego mycia.

- Wiem, że masz wyrzuty sumienia – odzywa się Sam.
- Wszystko gra – odpowiadam.
- Postąpiliśmy słusznie.
- Doprawdy?
- Tak.

Trochę trzęsą mi się ręce, kiedy zabieram się do obierania jabłek odmiany Honeycrisp. Patrzę, jak ich czerwono-żółte skórki opadają na blat w postaci długich spiralek. Mam nadzieję, że jeśli skoncentruję się na nich wystarczająco długo, to Sam przestanie mówić. Nic z tego.

– Nawet jeśli pójdziesz teraz na policję, niczego już nie zmienisz – stwierdza. – Choćbyś nie wiem jak tego chciała.

To nie tak, że chcę iść na policję. Myślę, że muszę to zrobić. Wiem od Jeffa, że lepiej się przyznać do popełnionego przestępstwa, niż zostać złapanym. Wówczas policja żywi do ciebie niechętny szacunek. Podobnie jak sędziowie.

- Powinnyśmy powiedzieć Coopowi – mówię.
- Odbiło ci?
- On może nam pomóc.
- To glina.
- To mój przyjaciel. Zrozumiałby.

Przynajmniej mam taką nadzieję. Nieraz powtarzał, że zrobi wszystko, aby mnie ochronić. Czy to prawda, czy jednak istnieją granice jego lojalności? Ostatecznie obiecywał to Quincy, za jaką mnie uważa, a nie tej rzeczywistej. Nie jestem pewna, czy to samo dotyczy tej mnie, która od porannego powrotu z parku już zdążyła łyknąć dwa xanaxy. Albo tej, która kradnie lśniące przedmioty tylko po to, by móc ujrzeć w nich swoje odbicie. Albo tej, która tak masakruje nieznanego, że facet zapada w śpiączkę.

– Zostaw to, mała – mówi Sam. – Jest dobrze. Upiekło nam się. Już po wszystkim.

– I jesteś absolutnie pewna, że w tej torebce nie było niczego, co mogłoby do nas doprowadzić? – pytam chyba po raz pięćdziesiąty.

– Absolutnie – potwierdza Sam. – Wyluzuj.

A jednak godzinę później, kiedy wyjmuję tartę tatin z piekarnika, rozdzwania się mój telefon. Szybko odstawiam tartę na blat i ściągam rękawicę kuchenną. Kiedy odbieram, odzywa się kobiecy głos.

– Czy mogę mówić z panią Quincy Carpenter?

– Tak, słucham.

– Przy telefonie detektyw Carmen Hernandez z nowojorskiego wydziału policji.

Zastygam z przerażenia. Przeszywa mnie nagły dreszcz. Sama nie wiem, jak udaje mi się nie upuścić komórki. A to, że jestem w stanie się

odezwać, zakrawa na mały cud.

– W czym mogę pomóc, pani detektyw?

Na dźwięk ostatniego słowa Sam odwraca się na pięcie od blatu, przyciskając do brzucha wielką miskę.

– Czy znalazłaby pani trochę czasu, żeby przyjść dzisiaj na posterunek?

– pyta detektyw Hernandez.

Reszta tego, co mówi, dociera do mnie tylko połowicznie. Paralizujący mnie strach ogarnia uszy i blokuje sporą część komunikatu. Mimo to kluczowe słowa brzmią głośno i wyraźnie. Jak uderzenia czekana o lód.

Central Park. Torebka. Pytania. Wiele pytań.

– Oczywiście – odpowiadam. – Przyjdę jak najszybciej.

Po skończonej rozmowie lodowaty uścisk strachu odpuszcza i nagle zalewa mnie paląca rozpacz. Moja reakcja na to zderzenie chłodu z gorącem jest adekwatna: reszki opanowania błyskawicznie topnieją, a ja osuwam się na kuchenną podłogę.



DWA DNI PO PINE COTTAGE

Przedstawili się jako detektyw Cole i detektyw Freemont, choć równie dobrze mogliby się nazywać Dobry Glina i Zły Glina. Każdy z nich miał swoją rolę do odegrania i obaj robili to świetnie. Cole był tym miłym. Młody, chyba nawet przed trzydziestką. Quincy podobało się jego życzliwe spojrzenie i ciepły uśmiech pod rzadkim wąsikiem, który pewnie zapuścił w nadziei, że będzie wyglądał poważniej. Kiedy założył nogę na nogę, Quincy dostrzegła, że nosi skarpetki dopasowane kolorystycznie do zielonego krawata. Przyjemny akcent.

Freemont natomiast był szorstki. A także niski, tęgi i łysiejący. Jego obwisłe jak u buldoga policzki zatrzęśły się lekko, gdy się odezwał:

- Coś nam tu nie pasuje.
- Raczej nas dziwi – sprecyzował Cole.

Freemont rzucił mu zirytowane spojrzenie.

– Cała ta historia nie trzyma się kupy, pani Carpenter.

Rozmawiali w szpitalnym pokoju Quincy, która była zbyt obolała, aby wstać z łóżka. Siedziała więc obłożona kilkoma poduszkami, z wbitym w ramię igłą kroplówki, która nieustannym lekkim pieczeniem ciągle o sobie przypominała i nie dawała się skupić na słowach detektywa.

– Historia? – powtórzyła niepewnie.

– Mamy parę pytań – wtrącił Cole.

– Sporo pytań – poprawił go Freemont.

– Już powiedziałam wszystko, co wiem.

Zrobiła to poprzedniego dnia, choć była wówczas tak bardzo oszołomiona lekami przeciwbólowymi i zdruzgotana, że nie miała pewności, co właściwie zeznała. Ale przekazała im to, co najważniejsze. Tego była pewna. A jednak Freemont łypnął na nią niechętnie znużonymi i przekrwionymi oczami. Miał na sobie podniszczony garnitur o wystrzępionych mankietach. Na jednej klapie panoszyła się zaschnięta żółta plama po musztardzie. Duch minionych lunchów.

– Niewiele tego było – mruknął.

– Niewiele pamiętam.

– Mamy nadzieję, że zdoła pani przypomnieć sobie coś więcej – rzekł Cole. – Może pani spróbować? Dla mnie. Naprawdę byłbym bardzo wdzięczny.

Quincy osunęła się głębiej w poduszki, zamknęła oczy i usiłowała przywołać w pamięci coś jeszcze z tamtej nocy. Ale zamiast wspomnień ujrzała tylko czarne, niespokojne morze nicości.

Pamiętała, co wydarzyło się przed: Janelle wyszła z lasu. Błysnęło ostrze.

Pamiętała, co wydarzyło się po: ona sama uciekała między drzewami, a gałąź uderzyła ją w twarz, akurat kiedy na horyzoncie pojawił się ratunek.

Wszystko pomiędzy zniknęło.

Mimo to wciąż próbowała. Zaciskając powieki i pięści, zanurzała się w te mentalne odmęty, szukając jakiegokolwiek wspomnienia. Znajdowała tylko przebłyski. Krew. Nóż. Jego twarz.

Te strzępki nie składały się w żadną sensowną całość. Były zawieruszonymi fragmentami układanki, które nie dawały pojęcia o pełnym obrazie.

– Nie potrafię – powiedziała w końcu, otwierając oczy, zażenowana czającymi się pod powiekami łzami. – Przykro mi, ale naprawdę nie mogę.

Detektyw Cole poklepał ją po ręce. Jego dłoń okazała się zaskakująco gładka. Był przystojny, nawet bardziej niż ten policjant, który ją uratował. Ten o błękitnych oczach, który wczoraj natychmiast do niej przybiegł, kiedy wykrzyczała, że chce go zobaczyć.

– Rozumiem – powiedział Cole.

– A ja nie – mruknął Freemont i poruszył się na składanym krześle, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. – Naprawdę zapomniała pani wszystko, co stało się tamtej nocy? Czy po prostu woli pani niczego nie pamiętać?

– Co jest w pełni zrozumiałe – dorzucił szybko Cole. – Wiele pani przeszła.

– Ale musimy się dowiedzieć, co zaszło – ciągnął Freemont. – Bo to nie ma sensu.

Quincy poczuła się dezorientowana, jakby jej umysł zasnuła mgła. Nadciągał ból głowy. Lekki, pulsujący ból przebijający się przez drażniące klucie wbitej w żyłę igły.

– Nie ma? – powtórzyła.

– Zginęło tylu ludzi – powiedział Freemont. – Wszyscy oprócz pani.

– Bo ten gliniarz Go zastrzelił. – Już wtedy postanowiła nigdy nie wypowiadać Jego imienia. – Na pewno zabiłby i mnie, gdyby ten gliniarz...

– Funkcjonariusz Cooper – odpowiedział Cole.

– Tak. – Quincy nie była pewna, czy już słyszała to nazwisko. Nie wydawało jej się znajome. – Funkcjonariusz Cooper. Pytaliście go, co się tam stało?

– Pytaliśmy – odparł Freemont.

– I co powiedział?

– Że zgodnie z rozkazem szukał w lesie pacjenta, który zbiegł ze szpitala psychiatrycznego w Blackthorn.

Quincy wstrzymała oddech z przerażenia, spodziewając się, że zaraz usłyszy imię tego pacjenta. Kiedy tak się nie stało, zalała ją ciepła fala ulgi.

– W trakcie poszukiwań funkcjonariusz Cooper usłyszał krzyk dolatujący od strony chaty. Ruszył tam, żeby to sprawdzić, i wtedy natknął się na panią.

Obraz powstały w wyobraźni Quincy przesłonił na moment postacie siedzących przy jej łóżku detektywów. Ujrzała zdumienie na twarzy funkcjonariusza Coopera, kiedy zauważył skrawek białego materiału w okolicy jej kolan i zdał sobie sprawę, że jej sukienka jest przesiąknięta krwią. Zobaczyła też siebie, jak podchodzi do niego, potykając się i bełkocząc słowa, które wciąż odbijały się echem w jej oszołomionym lekami mózgu.

„Oni nie żyją. Wszyscy nie żyją. A on tam wciąż jest”.

A potem przyłgnęła do niego, mocno, całym ciałem, plamiąc przód jego munduru krwią – jej własną, Janelle i wszystkich innych. Oboje usłyszeli hałas. Szelest w zaroślach kilka metrów od nich, po lewej.

To był On.

Biegł przez las, wyciągając chude nogi i odgarniając gałęzie rękami.

Coop wyciągnął swojego glocka. Wycelował. Strzelił.

Dopiero trzecia kula zdołała Go powalić. Dwie pierwsze wbiły się w Jego klatkę piersiową, aż gwałtownie zamachał rękami jak porzucona przez lalkarza marionetka. A jednak parł dalej. Zsunięte z ucha okulary przekrzywiły się tak, że powiększały Mu jedno zaskoczone oko, kiedy trzeci pocisk trafił Go w czoło.

– A wcześniej? – dążył Freemont. – Co się wydarzyło wcześniej?

Ból głowy narastał, pęczniał w czaszce Quincy jak balon, który zaraz pęknie.

– Naprawdę nie umiem sobie przypomnieć.

– Ale musi pani – warknął Freemont, wkurzony na nią o coś, nad czym nie panowała.

– Dlaczego?

– Bo parę rzeczy w tej sprawie się nie klei.

Ból głowy przybierał na sile. Quincy skrzywiła się, przymykając oczy.

– Jakie rzeczy?

– Mówiąc bez ogródek – odrzekł Freemont – nie pojmujemy, dlaczego pani przeżyła, gdy wszyscy inni zginęli.

Wtedy Quincy w końcu to usłyszała: nuta oskarżenia, którą próbował ukryć, znalazła ujście między słowami.

– Może nam to pani wyjaśnić? – zapytał.

Właśnie w tamtej chwili coś w Quincy pękło. Jej piersią wstrząsnął nagły gniew, a potem zalała ją fala wzburzenia. Balon w jej czaszce eksplodował, a z ust wyrwały się słowa, których nigdy nie zamierzała powiedzieć. Pożałowała ich, kiedy tylko oderwały się od języka.

– Może – rzuciła stalowym głosem – po prostu jestem od nich twardsza.



21

Detektyw Hernandez należy do tych kobiet, które z jednej strony podziwiasz, a z drugiej im zazdrościsz. Jest idealna w każdym calu, od bordowej bluzki pod czarnym blezerem do nienagannie skrojonych spodni i butów na delikatnym obcasiku. Włosy ma w kolorze ciemnej czekolady, zaczesane do tyłu, aby odsłonić doskonałe rysy twarzy. Gdy podaje mi rękę, czuję uścisk mocny, a zarazem przyjacielski. Uprzejmie udaje, że nie zauważa moich zmaltretowanych knykci.

– Dziękuję, że przyszła pani od razu – mówi. – Obiecuję, że zajmie to tylko kilka minut.

Oddycham. Staram się zachować spokój. Tak jak pouczyła mnie Sam, kiedy już pozbiierała mnie z kuchennej podłogi.

– Z przyjemnością pomogę – odpowiadam.

Posyła mi uśmiech. Wydaje się niewymuszony.

– Fantastycznie.

Jesteśmy na posterunku przy Central Parku. W tym samym miejscu, z którego razem z Jeffem wyciągnęliśmy Sam zaledwie przed paroma dniami. Teraz wydaje mi się, że było to wieki temu. Pani detektyw prowadzi mnie na górę tymi samymi schodami, którymi szłam tamtej dawnej-niedawnej nocy. Podchodzimy do jej biurka, niemal pustego, jeśli nie liczyć oprawionej w ramkę fotografii, na której widzę ją, dwoje dzieci i mężczyznę o wydatnym torsie, który jak przypuszczam, jest jej mężem.

Na środku blatu leży coś jeszcze. Torebka.

Ta sama, którą Sam i ja zostawiłyśmy w parku. Wcale nie jestem zaskoczona jej widokiem. Podejrzewałyśmy, że detektyw zadzwoniła właśnie w tej sprawie, i przez całą drogę na posterunek kombinowałyśmy, jak wyjaśnić, skąd torebka wzięła się w parku i co tam robiłyśmy zeszłej nocy. A mimo to nagle staję jak wryta.

Hernandez to zauważa.

– Rozpoznaje ją pani? – pyta.

Zanim odpowiem, muszę odchrząknąć, aby uwolnić słowa, które utknęły mi w gardle jak połknięta przez nieuwagę kość.

– Tak. Zgubiłyśmy ją w parku wczoraj w nocy.

Ledwo to mówię, a już chciałabym cofnąć te słowa, wciągnąć je z powrotem do ust, jak wąż wciąga wysunięty na chwilę język.

– My? – mówi dobitnie Hernandez. – Pani i Tina Stone?

Biorę głęboki oddech. Oczywiście wie o Sam i zna jej nowe imię i nazwisko. Pani detektyw jest tak inteligentna, na jaką wygląda. Ta świadomość sprawia, że nagle ogarnia mnie uczucie słabości. Wręcz

wyczerpania. Kiedy policjantka siada za swoim biurkiem, opadam na krzesło naprzeciw niej.

– Naprawdę nazywa się Samantha Boyd – mówię potulnie, bo czuję się nieswojo, poprawiając ją. – Zmieniła nazwisko na Tina Stone.

– Po tym, co ją spotkało w Nightlight Inn?

Biorę kolejny głęboki oddech. Detektyw Hernandez dobrze się przygotowała, bez dwóch zdań.

– Właśnie – potwierdzam. – Wiele przeszła. Obie wiele przeszliśmy, ale o tym na pewno wie pani doskonale.

– Przeżyłyście coś potwornego. Obie. Co za zwariowany świat.

– To prawda.

Hernandez znów się uśmiecha – tym razem ze współczuciem – a potem otwiera torebkę i wyciąga z niej kilka podniszczonych książek w miękkich okładkach.

– Znaleźliśmy tę torebkę dzisiaj z samego rana – mówi, układając z nich stosik na biurku między nami. – Okazało się, że należy do pani Stone, bo w jednej z książek było jej nazwisko. Potem wystarczyło zajrzeć do policyjnych kartotek. Wygląda na to, że parę dni temu została zatrzymana. Zdaje się, że za napaść na funkcjonariusza i stawianie oporu podczas aresztowania.

– To było nieporozumienie. – Znów odchrząkuję. – Z tego co wiem, zarzuty wycofano.

– Owszem – przytakuje Hernandez, wpatrując się w jedną z książek. Na okładce widnieje robot przypominający kobietę na tle fioletowego gwiazdzonego nieba. – Pani ją odebrała, zgadza się?

– Tak. Ja i mój chłopak Jefferson Richards. Z Biura obrońcy Publicznego.

Najwyraźniej zna jego nazwisko. Rzuca mi kolejny uśmiech, ale teraz zdecydowanie niechętny.

– Prowadzi, zdaje się, trudną sprawę?

Przełykam ślinę, czując ulgę, że nie poprosiłam Jeffa, aby mi towarzyszył. Oczywiście chciałam do niego zadzwonić, ale Sam wybiła mi to z głowy, mówiąc, że jeśli pójdę na policję z prawnikiem, nawet jeżeli to mój chłopak, od razu wzbudzę podejrzenia. Okazuje się, że w dodatku trafiłby na detektyw Hernandez, której nie zachwyca fakt, że zgodził się bronić człowieka oskarżonego o zabicie policjanta.

– Niewiele wiem na ten temat – odpowiadam.

Kiwa tylko głową i wraca do pierwotnego tematu rozmowy.

– Ponieważ nie mamy numeru telefonu do pani Stone, uznałam, że warto porozmawiać z panią i spytać, czy zna pani jej miejsce pobytu. A może zatrzymała się u pani?

Mogłabym skłamać, ale to nie miałyby sensu. Odnoszę wrażenie, że detektyw Hernandez dobrze zna odpowiedź.

– Owszem – odpowiadam.

– A gdzie jest teraz?

– Cóż, akurat czeka na zewnątrz.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Co prawda była opanowana, kiedy tu szłyśmy, ale podejrzewam, że udawała na mój użytek. Teraz, gdy została sama przed budynkiem, pewnie przechadza się tam i z powrotem, paląc papierosa za papierosem i rzucając nerwowe spojrzenia przez szklaną ścianę posterunku. Przychodzi mi do głowy, że podczas gdy ja jestem tutaj, Sam mogła z łatwością wyjechać z miasta i znowu przepaść bez śladu. Szczerze mówiąc, nie byłby to chyba najgorszy pomysł.

– Zdaje się, że to mój szczęśliwy dzień – stwierdza detektyw Hernandez. – Myśli pani, że zechce tu przyjść i odpowiedzieć na kilka

pytań?

– Jasne – mówię ciekim, niemal piskliwym głosem. – Pewnie tak.

Policjantka sięga po telefon, wystukuje kilka cyfr, po czym informuje sierżanta dyżurnego, że znajdzie Sam przed wejściem do budynku.

– Proszę ją tu przyprowadzić i poprosić, aby zaczekała przed moim gabinetem – dodaje.

– Czy ona ma jakieś kłopoty? – pytam.

– Ależ nie. Zeszłej nocy zdarzył się w parku incydent. Ciężko pobito pewnego mężczyznę.

Trzymam dłonie na kolanach – tę prawą, pokrytą strupami, chowam pod lewą, nie tak pokiereszowaną.

– To straszne.

– Rano znalazł go jeden z biegaczy – ciągnie Hernandez. – Poszkodowany był nieprzytomny. Zakrwawiony i poturbowany. Kto wie, co by się stało, gdyby pomoc nie nadeszła w porę.

– To straszne – powtarzam.

– Ponieważ torebkę znaleziono w pobliżu miejsca zdarzenia, chciałabym spytać panią Stone, czy w nocy czegoś tam nie widziała. Albo panią, skoro najwyraźniej były tam panie razem.

– Byłyśmy – potwierdzam.

– O której godzinie?

– Około pierwszej. Może trochę później.

Hernandez odchyła się do tyłu na krześle i składa starannie wymanikiurowane palce w wieżyczkę.

– To chyba dość późno na przechadzkę po parku?

– Owszem – odpowiadam. – Ale trochę wypiliśmy. Wie pani, babski wieczór na mieście. A że mieszkam blisko parku, uznałyśmy, że szybciej

będzie iść pieszo, niż wzywać taksówkę.

Właśnie takie alibi wymyśliłyśmy z Sam po drodze na posterunek. Bałam się, że to kłamstwo nie przejdzie mi przez gardło, ale przeszło bez trudu, tak gładko, że sama jestem tym zaskoczona.

– I wtedy pani Stone...

– Boyd – poprawiam. – Naprawdę nazywa się Samantha Boyd.

– I wtedy pani Boyd zgubiła torebkę?

– Prawdę mówiąc, została jej skradziona.

Hernandez unosi idealnie wymodelowaną brew.

– Skradziona?

– Przystanęłyśmy w parku, żeby Sam mogła zapalić. – Kamyczek prawdy wrzucony w rwącą rzekę kłamstw. – Jakiś facet minął nas biegiem, chwycił torebkę i zwiął. Nie zgłosiłyśmy kradzieży, bo jak sama pani widzi, nie ma w niej nic cennego.

– Więc po co w ogóle miała ją przy sobie?

– Sam ma lekką paranoję, jeśli chodzi o jej własność – odpowiadam kolejnym kłamstwem. Wcale jej się nie dziwię, zważywszy na to, co ją spotkało. Nas obie. Powiedziała mi, że nosi tę torebkę przy sobie dla ochrony.

Detektyw Hernandez kiwa głową ze rozumieniem.

– Dla zmyłki?

Teraz ja odpowiadam kiwnięciem.

– Właśnie. Bandzior rzuci się na coś dużego, jak ta torebka, i przeoczy coś naprawdę cennego, na przykład portfel.

Hernandez przygląda mi się uważnie zza biurka, analizując usłyszaną informację i odwlekając odpowiedź, jakby liczyła sekundy i czekała, aż upłynie odpowiedni czas, abym poczuła się onieśmielona jej milczeniem.

– Przyjrzała się pani napastnikowi, który ukradł torebkę? – odzywa się w końcu.

– Raczej nie.

– Nic pani nie zapamiętała?

– Było ciemno – tłumaczę. – A on nosił ciemny strój. Chyba kurtkę puchową. Nie jestem pewna. Wszystko stało się tak szybko.

Z ulgą odchyłam się na oparcie krzesła. Przyznam, że jestem z siebie dumna. Podałam jej nasze fałszywe alibi bez mrugnięcia okiem. I byłam tak przekonująca, że prawie sama w nie uwierzyłam. Ale wtedy Hernandez sięga do szuflady, wyjmując z niej jakąś fotografię i przesuwając ją w moją stronę.

– Czy to mógł być ten człowiek?

Przede mną leży zdjęcie policyjne jakiegoś młodego oprycha. Dziki wzrok. Tatuż na szyi. Pergaminowa skóra ćpuna. To właśnie jemu rozkwaśiłam nos czołem. Na widok jego twarzy serce zamiera mi w piersi.

– Tak – mówię i przełykam ślinę. – To on.

– To właśnie jego znaleziono dziś rano skatowanego niemal na śmierć – oznajmia Hernandez, choć już o tym wiem. – Nazywa się Ricardo Ruiz. Ma ksywkę Rocky. To bezdomny. Narkoman. Typowa smutna historia. Policjanci patrolujący park dobrze go znają. Mówią, że nie wyglądał na takiego, który pakuje się w poważne kłopoty. Wystarczyło mu miejsce do spania i działka.

Nie odrywam oczu od zdjęcia. To, że znam teraz nazwisko tego faceta i coś o nim wiem, sprawia, że zaczyna mnie zżerać poczucie winy. Wyrzuty sumienia zastępują strach, który czułam w parku. Już nie myślę o nożu, który miał przy sobie, a który Sam podniosła z ziemi i zabrała. Skupiam się tylko na tym, że go skrzywdziłam. Poważnie. Tak mocno, że może już nigdy nie wydobrzeć.

– To okropne – udaje mi się wykrztusić. – Wyjdzie z tego?

– Lekarze mówią, że jeszcze za wcześnie, aby to stwierdzić. Pewne jest tylko, że ktoś nieźle go poturbował. Więc żadna z pań nie zauważyła tam nic podejrzanego? Może ktoś biegł, może uciekał? Albo dziwnie się zachowywał?

– Niczego takiego nie widziałyśmy. Kiedy Sam ukradziono torebkę, obie wyszłyśmy z parku jak najszybciej. – Wzruszam ramionami i marszczę brwi, aby jeszcze dobitniej podkreślić, że bardzo chciałabym pomóc. – Przykro mi, że nie mogę powiedzieć nic więcej.

– I kiedy porozmawiam z panią Stone... chciałam powiedzieć z panią Boyd... usłyszę to samo?

– Oczywiście.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Po zeszłej nocy nie jestem już taka pewna, że znajdujemy się z Sam po tej samej stronie.

– Przypuszczam, że jesteście sobie bliskie – mówi Hernandez. – Obie macie za sobą równie ciężkie przeżycia. Zdaje się, że gazety nadały wam jakąś ksywkę?

– Jedyne Ocalałe.

Mówię to z całą złością i pogardą, na jakie mnie stać. Chcę dać Hernandez do zrozumienia, że nie uważam się za kogoś takiego, że tamtą tragedię zostawiłam za sobą. Choć sama przestałam w to wierzyć.

– Właśnie. – Policjantka wyczuwa mój ton i marszczy nos z niesmakiem. – Przypuszczam, że nie przepada pani za tym przydomkiem.

– Nie przepadam – odpowiadam. – Ale to i tak lepsze, niż być nazywaną ofiarą.

– A jak wolałaby pani być nazywana?

– Tą, która przetrwała.

Hernandez znowu odchyła się na oparcie krzesła, wyraźnie pod wrażeniem.

– Więc jest pani zżyta z panią Boyd?

– Owszem – przytakuję. – Miło mieć przy sobie kogoś, kto mnie rozumie.

– Nie wątpię. – W jej głosie brzmi szczerść. Chyba naprawdę tak myśli. A jednak jej twarz ściąga się nieco na ułamek sekundy. – I mówi pani, że obecnie pomieszkuje u pani?

– Zatrzymała się na parę dni, tak.

– Czyli nie przeszkadza pani, że już wcześniej wchodziła w konflikty z prawem?

Przełykam ślinę.

– Wcześniej? To znaczy poza tym nieporozumieniem sprzed kilku dni?

– Rozumiem, że o tym pani Boyd nie wspomniała – stwierdza Hernandez i zerka do swoich notatek. – Zajrzałam do jej akt. Tylko tych najnowszych, do pięciu lat wstecz. Oprócz zatrzymania za napaść dwa dni przed tym niefortunnym wypadkiem Rocky’ego ma na koncie aresztowanie za naruszenie porządku publicznego w stanie nietrzeźwym najpierw cztery lata temu w New Hampshire, a drugi raz dwa lata później w Maine. Ma też niezapłacony mandat za przekroczenie prędkości, wystawiony w zeszłym miesiącu w Indianie.

Nagle świat nieruchomieje. Zatrzymuje się z wizgiem, aż wszystko się chybotze. Dłonie ześlizgują mi się z kolan i przytrzymują siedzenia, jakbym się bała, że zaraz spadnę z krzesła.

Sam była w Indianie. W zeszłym miesiącu.

Próbuję uśmiechnąć się do detektywa Hernandez, aby pokazać jej, że wcale nie jestem zaskoczona, że wiem o Sam wszystko. W rzeczywistości mój umysł zapelniają wspomnienia, które przeglądam jak kolejne strony

albumu fotograficznego. Każde z nich to jedno zdjęcie. Wyraźne. Żywe. Pełne szczegółów.

Widzę maila Lisy w moim telefonie, którego ekran rozbłyskuje w mroku lodowatym błękitem.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To niezwykle istotne. Bardzo Cię proszę, nie zignoruj tej wiadomości”.

Widzę, jak Jonah Thompson chwytą mnie za ramię i wpatruje się we mnie z widocznym na twarzy napięciem.

„Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamuje”.

Słyszę cichy, zaniepokojony głos Coopa.

„Nie wiemy, do czego jest zdolna”.

Widzę Sam w parku, jak zasłania moje zakrwawione ubranie swoją kurtką i prowadzi nas nad staw, a potem zmywa krew z moich rąk. Szybko i zdecydowanie. Widzę, jak później zgarnia te same ciuchy z podłogi w łazience, jakby to było coś normalnego.

„Nie masz się czym martwić. Znam się na rzeczy”.

Widzę, jak przekleństwami toruje sobie drogę przez tłum dziennikarzy na ulicy, nie zważając na kamery i nie wyglądając na wytrąconą z równowagi, kiedy Jonah Thompson informuje nas, że Lisa została zamordowana. Jej zalana światłem fleszy twarz przybiera ten sam odcień bieli co twarz trupa na stole w kostnicy. Jest kompletnie pozbawiona wyrazu. Żadnego smutku czy zaskoczenia.

Nic.

– Pani Carpenter? – Głos detektyw Hernandez z trudem przebija się przez zalew wspomnień. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam. – Wiem o tym wszystkim. Sam nigdy mnie nie okłamała.

To fakt. A w każdym razie niczego, co od niej usłyszałam, nie mogłabym nazwać kłamstwem. Ale prawdy też mi właściwie nie powiedziała. Odkąd się pojawiła, nie dowiedziałam się od niej za wiele.

Nie wiem, gdzie się podziewała.

Ani z kim.

A przede wszystkim nie mam pojęcia, czy nie zrobiła czegoś strasznego.



22

Chłód wrócił do parku z całą mocą, przesywający tak samo jak przy pierwszym zanurzeniu się w basenie. W powietrzu czuć nadchodzącą zmianę, której towarzyszy wrażenie przemijania. Oficjalnie nadeszła jesień.

Z powodu pogody wszystkich ogarnia dziwne rozgorączkowanie. Biegaczy, rowerzystów i opiekunki pchające przed sobą absurdalnie szerokie wózki. Wyglądają, jakby przed czymś uciekali, choć poruszają się w różnych kierunkach, chaotycznie jak mrówki umykające przed stopą, która za chwilę zmiażdży ich mrowisko.

Ja natomiast, kiedy tak stoję przed wysoką szklaną ścianą posterunku, stanowiąc uosobienie bezruchu. Sam jestem w środku i właśnie rozmawiam z detektyw Hernandez. Mam nadzieję, że mówi jej to samo co ja przed

chwilą. I choć sprawiaam wrażenie zadowolonej z własnego odrętwienia, najchętniej bym stamtąd uciekła. Nie w stronę domu, ale w przeciwną. Chcę dobiec do mostu Waszyngtona, a potem jeszcze dalej. Pokonać New Jersey. Pensylwanię i Ohio. Zniknąć gdzieś w samym sercu kraju.

Tylko wtedy zdołałabym uwolnić się od tego, co zrobiłam w parku. Od tych krótkich, konsternujących przebłysków z Pine Cottage, które wciąż kleją się do mnie jak przepocona koszula. A przede wszystkim byłabym daleko od Sam. Nie chcę być tutaj, kiedy opuści posterunek. Boję się tego, co zobaczę, jakby wystarczyło jedno spojrzenie, aby na jej twarzy dostrzec poczucie winy tak wyraźne i jaskrawe jak jej czerwona szminka.

A jednak zostaję, choć nogi dygoczą mi od nadmiaru tłumionej energii. Tak bardzo pragnę xanaxu, że już czuję smak napoju winogronowego na języku.

Zostaję, bo mogę się mylić co do Sam.

Chcę się mylić.

Może i przebywała w Indianie, kiedy Lisa jeszcze żyła, ale najprawdopodobniej ich drogi nigdy się nie przecięły. W końcu Indiana to duży stan i jest w nim więcej miejscowości niż jedno Muncie. To, że Sam tam była, nie znaczy jeszcze, że widziała się z Lisą. A już na pewno nie znaczy, że ją zabiła. Fakt, że od razu o tym pomyślałam, więcej mówi o mnie niż o niej.

Przynajmniej tak sobie powtarzam w myślach, kiedy skulona z zimna próbuję opanować nerwowy dygot nóg i zastanawiam się, co właściwie Sam opowiada policji w budynku za moimi plecami. Siedzi tam już dwadzieścia minut – znacznie dłużej niż ja. Niepokój trąca mnie w bok, drażni i sprawia, że mam coraz większą ochotę się stąd zmyć.

Wyszarpuję telefon z kieszeni i opuszką kciuka przesuwam po ekranie. Kusi mnie, żeby zadzwonić do Coopa i wszystko mu wyznać, nawet jeśli

miałby mnie po tym znienawidzić. Nie licząc ucieczki, to jedyne logiczne wyjście z tej sytuacji. Zmierzyć się ze swoimi grzechami. I niech się dzieje, co chce.

Ale wtedy w szklanych drzwiach posterunku pojawia się Sam z uśmiechem urwisa, któremu właśnie coś uszło na sucho. Na ten widok serce przeszywa mi strach. Boję się, że Sam powiedziała prawdę o zeszłej nocy. A co gorsza, teraz wyczuwa moje podejrzenia. Instynktownie wie, co mi chodzi po głowie. Po mojej minie widzi, że coś jest nie tak. Jej uśmiech blednie. Sam przechyla głowę w bok i bacznie mi się przygląda.

– Wyluzuj, mała – mówi. – Trzymałam się scenariusza.

Ma ze sobą torebkę, która zwisa z przedramienia, przydając jej niepokojącej elegancji. Podaje mi ją, ale cofam się o krok. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Z Sam też nie. Kiedy wracamy do domu, trzymam się od niej na wyciągnięcie ramienia. Nawet ten marsz to dla mnie męczarnia. Moje ciało aż się pali do biegu.

– Hej – odzywa się Sam, zauważywszy mój dystans. – Nie musisz się już tak spinać. Powiedziałaś detektyw McSucz to, co ustaliłyśmy. Babski wieczór na mieście. Powrót po pijaku przez park. Tamten koleś wyrwał mi torebkę.

– On ma imię i nazwisko – mówię. – Ricardo Ruiz.

Sam rzuca mi spojrzenie z ukosa.

– O, więc już wymawiasz imiona.

– Myślę, że muszę.

Czuję, że powinnam powtarzać je dzień w dzień jak zdrowaśkę, aby odpokutować za grzechy. I robiłabym to, gdybym sądziła, że to pomoże.

– Tak dla jasności – drąży Sam – jego imię jest dozwolone, ale wciąż nie wolno mi wymówić...

– Dość.

To słowo przeszywa powietrze jak ostry świst bata. Sam kręci głową.

– Cholera. Naprawdę jesteś spięta.

I mam do tego pełne prawo. Przez mnie facet znalazł się w śpiączce. Lisa została zamordowana. A Sam – co niewykluczone, a wręcz prawdopodobne – właśnie wtedy tam była.

– Gdzie mieszkałaś, zanim przyjechałaś do Nowego Jorku? – pytam. – I żadne „tu i tam”. Mów konkretnie.

Sam milczy przez chwilę. Wystarczająco długą, żebym zaczęła się zastanawiać, czy ona przypadkiem nie przegląda arsenału swoich kłamstw, próbując wybrać najodpowiedniejsze.

– W Maine – odpowiada w końcu.

– Gdzie w Maine?

– W Bangor. Zadowolona?

Nie. Bo nic mi to nie mówi.

Idziemy dalej, kierując się na południe, w głąb parku. Ścieżka jest wysadzana czerwonymi dębami, których liście ledwo trzymają się gałęzi. Żołędzie już zaczęły opadać i tworzą nierówne kręgi wokół pni drzew. Kilka spada akurat, gdy przechodzimy. Każdy uderza o ziemię z cichym stuknięciem.

– Jak długo tam mieszkałaś? – dopytuję się.

– Nie wiem. Parę lat.

– A przez ten czas wyjeżdżałaś gdzieś?

Sam unosi ręce teatralnym gestem, mając torebkę, i rzuca wyniosłym tonem:

– Och, właściwie to nigdzie. Latem do Hamptons, a zimą na Rivierę, to wszystko. Monako jest takie cudowne o tej porze roku.

– Pytam poważnie, Sam.

– A mnie poważnie zaczynają drażnić te wszystkie pytania.

Mam ochotę porządnie nią potrząsnąć, żeby prawda opadła z niej jak żołądź z otaczających nas drzew. Najchętniej wydusiłabym z niej każdy szczegół. Opanowuję jednak tę burzę emocji, która we mnie szaleje, i pytam:

– Po prostu wolę się upewnić, że nie ma między nami żadnych tajemnic.

– Nigdy cię nie okłamałam, Quincy. Ani razu.

– Ale nie opowiedziałaś mi całej swojej historii – wytykam jej. – A ja muszę znać prawdę.

– Jesteś tego pewna?

Skinieniem głowy wskazuje na biegnącą przed nami ścieżkę. Dopiero teraz orientuję się, jak daleko zaszliśmy. Sam wykorzystwała dystans, który utrzymywałam między nami, aby niepostrzeżenie doprowadzić mnie do miejsca, z którego uciekaliśmy wczoraj w nocy.

Gliniarze zniknęli, zwinawszy ogrodzenie z powiewającej na wietrze taśmy policyjnej. Jediną oznaką ich wcześniejszej obecności jest szeroki pas stratowanej trawy – zapewne butami funkcjonariuszy szukających dowodów. Rozglądam się za śladami obcasów detektyw Hernandez.

Ścieżkę, przy której znaleziono Rocky’ego Ruiza, blokuje krąg zniczy. Tych wysokich i smukłych, z podobiznami Matki Boskiej po bokach; można je kupić za dolara w prawie każdym sklepiku w mieście. Jest też tani pluszowy miś trzymający w łapkach serduszko, napędce nabazgrany plakat z napisem SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA ROCKY’EGO oraz napełniony helem balonik, którego sznurek przywiązano do plastikowego ciężarka.

– Tu masz prawdę – mówi Sam. – Ty to zrobiłaś, mała, a ja cię kryję. Mogłam wszystko wyśpiewać tej detektyw, ale tego nie zrobiłam. To cała prawda, jaką musisz znać.

Nie dodaje nic więcej. I wcale nie musi. Rozumiem doskonale.

Sam podejmuje marsz, nadal kierując się na południe, zmierzając Bóg jeden wie dokąd. Ja zostaję na miejscu, bo poczucie winy, strach i wyczerpanie nie pozwalają mi się ruszyć. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przespałam całą noc. Wiem jedynie, że było to, zanim pojawiła się Sam. Jej przyjazd zredukował mój odpoczynek do zera. I nic nie wskazuje, żeby w najbliższym czasie miało się to zmienić. Przewiduję raczej kolejne bezsenne tygodnie i noce przerywane koszmarami o Sam, Rockym Ruizie oraz Lisie, której ktoś podcina żyły.

– Idziesz? – pyta Sam.

Kręcę głową.

– Jak chcesz.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Tu i tam. – Głos Sam ocieka sarkazmem. – Nie czekaj na mnie.

I odchodzi. Ogląda się na mnie tylko raz. Choć nie oddaliła się jeszcze zbyt daleko, z jej wyrazu twarzy nie sposób odgadnąć, o czym myśli. Te same chmury, które przywiodły ze sobą chłód, teraz przesłoniły popołudniowe słońce i rozszczepiły jego blask, w czego rezultacie pół twarzy Sam skąpana jest w świetle, a pół tonie w cieniu.



PINE COTTAGE

21:54

Przyjęcie urodzinowe, które w zamyśle solenizantki miało być wielce wytwornym wydarzeniem, okazało się zwykłą kolacją spożywaną w niezręcznym milczeniu – pantomimą imprezy dla dorosłych. Napełniono kieliszki winem. Podano posiłek. Wszyscy uważali, żeby nie poplamić sobie ubrania, a w duchu marzyli, aby zdjąć już te idiotyczne sukienki wyjściowe i sztywniackie krawaty. Jedynie Joe, w tym swoim znoszonym, ale wygodnym swetrze, wyglądał na dość odprężonego, nie zdając sobie przy tym sprawy, jak bardzo odstaje od reszty towarzystwa.

Atmosfera rozluźniła się dopiero po kolacji, kiedy Quincy wniosła tort z zapalonymi dwudziestoma świeczkami. Po ich zdmuchnięciu Janelle pokroiła ciasto na nierówne kawałki tym samym nożem, którym zacięła się w palec.

Potem zaczęła się prawdziwa impreza. Ta, którą odwlekali przez cały dzień. Przyszła pora na drinki. Opróżniano kolejne butelki, a jednorazowych kubków szybko ubywało. Z iPod'a i przywiezionych przez Craiga przenośnych głośników grzmiała muzyka – Beyoncé, Rihanna, Timberlake, T.I. – ta sama, której słuchali w akademiku, tyle że teraz głośniejsza, dziksza, w końcu nieokiełznana.

Tańczyli w salonie, wysoko wznosząc kubki i rozchlapując ich zawartość. Quincy nie piła alkoholu. Jako swoją truciznę wybrała colę zero, co w najmniejszym stopniu nie popsło jej zabawy. Tańczyła razem z innymi, podrygując na środku pokoju, otoczona przez Craiga, Betz i Rodneya. Obok niej bujała się Amy, śmiejąc się i trącając ją biodrem.

Janelle dołączyła do nich z aparatem Quincy, której natychmiast pstryknęła fotkę. Quincy posłała jej uśmiech, upozowała się wdzięcznie, a potem zrobiła wywijas w stylu disco, który rozbawił Janelle niemal do łez. Quincy też się śmiała. Muzyka pulsowała, a ona tańczyła, aż pokój wirował jej przed oczami, i nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się tak dobrze, taka wolna i szczęśliwa. A tu proszę, bawi się w najlepsze z przystojnym chłopakiem obok najlepszej przyjaciółki. Czy nie tak zawsze wyobrażała sobie studenckie życie?

Po kilku piosenkach poczuli się zmęczeni. Janelle ponownie napełniła kubki. Amy i Betz wyciągnęły się na podłodze. Rodney wyjął bongo i pomachał nim nad głową jak flagą. Wszedł na taras, a Janelle, Craig i Amy otoczyli go tam w oczekiwaniu na bucha.

Quincy nie lubiła trawki. Kiedy raz jej spróbowała, dostała napadu kaszlu, potem śmiechu, a potem znowu kaszlu. Później poczuła się rozedrgana i zagubiona, więc nie nacieszyła się swoim hajem.

Podczas gdy inni palili na tarasie, ona została w salonie i popijała colę zero, którą Janelle z pewnością po kryjomu doprawiła rumem. Betz, która

zawsze miała słabą głowę, leżała na podłodze ubzdryngolona trzema wódkami z sokiem żurawinowym.

– Quincy – odezwała się nagle; jej oddech cuchnął tanim alkoholem – nie musisz tego robić.

– Czego?

– Pieprzyć się z Craigiem. – Betz zachichotała, jakby właśnie przeklęła pierwszy raz w życiu.

– Może tego chcę.

– Janelle ci to wmawia – powiedziała Betz. – Głównie dlatego, że sama ma na to ochotę.

– Jesteś pijana, Betz. I gadasz głupoty.

– Mam rację – upierała się Betz. – I dobrze o tym wiesz.

Znów wyrwał jej się chichot, który Quincy z całych sił starała się zignorować. Niestety nawet kiedy przeszła do kuchni, ten pijacki śmiech nadal dźwięczał w jej uszach. Czuła, że coś się w nim kryje, jakby aluzja do czegoś, co wszyscy prócz niej najwyraźniej rozumieją.

W kuchni natknęła się na Joego, który opierał się o kontuar, ściskając w dłoni jedną z tych okropnych mikstur Janelle. Quincy wzdrygnęła się na jego widok. Od kolacji był tak cicho, że zapomniała o jego obecności. Inni najwyraźniej też. Nawet Janelle, która porzuciła go niczym zabawkę w bożonarodzeniowe popołudnie.

Ale on tam był. Obserwował ich wszystkich przez upačkane okulary, przyglądał się, jak piją i tańczą. Quincy zaciekawilo, co myśli o ich frywolności. Sprawia mu przyjemność? A może im jej zazdrości?

– Dobrze tańczysz – odezwał się, wbijając wzrok w swój kubek.

– Dzięki? – Zabrzmiało to jak pytanie, jakby Quincy nie do końca mu wierzyła. – Jeśli się nudzisz, mogę cię podwieźć do twojego auta.

– Nie trzeba. Chyba lepiej, żebyś teraz nie prowadziła.

– Nie piłam – odparła Quincy, choć coraz bardziej podejrzewała, że to nieprawda. Dzięki, Janelle. Właśnie zaczynała czuć lekki szumek w głowie.

– Przykro mi, że Janelle tak się uparła, abyś został. Ona potrafi być bardzo, hmm, przekonująca.

– Dobrze się bawię – odparł Joe, choć jego ton wskazywał na coś zupełnie przeciwnego. – Jesteś bardzo miła.

Quincy jeszcze raz mu podziękowała i znowu w jej w głosie zabrzmiała niepewność. Niewidzialny znak zapytania.

– I ładna – dodał Joe, tym razem ośmielając się podnieść wzrok znad kubka. – Myślę, że jesteś bardzo ładna.

Quincy spojrzała na niego. Z uwagą. Dopiero teraz zauważyła to, co najwyraźniej Janelle dostrzegła już wcześniej. Faktycznie miał swój urok, taki ciapowaty. Jak niezyciowy kujon z filmu, który okazuje się ciachem, jak tylko zdejmie okulary. Jego nieśmiała aparycja emanowała aurą intensywności, która dodawała znaczenia każdemu słowu.

– Dziękuję – odparła, tym razem szczerze. Bez znaku zapytania.

I wtedy do środka wparowała reszta towarzystwa, nabuzowana i rozbawiona wypaloną trawką. Rodney zarzucił sobie Amy na ramię i piszczącą z zachwytu wniósł do salonu. Janelle i Craig opierali się o siebie nawzajem, oboje upaleni i uśmiechnięci. Janelle obejmowała go w pasie swoim szczupłym ramieniem i nie wycofała się nawet, kiedy powoli ruszył ku Quincy. Dreptała za nim, wyciągając rękę, byle go nie puścić.

– Quincy! – zawołała. – Tracisz całą zabawę.

Jej zarumieniona twarz błyszczała. Kosmyk pociemniałych od potu włosów przykleił się do skroni. Nagle zauważyła, że w kuchni znajduje się także Joe, i mina jej zrzędła. Przeniosła wzrok z niego na Quincy i z powrotem.

– Tu się schowałeś! – powiedziała do Joego takim tonem, jakby witała się z dawno niewidzianym przyjacielem. – Szukałam cię!

Poprowadziła go do jednego z tych wytartych, głębokich foteli w salonie, posadziła go w nim i wcisnęła się obok, a zgięte nogi oparła na jego kolanach.

– Dobrze się bawisz? – spytała.

Quincy odwróciła wzrok, skupiając się na Craigu, który właśnie do niej podchodził. On też był pijany i upalony, ale nie chichotał jak Betz ani nie był nabuzowany jak Janelle. Emanował spokojem, a jego umięśnione ciało poruszało się płynnie i lekko, co Quincy wydało się niezwykle podniecające.

Przyłgnął do niej, aż poczuła ciepło bijące od jego skóry, i wyszeptał:

– Chcesz się dziś trochę zabawić?

– Pewnie – odszepnęła.

Pociągnął ją za sobą w stronę korytarza, a kiedy mijali Betz, Quincy dostrzegła jej krytyczne spojrzenie. Zerknęła przez ramię i obrzuciła wzrokiem salon: Janelle nadal siedziała wciśnięta w fotel i głaskała Joego po włosach, jedynie udając, że jest nim zainteresowana. W rzeczywistości obserwowała oddalającą się Quincy, nie odrywając od niej oczu, w których czaił się błysk zadowolenia lub zazdrości.

Tego Quincy nie potrafiła określić.



23

Gdy tylko wracam do domu, ogarnia mnie skrajne wyczerpanie. Udaje mi się dotrzeć do salonu, gdzie padam twarzą na kanapę i natychmiast zasypiam głęboko. Budzę się kilka godzin później, czując, jak klęczący obok Jeff potrząsa mnie za ramię.

– Hej – mówi z wypisaną na twarzy troską. – Dobrze się czujesz?

Siadam prosto i mrużę zapuchnięte oczy przed późnopołudniowym słońcem wlewającym się przez okno.

– Tak. Po prostu jestem zmęczona.

– Gdzie Sam?

– Wyszła – odpowiadam.

– Dokąd?

– Pozwiedzać miasto. Chyba miała dosyć duszenia się w czterech ścianach.

Jeff daje mi całusa w usta.

– Skądś to znam. My też powinniśmy gdzieś wyjść.

Udaje, że to spontaniczny pomysł, ale ten jego nagły zapał wydaje mi się sztuczny. Mam wrażenie, jakby od kilku dni wyczekiwał chwili, kiedy będziemy sami.

Zgadzam się na jego propozycję, chociaż właściwie nie chce mi się nigdzie wychodzić. Ze zmęczenia i niepokoju wszystko mnie boli: plecy, barki, szyja. No i powinnam zająć się swoim blogiem, bo lada dzień posypie mi się cały harmonogram. Odpowiedzialna Quincy łyknęłaby ibuprofen i przez cały wieczór nadrabiała zaległości w pieczeniu. Ale moje nieodpowiedzialne ja potrzebuje czegoś, co na chwilę pozwoli mi zapomnieć, że właściwie nic nie wie o Sam. Dlaczego przyjechała. Co planuje. Kim naprawdę jest.

Zaprosiłam do naszego domu kogoś kompletnie obcego.

A teraz nie poznaję samej siebie. Stałam się kimś, kto jest zdolny pobić nieznanego w Central Parku, a potem nakłamać o tym policji. Kimś, kto kiedyś był taki szczęśliwy z Jeffem, a teraz pragnie samotności.

Zachodzące słońce świeci nam w plecy. Na chodniku przede mną rozciąga się mój cień, smukły i ciemny. Przychodzi mi do głowy, że więcej łączy mnie z nim niż z kobietą, która jest jego źródłem. Bo czuję się równie niematerialna jak on. Tak jakbym z nadejściem zmroku miała się w nim rozpuścić i całkiem zniknąć.

Mijamy kilka przecznic i docieramy do francuskiego bistra, które niby uwielbiamy, ale odwiedzamy rzadko. Wolimy stół na zewnątrz, choć siedzimy skuleni, chroniąc się przed chłodem. Jeff ma na sobie kurtkę

Members Only, którą kupił w second-handzie, kiedy na krótko zachwyił się modą lat osiemdziesiątych, a ja kardigan z szalowym kołnierzem.

Nie rozmawiamy o Sam. Ani o sprawie, którą prowadzi Jeff. W związku z tym zostaje nam niewiele tematów do rozmowy, kiedy gmeramy widelcami w talerzach z ratatouille i cassoulet. Nie mam apetytu. Zmuszam się do każdego maleńkiego kęsa, który i tak staje mi w gardle, dopóki nie spluczę go łykiem domowego czerwonego wina. W rekordowym tempie opróżniam kieliszek.

Kiedy wyciągam rękę po karafkę, Jeff wreszcie zauważa moją dłoń.

– O! – mówi zaskoczony. – Co ci się stało?

To idealny moment, aby wyznać mu wszystko. Że prawie zabiłam człowieka. Jak bardzo się boję, że mnie złapią. A jeszcze bardziej tego, że wróci kolejne wspomnienie z Pine Cottage. Że Sam była w Indianie w czasie, kiedy zginęła Lisa.

A jednak zamiast mu o tym wszystkim powiedzieć, przyklejam do twarzy sztuczny uśmiech i najlepiej jak umiem wcielam się we własną matkę. Nic się nie stało. Wszystko jest w najlepszym porządku. Bo tak właśnie będzie, jeśli wystarczająco mocno w to uwierzę.

– To tylko drobne oparzenie – odpowiadam lekceważąco. – Dziś rano jak głupia dotknęłam gorącej blachy do pieczenia.

Chcę cofnąć dłoń, ale Jeff ją chwyta i studiuje topografię strupów na moich knykciach.

– Kiepsko to wygląda, Quinn. Boli cię?

– Nie bardzo. Tylko brzydko się goi.

Jeszcze raz próbuję odsunąć dłoń, ale Jeff trzyma ją mocno.

– Ręka ci drży.

– Tak?

Odwracam wzrok na ulicę, udając zainteresowanie przejeżdżającym srebrnym cadillakiem escalade. Nie potrafię spojrzeć Jeffowi w oczy. Nie kiedy jest taki kochany i tak się o mnie troszczy.

– Obiecuj, że pójdziesz do lekarza, jeśli to się pogorszy.

– Dobrze – zgadzam się pogodnie. – Obiecuję.

A potem dopijam wino z kieliszka, opróżniam karafkę i zamawiam następną, zanim Jeff zdąży zaprotestować. Szczerze mówiąc, właśnie tego mi teraz potrzeba. Alkohol w połączeniu z xanaxem, który zażyłam zaraz po powrocie z parku, wspaniale mnie odpręża. Ból pleców i barków zniknął. I już prawie nie myślę o Sam, Lisie czy Rockym Ruizie. A kiedy taka myśl jednak zaświta mi w głowie, po prostu sięgam po kieliszek i topię ją w winie.

W drodze powrotnej do domu Jeff trzyma mnie za zdrową rękę. Gdy zatrzymujemy się przed przejściem dla pieszych, nachyla się i mnie całuje, zaledwie muskając językiem wnętrze moich ust, ale to wystarcza, żeby przeszył mnie dreszcz pożądania. Potem całujemy się w windzie, nie przejmując się zainstalowaną w rogu kamerą ani spoconym, brzuchatym ochroniarzem, który pewnie podgląda nas na monitorze gdzieś w piwnicy.

Wchodzimy do mieszkania i zaraz za progiem, jeszcze w przedpokoju, padam na kolana i biorę go do ust, a Jeff jęczy tak głośno, że sąsiedzi na pewno słyszą go przez ściany. Ta myśl jeszcze bardziej mnie podnieca. Gdy jedną ręką przytrzymuje mi głowę, sięgam do tyłu i zaciskam jego palce na moich włosach, mając nadzieję, że za nie szarpnie.

Chcę, żeby mnie zaboląło. Choć trochę.

Należy mi się.

Później, już w łóżku, Jeff pozwala, żebym to ja wybrała film. Decyduję się na *Zawrót głowy*. Kiedy na ekranie zaczyna wirować psychodeliczna czołówka w całej swej technicolorowej krasie, mocno wtulam się w Jeffa

i obejmuję ramieniem jego tors. Oglądamy w milczeniu, a on co chwila przysypia, ale budzi się w punkcie kulminacyjnym, kiedy Jimmy Stewart wlecze biedną Kim Novak po schodach dzwonnicy, błagając, aby wyznała mu prawdę.

– Nie muszę jechać – mówi po zakończeniu filmu. – Do Chicago. Zostanę tu, jeśli chcesz.

– Powinieneś pojechać, to ważne. No i nie wyjeżdżasz na długo, prawda?

– Na trzy dni.

– Szybko zlecą.

– Możesz pojechać ze mną – mówi Jeff. – To znaczy jeśli chcesz.

– Nie będziesz zajęty?

– Wręcz zawałony robotą. Ale to nie znaczy, że ty nie mogłabyś się dobrze bawić. Uwielbiasz Chicago. Pomyśl tylko: przyjemny hotel, pizza deep-dish, muzea...

Opierając głowę na jego ramieniu, słyszę, jak przyspiesza mu serce. To jasne, że on naprawdę chce, żebym z nim pojechała. Ja też tego pragnę. Chciałabym zamienić to miasto na inne, choćby na kilka dni. Żeby zapomnieć o tym, co zrobiłam.

Ale nie mogę. Nie kiedy jest tutaj Sam. Bo gdy zaprowadziła mnie do miejsca, w którym pobiłam Rocky'ego Ruiza, dała mi wyraźnie do zrozumienia, że siedząc cicho, oddaje mi przysługę. Jeden fałszywy ruch z mojej strony mógłby zaburzyć delikatną równowagę w naszym życiu. Sam może nas w każdej chwili zniszczyć.

– A co z Sam? – pytam. – Nie możemy zostawić jej tutaj samej.

– To nie jest pies, Quinn. Przez kilka dni sobie poradzi.

– Źle bym się z tym czuła. Poza tym nie będzie przecież siedziała tu wiecznie.

– Nie o to chodzi – mówi Jeff. – Martwię się o ciebie, Quinn. Coś jest nie tak. Odkąd się pojawiła, dziwnie się zachowujesz.

Odsuwam się od niego. Było tak przyjemnie, dopóki nie zaczął gadać.

– Zwaliło mi się na głowę sporo rzeczy.

– Wiem, że jest ci ciężko i ostatnio żyjesz w napięciu. Ale czuję, że dzieje się coś jeszcze. Coś, o czym mi nie mówisz.

Opadam na plecy i zamykam oczy.

– Wszystko gra.

– I przysięgasz, że powiedziałaś mi, gdyby było inaczej?

– Tak. I proszę, daj mi już spokój.

– Po prostu chciałbym mieć pewność, że dasz sobie radę, kiedy mnie tu nie będzie – mówi Jeff.

– Jasne, że tak. Przecież jest ze mną Sam.

Jeff odwraca się do mnie plecami.

– Właśnie to mnie martwi.

Przez całą godzinę staram się zasnąć: leżę na wznak, oddycham równo i powtarzam sobie, że lada chwila odpłynę. Ale w głowie mam istny mętlik, a skłębione myśli nie chcą się uspokoić. Wyobrażam je sobie jako część sekwencji z koszmarem sennym w *Zawrocie głowy* – barwne, nieustannie wirujące spirale. Każda ma własny kolor. Morderstwo Lisy to czerwień. Jeff i jego troska to zieleń, a przekonanie Jonaha Thompsona, że Sam mnie okłamuje – granat.

Spirala Sam jest czarna, a jej ruch ledwo widoczny w mroku udręczonego bezsennością umysłu.

Kiedy nadchodzi pierwsza nad ranem, wyslizguję się z łóżka i wymykam na korytarz. Drzwi do pokoju gościnnego są zamknięte. Nie

sączy się spod nich światło. Może Sam wróciła, a może nie. Nawet jej obecność stała się niewiadomą.

W kuchni odpalam laptopa. Skoro i tak nie śpię, to równie dobrze mogę zająć się zaległościami na blogu. A jednak zamiast wystukać adres *Słodkości Quincy*, wchodzę na pocztę. W skrzynce odbiorczej mam mnóstwo nowych maili od dziennikarzy; niektóre z bardzo odległych miejsc: Francji, Anglii, a nawet Grecji. Przewijam je nieuważnie, pozwalając, by ich adresy zlały się w niewyraźną plamę, dopóki jeden nie zwraca mojej uwagi. Ten na pewno nie należy do żadnego dziennikarza.

Lmilner75

Otwieram wiadomość, chociaż jej treść znam już na pamięć. Jest jaskraworóżowa, gdybym miała posłużyć się skalą barw z *Zawrotu głowy*.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To niezwykle istotne. Bardzo Cię proszę, nie zignoruj tej wiadomości”.

– Co ci się stało, Liso? – szepczę. – Co było aż takie ważne?

W nowym oknie przeglądarki otwieram Google. Wpisuję nazwisko Sam i otrzymuję – jak było do przewidzenia – mizmasz wyników na temat Nightlight Inn, śmierci Lisy i Jedynych Ocalałych. W nielicznych artykułach poświęconych zniknięciu Sam nie znajduję żadnej wskazówki co do miejsca, w którym mogła się wtedy ukrywać.

Następnie wpisuję w wyszukiwarkę „Tina Stone” i w odpowiedzi zasypuje mnie lawina informacji o mnóstwie kobiet, które tak się nazywają. Są tu linki do profili na Facebooku i LinkedIn, a nawet nekrologów. Dowiedzenie się czegoś o konkretnej Tinie Stone graniczy z cudem. Zastanawiam się, czy Sam świadomie wybrała tak pospolite nazwisko. Czy tak jak ja teraz znalazła w internecie armię Tin Stone i postanowiła wstąpić w jej szeregi, aby wtopić się w tło.

Zamykam okno wyszukiwarki i wracam do maila Lisy.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To niezwykle istotne. Bardzo Cię proszę, nie zignoruj tej wiadomości”.

Słowa Lisy mieszają się w mojej głowie ze słowami Jonaha Thompsona i nagle znana mi treść nabiera zupełnie nowego sensu.

„Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamuje”.

Już mam rozpocząć nowe wyszukiwanie, kiedy słyszę coś za plecami. Stłumiony kaszel. Albo ciche skrzypnięcie podłogi. I nagle ktoś stoi tuż za mną. Zatrząskuję laptopa i odwracam się, by w półmroku kuchni zobaczyć Sam, milczącą i nieruchomą. Ręce ma opuszczone wzdłuż boków. Wyraz twarzy nieprzenikniony.

– Przestraszyłaś mnie – mówię. – Kiedy wróciłaś?

Sam wzrusza ramionami.

– Długo tu stoisz?

Kolejne wzruszenie ramion. Może była tu cały czas, a może tylko przez chwilę. Nigdy się tego nie dowiem.

– Nie możesz spać?

– Nie – odpowiada. – A ty?

Teraz ja wzruszam ramionami. Też mogę zagrać w tę grę.

Kąciki ust Sam drgają nieznacznie, jakby powstrzymywała uśmiech.

– Mam coś, co może nam pomóc.

Pięć minut później siedzę na jej łóżku z butelką Wild Turkey na kolanach i próbuję opanować drżenie rąk, podczas gdy Sam maluje mi paznokcie. Lakier jest czarny i lśniący – jakbym na każdym palcu miała miniaturową plamkę ropy naftowej. Świetnie komponuje się ze strupami na knykciach, które zdążyły nabrać odcienia rdzy.

– Dobrze ci w tym kolorze – mówi Sam. – Jest tajemniczy.

– Jak się nazywa?

– „Czarna śmierć”. Z promocji w Bloomingdale’u.

Kiwam głową, bo dobrze wiem, co to za promocja. „Lepkie rączki”.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu, a potem Sam ni stąd, ni zowąd pyta:

– Przyjaźnimy się, co nie?

Kolejne z jej pytań matrioszek. Odpowiadasz na jedno, odpowiadasz na wszystkie.

– Jasne – przytakuję.

– To dobrze – mówi Sam. – Bardzo dobrze, Quinn. No bo wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy się nie przyjaźniły.

Usiłuję wyczytać coś z jej twarzy. Jest pusta, bez wyrazu.

– Co masz na myśli?

– No bo teraz sporo o tobie wiem – odpowiada cicho. – Do czego jesteś zdolna. I co zrobiłaś. Gdybyśmy przestały się przyjaźnić, mogłabym tego użyć przeciwko tobie.

Moje dłonie sztywnieją. Najchętniej wyrwałabym je z uścisku Sam i wybiegła z pokoju z tym niedokończonym czarnym manikiurem, ale udaje mi się opanować. Posyłam jej słodkie spojrzenie, z nadzieją, że zdoła ją omamić.

– Nigdy nie przestaniemy – zapewniam ją. – Będziemy się przyjaźniły do końca życia.

– Świetnie – kwituje Sam. – Cieszę się.

Pokój znowu pogrąża się w ciszy i ten stan rzeczy trwa przez najbliższe pięć minut. Potem Sam wkłada pędzelek do buteleczki z czarnym lakierem, uśmiecha się kwaśno i mówi:

– Gotowe.

Wychodzę z pokoju, zanim paznokcie zdążą mi wyschnąć, więc aby przekręcić gałkę w drzwiach, muszę przytrzymać ją niezdarnie wnętrzem obu dłoni. W korytarzu dmucham na palce, czekając, aż lakier stwardnieje. Potem wracam do sypialni, zerkam na Jeffa, żeby sprawdzić, czy śpi, i przemykam się do łazienki.

Nie zawracam sobie głowy włączaniem światła. Lepiej, żeby było ciemno. Kładę się na wznak na posadzce z płytek, czując pod łopatkami ich chłód. Wyjmuję komórkę i wystukuję numer Coopa, zakodowany w mojej pamięci na stałe.

Odbiera dopiero po kilku sygnałach. Głos ma ochrypły, zaspany.

– Quincy?

Sam dźwięk jego głosu działa na mnie kojąco.

– Coop – szepczę. – Chyba mam kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Władowałam się w coś, z czego nie umiem wybrnąć.

Słyszę cichy szelest pościeli, gdy Coop siada w łóżku. Przez głowę przelatuje mi myśl, że może nie jest sam. Niewykluczone przecież, że z kimś sypia, o czym wcale nie muszę wiedzieć.

– Zaczynam się martwić – mówi. – Opowiedz mi, co się dzieje.

Nie mogę. To jest w tym wszystkim najbardziej pokręcone. Nie mogę opowiedzieć Coopowi o swoich podejrzeniach co do Sam, nie wspominając jednocześnie o tej strasznej rzeczy, którą zrobiłam. Są ściśle ze sobą połączone.

– To nie jest najlepszy pomysł – odpowiadam.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

– Nie. Po prostu chciałam usłyszeć twój głos. I spytać, czy masz dla mnie jakąś radę.

Coop odchrząkuje.

– Trudno mi coś ci doradzić, jeśli nie wiem, o co chodzi.

– Proszę – nalegam.

W telefonie zapada chwila ciszy. Wyobrażam sobie, jak Coop wyslizguje się z łóżka i wskakuje w mundur, gotowy tu przyjechać i mi pomóc, czy tego chcę, czy nie.

– Mogę ci doradzić tylko jedno – odzywa się w końcu. – Jeżeli jesteś w trudnej sytuacji, najlepsze, co możesz zrobić, to stawić jej czoło.

– A jeśli nie potrafię?

– Quincy, jesteś silniejsza, niż ci się zdaje.

– Wcale nie.

– Jesteś cudem i nawet o tym nie wiesz – ciągnie Coop. – Większość dziewczyn na twoim miejscu nie przeżyłaby tamtej nocy w Pine Cottage. A ty przeżyłaś.

W głowie znów błyska mi tamto przerażające wspomnienie, które znienacka wróciło do mnie w parku. On. Przykucnięty na podłodze w Pine Cottage. Dlaczego przypomniałam sobie akurat to?

– Tylko dlatego, że mnie uratowałeś – mówię.

– Nie – oświadcza Coop. – Już prawie sama się uratowałaś. Więc niezależnie od tego, w co się wplątałaś, wiem, że masz dosyć siły, aby się z tego wyplątać.

Kiwam głową, choć wiem, że mnie nie widzi. Robię to, bo myślę, że ten gest by go ucieszył.

– Dziękuję ci – mówię. – I przepraszam, że cię obudziłam.

– Nigdy nie przepraszaj za to, że do mnie dzwonisz – odpowiada Coop.

– Po to jestem.

Wiem o tym. I jestem mu niewymownie wdzięczna.

Gdy Coop się rozłącza, jeszcze przez chwilę leżę bez ruchu, ściskając w rękę telefon. Gapię się w niego, mrużąc oczy przed jego blaskiem, i razem z zegarem w górnej części ekranu odliczam kolejne minuty. Gdy mija ich jedenaście, wiem już, co muszę zrobić, choć na samą myśl o tym czuję mdłości.

Odnajduję w komórce jeden z esemesów od Jonaha Thompsona i odpisuję na niego, wzdrygając się z niechęcią przy każdym stuknięciu w klawiaturę.

„jestem gotowa porozmawiać. bryant park. punktualnie o 11:30”



24

Późny poranek.

Bryant Park.

Panujący obecnie względny spokój niedługo zakłóca tłumy nadciągające tu w porze lunchu. Już teraz nadchodzą pierwsze osoby, które nieco przed czasem wymknęły się ze swoich boksów w pobliskich biurach. Obserwuję je ze swojego miejsca w cieniu Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, zazdrozcząc im zażyłych stosunków i beztrudnego życia.

Poranek jest bezchmurny, choć nadal chłodny. Zwisające nad ścieżkami korony drzew nabrały barwy przydymionego złota. Opatulone bluszczem pnie wyglądają, jakby już szykowały się na zimę.

Na drugim końcu parku dostrzegam Jonaha – jego głowa z czupryną lśniących włosów zdaje się płynąć w tłumie. Ubrany jest jak na pierwszą randkę. Koszula w kratkę. Sportowa marynarka z podszewką. Bordowe chinosy z podwiniętymi nogawkami. Nie nosi skarpetek, choć październikowe chłody rozgościły się już na dobre. Co za pieprzony modniś.

Ja mam na sobie to samo co wczoraj, bo byłam zbyt zmęczona, żeby przebrać się w coś świeżego. Rozmowa z Coopem uspokoiła mnie na tyle, że w końcu zasnęłam, ale nawet te pięć czy sześć godzin nie wystarczyło, aby nadrobić brak snu z całego tygodnia.

Kiedy Jonah do mnie dociera, mówi z uśmiechem:

– Byłem ciekaw, czy przyjdiesz. Założyłem się z kolegą o dychę.

– No to gratki – rzucam. – Właśnie wygrałeś dziesięć dolców.

Jonah kręci głową.

– Stawiałem, że się nie pojawisz.

– Jednak jestem.

Nawet nie próbuję ukrywać zmęczenia. Brzmie jak ktoś, kto ma poważne problemy ze snem albo potężny ból głowy. W rzeczywistości – jedno i drugie.

– I co teraz? – pyta Jonah.

Bolesne pulsowanie tuż za oczami każe mi spojrzeć na niego spod przymrużonych powiek.

– Teraz masz jedną minutę na przekonanie mnie, żebym została.

– Dobra – zgadza się, zerkając na zegarek. – Ale zanim uruchomisz stoper, mam pytanko.

– A jakże.

Jonah skrobie się po głowie; żaden włos nawet nie drgnie. Pewnie układał je godzinami. Jak kot, myślę sobie. Albo te mały, które wiecznie się iskają.

– Czy ty mnie w ogóle pamiętasz? – pyta.

Pamiętam, że koczował na chodniku przed moim domem. I że mu narzygałam na buty. A już na pewno, że mi powiedział całą potworną prawdę o śmierci Lisy Milner. Ale poza tym nie przypominam go sobie w najmniejszym stopniu, co Jonah wnioskuje, nie słysząc natychmiastowej odpowiedzi.

– Czyli nie – stwierdza.

– A powinnam?

– Byliśmy razem na studiach, Quincy. Mieliśmy wspólne wykłady z psychologii.

Tu mnie zaskoczył. Najbardziej tym, że w takim razie musi być o dobre pięć lat starszy, niż mi się zdawało. Chyba że się myli.

– Jesteś pewny? – pytam.

– Całkowicie – odpowiada. – Tamburro Hall. Siedziałem w rzędzie za tobą. Chociaż na sali wykładowej mogliśmy zajmować dowolne miejsca.

Pamiętam tę salę w Tamburro Hall. Była półokrągła i wiecznie hulały w niej przeciągi. Rzędy siedzeń rozmieszczono jak na stadionie i tak stromo, że kolana osoby siedzącej za tobą znajdowały się tuż za twoją głową. Po pierwszym tygodniu każdy właściwie miał już swoje miejsce. Ja siadałam z tyłu, trochę na lewo.

– Przykro mi – kwituję – ale w ogóle cię nie pamiętam.

– Za to ja doskonale pamiętam ciebie – mówi Jonah. – Kiedy przed rozpoczęciem wykładu siadałaś na swoim miejscu, często mówiłaś mi cześć.

– Serio?

– Tak. Byłaś bardzo miła. Pamiętam, że zawsze wydawałaś się taka szczęśliwa.

Szczęśliwa. Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mnie opisał tym słowem.

– Siedziałaś z inną dziewczyną – ciągnie Jonah. – Często się spóźniała.

On mówi o Janelle, która zazwyczaj wkradała się na salę już po rozpoczęciu wykładu, przeważnie na kacu. Parę razy zdarzyło jej się przysnąć z głową na moim ramieniu. Po zajęciach pozwalałam jej przepisywać swoje notatki.

– Przyjaźniłyście się – dodaje Jonah. – Tak myślę. Ale może się myłę. Pamiętam, że sporo się sprzeczałyście.

– Wcale nie – protestuję.

– Właśnie że tak. Czuło się między wami bierną agresję. Jakbyście udawały wielką przyjaźń, a w rzeczywistości nie znosiły się nawzajem.

Nic takiego nie pamiętam, co nie znaczy, że to nieprawda. Najwyraźniej zdarzało się na tyle często, żeby zapaść Jonahowi w pamięć.

– Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami – upieram się cicho.

– O Boże! – wykrzykuje Jonah, nieudolnie udając, że dopiero teraz dodał dwa do dwóch. To jasne, że wiedział wcześniej. O dwóch dziewczynach, które siedziały przed nim na wykładach i z których żadna nie wróciła po pewnym październikowym weekendzie. – Nie powinienem o tym wspominać.

Nie, nie powinien, i usłyszałby, co o tym myślę, gdyby akurat głowa mi nie pękała i gdybym nie chciała jak najszybciej zmienić tematu.

– Skoro już ustaliliśmy, że mam kiepską pamięć, to może powiesz mi teraz, po co tu jestem – mówię. – Zaczynam odliczać twoją minutę.

Jonah ochoczo zaczyna swoją gadkę szmatkę. Podejrzewam, że ją sobie przećwiczył. I to niejedynym razem, zważywszy na to, jak gładko mu wychodzi.

– Bardzo wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, że nie chcesz rozmawiać o tym, co cię spotkało. Rozumiem i akceptuję to. Tym razem nie chodzi o twoją historię, Quincy, choć wiedz, że jeśli kiedykolwiek zechcesz o niej porozmawiać, chętnie cię wysłucham. Chodzi o Samanthę Boyd i jej historię.

– Powiedziałaś, że ona mnie okłamuje. W czym konkretnie?

– Dojdę do tego – odpowiada. – Na razie chcę się dowiedzieć, ile ty wiesz o niej.

– Dlaczego Sam tak cię interesuje?

– Nie tylko mnie, Quincy. Szkoda, że nie widziałaś, jakie zainteresowanie wywołał tamten artykuł o was dwóch. Internet oszalał.

– Jeszcze słowo o tym artykule i się pożegnamy.

– Wybacz – kaja się Jonah, a kark lekko mu czerwienieje. Miło mi widzieć, że chociaż trochę wstydy się tego, co zrobił. – Wróćmy do Sam.

– Chcesz, żebym ci na nią nagadała – zgaduję.

– Nie – protestuje, ale jego zbyt piskliwy ton przekonuje mnie, że mam rację. – Po prostu chcę, żebyś się podzieliła tym, co wiesz. Opisz mi ją.

– Rozmawiamy oficjalnie czy nieoficjalnie?

– Wolalibyśmy oficjalnie.

– To masz pecha. – Zaczynam się wkurzać. Pulsowanie w głowie narasta i czuję, że od irytacji zaczyna mnie nosić. – Przejdźmy się.

Ruszamy spod biblioteki w stronę Szóstej Alei. Tłum w parku jest coraz większy, ludzie tłoczą się na wyłożonych łupkiem ścieżkach, czyhając na wolne miejsca na ławkach. Jonah i ja musimy iść blisko siebie, stykając się ramionami.

– Ludzie naprawdę chcą wiedzieć więcej o Sam. – Jonah nie daje za wygraną. – Jaka jest. Gdzie się ukrywała przez cały ten czas.

– Ona się nie ukrywała. – Z jakiegoś powodu nadal czuję, że powinnam jej bronić. Tak jakby mogła się dowiedzieć, gdybym tego nie robiła. – Po prostu siedziała cicho.

– Gdzie?

Waham się przez ułamek sekundy, czy mu powiedzieć. Ale w końcu po to tu przyszedłam, prawda? Nawet jeśli wmawiam sobie, że wcale nie.

– W Bangor, w stanie Maine.

– A dlaczego nagle przestała siedzieć cicho?

– Chciała się ze mną spotkać po samobójstwie Lisy Milner – odpowiadam i zaraz uświadamiam sobie pomyłkę. – To znaczy po jej morderstwie.

– I dobrze ją poznałaś?

Przypominam sobie, jak malowała mi paznokcie. „Przyjaźnimy się, co nie?”

– Tak – odpowiadam.

Proste słowo. Trzy literki. A jednak kryje w sobie o wiele więcej. Owszem, całkiem dobrze poznałam Sam, tak jak ona mnie. Wiem już, że jej nie ufam. I jestem prawie pewna, że ona nie ufa mnie.

– I stanowczo nie chcesz podzielić się tym, co o niej wiesz? – pyta Jonah.

Dotarliśmy do stołów pingpongowych – jednej z tych atrakcji, co to „tylko w Nowym Jorku”. Oba stoły są zajęte, jeden przez starszą azjatycką parę, a drugi przez dwóch biurowych obiboków w poluzowanych krawatach, którzy zawzięcie odbijają piłeczkę. Przyglądam się im przez chwilę, usiłując sformułować stosowną odpowiedź na pytanie Jonaha.

– To nie takie proste – mówię w końcu.

– Wiem o czymś, co mogłoby pomóc ci zmienić zdanie – oznajmia Jonah.

– Co masz na myśli?

Głupie pytanie. Przecież wiem, co ma na myśli. Wielkie kłamstwo, które wciska mi Sam. Fakt, że on je zna, a ja nie, strasznie mnie wkurza.

– Po prostu powiedz mi, co wiesz, Jonah.

– Chciałbym, Quincy – odpowiada, znów drapiąc się po głowie. – Serio. Ale dobry dziennikarz nie zdradza swoich atutów informatorce, która z nim nie współpracuje. Jeżeli naprawdę chcesz, żebym zdradził ci moje ściśle tajne info, to musisz dać mi coś w zamian.

Teraz tym bardziej mam ochotę stąd odejść. I wiem, że powinnam. Powiedzieć Jonahowi, żeby zostawił mnie w spokoju, a potem wrócić do domu i uciąć sobie tak potrzebną mi drzemkę.

Ale muszę się też dowiedzieć, co Sam mi nakłamała. I ta druga potrzeba przebija pierwszą.

– Tina Stone – rzucam.

– Kto to?

– Nowa tożsamość Samantha Boyd. Parę lat temu zmieniła imię i nazwisko, żeby się chronić przed takimi jak ty. To dzięki temu nikt jej nie znalazł. Samantha Boyd praktycznie przestała istnieć.

– Dziękuję ci, Quincy – mówi Jonah. – Chyba trochę pogrzebię w życiu Tiny Stone.

– I powiesz mi, co znalazłeś.

To nie jest pytanie. Jonah zdawkowo kiwa głową na znak, że się zgadza.

– Oczywiście.

– Teraz twoja kolej – ponaglam go. – Mów, co wiesz.

– Chodzi o ten artykuł, o którym mam nigdy więcej nie wspominać.
A konkretnie o zdjęcia, które go ilustrują.

– To znaczy?

Jonah w milczeniu bierze głęboki wdech i unosi ręce w geście niewinności.

– Pamiętaj, że jestem tylko posłańcem – odzywa się w końcu. – Więc proszę, nie zabij mnie.



25

Sam zastaję w kuchni, gdzie przepasana fartuszkiem zgrywa perfekcyjną panią domu. Jakby nie była perfekcyjnie cwana suką. Kiedy wchodzę, właśnie pochyla się nad miską i wbija jajka na biały jak śnieg kopczyk z cukru i mąki.

– Musimy pogadać – rzucam.

Nawet nie podnosi oczu znad miski.

– Daj mi chwilę.

Podbiegam do niej. W mgnieniu oka miska odrywa się od blatu i z brzękiem ląduje na podłodze. Ślad z płynnego ciasta znaczy tor jej lotu: od blatu i znajdującej się pod nim szafki przez całą posadzkę aż ku samej misce.

– Co to, kurwa, ma być, Quinn?! – woła Sam.

– No właśnie. Co to, kurwa, ma być?

Oparta o blat, przygląda mi się badawczo. I nagle zaczyna rozumieć. Już wie, o co mi chodzi.

– Ile ci powiedział?

– Wszystko.

Wiem wszystko. Dzień po wiadomości o śmierci Lisy zjawiała się w redakcji, w której pracuje Jonah. Przedstawiła się i powiedziała, że przyjechała do Nowego Jorku, żeby się ze mną zobaczyć. A potem oznajmiła, że ma dla niego propozycję sesji zdjęciowej nie do odrzucenia.

– Wiedziałaś, że tam jest, kiedy mi się przedstawiałaś – mówię z wyrzutem. – Zaplanowałaś to. Chciałaś, żebyśmy trafiły na pierwszą stronę.

Sam stoi jak wryta i ani drgnie; wokół jednego buta rozlała się kałuża rzadkiego ciasta.

– Tak – potwierdza. – I co?

Chwytam leżącą nieopodal szpatułkę i ciskam nią przez całą kuchnię. Uderza w ścianę przy oknie i zostawia na niej plamę. Nie poprawia mi to samopoczucia.

– Nie rozumiesz, jakie to było głupie? Ludzie widzieli te zdjęcia, Sam. Mnóstwo ludzi. I teraz wiedzą, kim jesteśmy. Wiedzą, gdzie mieszkam.

– Zrobiłam to dla ciebie – mówi Sam.

Uderzam otwartą dłońią o blat. Nie chcę słuchać jej wyjaśnień.

– Zamknij się.

– Serio. Pomyślałam, że to ci pomoże.

– Zamknij się!

Wzdryga się, a jej narysowane brwi unoszą się ze zdumienia i wyginają w dwa łuki.

– Musisz usłyszeć, dlaczego to zrobiłam.

Po mojej prawej stronie leży wytłaczanka, w której zostało sześć jajek. Sięgam po jedno z nich.

– Zamknij...

Jajko leci w stronę głowy Sam, a gdy ona robi unik, rozbija się o szafkę za jej plecami.

– ...ten...

Rzucam następnym. Jak granatem. Szybki ruch nadgarstka i jajko dołącza do miski na podłodze, a ja chwytam dwa następne i ciskam nimi, jednym po drugim.

– ...pieprzony... pysk!

Oba jajka rozpryskują się na fartuszkę Sam. Te nagłe eksplozje żółtej mazi wciskają ją w blat bardziej siłą zaskoczenia niż faktycznego rozpędu. Sięgam po następne pociski, ale Sam rzuca się naprzód i pośliznąwszy się na wilgotnej posadzce, strąca na podłogę wytłaczankę z resztą jajek.

– Dasz mi wyjaśnić?! – krzyczy.

– Wiem, dlaczego to zrobiłaś! – odkrzykuję. – Żebym poczuła gniew! I przez to prawie zabiłam człowieka! Tyle gniewu ci wystarczy? Co jeszcze mam według ciebie zrobić?

Sam chwytam mnie za ramiona i mocno potrząsa.

– Obudzić się! Przestać się wreszcie ukrywać.

– I kto to mówi! To nie ja znikłam bez śladu. To nie ja nie raczyłam dać znaku życia nawet własnej matce.

– Nie o to mi chodzi.

– Więc o co, Sam? Choć raz powiedz coś sensownego. Próbowałam cię zrozumieć, ale nie potrafię.

– Przestań udawać kogoś, kim nie jesteś! – Teraz i ona zaczyna rzucać tym, co ma pod ręką. Na blacie leży druga miska, którą z rozmachem ciska o podłogę, a ona toczy się do kąta. – Zachowujesz się jak idealna dziewczyna, która ma idealne życie i piecze idealne ciasteczka. Ale nie jesteś nią, Quinn, i dobrze o tym wiesz.

Popycha mnie na zmywarkę, której rączka wbija mi się w podstawę kręgosłupa. Odpycham ją w odwecie, a ona ślizga się na mazi z jajek i mąki.

– Nic o mnie nie wiesz – rzucam.

Sam znów do mnie doskakuje i tym razem przygwaźdża mnie do krawędzi blatu.

– Ja jedna naprawdę cię znam. Jesteś wojowniczką, która robi wszystko, aby przetrwać. Jak ja.

Szamoczę się, uwięziona w jej uścisku.

– Nie jestem taka jak ty.

– Jesteś pieprzoną Jedyką Ocalałą – mówi Sam. – To dlatego poszłam do Jonaha Thompsona. Żebyś nie mogła się dłużej ukrywać. Żebyś wreszcie zaczęła żyć tak, jak powinna żyć Ocalała. Zasłużyłaś sobie na to.

Tak bardzo przybliżyła do mnie twarz, że wstrzymuję oddech. Jej obecność działa jak ogień, który wysysa z pomieszczenia cały tlen. Odpycham ją na tyle, aby móc się obrócić. Sam chwyta mnie za rękę, próbuje do siebie przyciągnąć. Wyciągam drugą rękę i macam blat, szukając jakiejś broni. Knykciami potracam miarki kuchenne. Łyżka wyślizguje mi się z dłoni i spada na podłogę. Wreszcie zaciskam na czymś palce, odwracam się, unoszę rękę i uderzam.

Sam krzyczy i zatacza się do tyłu. Osuwa się na podłogę i przyciska plecy do drzwiczek szafki.

Ruszam w jej stronę sztywnym krokiem, mgliście rejestrując, że w kółko powtarza moje imię. Docierający do mnie dźwięk wydaje się rozmyty i odległy, jakby wydobywał się z głębokiej studni.

– Quinn!

Tym razem krzyk jest tak głośny, że drżą kuchenne szafki. I wreszcie przebija się przez spowijającą mnie mgłę wściekłości.

– Quincy – powtarza Sam, teraz już ledwie szepcząc. – Proszę.

Spuszczam wzrok.

W dłoni trzymam nóż.

Skierowane ku górze ostrze rozbłyskuje odbitym blaskiem sufitowego oświetlenia.

Rozluźniam chwyt i nóż spada na podłogę. Czuję mrowienie w palcach.

– Ja nie chciałam.

Sam nie podnosi się z miejsca. Wciąż siedzi z podwiniętymi kolanami, które dotykają pasków fartuszka. Drży na całym ciele. Jakby dostała jakiegoś ataku.

– Nie chciałam cię skrzywdzić. – Czuję, jak łyzy dławią mnie w gardle. – Przysięgam.

Opadające włosy zasłaniają twarz Sam. Między kosmykami widzę tylko jej rubinowe usta, kawałek nosa i jedno oko, błyszczące i przerażone.

– Quincy – szepcze. – Kim ty jesteś?

W odpowiedzi kręcę głową. Naprawdę nie wiem.



26

Dzwonek przy drzwiach frontowych przerywa zapadłe w kuchni milczenie. Domofon. Ktoś jest na dole. Kiedy naciskam guzik przy drzwiach, w głośniku rozlegają się trzaski, odgłosy ulicy i kobiecy głos.

– Pani Carpenter?

– Tak?

– Dzień dobry, Quincy – mówi głos. – Tu Carmen Hernandez. Przepraszam za to niezapowiedziane najście, ale będę musiała zająć pani trochę czasu.

Chwilę później detektyw Hernandez wchodzi do jadalni, elegancko ubrana w szary blezer i czerwoną bluzkę. Kiedy zajmuje miejsce, bransoletka ze standardowego srebra na prawym przegubie pobrząkuje

tuzinem okrągłych zawieszek. Może to prezent rocznicowy od męża. A może znudziło jej się czekanie na jego gest i sama ją sobie zafundowała. Tak czy inaczej jest śliczna. Gdybym miała więcej odwagi, spróbowałabym ją ukraść. Wyobrażam sobie, jak się przeglądam w tych zawieszkach i widzę tuzin różnych wersji siebie.

– Nie przeszkadzam? – pyta Hernandez, doskonale znając odpowiedź. W moim mieszkaniu każdy, kto przechodzi z przedpokoju do jadalni, widzi kuchnię, która obecnie wygląda jak obraz nędzy i rozpacz, cała upaprana rzadkim ciastem i żółtkami. Zresztą nawet jeśli jakimś cudem przeoczyła ten bałagan, to teraz ma przed oczami mnie i Sam, uwalane mąką i jajecznymi glutami od stóp do głów.

– Skąd – odpowiadam. – Ani trochę.

– Na pewno? Wyglądają panie na zdenerwowane.

– To jeden z tych dni. – Błyskam promiennym uśmiechem. Od ucha do ucha. Matka byłaby dumna. – Wie pani, że czasem w kuchni robi się nerwowo.

– U nas gotuje mąż – oznajmia Hernandez.

– Ma pani szczęście.

– Po co pani przyszła, pani detektyw? – pyta Sam, odzywając się po raz pierwszy, odkąd zabrzączał domofon. Włosy zatknęła za uszy i jawnie wpatruje się w policjantkę twardym spojrzeniem.

– Mam jeszcze parę pytań w związku z napaścią na Rocky’ego Ruiza. Nic wielkiego. Po prostu jestem skrupulatna.

– Już wszystko powiedziałyśmy. – Staram się, aby w moim głosie nie było słycać niepokoju. Robię, co w mojej mocy. A mimo to w każdym słowie pobrzmiwa nerwowo, piskliwy ton. – Nie możemy dodać nic więcej.

– Na pewno?

– Na mur.

Zawieszki przy bransoletce znów pobrzękują, gdy pani detektyw wyjmuje notatnik z wewnętrznej kieszeni blezera, po czym zaczyna go kartkować.

– Bo mam dwóch świadków, którzy twierdzą coś innego.

– O – mówię tylko.

Sam nie mówi nic. Hernandez zapisuje coś w swoim notesie.

– Jednym z nich jest parkowy bywalec, który zwykle buszuje w krzakach w okolicy Ramble – wyjaśnia. – Ma na imię Mario. Dziś w nocy zatrzymał go funkcjonariusz w cywilu, zresztą nie po raz pierwszy. Mario ma kilometrową listę zarzutów o nagabywanie. Kiedy policjant zapytał go, czy coś widział tej nocy, gdy napadnięto na Rocky’ego, odparł, że nie. Ale wspomniał, że coś niezwykłego zdarzyło się dzień wcześniej. Około pierwszej nad ranem na ławce siedziały dwie kobiety. Jedna z nich paliła. Podobno poczęstowała go papierosem.

Pamiętam go. To ten przystojniak ubrany w skórę. Wzmianka o nim przyprawia mnie o dreszcz niepokoju – nie bez powodu. Sam z nim rozmawiała. Widział nasze twarze.

– Na moją prośbę zidentyfikował te dwie kobiety – ciągnie Hernandez.

– Rozpoznał was.

– Niby jak? – pyta Sam.

– Widział wasze zdjęcia w gazecie. Niedawno pisano o was na pierwszej stronie, przypuszczam, że o tym wiecie.

Trzymam ręce na kolanach, gdzie Hernandez ich nie widzi. Z nerwów obie są zaciśnięte w pięści. A im dłużej policjantka mówi, tym mocniej je zaciskam.

– Pamiętam go – przytakuję. – Podszedł do nas, kiedy siedzieliśmy w parku.

– O pierwszej nad ranem?

– A to nielegalne? – pyta Sam.

– Nie. Tylko niezwykle. – Detektyw Hernandez przygląda nam się, przechylając głowę w bok. – Zwłaszcza że byliście tam dwie noce z rzędu.

Od zaciskania pięści zaczynają mnie boleć przedramiona. Staram się rozluźnić dłonie, palec po palcu.

– Wyjaśniliśmy, skąd się tam wzięliśmy – przypominam.

– Babski wieczór na mieście, tak? – mówi Hernandez. – Tego wieczoru, kiedy widział was Mario Żigolo, też balowałyście?

– Tak – szczebioczę w odpowiedzi.

Sam i ja wymieniamy spojrzenia. Hernandez pisze coś w notatniku, po czym przekreśla to teatralnym gestem i dopisuje coś innego.

– W porządku – mówi. – Przejdźmy do drugiego świadka.

– Kolejny buszujący w krzakach? – pyta Sam.

Detektyw Hernandez nie wygląda na rozbawioną.

– Bezdomny – odpowiada, patrząc na Sam spod zmarszczonych brwi. – Rozmawiał z jednym z policjantów, kiedy przepytawali ludzi w parku po napaści na Rocky’ego Ruiza. Mówi, że widział dwie damulki przy tym paradnym stawie, gdzie dzieciarnia puszcza łódki. Zdaje się, że to miejsce było w jakiejś książce. Czytałam ją dzieciom. Coś o jakiejś myszy...?

– *Stuart Malutki* – mówię, sama nie wiem po co.

– Właśnie. Ładnie tam. Przynajmniej zdaniem tego bezdomnego. Czasem sypia na pobliskiej ławce. Ale tamtej nocy, kiedy pobito Rocky’ego, przegoniły go te dwie damulki. Nie spodobało im się, że patrzył, jak jedna myła ręce w stawie. Podobno wyglądała, jakby krwawiła.

Wolę nie pytać, czy opisał te damulki. Najwyraźniej to zrobił.

– Obie pasujecie do jego opisu – oznajmia Hernandez. – Więc zaryzykuję twierdzenie, że to byliście wy. Czy któraś z was zechciałaby mi wyjaśnić, co tam robiłyście?

Kładzie dłonie na blacie – tę z bransoletką na wierzch. Moje pięści pod stołem robią się twarde jak skała. Jakbym ścisnęła bryłki węgla, z których zaraz powstaną diamenty. Napięcie sprawia, że jeden ze strupów na knykciach nagle pęka i między palce spływa strużka krwi.

– Dokładnie to, na co wyglądało – odpowiadam bez namysłu. Kłamstwo przychodzi mi z łatwością. – Potknęłam się, idąc przez park. Otarłam sobie dłoń. Dość mocno krwawiła, więc poszliśmy nad staw, żebym mogła się umyć.

– To było przed kradzieżą torebki czy później?

– Przed.

Hernandez nie spuszcza ze mnie wzroku. Pod tą staranną fryzurą i eleganckim blezerem kryje się twarda sztuka. Pewnie na swoją obecną pozycję musiała się mocno napracować. Więcej niż faceci, bez dwóch zdań. Założę się, że jej nie doceniali.

Podobnie jak ja, no i proszę.

– To bardzo ciekawe – mówi. – Nasz bezdomny świadek nie wspominał o torebce.

– My... – Z jakiegoś powodu nagle urywam. Kolejne kłamstwo znika bez śladu, jak sól na języku.

Hernandez pochyla się ku nam niemal przyjaźnie, jakbyśmy spotkały się na dziewczynskich pogaduszkach.

– Posłuchajcie, moje panie, nie wiem, co zaszło tamtej nocy w parku. Może Rocky za bardzo się naćpał. Może próbował wam zrobić coś złego, a wy trochę przesadziłyście z obroną. Jeżeli tak, to w waszym najlepiej pojętym interesie leży powiedzenie mi prawdy. – Odchyła się z powrotem

do tyłu. Koniec pogaduszek. Znów sięga po swój notatnik, szurając bransoletką o blat. – Potrafię zrozumieć, skąd ta niechęć do wyznań. Facet jest w śpiączce. Poważna sprawa. Ale daję słowo, że nie będę was osądzała. Przynajmniej dopóki nie poznam całej historii. – Hernandez zerka do swoich notatek, po czym przenosi wzrok na Sam. – Pani Stone, jestem gotowa nawet przymknąć oko na pani wcześniejsze konflikty z prawem.

Sam nie drgnie powieka, to jej trzeba przyznać. Twarz ma nieruchomą jak maska. A jednak widzę, że czeka na moją reakcję. Brak takowej mówi jej wszystko, co musi wiedzieć.

– Podkreślam, że cokolwiek od was usłyszę, nie wpłynie to w żaden sposób na moje podejście do was – ciągnie Hernandez. – O ile, rzecz jasna, jedna z was zdecyduje się mówić.

– Nie ma o czym – odpowiada Sam.

– Przemysłcie to sobie. – Hernandez podnosi się od stołu i wtyka notatnik pod pachę, podzwaniając bransoletką. – Pogadajcie. Byle nie za długo. Im dłużej zwlekacie, tym gorzej dla was. I jeszcze coś: jeśli któraś z was jednak to zrobiła, to módlcie się, żeby Rocky Ruiz wyszedł z tej śpiączki. Bo kiedy zrobi się z tego sprawa o nieumyślne zabójstwo, wszelkie umowy stracą ważność.

– **Nic jej nie powiemy** – oświadcza Sam, gdy tylko Hernandez wychodzi.

– Musimy – upieram się.

Nadal siedzimy w jadalni, uwięzione w nieznośnym bezruchu, od którego kręci mi się w głowie. Wpadający przez okno blask słońca oświetla drobinki kurzu wirujące tuż nad powierzchnią stołu. Nie śmiąc spojrzeć na siebie nawzajem, wpatrujemy się w nie w takim napięciu, jakbyśmy czekały na burzę. Całe w nerwach, podminowane atmosferą nieuchwytej grozy.

– Wcale nie – sprzeciwia się Sam. – Ona blefuje. Nic na nas nie ma. Prawo nie zabrania przesiadywania w parku po nocy.

– Ale ma świadków.

– Bezdomnego i żigolaka, którzy niczego nie widzieli.

– Jeśli powiemy jej prawdę teraz, potraktuje nas ulgowo. Zrozumie.

Sama nie wierzę w to, co mówię. Detektyw Hernandez nie zamierza nam pomagać. Po prostu jest sprytna i robi, co do niej należy.

– Jezu – wzdycha Sam. – Przecież ona brała nas pod włos, Quinn.

Znowu zapada milczenie. Obserwujemy tańczące w powietrzu drobinki kurzu.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że byłaś w Indianie? – odzywam się.

Sam w końcu kieruje na mnie wzrok. Na twarzy ma obcy, nieodgadniony wyraz.

– Ten temat lepiej sobie odpuść, mała. Wiem, co mówię.

– Potrzebuję odpowiedzi – nalegam. – Muszę znać prawdę.

– Jedyna prawda, jaką musisz znać, to fakt, że za tę rozróbę w parku odpowiadasz ty. Ja tylko próbuję ratować twój tyłek.

– Kłamiąc?

– Trzymając głębę na kłódkę – poprawia mnie Sam. – Bo już za dużo o tobie wiem. Więcej, niż ci się wydaje.

Nagle wstaje od stołu, a wtedy ja zaczynam zasypywać ją coraz bardziej natarczywymi pytaniami.

– Spotkałaś się z Lisą? Byłaś w jej domu? O czym jeszcze mi nie powiedziałaś?

Sam odwraca się ode mnie tak szybkim ruchem, że na chwilę jej ciemne włosy i twarz zlewają się w niewyraźną plamę. Coś mi to przypomina. W mojej pamięci majaczy obraz tak mglisty jak wspomnienie wspomnienia.

– Sam, proszę...

Wychodzi z jadalni w milczeniu. Chwilę później zamykają się za nią drzwi frontowe.

Zostaję na swoim miejscu. Jestem zbyt zmęczona, aby się ruszyć, i za bardzo się boję, że jeśli spróbuję się podnieść, to po prostu runę jak długa na podłogę. Wciąż mam przed oczami oddalającą się Sam i ten widok nie daje mi spokoju. Już to kiedyś widziałam. Na pewno.

Nagle sobie przypominam gdzie i rzucam się do laptopa. Wchodzę na Facebooka i wyszukuję profil Lisy. Na jej ścianie przybyło kondolencji. Są ich setki. Ignoruję je i od razu przechodzę do zdjęć opublikowanych przez Lisę. Szybko znajduję to, którego szukam – jest na nim roześmiana Lisa unosząca do góry butelkę wina.

„Czas na wino! LOL!”

Wpatruję się w kobietę widoczną w tle fotografii. Ciemną plamę, która tak bardzo mnie zafascynowała, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Wyteżam wzrok, jakbym mogła samą siłą woli poprawić ostrość fotki. Ale najlepsze, co mogę zrobić, to przymrużyć oczy, aby mój wzrok rozmył się tak samo jak niewyraźna postać na zdjęciu, i mieć nadzieję, że jakoś się to wszystko zrównoważy. W pewnym stopniu ta sztuczka mi się udaje. W głębi ciemnej plamy przebłyskuje biała smuga, a na niej kropla czerwieni.

Szminka.

Taka, jakiej używa Sam.

Czerwona niczym krew.

Czuję, jak moje ciało zaczyna wibrować i szumieć, coraz szybciej i głośniej. Jakbym była przywiązana do fajerwerku, który mknie przez warstwę ozonową, gwałtownie sypiąc iskrami, dopóki nie eksploduje, a ja razem z nim.



27

Kiedy Jeff wraca z pracy, kuchnia jest już wysprzątana, a ja spakowana. Jedna walizka. Jedna torba podróżna. Jeff staje w drzwiach naszej sypialni, mrugając, jakbym była przywidzeniem.

– Co robisz?

– Jadę z tobą – oznajmiam.

– Do Chicago?

– Kupiłam bilet przez internet. Na ten sam lot, choć nie będziemy siedzieć obok siebie.

– Jesteś pewna? – pyta Jeff.

– To był twój pomysł.

– Racja. Ale mnie zaskoczyłaś. A co z Sam?

– Stwierdziłeś, że możemy ją zostawić na kilka dni – odpowiadam. – Bo nie jest psem, pamiętasz?

Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że kiedy wrócimy, jej tu nie będzie. Że zniknie po cichu. Bez zamieszania. Jak skorpion, który ucieka w takim pośpiechu, że zapomina uządlić. Tymczasem Jeff rozgląda się po sypialni, jakby oglądał ją po raz ostatni, i mówi:

– Oby coś tu zostało, kiedy wrócimy.

– Dopilnuję tego – zapewniam.

Sam wraca późną nocą, długo po tym, jak Jeff i ja kładziemy się spać. Rano, przed wyjazdem na lotnisko, pukam do drzwi jej pokoju. Kiedy nie doczekuję się odpowiedzi, uchylam drzwi i zaglądam do środka. Sam leży w łóżku, przykryta po samą szyję. Wierci się i rzuca pod kocem, który gwałtownie faluje.

– Nie – dobiega mnie jej głos. – Proszę, nie!

Podbiegam do łóżka i potrząsam ją za ramiona, po czym ledwo uskakuję, kiedy nagle siada wyprostowana i całkowicie rozbudzona.

– Co się dzieje? – pyta.

– Koszmar – odpowiadam. – Miałaś koszmar.

Gapi się na mnie, niepewna, czy nie jestem częścią jej złego snu. Z czerwoną i mokrą od potu twarzą wygląda, jakby się przed chwilą topiła. Wilgotne policzki ma oblepione długimi ciemnymi strąkami włosów, które przypominają wodorosty. Nawet lekko się wzdryga, jakby usiłowała się otrząsnąć z resztek wody.

– Szlag – mamrocze. – Przeklęte majaki.

Przysiadam na brzegu łóżka. Kusi mnie, żeby zapytać, co jej się śniło. Może Calvin Whitmer z workiem na głowie? A może coś innego? Na

przykład wykrwawiająca się w wannie Lisa. Ale Sam wciąż wbija we mnie spojrzenie, przeczuwając, że coś się święci.

– Wyjeżdżamy z Jeffem na kilka dni – oznajmiam.

– Dokąd?

– Do Chicago.

– Wyrzucasz mnie? Nie stać mnie na hotel.

– Wiem – mówię uspokajającym tonem. Nie mogę jej zdenerwować. To w tej chwili najważniejsze. – Możesz tu mieszkać pod naszą nieobecność. Opiekować się mieszkaniem. Upiecz coś, jeśli najdzie cię ochota.

– W porządku – mówi Sam.

– Możemy ci zaufać?

Bezsensowne pytanie. Oczywiście, że jej nie ufam. Tylko dlatego wyjeżdżam z Jeffem do Chicago. Ucieczka od niej to dla mnie jedyne wyjście.

– Jasne.

Wyjmuję gotówkę, którą wepchnęłam do kieszeni, zanim przyszedłam się pożegnać. Dwie pogniecione studolarówki. Podaję je Sam.

– To na bieżące wydatki – mówię. – Na jedzenie albo na bilet do kina. Jak uważasz.

W rzeczywistości to łapówka i Sam dobrze o tym wie. Pociera banknotami o siebie i rzuca:

– Czy za opiekę nad mieszkaniem coś mi się nie należy? No wiesz, za pilnowanie, żeby nic się nie stało.

Choć tak sformułowane pytanie brzmi całkiem rozsądnie, czuję się zdradzona. Jakbym dostała w twarz. Pamiętam, jak pierwszego wieczoru Jeff spytał ją bez ogródek, czy przyjechała, bo potrzebuje pieniędzy. Zaprzeczyła wtedy, a ja jej uwierzyłam. Teraz mam wrażenie, że kasa to

jedyny powód jej wizyty. Nocne rozmowy, wspólne pieczenie i cała ta wielka przyjaźń to tylko środki wiodące do celu.

– Co powiesz na pięćset dolarów? – pytam.

Sam rozgląda się po pokoju. Widzę, jak szacuje w myślach potencjalną wartość każdej rzeczy.

– Tysiąc byłby lepszy – stwierdza.

Zgrzytam zębami.

– Oczywiście.

Idę po torebkę i wracam z czekiem wypisanym na Tinę Stone i postdatowanym na dzień po naszym planowanym powrocie. Sam nie komentuje tej daty. Po prostu składa czek na pół i odkłada go na stolik nocny obok gotówki.

– Chcesz, żebym tu była, kiedy wrócisz? – pyta.

– To zależy od ciebie.

Uśmiecha się.

– Faktycznie, ode mnie.

Samotnie podróżujący pasażer, który w samolocie siedzi obok mnie, uprzejmie zgadza się zamienić miejscami z Jeffem, żebyśmy mogli usiąść razem. Podczas startu Jeff ujmuje moją dłoń i lekko ją ściska.

Po wylądowaniu i zameldowaniu się w hotelu całe popołudnie i wieczór mamy dla siebie. Nie czujemy skrępowania sprzed dwóch dni, kiedy nieobecność Sam była tak odczuwalna jak brak małego palca u ręki. Spacerujemy po centrum miasta, czując, jak bryza znad jeziora Michigan rozwiewa napięcie nagromadzone przez cały zeszły tydzień.

– Cieszę się, że tu jesteś, Quinn – mówi Jeff. – Wiem, że wczoraj wieczorem mogło ci się wydawać inaczej, ale naprawdę się cieszę.

Sięga po moją dłoń, a ja chętnie mu ją podaję. Dobrze mieć go po swojej stronie. Tym bardziej zważywszy na to, co zamierzam zrobić.

Kiedy wracamy do hotelu, naszą uwagę zwraca sukienka wisząca na wystawie jednego z butików. Jest czarno-biała, zwężana w talii i rozkloszowana na dole, na wzór sukienek od Diora z lat pięćdziesiątych.

– Właśnie przyleciała z Paryża – mówię, cytując Grace Kelly z *Okna na podwórze*. – Myślisz, że się sprzeda?

Jeff lekko się jąka, jak Jimmy Stewart.

– Zależy, ile będzie kosztowała.

– Kosztuje zaledwie jedenaście tysięcy dolarów – mówię, wciąż jako Grace.

– Dlaczego jeszcze nikt nie wprowadził jej na giełdę? – Jeff wychodzi z roli i dodaje już jako on sam: – Uważam, że powinnaś ją kupić.

– Serio? – Ja też znów staję się sobą.

Jeff błyska uśmiechem filmowego amanta.

– Miałaś kiepski tydzień. Zasługujesz na coś miłego.

W sklepie dowiaduję się z ulgą, że sukienka kosztuje nieco mniej, niż szacowała Grace Kelly. Ponadto okazuje się, że leży na mnie jak ulał. Kupuję ją bez namysłu.

– Taka sukienka zasługuje na stosowną okazję – oświadcza Jeff. – I chyba znam odpowiednie miejsce.

Stroimy się do kolacji, ja w nową kreację, a Jeff w swój najelegantszy garnitur. Hotelowy konsjerż cudem załatwia nam stół w najmodniejszej i najdroższej restauracji w mieście. Za namową Jeffa idziemy na całość i zamawiamy dziewięciodaniowe menu degustacyjne oraz butelkę cabernet sauvignon, a na deser suflet czekoladowy, tak wyśmienity, że błagam cukiernika o przepis.

Po powrocie do hotelu, lekko oszołomieni winem i nowym miejscem, wpadamy w zalotny i zmysłowy nastrój. Całuję go powoli, rozwiązując mu krawat, a szorstki jedwab oplata mi palce. Jeff niespiesznie rozpina mi sukienkę. Drzę, kiedy suwak centymetr po centymetrze zjeżdża w dół, i czuję, jak plecy wyginają mi się w łuk.

Oddech Jeffa robi się cięższy, gdy sukienka opada na podłogę. Chwyta mnie za ramiona, odrobinę za mocno. W jego oczach lśni pożądanie. Dzikość, której nie widziałam od dawna. Wygląda jak ktoś nieznajomy, zagadkowy i niebezpieczny. Nagle przypominają mi się te wszystkie bezimienne byczki – mięśniaki z męskich akademików i futboliści – z którymi sypiałam po Pine Cottage. Ci, którzy nie bali się zedrzyć mi majtek i rzucić mnie na łóżko. Ci, których nie obchodziło, kim jestem ani czego pragnę.

Cała drzę. Objaw bardzo obiecujący. Tego mi właśnie potrzeba.

I naraz koniec, nastrój ulatnia się równie szybko, jak krawat Jeffa wysuwa mi się z rąk. Nawet tego nie zauważam, do czasu aż lądujemy w łóżku i Jeff we mnie wchodzi. Nagle znów staje się irytująco sumienny. Pyta mnie, jak się czuję i czego chcę.

Chcę, żeby przestał dbać o moje potrzeby.

Chcę, żeby się zamknął i brał mnie, jak należy.

Nic takiego się nie dzieje. Seks kończy się tak jak zwykle – Jeff jest wykończony, a ja leżę na wznak z wielką gulą niezadowolenia w brzuchu.

Po wszystkim idzie pod prysznic, a do łóżka wraca zaróżowiony, ciepły i puchaty.

– Jakie masz plany na jutro? – pyta dość nieuważnie, bo już zaczyna odpływać do krainy snu.

– Obejrzę standardowe atrakcje. Instytut Sztuki. Fasolkę. Może się skuszę na kolejne zakupy.

– Świetnie – mamrocze sennie Jeff. – Baw się dobrze.

– Po to tu jestem – odpowiadam, choć to nieprawda.

Nie przyjechałam tu dla zabawy. Ani dla Jeffa. Podczas gdy on brał prysznic, zmywając pot i zapach drętowego seksu, ja już siedziałam w telefonie, załatwiając wynajem samochodu.

Rano zamierzam pojechać do Indiany i wreszcie uzyskać jakieś odpowiedzi.



28

Chicago i Muncie dzieli jakieś trzysta siedemdziesiąt kilometrów, które pokonuję z maksymalną prędkością, na jaką pozwala moja wynajęta toyota camry. Mam zamiar dostać się do domu Lisy i spróbować się tam czegoś – czegokolwiek – dowiedzieć, a wieczorem wrócić do Chicago. Podróż zajmie mi w sumie jakieś siedem godzin, ale jeśli się uwinę, to zdążę obrócić, zanim Jeff się zorientuje, że dokądś pojechałam.

W tamtą stronę mam niezły czas i zatrzymuję się tylko raz, żeby wstąpić do małego spożywczaka przy autostradzie międzystanowej numer sześćdziesiąt pięć. To jeden z tych smętnych, pospolitych sklepików, które rozpaczliwie udają, że należą do jakiejś sieciówki, choć ślepy by zauważył, że to zbyt grubymi nićmi szyte. Wystarczy spojrzeć na te wszystkie lepkie

puszki z napojami gazowanymi, porysowaną posadzkę z płytek i stojaki uginające się od pisemek erotycznych opakowanych w kondomy przezroczystego plastiku. Kupuję butelkę wody, batonik z granolą i paczkę serowych krakersów. Śniadanie mistrzów.

W stojaku na ladzie widzę srebrzyste zapalniczki. Kiedy wyraźnie ujarany sprzedawca rozdziera świeży rulon drobniaków do kasy, chwytam jedną i pakuję ją do kieszeni. Koleś przyłapuje mnie wzrokiem, uśmiecha się i mruga porozumiewawczo na pożegnanie.

Wracam za kierownicę i ruszam dalej, śledząc upływ czasu na podstawie położenia słońca nad płaską wstęgą asfaltu. Za oknami samochodu przemyka surowy wiejski krajobraz. Domy straszą odrapanymi fasadami i przekrzywionymi werandami. Pola kukurydzy ciągną się kilometrami; z ziemi sterczą pozostałe po skoszeniu kikuty łądyg. Tablice przy zjazdach z autostrady kierują do miasteczek o zwodniczo egzotycznych nazwach. Paris. Brazil. Peru.

Docieram do Muncie, kiedy słońce, niczym wielkie, świdrujące żółte oko, wznosi się dokładnie nade mną. Przemierzam kolejne ulice, szukając adresu, który Lisa podała mi na wypadek, gdybym kiedyś chciała do niej napisać.

Znajduję jej dom przy spokojnej bocznej uliczce, wzdłuż której rosną platany i wznoszą się parterowe domy. Ten należący do Lisy jest zdecydowanie ładniejszy od innych: ma świeżo pomalowane okiennice, a na werandzie stoją nowiuteńkie meble ogrodowe. Na środku starannie przystrzyżonego trawnika pyszni się okrągły klomb, a w jego centrum, niczym wielgachny grzyb, wyrasta zrobione z włókna szklanego poidełko dla ptaków.

Na podjeździe stoi kombi, a na jego tylnym zderzaku widnieje naklejka związku zawodowego policjantów. To na pewno nie jest samochód Lisy.

Parkuję na ulicy i przeglądam się w lusterku wstecznym. Chcę się upewnić, że wyglądam na osobę zaciekawioną, ale pełną szacunku, a nie wścibską babę szukającą sensacji. Mam na sobie stosowny strój, który starannie dobrałam jeszcze w hotelu – niby swobodny, ale z żalobną nutą – ciemne dżinsy, ciemnofioletową bluzkę i buty na płaskim obcasie.

Przez trawnik biegnie wyłożona kamiennymi płytami ścieżka, która prowadzi mnie do drzwi frontowych. Naciskam dzwonek i z głębi domu dociera do mnie jego echo.

Kobieta, która staje w progu, jest ubrana w monochromatyczny zestaw złożony z luźnych jasnobrązowych spodni i beżowej koszulki polo. Jest wysoka i koścista, pewnie w młodości przypominała Katherine Hepburn. Teraz jednak jej orzechowe oczy otacza sieć zmarszczek. Przywodzi na myśl ubogą mieszkankę Oklahomy ze zdjęć Walkera Evansa – wychudłą, twardą, zmęczoną życiem.

Dobrze wiem, kto to jest.

Nancy.

– W czym mogę pomóc? – odzywa się głosem szorstkim jak wiatr smagający Wielkie Równiny.

Nie wiem, co zrobić czy powiedzieć. Jechałam tu bez żadnego planu i teraz, kiedy dotarłam na miejsce, nie mam pojęcia, jaki powinien być mój następny krok.

– Dzień dobry – zaczynam. – Jestem...

Nancy kiwa głową.

– Quincy. Wiem.

Patrzy na moje niedbale pomalowane na czarno paznokcie. Jej uwagę przyciągają nakrapiane strupy na knykciach prawej dłoni, które dzisiaj pieką mnie jak po oparzeniu słonecznym. Wpycham rękę głęboko do kieszeni.

– Przyjechałaś na pogrzeb? – pyta Nancy.

– Myślałam, że już się odbył.

– Będzie jutro.

Mogłam się domyślić, że nastąpi opóźnienie. Trzeba było przeprowadzić autopsję, a potem sporządzić ten arcyważny raport toksykologiczny.

– Lisa sporo myślała o waszej dwójce – mówi Nancy. – Wiem, że chciałyby, abyś tam była.

Tak jak i przedstawiciele prasy, którzy z pewnością tłumnie ściagną na pogrzeb i będą pstrykać migawkami aparatów w rytm psalmu dwudziestego trzeciego.

– To chyba nie jest dobry pomysł – odpowiadam. – Obawiam się, że zakłóciłabym przebieg uroczystości.

– W takim razie chętnie usłyszę, po co tu przyjechałaś. Nie trzeba geniusza, by wiedzieć, że Muncie nie leży o rzut beretem od Nowego Jorku.

– Chciałam dowiedzieć się czegoś o Lisie – wyjaśniam. – Poznać więcej szczegółów.

Schludne wnętrze domu Lisy sprawia przygnębiające wrażenie. Większość jego przestrzeni zajmują salon, jadalnia i kuchnia, które są połączone w jedno gigantyczne pomieszczenie. Pokrywająca jego ściany drewniana boazeria sprawia, że panuje tu przytłaczająca atmosfera staroświeckości. To dom w sam raz dla owdowiałej staruszki, a nie czterdziestodwuletniej kobiety.

Nic nie wskazuje na to, że popełniono tu morderstwo. Nie ma policjantów zdejmujących odciski palców ani techników kryminalistyki,

którzy z ponurymi minami i pęsetami w garści gmerają w dywanie. To już załatwione – oby przyniosło jakieś rezultaty.

Stery kartonów – złożonych i rozłożonych – zagracają salon, który już opróżniono z kilku ozdób. Na pokrytych kurzem niskich stolikach zostały tylko okrągłe ślady po wazonach i dekoracyjnych misach.

– Rodzina Lisy poprosiła mnie o spakowanie jej rzeczy – wyjaśnia Nancy. – Nie chcą nigdy więcej przestąpić progu tego domu. Wcale im się nie dziwię.

Siedzimy przy owalnym stole w jadalni. Przed policjantką leży laminowana podkładka pod talerz. Przypuszczam, że tam właśnie Lisa jadała posiłki. Nakrycie dla jednej osoby. Rozmawiamy, pijąc herbatę z kubków, których krawędzie zdobią różowe różyczki.

Nancy Scott – tak brzmi pełne imię i nazwisko mojej rozmówczyni – służy w policji stanowej w Indianie od dwudziestu pięciu lat, a za rok prawdopodobnie przejdzie na emeryturę. Jest singielką, nigdy nie wyszła za mąż i ma dwa owczarki niemieckie, które kiedyś pracowały jako psy policyjne.

– Do tamtego akademika weszłam wtedy jako jedna z pierwszych – opowiada. – I pierwsza zdałam sobie sprawę, że Lisa nadal żyje. Pozostali policjanci, a poza mną byli to sami faceci, tylko rzucili okiem na te wszystkie ciała i od razu założyli najgorsze. W sumie ja też. Źle to wyglądało. Tyle krwi. Była dosłownie wszędzie. – Urywa, przypomniawszy sobie, z kim rozmawia.

Skinieniem głowy proszę, by kontynuowała.

– Kiedy tylko spojrzałam na Lisę, wiedziałam, że ona żyje. Nie miałam pojęcia, czy z tego wyjdzie, ale jakimś cudem jej się to udało. Od pierwszej chwili poczułam do niej sympatię. Ta dziewczyna była prawdziwą wojowniczką.

– I to was do siebie zbliżyło?

– Łączyła nas taka sama bliskość jak ciebie z Frankiem.

Frank. Jego imię brzmi w moich uszach obco. Dla mnie to po prostu Coop.

– Wiedziała, że w każdej chwili może do mnie zadzwonić – dodaje Nancy. – Że zawsze jestem gotowa jej wysłuchać i zrobić, co w mojej mocy, aby jej pomóc. To delikatna sprawa. Ta druga osoba musi czuć, że może na ciebie liczyć, ale ty nie możesz się zanadto zaangażować. Trzeba zachować dystans. Tak jest lepiej.

Przychodzi mi na myśl Coop i wszystkie te niewidzialne bariery, jakie między nami zbudował. Zawsze witał się skinieniem głowy, nigdy uściskiem. Nie wszedł do mojego mieszkania, dopóki sytuacja go do tego nie zmusiła. Pewnie Nancy zrobiła mu taki sam wykład o zachowywaniu dystansu jak mnie przed chwilą. Ta kobieta nie wygląda mi na kogoś, kto zachowuje swoje zdanie dla siebie.

– Dopiero pięć lat temu połączyło nas coś, co można by nazwać przyjaźnią – ciągnie policjantka. – Zbliżyłam się też do jej rodziny. Zapraszali mnie na Święto Dziękczynienia i przyjęcia urodzinowe.

– To miło z ich strony – wtrącam.

– Owszem. Oczywiście bardzo to wszystko przeżywają. Ten ból będą czuli do końca życia.

– A pani? – pytam.

– Och, ja jestem wściekła. – Nancy upija łyk herbaty. Krzywi się, dotykając ustami wrzątku, po czym zaciska je w wąską linijkę. – Wiem, że powinnam czuć smutek, i tak jest. Ale przede wszystkim jestem wściekła jak diabli. Ktoś pozbawił Lisę życia. Po tym wszystkim, co przeszła.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Morderstwo Lisy ma w sobie coś z porażki. Prawdziwa wojowniczką w końcu została pokonana.

– Od początku podejrzewała pani, że w grę wchodzi zabójstwo?

– Byłam tego pewna! – oświadcza Nancy. – Wiedziałam, że Lisa nigdy by się nie zabiła. Nie po tym, jak zażarcie musiała walczyć o życie i jak dobrze sobie radziła, chociaż dostała od losu tak kiepskie karty. To ja zleciłam te badania toksykologiczne i niech szlag trafi konflikt interesów. Oczywiście miałam rację. W jej organizmie wykryto środki nasenne, ale w domu nie znaleźliśmy żadnego opakowania, w którym mogły być przechowywane. Dopiero wtedy technicy porządnie przyjrzeni się ranom od noża, choć należało to zrobić od razu.

– Kiedy rozmawialiśmy wszyscy przez telefon, powiedziała pani, że nie ma żadnych podejrzanych. Czy to się zmieniło?

– Nie – odpowiada Nancy.

– A co z motywem?

– Wciąż nic.

– Mówi pani tak, jakby nie wierzyła, że kiedykolwiek uda się złapać tego, kto to zrobił.

– Bo nie wierzę – wyznaje z westchnieniem Nancy. – Zanim ci idioci się zorientowali, co tu naprawdę zaszło, było już za późno. Miejsce zbrodni zostało zanieczyszczone. Ja użerałam się z tymi pudłami. Przychodzili niektórzy znajomi i kuzyni Lisy. Skutecznie zdeptaliśmy wszystkie ślady i nanieśliśmy Bóg wie ile nowych.

Nachyla się i wbija spojrzenie w blat stołu.

– A to kółeczko z zaschniętego wina było tu przez cały czas. Ślad po kieliszku, którego zniknięcia nikt nie zauważył. Ten, kto zabił Lisę, zabrał go ze sobą i teraz pewnie leży rozbity gdzieś na poboczu drogi. Wyrzucony przez okno samochodu.

Nagle cofam dłonie, które dotąd spoczywały płasko na blacie.

– Już szukali odcisków palców – uspokaja mnie Nancy. – Nic tu nie znaleźli. Ani w łazience, ani na nożu, ani na telefonie Lisy. Wszystko dokładnie powycierane.

– I nikt z jej znajomych nic nie wie?

– Rozmawiamy, z kim się da, ale to niełatwe. Lisa lubiła otaczać się ludźmi. Była bardzo towarzyska.

W jej głosie słychać wyraźną dezaprobatę. Wręcz wypluwa to słowo, jakby się bała, że zostawi jej w ustach przykry posmak.

– A pani uważa, że to był błąd – domyślam się.

– Uważam, że była zbyt ufna. Po tym, co sama przeżyła, ciągle chciała pomagać innym w potrzebie. Najczęściej dziewczynom. Z problemami.

– Jakimi problemami?

– Różnymi. Na przykład z rodzicami. Albo z chłopakami, którzy lubili je bić, a one musiały przed nimi uciekać. Lisa przyjmowała je z otwartymi rękami, opiekowała się nimi, pomagała stanąć na nogi. Moim zdaniem usiłowała w ten sposób wypełnić tę lukę, która powstała w jej życiu wskutek tamtej nocy w akademiku.

– Lukę?

– Lisa nieczęsto się z kimś umawiała – wyjaśnia Nancy. – Nie ufała mężczyznom i nic dziwnego. Jak większość dziewczyn kiedyś prawdopodobnie marzyła, że wyjdzie za mąż, urodzi i wychowa dzieci. Tamta noc w akademiku zniszczyła te marzenia na zawsze.

– Więc nigdy nie chodziła na randki?

– Rzadko – uściśla Nancy. – Nigdy nie wyszło z tego nic poważniejszego. Na wieść o tym, co ją spotkało, większość facetów zwiewała, aż się za nimi kurzyło.

– I nigdy o nich nie wspominała? Może któryś ją prześladował? Albo jedna z tych jej podopiecznych sprawiała jej kłopoty?

Sam. To ją mam na myśli. Czy Lisa kiedykolwiek wspominała o Samancie Boyd?

– Nic o tym nie wiem. – Nancy dopija herbatę i spogląda na mój kubek z wyraźną nadzieją, że zrobię to samo i sobie pójdę. – Długo zamierzasz zostać w mieście, Quincy?

Zerkam na zegarek. Kwadrans po pierwszej. Jeśli chcę wrócić do Chicago, nie wzbudzając podejrzeń Jeffa, powinnam wyjechać przed wpół do trzeciej.

– Jeszcze przez godzinę. – Rozglądam się po częściowo opróżnionym pokoju, a potem przenoszę wzrok na złożone kartony oparte o ścianę. – Pomóc pani?



29

Proponuję, żeby Nancy kontynuowała pracę w salonie, a ja zajmę się sypialnią Lisy. Zgadza się, choć przez chwilę przygryza wnętrze policzka, jakby nie była pewna, czy może mi zaufać. Potem jednak wręcza mi dwa pudła.

– Nie baw się w żadne sortowanie – mówi, kierując mnie w głąb korytarza. – Jej rodzina się tym zajmie. My mamy tylko opróżnić dom.

Kiedy w końcu zostawia mnie samą, przez chwilę zwlekam w korytarzu, zaglądając do każdego z trzech pomieszczeń, do których prowadzi.

Pierwsze to pokój gościnny, oszczędnie umeblowany i nieskazitelnie czysty. Wchodzę do środka i okrążam go powoli, sunąc palcem

wskazującym po komodzie, łóżku i stoliku nocnym. Nigdzie ani śladu po Sam, choć mogę sobie wyobrazić, jak pali tu papierosa, stojąc przy otwartym oknie – to samo robi pewnie w tej chwili w moim mieszkaniu.

Wracam na korytarz i przystaję przed łazienką. Tam nie chcę wchodzić. To byłoby jak wtargnięcie do krypty. Poza tym wystarcza mi to, co widzę z korytarza. Od umywalki przez wannę aż po sedes – całe wnętrze skąpane jest w jasnych błękitach i tylko gdzieś widać smugi proszku aluminiowego, którego używa się do zdejmowania odcisków palców. Gapię się na wannę, nagle wytrącona z równowagi.

To w niej umarła Lisa.

Wyobrażam sobie, jak leży w mętnej, zaróżowionej wodzie. A potem widzę Sam. Stoi w drzwiach zupełnie jak ja w tej chwili. I się przygląda. Aby mieć pewność, że wykonała zadanie.

Gdy czuję, że nie dam rady patrzeć na tę wannę ani chwili dłużej, idę do sypialni Lisy, ze wszystkich sił starając się opanować zimny dreszcz, który nagle mną wstrząsnął. Sypialnia jest cała kremowo-różowa. Kremowy dywan, różowe zasłony i różowa kołdra na łóżku. W kącie stoi zakurzona bieżnia, na której wisi sportowy strój.

Zastanawiam się, czy Lisa kiedykolwiek dzwoniła do mnie z tego pokoju i sypała radami, maszerując na bieżni albo leżąc wyciągnięta w poprzek łóżka. Potem wraca wspomnienie jej głosu w telefonie.

„Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, co możesz zmienić, to sposób, w jaki sobie z tym radzisz”.

Podchodzę do komody, której wierzch zastawiony jest z jednej strony akcesoriami do włosów i plastikowymi pojemnikami wypełnionymi po brzegi kosmetykami do makijażu. Wśród tej drogeryjnej kolekcji stoi staroświecka szkatułka na biżuterię. Kiedy unoszę jej wieczko, ze środka

wyskakuje porcelanowa balerina w tiulowej spódniczce i zaczyna się obracać.

Po drugiej stronie komody znajduje się kilka zdjęć w plastikowych ramkach stylizowanych na drewniane. Na jednym z nich jest Lisa z Nancy na plaży, obie mrużą oczy przed słońcem. Na innym Lisa i jak mogę się tylko domyślać, jej rodzice na tle bożonarodzeniowej choinki. Na kolejnych – Lisa w Wielkim Kanionie, w barze, z neonem za plecami i czyjąś dłonią z czerwonym sygnetem na ramieniu, na przyjęciu urodzinowym, z resztkami tortu wokół ust.

Opróżniam komodę szuflada po szufladzie, wybierając garściami staniki, skarpetki i babcine majtki. Robię to szybko, starając się tłumić poczucie winy wynikające z faktu, że myszkuję w rzeczach Lisy. Czuję, że w pewien sposób naruszam jej prywatność. Jakbym włamała się do jej domu i zaczęła go plądrować.

To samo uczucie towarzyszy mi, kiedy podchodzę do szafy i zaczynam ją wybebeszać z sukienek, kostiumów ze spodniami i smętnych spódniczek w kwiaty, które już dawno wyszły z mody. I nagle znajduję coś, na co po cichu liczyłam. Szarą metalową kasetkę na kartoteki, wetkniętą w kąt z tyłu szafy i częściowo zasłoniętą koszykiem z przykrywką. Jest niewielka, ma tylko jedną szufladę, w której znajduje się maleńka dziurka na kluczyk, podobna do tej w mojej sekretnej szufladzie w domu. I tak jak zamek w mojej szufladzie ten też został wyłamany, o czym świadczy otaczająca go pajęczyna zarysowań.

Teraz wiem już na pewno, że Sam tutaj była. Te rysy to jej robota. Nie mam wątpliwości.

Moja dłoń wędruje do zawieszzonego na szyi łańcuszka z kluczykiem. Wciąż go noszę, choć jestem tak daleko od domu. To moja ostoja normalności w życiu, które Sam przewróciła do góry nogami.

Jednym pociągnięciem wysuwam szufladę. W środku znajdują się trzy starannie ułożone teczki.

Ta z góry jest niebieska i nieopisana. Otwieram ją i widzę coś w rodzaju albumu, którego strony wypełniają skserowane wycinki gazetowe, artykuły z magazynów i wydruki ze stron internetowych. Wszystkie na temat masakry w żeńskim akademiku. Niektóre zdania podkreślono niebieskim długopisem, a na marginesach widnieją liczne znaki zapytania i smutne buźki.

Zostały jeszcze dwie teczki: czerwona i biała. Jedna dotyczy Sam. Druga mnie. Wiem o tym nawet bez zaglądnia do środka. Rachunek jest prosty: trzy Jedyne Ocalałe, trzy teczki.

Teczka Sam jest czerwona. Zawiera publikacje o Nightlight Inn, także tę z magazynu „Time”, po której miałam w dzieciństwie koszmary. Te artykuły też są opatrzone notatkami Lisy. Na marginesach nagryzmołone są słowa, frazy i całe zdania.

Na spodzie teczki leżą dwa wycinki z gazet, żaden z nich nie ma daty.

HEMLOCK CREEK, Pensylwania: Władze kontynuują śledztwo w sprawie śmierci dwojga turystów zamordowanych w zeszłym miesiącu. Policja znalazła zwłoki Tommy’ego Currana, lat 24, oraz Suzy Pavkovic, lat 23, we wnętrzu namiotu w gęsto zadrzewionej okolicy trzy kilometry za miastem. Obu ofiarom zadano liczne ciosy nożem. Na terenie obozowiska odkryto ślady walki, jednakże zdaniem policji niczego nie ukradziono, co pozwala wykluczyć rabunek jako motyw zabójstwa.

To już kolejna makabryczna zbrodnia, która wstrząsnęła tym spokojnym miasteczkiem. Zaledwie rok wcześniej na poboczu Valley Road, rzadko uczęszczanej drogi dojazdowej, z której

korzystają pracownicy szpitala psychiatrycznego w Blackthorn, znaleziono martwe ciało dwudziestoletniej kobiety. Ofiara, której tożsamości nie udało się ustalić, została uduszona. Policja uważa, że zginęła gdzie indziej, a jej zwłoki przeniesiono i porzucono w lesie. Według opinii władz śledczych obie zbrodnie nie są ze sobą powiązane.

HAZLETON, Pensylwania: Mężczyzna zginął od ciosów nożem. Do zdarzenia doszło wczoraj w jego własnym domu, w którym mieszkał z żoną i pasierbicą. Wezwano policję z Hazleton, która znalazła zwłoki Earla Potasha, lat 46, w kuchni dwurodzinnego domu przy Maple Street. Ofiara otrzymała liczne rany kłute w klatkę piersiową i brzuch. Władze śledcze uznały, że śmierć była wynikiem zabójstwa. Śledztwo jest w toku.

Przyciskam dłoń do czoła. Skóra jest gorąca w dotyku. To przez wzmiankę o Blackthorn w pierwszym artykule. Na dźwięk tej nazwy zawsze oblewam się nerwowym potem. Co prawda nie pamiętam już, w jakich okolicznościach, ale na pewno słyszałam o tych morderstwach w lesie. Popełniono je mniej więcej rok przed Pine Cottage w tej samej okolicy. Nie pojmuję, dlaczego Lisa przechowywała te wycinki wśród materiałów dotyczących Sam.

Powtórna lektura niczego mi nie wyjaśnia, więc chowam oba artykuły do czerwonej teczki i odkładam ją na bok. Czas na ostatnią, białą teczkę.

Moją.

Pierwszą rzeczą, jaka wpada mi w oko zaraz po jej otwarciu, jest pojedyncza kartka. A na niej moje imię. Oraz numer telefonu. Nagle wszystko zaczyna nabierać sensu. Już wiem, skąd Sam miała mój numer, pod który zadzwoniła, gdy zatrzymała ją policja.

Dalej są artykuły o Pine Cottage, spięte różowym spinaczem do papieru. Odwracam cały plik na drugą stronę, nawet do niego nie zaglądam, z obawy, że znowu zobaczę Jego zdjęcie. Pod artykułami leży list.

Tamten list.

Ten, który zdenerwował nawet Coopa.

NIE POWINNAŚ ŻYĆ.
POWINNAŚ BYŁA ZGINAĆ W TEJ CHACIE.
TWOIM PRZEZNACZENIEM BYŁO ZOSTAĆ
ZŁOŻONĄ W OFIERZE.

To dla mnie szok. Gwałtownie wciągam powietrze, ale zaraz się uciszam, żeby nie usłyszała mnie Nancy. W milczeniu wybałuszam oczy na kartkę, z której gapią się na mnie te niedorzeczne zera.

W głowie kołacze mi się jedno pytanie. To oczywiste.

Skąd, do cholery, Lisa wytrzasnęła kopię tego anonimu?

Zaraz potem nasuwa się kolejne, jeszcze bardziej palące.

Po co ją trzymała?

Pod listem, także spięty spinaczem, znajduję zapis policyjnego przesłuchania. Dokument opatrzony jest moim nazwiskiem i datą. Tydzień po Pine Cottage. Na dole, starannie wypisane na maszynie, widnieją nazwiska dwóch osób, o których nie myślałam od lat: detektywów Cole'a i Freemonta.

Z drugiego końca korytarza dobiega mnie głos Nancy. Idzie tu. Jest coraz bliżej.

– Quincy?

Pospiesznie zamykam tekturową okładkę. Unoszę tył bluzki, przyciskam teczkę płasko do pleców i wtykam za pasek spodni na tyle głęboko, żeby nie wyskoczyła, gdy zrobię kilka kroków. Potem wpycham bluzkę w spodnie, choć przedtem była wypuszczona, z nadzieją, że Nancy nie zauważy różnicy.

Pozostałe dwie teczki wrzucam z powrotem do kasetki w szafie. Kiedy Nancy wchodzi do pokoju, szuflada jest już zatrzaśnięta. Policjantka rzuca spojrzenie najpierw na kartony, a potem na mnie, jak wstaję z kucek przed szafą Lisy.

– Już czas na ciebie – mówi.

I znowu przenosi wzrok na pudła. Każde z nich wypełnione jest ledwie do połowy. Z jednego zwisają dżinsy Lisy.

– Przepraszam, że nie zrobiłam więcej – kajam się. – Pakowanie jej rzeczy jest trudniejsze, niż sądziłam. Dotarło do mnie, że ona naprawdę odeszła.

Każda z nas zanosz po jednym pudle do salonu, Nancy idzie przodem, a ja za nią. Kiedy żegnamy się przy drzwiach, przez chwilę boję się, że spróbuje mnie objąć. Sztywnieję na myśl o tym, że jej kościste ręce natrafią na wystającą ze spodni teczkę. Ale najwyraźniej w sprawie uścisków podziela zdanie Coopa. Nawet nie podaje mi ręki. Tylko ściąga usta, a wtedy jej zmarszczki robią się jeszcze wyraźniejsze.

– Trzymaj się, skarbie – mówi.



TYDZIEŃ PO PINE COTTAGE

Dobry Glina i Zły Glina wpatrywali się w Quincy w oczekiwaniu na coś, czego nie mogła im dać. Detektyw Freemont, ten stary buldog, wyglądał na mocno sfatygowanego, jakby od paru dni nie zmrużył oka. Quincy zauważyła, że włożył tę samą marynarkę co podczas pierwszego przesłuchania, a dorodna plama z musztardy wciąż ma się dobrze. Natomiast detektyw Cole pozostał niezmiennie przystojny, mimo tego meszku nad górną wargą, który udawał wąsik. Jego końce uniosły się lekko, kiedy policjant uśmiechnął się do Quincy.

– Pewnie się pani denerwuje – powiedział. – Niepotrzebnie.

Ale Quincy i tak się denerwowała. Bardzo. Ze szpitala wyszła zaledwie przed dwoma dniami i na posterunek przywiozła ją zirytowana matka – na wózku inwalidzkim, bo chodzenie jeszcze sprawiało jej ból.

„Co za utrapienie – psioczyła w samochodzie do córki. – Czy oni nie rozumieją, jakie to dla nas uciążliwe?”

Kiedy zadzwonił telefon, akurat sprzątała łazienkę na górze, więc musiała odebrać w niezgrabnych gumowych rękawicach. Następnie zaś poszła włożyć sukienkę w kwiatki, bo utrapienie utrapieniem, ale skoro miała wyjść z domu, to musiała się przebrać. Quincy natomiast, ku zgrozie matki, została w piżamie i szlafroku.

– Czy coś się stało? – spytała, patrząc na detektywów ze swojego wózka inwalidzkiego i zastanawiając się, po co ją tu wezwano.

– Po prostu mamy jeszcze kilka pytań – wyjaśnił Cole.

– Powiedziałam już panom wszystko, co wiem – westchnęła Quincy.

Freemont pokiwał głową, że niby mu przykro.

– Czyli całe wielkie nic.

– Proszę nie myśleć, że panią nękamy – wtrącił Cole. – Po prostu musimy mieć pewność, że wiemy o wszystkim, co się wydarzyło w tej chacie. Przez wzgląd na rodziny ofiar. Na pewno to pani rozumie.

Quincy nie chciała myśleć o tych wszystkich rodzicach, braciach, siostrach i przyjaciółach w żałobie. Matka Janelle odwiedziła ją w szpitalu. Zapłakana i roztrzęsiona błagała Quincy o zapewnienie, że jej córka nie cierpiała, że umierając, nie czuła bólu. „Niczego nie poczuła – skłamała Quincy. – Jestem tego pewna”.

– Rozumiem – przytaknęła Cole’owi. – Chcę pomóc. Naprawdę.

Detektyw sięgnął do stojącej przy nodze aktówki i wyjął teczkę, którą położył na stole. Sięgnął ponownie, tym razem po metalicznie błyszczący prostokąt – magnetofon – który umieścił na teźce.

– Zadamy pani kilka pytań – oznajmił. – I chcielibyśmy nagrywać tę rozmowę, jeśli nie ma pani nic przeciw temu.

Na widok magnetofonu Quincy poczuła się nieswojo.

– Jasne – wykrztusiła drżącym głosem.

Cole wcisnął guzik nagrywania i powiedział:

– Proszę nam powiedzieć, możliwie najdokładniej, co pani pamięta z tamtej nocy.

– Z całej nocy? Czy od chwili, kiedy Janelle zaczęła krzyczeć? Bo z tego, co było potem, pamiętam niewiele.

– Z całej nocy.

– No więc...

Quincy urwała i poprawiła się nieco na wózku, żeby móc zerknąć w okienko znajdujące się w górnej połowie drzwi. Same drzwi zostały zamknięte, jak tylko poproszono jej matkę, by zaczekała na korytarzu. Przez kwadratową szybkę ujrzała jedynie kawałek ściany w kolorze kości słoniowej i róg plakatu ostrzegającego przed zagrożeniami wynikającymi z jazdy pod wpływem alkoholu. Matki nie zobaczyła. Ani nikogo innego.

– Wiemy, że był tam alkohol – powiedział Freemont. – I marihuana.

– Tak – przyznała Quincy. – Ja nie piłam ani nie paliłam.

– Grzeczna dziewczynka, co? – mruknął Freemont.

– Tak.

– Ale to była impreza – podkreślił Cole.

– Tak.

– I był na niej Joe Hannen?

Quincy wzdrygnęła się na dźwięk Jego nazwiska. Jej trzy rany od noża, wciąż ściągnięte szwami, zaczęły pulsować.

– Tak.

– Czy w trakcie tej imprezy coś zaszło? – zapytał Freemont. – Coś, co go rozzłościło? Czy ktoś go prowokował? obrażał? A może zrobił mu coś, za co chciałby się odegrać?

– Nie – odparła Quincy.

– Czy stało się coś, co zdenerwowało panią?

– Nie – powtórzyła dobitnie Quincy, z nadzieją, że w ten sposób jej kłamstwo zabrzmiałoby bardziej wiarygodnie.

– Czytaliśmy wyniki pani obdukcji przeprowadzonej pod kątem możliwej napaści na tle seksualnym – oznajmia Freemont.

Chodziło mu o tak zwany test na gwałt, który Quincy musiała znieść po założeniu jej szwów. Niewiele z tego pamiętała. Tylko tyle, że gapiała się w sufit, usiłując powstrzymać szloch, kiedy pielęgniarka kojącym tonem tłumaczyła jej każdy krok tej procedury.

– Z badania wynika, że tamtej nocy odbyła pani stosunek seksualny. Czy to prawda?

Skinęła głową, tylko raz, a policzki paliły ją ze wstydu.

– Za pani przyzwoleniem? – dopytywał Freemont.

Quincy znowu skinęła. Fala gorąca zalała jej czoło i szyję.

– Jest pani pewna? Jeśli było inaczej, może nam pani o tym powiedzieć.

– Tak było – odparła Quincy. – To znaczy wyraziłam zgodę. Nie zostałam zgwałcona.

Detektyw Cole odchrząknął, równie skory do zmiany tematu jak ona.

– Przejdźmy dalej. Porozmawiajmy o tym, co się stało, kiedy pani przyjaciółka Janelle wyszła z lasu, a panią pchnięto nożem w bark. Czy na pewno nie pamięta pani niczego, co wydarzyło się potem?

– Na pewno.

– Proszę spróbować coś sobie przypomnieć – nalegał Cole. – Tylko przez chwilę.

Quincy zamknęła oczy, usiłując chyba po raz setny w tym tygodniu przywołać choćby mgliste wspomnienie z tej brakującej godziny.

Oddychała głęboko, czując przy każdym wdechu, jak napinają się szwy. Rozbolała ją głowa. Kolejna migrena rozsadała czaszkę. Przed oczami trwała nieprzenikniona ciemność.

– Przykro mi – wyjęczała. – Nie potrafię.

– Zupełnie nic? – drążył Freemont.

– Zupełnie. – Quincy wręcz dygotała, na skraju łez. – Ani trochę.

Freemont założył ręce na piersi i prychnął z irytacją. Cole tylko się w nią wpatrywał, lekko mrużąc oczy, jakby w ten sposób mógł dostrzec coś więcej.

– Chce mi się pić – oznajmił, zwracając się do Freemonta. – Hank, będziesz tak miły i przyniesiesz mi kawę z automatu?

Tą prośbą najwyraźniej zaskoczył kolegę.

– Serio?

– Tak. Proszę. – Cole przeniósł wzrok na Quincy. – Wolno pani pić kawę?

– Nie wiem.

– Więc lepiej nie ryzykujemy – orzekł. – Połączenie kofeiny z tymi lekami, które pani bierze, mogłoby pani zaszkodzić. Ojoj!

To ostatnie słowo sprawiło, że Quincy zapaliła się czerwona lampka. Udawana troska wydawała się zbyt ostentacyjna, aby można było uznać ją za szczerą. Ta przystojna twarz Cole'a. Te ciepłe, lekko zmysłowe uśmiechy. Zwykły blef, żeby ją podejść.

Cole potwierdził to przecucie, gdy tylko Freemont opuścił pokój.

– To ci muszę przyznać – odezwał się. – Dobra jesteś.

– Nie wierzy mi pan – powiedziała Quincy.

– Ani trochę. Ale w końcu dotrzemy do prawdy. Pomyśl tylko, Quincy. Wyobraź sobie, jak się poczują rodzice twoich przyjaciół, gdy się dowiedzą,

że przez cały czas łągałaś jak z nut. Ojoj! – Tym razem mrugnął porozumiewawczo. Aby wiedziała, że ją przejrzał. – Możesz sobie gadać, że nic nie pamiętasz – powiedział. – Ale oboje wiemy, jak jest naprawdę.

Quincy doznała wrażenia, że dzieje się z nią coś dziwnego. Że cała twardnieje. Jak hartowana stal. Wyobraziła sobie, że skóra zmienia się w metal, gładki i lśniący. Jak zbroja chroniąca ją przed oskarżeniami Cole'a. Poczowała się silna.

– Przykro mi, że mój zanik pamięci pana złości – powiedziała. – Może mnie pan wypytywać całymi latami, ale dopóki wspomnienia nie wrócą, odpowiedź będzie zawsze taka sama.

– Może tak właśnie zrobię – odparł Cole. – Będę przychodził do twojego domu. Co miesiąc. Albo co tydzień, do cholery. Twoi rodzice zaczną się wkrótce dziwić, dlaczego ten przystojny detektyw ciągle ci się naprzykrza z tymi samymi pytaniami.

Quincy błysnęła bezczelnym uśmiechem.

– Umiarkowanie przystojny.

– Na twoim miejscu nie byłoby mi do śmiechu – powiedział Cole. – Zginęło sześć osób, Quincy. Ich rodzice żądają odpowiedzi. A przeżyłaś tylko ty, wątłe dziewczątko, które twierdzi, że nic nie pamięta.

– Naprawdę pan myśli, że to ja ich zabiłam?

– Myślę, że coś ukrywasz. Niewykluczone, że kogoś chronisz. Może zmienię zdanie, jeżeli w końcu mi powiesz, co widziałaś tamtej nocy, łącznie z tym, co tak przemyślnie zapomniałaś.

– Powiedziałam już wszystko, co wiem. Skąd pomysł, że kłamie?

– Bo to się kupy nie trzyma – odparł Cole. – Twoje odciski palców są na nożu, którym zamordowano twoich przyjaciół.

– Moje i każdego innego. – Quincy zalała fala złości na myśl o tym, ile osób trzymało ten nóż w ręku. Dotykali go dosłownie wszyscy: Janelle,

Amy, Betz... On także. – I czy muszę panu przypominać, że mnie również nim dźgnięto? Trzy razy.

– Dwa razy w bark i raz w brzuch. Żadna z tych ran nie zagrażała życiu.

– Mimo usilnych starań sprawcy.

– Chcesz usłyszeć, jak wyglądali inni?

Cole sięgnął po leżącą na stole teczkę. Kiedy ją otworzył, Quincy ujrzała fotografie. Jej fotografie. Zrobione jej aparatem. Oczywiście policja znalazła go w Pine Cottage i wydrukowała zawartość karty pamięci.

Detektyw przesunął jedno ze zdjęć w jej stronę. Widoczna na nim Janelle stała przed chatą i kokieteryjnie wystawiała język.

– Janelle Bennett – powiedział. – Cztery rany kłute. Po jednej w serce, płuco, bark i brzuch. Oraz podeźnięte gardło.

Mentalna zbroja, która jeszcze przed chwilą chroniła Quincy, nagle rozplynęła się w nicość. Dziewczyna poczuła się odsłonięta i bezbronna.

– Niech pan przestanie – wyszeptała.

Zignorował ją i błyskawicznie wyjął następną fotografię. Tym razem była to podobizna Craiga. Stał w pozie superbohatera na głazie, do którego dotarli podczas zwiedzania lasu.

– Craig Anderson. Sześć ran kłutych o różnej głębokości, od pięciu do piętnastu centymetrów.

– Proszę.

Na następnym zdjęciu byli Rodney i Amy, przytuleni do siebie w czasie tej samej wycieczki. Quincy przypomniała sobie, co do nich zawołała, zanim pstryknęła migawka: „I jeszcze buziaka, słodziaki!”.

– Rodney Spelling – rzekł Cole. – Cztery rany kłute. Dwie w brzuch. Jedna w ramię. Jedna w serce.

– Dość! – wrzasnęła Quincy tak głośno, że po chwili do pokoju wpadł Freemont, a za jego plecami w drzwiach pojawił się drugi policjant. Rozpoznała go natychmiast. Funkcjonariusz Cooper. Spojrzenie jego błękitnych oczu napełniło ją poczuciem bezpieczeństwa. Sam jego widok sprawił, że poczuła ulgę.

– Co się tu dzieje? – spytał. – Quincy, wszystko w porządku?

Wpatrywała się w niego, wciąż na skraju łez, nie pozwalając jednak, aby ujrzeli, jak płacze.

– Niech pan mu powie – wyszeptała błagalnie. – Niech pan mu powie, że nic nie zrobiłam. Że jestem dobrą osobą.

Funkcjonariusz Cooper zbliżył się do niej i Quincy pomyślała, że zaraz ją przytuli. Chciała tego. Pragnęła poczuć się bezpiecznie w czyichś objęciach. Ale on tylko położył jej na ramieniu wielką, krzepiącą dłoń.

– Jesteś wspaniałą osobą – powiedział stanowczo. Zwracał się do niej, ale twardy wzrok wbijał prosto w detektywa Cole'a. – Wojowniczką, która przetrwała.



30

Wielka ciężarówka z naczepą przejeżdża z głośnym trąbieniem i taką prędkością, że pęd powietrza wstrząsa toyotą camry zaparkowaną na pasie awaryjnym autostrady. Siedzę na miejscu pasażera z nogami wystawionymi na zewnątrz przez otwarte drzwi. Lampka pod sufitem rzuca słabe światło na otwartą teczkę, którą trzymam w rękach.

Wpatruję się w zapis swojego przesłuchania, które prowadzili Freemont i ten dupek Cole. Wystarczy mi rzut oka na kilka pierwszych linijek, aby odświeżyć sobie pamięć.

COLE: *Proszę nam powiedzieć, możliwie najdokładniej, co pani pamięta z tamtej nocy.*

CARPENTER: *Z całej nocy? Czy od chwili, kiedy Janelle zaczęła krzyżeć? Bo z tego, co było potem, pamiętam niewiele.*

COLE: *Z całej nocy.*

Mam dość. Ciskam transkrypt na bok. Nie muszę na nowo przeżywać tamtej rozmowy. Raz w zupełności mi wystarczył.

Pod transkrytem leży kilka stron maili, wydrukowanych i zszytych zszywaczem. Wszystkie zostały wysłane w tym samym okresie – trzy tygodnie temu.

Pani Milner,

oczywiście wiem, kim Pani jest i co Panią spotkało przed laty. Pragnę złożyć moje spóźnione kondolencje oraz zapewnić o swym podziwieniu dla odwagi i siły, jakie okazywała Pani na przestrzeni minionych lat. Dlatego właśnie załączam transkrypt nagrania naszej rozmowy z panią Carpenter, o której Pani prosiła. W odróżnieniu od innych rozumiem Pani zainteresowanie osobą pani Carpenter. Obie przeszły Panie przez podobne piekło. Sprawą pani Carpenter zajmowałem się dawno temu, ale dobrze ją pamiętam. Razem z moim partnerem przesłuchiwałem ją kilkakrotnie po wydarzeniach w Pine Cottage. Obaj uważaliśmy, że nie mówi prawdy. Instynkt podpowiadał mi, że tragedię, która nastąpiła tamtej nocy w chacie, musiał poprzedzić jakiś incydent. Coś, co pani Carpenter chciała zachować w tajemnicy. Z tego względu mój partner był zdania, że mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią swoich przyjaciół. Nie podzielałem jego opinii wtedy i nie podzielam jej obecnie, zwłaszcza w świetle przekonujących zeznań, które funkcjonariusz Cooper złożył w tej sprawie. Mimo to nadal uważam, że pani Carpenter ukrywa coś, co ma związek z tragicznymi wydarzeniami w Pine Cottage. Tej tajemnicy nie zna jednakże nikt poza nią.

Z poważaniem

detektyw Henry Freemont

Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia w sprawie Pine Cottage. Moja opinia o Quincy Carpenter się nie zmieniła.

Cole

Poza elokwencją detektywa Freemonta nic mnie w tych mailach nie zaskakuje. Cole uważa, że jestem winna. Freemont się waha. Samo jednak istnienie tej korespondencji jest dla mnie wręcz szokujące, nawet bardziej niż widok tych trzech teczek ukrytych w szafie Lisy. To dowód, że grzebała w mojej przeszłości. I to nie dalej jak parę tygodni przed swoją śmiercią.

Powtarzam sobie, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego, ale to niemożliwe. Coś te sprawy łączy. Wiem to.

Pod mailami od Cole'a i Freemonta leżą jeszcze dwa inne. W przeciwieństwie do tamtych te naprawdę mną wstrząsają.

Dziękuję za kolejną wiadomość, Liso. Jak zawsze mam nadzieję, że dobrze się miewasz. U Quincy również wszystko w porządku, więc Twoje pytania na temat tego, co się stało w Pine Cottage, są dla mnie wielkim zaskoczeniem. Niemniej jestem Ci wdzięczny za to, że nie zwróciłaś się z nimi bezpośrednio do Quincy, i mam nadzieję, że podobną dyskrecję zachowasz również w przyszłości. Mogę tylko powtórzyć to, co mówię zawsze: Quincy Carpenter przeżyła straszne doświadczenie, o czym sama dobrze wiesz i co z pewnością doskonale rozumiesz. Ocalała. Tak samo jak Ty. Jestem głęboko przekonany, że mówi prawdę, twierdząc, że niewiele z tamtej nocy pamięta. Jako psycholożka dziecięca właśnie Ty wiesz najlepiej, że syndrom wyparcia to realna jednostka chorobowa. Zważywszy na to, co spotkało Quincy, nie dziwię się, że jej umysł nie chce pamiętać.

Franklin Cooper

PS Nie powiem Nancy, co robisz. Na pewno nie byłaby tym zachwycona.

W pierwszej chwili czuję rozczarowanie faktem, że Coop nie raczył mi powiedzieć, że Lisa niedawno się z nim kontaktowała. Wydaje mi się, że powinnam o tym wiedzieć, zwłaszcza w obliczu jej morderstwa. Mięknę jednak, gdy po raz drugi czytam, jak gorąco mnie bronił. Cały Coop. Stanowczy, uprzejmy, niezdradzający własnych emocji. Nagle uświadamiam sobie, dlaczego nic mi nie powiedział: nie chciał mnie martwić.

Zaskoczenie mailem Coopa okazuje się jednak niczym w porównaniu ze wstrząsem, jakiego doznaję na widok listu, który znajduję pod nim.

Dzień dobry, Liso! Dziękuję, że skontaktowałaś się ze mną, zamiast pisać bezpośrednio do Quincy. Masz rację. Lepiej, jeśli zachowamy to w sekrecie. Nie ma sensu jej denerwować. Niestety chyba nie będę w stanie Ci pomóc. Nie jesteśmy już z Quincy tak blisko jak kiedyś, ale cóż, taka kolej rzeczy! Wiecznie w biegu! Na wypadek gdybyś chciała porozmawiać, podaję Ci mój numer telefonu. Zadzwoń, gdy będziesz mogła.

Sheila

Ta wiadomość przyprawia mnie o taki szok, że w pierwszej chwili powątpiewam w jej realność. Przymykam powieki, spodziewając się, że zniknie, kiedy je podniosę. Ale ona wciąż jest tam, gdzie była: czarne słowa na śnieżnobiałej kartce.

A to suka.

Wściekła wyskakuję z auta i staję na poboczu drogi. U swych stóp widzę okruchy szkła. Pewnie to jakaś rozbita butelka, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to kieliszek, który zginął z domu Lisy. Wyrzucony przez okno pędzącego samochodu przez kierowcę wciąż na adrenalinowym haju po dokonanych zabójstwie.

Wygrzebuję z kieszeni zapalniczkę i przytykam ją do dolnego rogu teczki. Muszę pstryknąć kilka razy, zanim to tanie badziewie wreszcie błysnie płomieniem. Nic dziwnego, że sprzedawca pozwolił mi ją ukraść. Pewnie i tak rozdają je za darmo.

Tektura tli się przez chwilę, zanim ogień wgryza się w nią na dobre. Wkrótce potem płomień pełźnie coraz wyżej, wzdłuż boku teczki. Rzucam ją na ziemię, gdy grozi mi oparzenie dłoni. Języki ognia migoczą w powietrzu. Przejeżdżająca obok ciężarówka ryczy klaksonem, ale nie zwalnia. Teczka dopala się na ziemi, aż zostaje z niej tylko popiół, który porywa pęd powietrza wzniesiony przez mknące drogą pojazdy.

Gdy mam już pewność, że każda kartka została zniszczona, wyciągam z uchwytu na kubek butelkę wody i polewam spalone szczątki, a resztki płomieni giną wśród syku i dymu.

Dowody zniszczone. To nie było trudne.

W przeciwieństwie do tego, co muszę zrobić teraz.

Wsiadam do samochodu i znów włączam się w ruch na autostradzie międzystanowej numer sześćdziesiąt pięć, kierując się na północ. Jedną ręką trzymam kierownicę, a drugą wybieram numer w komórce, po czym włączam tryb głośnomówiący i odkładam aparat na fotel pasażera. Dźwięk połączenia rozlega się głośno we wnętrzu auta, przypominając mi o telefonach z okazji Dnia Matki, kiedy z poczuciem winy liczę kolejne sygnały, mając cichą nadzieję, że nikt nie odbierze. Dzisiaj ktoś jednak odbiera.

– Quincy? – odzywa się moja matka, wyraźnie zaszokowana faktem, że do niej dzwonię. – Czy coś się stało?

– Tak – odpowiadam. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że skontaktowała się z tobą Lisa Milner?



31

W telefonie zalega cisza. Trwa wystarczająco długo, żebym zdążyła pomyśleć, że matka się rozłączyła. Mijają sekundy, a ja nie słyszę niczego poza świstem powietrza za oknami samochodu. W końcu jednak się odzywa. Jej głos brzmi nijako, bezbarwnie – słuchowy odpowiednik roztopionych lodów waniliowych.

– Co za dziwne pytanie, Quincy.

Prycham ze złością.

– Widziałam twojego maila, mamó. Wiem, że podałaś jej swój numer telefonu. Zadzwoiła?

Kolejna chwila milczenia. W telefonie słychać trzaski zakłóceń, a potem matka mówi:

– Wiedziałam, że będziesz zła, jeśli się dowiesz.

– Kiedy rozmawialiście? – pytam.

– Och, nie wiem.

– Wiesz, mamó. Więc mów.

Znowu milczenie. I znowu trzaski.

– Jakieś dwa tygodnie temu – odpowiada matka.

– Czy Lisa mówiła, dlaczego tak nagle się mną zainteresowała?

– Powiedziała, że się martwi.

Przeszywa mnie dreszcz.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To niezwykle istotne. Bardzo Cię proszę, nie zignoruj tej wiadomości”.

– Przeze mnie? Czy o mnie?

– Tego nie powiedziała.

– Więc o czym rozmawialiście?

– Lisa pytała, jak sobie radzisz. Odparłam, że znakomicie. Wspomniałam o twoim blogu, ładnym mieszkaniu i Jeffie.

– Mówiła coś jeszcze?

– Pytała... – Urywa, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym ciągnie: – Pytała, czy odzyskałaś jakieś wspomnienia. Z tamtej nocy.

Znowu przenika mnie zimny dreszcz. Zwiększam ogrzewanie, licząc, że to pomoże.

– Po co chciała to wiedzieć?

– Nie wiem.

– I co jej powiedziałaś?

– Prawdę. Że nic nie pamiętasz.

Tyle że to nie jest prawda. Już nie. Coś sobie przypomniałam. Jakbym zerknęła przez dziurkę od klucza i ujrzała urywek tamtej nocy.

Biorę głęboki wdech, wciągając w płuca zakurzone gorące powietrze wydmuchiwane z nawiewów klimatyzacji. Nie robi mi się cieplej. Za to wysycha mi gardło i zaczynam w nim czuć lekkie drapanie.

– Czy Lisa wspominała, po co jej ta informacja? – pytam ochrypłym głosem.

– Powiedziała, że ostatnio o tobie myślała. I że chciała sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Więc dlaczego nie zadzwoniła do mnie?

Skontaktowała się z Cole'em, Freemontem, Coopem i moją matką. Ze wszystkimi poza mną. A kiedy wreszcie napisała i do mnie, było już za późno.

– Nie wiem, Quincy – odpowiada matka. – Przypuszczam, że nie chciała cię niepokoić. Albo...

I znowu pauza. Tym razem dłuższa. Tak długa, że czuję całą dzielącą nas odległość. Wszystkie te pola, miasta i miasteczka ciągnące się między autostradą w Indianie a jej bieluteńkim domem w hrabstwie Bucks.

– Mamo? – przynaglę ją. – Albo co?

– Pomyślałam, że może Lisa obawiała się, że nie będziesz z nią szczerą.

– Ale nie powiedziała tego wprost?

– Nie. Nic w tym rodzaju. Po prostu odniosłam wrażenie... być może mylne... że ona coś wie. Albo coś podejrzewa.

– W związku z czym?

Ścisza głos.

– Z tym, co się stało tamtej nocy.

Wiercę się na fotelu kierowcy, bo nagle oblewa mnie nieznośne gorąco. Na czole pojawiają się krople potu. Ocieram je i wyłączam ogrzewanie.

– A skąd ci się wzięło to wrażenie?

– Kilka razy podkreśliła, jak wielkie miałaś szczęście. Że tak szybko doszłaś do siebie. I że twoje rany nie były aż tak poważne. Szczególnie w porównaniu z tym, co spotkało innych.

To najdłuższa wypowiedź mojej matki o Pine Cottage w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Cztery nędzne zdania. Może uznałabym je za coś w rodzaju dziwnego przełomu, gdyby sytuacja nie była tak dramatyczna.

– Mamo – pytam – czy Lisa sugerowała, że miałam coś wspólnego z tym, co zaszło w Pine Cottage?

– Ona niczego nie sugerowała...

– W takim razie dlaczego sądzisz, że coś podejrzewała?

– Nie wiem, Quincy.

Ale ja wiem. Dlatego że ona sama też coś podejrzewa. Nie to, że pozabijałam pozostałych. Niemniej jestem pewna, że podobnie jak Cole i Freemont zastanawia się, dlaczego przeżyłam, kiedy wszyscy inni zginęli. W głębi duszy uważa, że coś ukrywam.

Pamiętam, jak na mnie spojrzała, kiedy przed laty zdemolowałam kuchnię. Oczy pociemniały jej z bólu, a w źrenicach mignął autentyczny lęk. Chciałabym móc zapomnieć to spojrzenie. Wymazać je tak gruntownie jak tamtą godzinę w Pine Cottage. Pogrzebać je w niepamięci na zawsze.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Próbowałam – odpowiada z nieco przesadnie udawanym oburzeniem.

– Wydzwaniałam do ciebie przez dwa dni z rzędu. Nie oddzwoniłaś.

– Rozmawiałaś z Lisą dwa tygodnie temu – mówię. – Trzeba było zadzwonić od razu.

– Chciałam cię chronić. To mój matczyzny obowiązek.

– Nie przed czymś takim.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa – zapewnia mnie. – Zawsze tego chciałam, Quincy. Żebyś była szczęśliwa, zadowolona i normalna.

W tym ostatnim słowie zawierają się wszystkie nadzieje mojej matki i wszystkie moje porażki. Działa niczym potężny granat wrzucony w sam środek rozmowy. Tyle że to ja eksploduję.

– Nie jestem normalna, mamó! – wrzeszczę, a moje słowa odbijają się z impetem od przedniej szyby samochodu. – Po tym, co mnie spotkało, nie ma szans, żebym kiedykolwiek była normalna!

– Ale ty przecież jesteś normalna! – woła moja matka. – Miałaś problem, ale zajęłyśmy się nim i teraz wszystko jest w porządku.

W kącikach oczu palą mnie łzy. Siłą woli staram się nad nimi zapanować, ale na próżno – już ciekną mi po policzkach.

– Wcale nie jest w porządku – wykrztuszam. – Ani trochę.

Ton matki mięknie. W jej głosie pojawia się coś, czego nie słyszałam od lat – troska.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś, Quincy?

– Miałam ci to mówić? – pryham. – Sama powinnaś była zauważyć, że coś jest nie tak.

– Wydawałaś się normalna.

– Bo to na mnie wymusiłaś, mamó. Faszrowałaś mnie lekami i zakazałaś mówić o tym, co się stało. To wszystko twoja wina. Przez ciebie jestem...

Sama nie wiem jaka.

Popaprana jak diabli, to na pewno.

Mogłabym wyrecytować matce całą listę dowodów na to, że zawiódłam jako człowiek. Prawdopodobnie wpakowałam się w kłopoty z prawem. Być może ukrywam morderczynię Lisy w mieszkaniu, na które było mnie stać,

ponieważ moi przyjaciele zostali bestialsko zamordowani. Jestem uzależniona od xanaxu. I wina. Udaję, że nie czuję się przygnębiona. Ani wściekła. Ani samotna. A przecież poczucie nieznośnego osamotnienia ogarnia mnie czasem nawet wtedy, gdy jestem z Jeffem.

Co gorsza, ta świadomość nigdy by do mnie nie dotarła, gdyby w moje życie nie wtargnęła Sam. Oczywiście nie obeszło się bez kilku szturchańców z jej strony. Tych wszystkich testów i wyzwania, które skłaniały mnie do ciągłego odkrywania czegoś o sobie i przywoływania drobnych szczegółów tego, co tak skwapliwie zapomniałam.

I nagle prawda wali mnie obuchem w głowę. Jestem jak uderzony młotkiem gwóźdź – uległa, rozedrgana, coraz bardziej grzęznąca w czymś, z czego nie da się wyrwać.

– Mamo, jak brzmiała Lisa, kiedy rozmawiałaś z nią przez telefon?

– Co masz na myśli? Brzmiała tak, jak się spodziewałam.

– Ale konkretnie – upieram się. – Jaki miała głos? Ochrypli? Szorstki?

– Naprawdę nie zwróciłam na to uwagi. – Matka jest wyraźnie stropiona. Wyobrażam sobie, jak wpatruje się w telefon oszołomionym wzrokiem. – To ty z nią kiedyś rozmawiałaś. Ja nigdy wcześniej nie słyszałam jej głosu i nie wiem, jak powinien brzmieć.

– Proszę, mamo. Może coś jednak zauważyłaś?

Matka po raz ostatni pogrąża się w milczeniu. Zaciskam palce na kierownicy w nadziei, że jednak coś sobie przypomni. I choć w przeszłości Sheila Carpenter zawiodła mnie wielokrotnie, tym razem staje na wysokości zadania.

– Robiła dużo przerw – mówi, nie dostrzegając zawartej w tym stwierdzeniu ironii. – Na zmianę mówiła i milkła. A podczas każdej z tych przerw słyszałam niewyraźny wydech.

– Jakby westchnienie?

– Jeszcze cichszy.

To mi wystarczy. W zasadzie wiem już wszystko.

– Mamo, muszę kończyć.

– Dasz sobie radę? – pyta. – Obiecuj, że będziesz na siebie uważała.

– Będę. Obiecuję.

– Mam nadzieję, że ci pomogłam, choć nadal nie wiem, o co chodzi.

– Tak, mamo – odpowiadam. – Dziękuję. Pomogłaś mi bardziej, niż możesz przypuszczać.

Bo teraz już wiem na pewno, czym były te przerwy, które słyszała w słuchawce moja matka. Jej rozmówczyni wcale nie wzdychała. Ona paliła papierosa.

A to znaczy, że mama nie rozmawiała z Lisą.

Tylko z Sam.

Ciekawską, wścibską Sam. Która wie więcej, niż się przyznaje. I to od samego początku. To dlatego wyskoczyła jak diabeł z pudełka. Nie chodziło jej o spotkanie ze mną. Ani o pieniądze.

Ona usiłuje dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co zaszło w Pine Cottage.

I na ile ja jestem za to odpowiedzialna.

Rozłączam się i opuszczam szybę, żeby poczuć na twarzy uderzenie rzeńskiego powietrza Środkowego Zachodu. Mocniej ściskam kierownicę i dodaję gazu. Patrzę, jak wskazówka prędkościomierza pełznie wyżej, mija sto dziesięć kilometrów na godzinę, potem sto dwadzieścia i zbliża się do stu trzydziestu.

Pędzę coraz szybciej, ale nic to nie daje. Wciąż czuję się jak mucha szamocząca się w misternie utkanej przez Sam pajęczynie. Dociera do

mnie, że aby się uwolnić, mam tylko dwa możliwe wyjścia: ucieczkę lub walkę.

I wiem, którą opcję muszę wybrać.

Wróciwszy do hotelu, zmieniam swoją rezerwację. O dwudziestej odlatuje samolot z Chicago do Nowego Jorku i zamierzam znaleźć się na jego pokładzie. Oczywiście Jeff nie może pojąć, dlaczego tak nagle postanawiam wracać. Zasypuje mnie pytaniami, kiedy upycham swoje ciuchy do walizki. Na każde odpowiadam dwojako – na głos kłamię, a w duchu mówię prawdę.

– Czy ten pośpiech ma coś wspólnego z Sam?

– Nie.

Jasne, że tak.

– Quincy, czy ona zrobiła co złego?

– Jeszcze nie.

Owszem, zrobiła coś strasznego. Obie zrobiłyśmy.

– Nie rozumiem. Dlaczego lecisz natychmiast?

– Bo muszę wrócić jak najszybciej.

Bo Sam wie o mnie różne rzeczy. Straszne rzeczy. Tak jak ja wiem różne straszne rzeczy o niej. I teraz muszę pozbyć się jej ze swojego życia na dobre.

– Wolałabyś, żebym wrócił z tobą?

– Kochany jesteś, ale nie. Masz tu jeszcze sporo do zrobienia.

Nie możesz ze mną wrócić, Jeff. Bo cię okłamałam. W wielu sprawach. I jeżeli to wyjdzie na jaw, nie będziesz chciał mieć ze mną nic do czynienia. Kiedy kończę się pakować i ruszam do drzwi, Jeff obejmuje mnie i zamyka

w mocnym uścisku. Chciałabym przedłużyć tę chwilę, pozostać w jego kojących objęciach. Ale nie mogę. Nie dopóki Sam jest w moim życiu.

– Wszystko dobrze? – pyta.

– Tak – odpowiadam.

Nie. Wbrew temu, co może ci się wydawać, nic nigdy nie będzie dobrze.

Samolot jest mały i prawie pusty. To połączenie na pewno nie przynosi zysku, a istnieje tylko po to, by umożliwić przewoźnikowi obsługiwanie bardziej dochodowych porannych lotów na lotnisku JFK. Cały rząd mam dla siebie, więc zaraz po starcie wyciągam się wygodnie na pustych fotelach. Ze wszystkich sił staram się nie myśleć o Sam. Nic z tego. Nie potrafię opędzić się od podejrzeń, które podstępnie wpełzają do mojej głowy niczym stado pajaków. Wyobrażam sobie, jak wrzuca pigułki do kieliszka, a kiedy Lisa powoli sączy wino, przygląda się jej i czeka, aż środek nasenny zacznie działać. Widzę, jak nożem przecina nadgarstki Lisy, a potem, obgryzając paznokcie, patrzy, jak z jej ofiary uchodzi życie.

Czy byłaby zdolna do takiej zbrodni?

Być może.

Pytanie brzmi: po co miałyby ją popełnić?

Odpowiedź: ponieważ szukała informacji o mnie. Mogła nakłonić do pomocy Lisę, którą jednak po pewnym czasie opadły wątpliwości i wycofała się ze współpracy, grożąc Sam, że wyrzuci ją z domu. Teraz ja muszę zrobić to samo. Modlę się tylko, żeby skutek był inny.

Jakimś cudem udaje mi się przespać większą część lotu, choć nawet we śnie nie czuję ulgi. Widzę w nim Sam – siedzi sztywno na kanapie w moim salonie, ja zaś zajmuję miejsce w fotelu naprzeciwko.

„Zabiłaś Lisę Milner?”, pytam.

„Zabiłaś wszystkich w Pine Cottage?”, odpowiada pytaniem.

„Unikasz odpowiedzi”.

„Ty też”.

„A ty uważasz, że ich zabiłam?”

Sam posyła mi uśmiech. Mocna czerwień szminki na jej ustach sprawia, że wydają się umazane krwią.

„Jesteś wojowniczką. Zrobisz wszystko, żeby przetrwać. Tak jak ja”.

Stewardesa wyrywa mnie ze snu, gdy samolot zaczyna podchodzić do lądowania w Nowym Jorku. Podnoszę się z pozycji leżącej i siadam prosto w fotelu, otrząsając się z resztek snu. Wyglądam przez okno; nocne niebo i zapalone w kabinie światła zmieniają je w owalne lustro. Z trudem rozpoznaję wyzierające z niego moje własne odbicie. Sama już nie pamiętam, kiedy zrobiłam to z łatwością.



PINE COTTAGE

22:14

Craig nie tracił czasu i zaraz za progiem sypialni ściągnął spodnie. Quincy zauważyła to dopiero, kiedy już na niej leżał i całował ją z pijackim zapałem, jednocześnie zadzierając jej sukienkę i ocierając się o wewnętrzną stronę jej ud. Kiedy dotknął piersi, położyła swoje dłonie na jego i skinieniem głowy wyraziła zgodę.

Była na to gotowa. Janelle ją przygotowała. Wiedziała, czego się spodziewać. Była niczym westalka, dziewicza kapłanka w służbie ołtarza, czekająca całą wieczność na spełnienie.

Ale wtedy oddech Craiga stał się nierówny i ciężki, a jego ruchy szorstkie, brutalne nawet wskutek nadużycia alkoholu i trawki. Kiedy wepchnął kolana między jej nogi i napał, by je rozszerzyć, całe ciało Quincy nagle zeszywniało.

– Zaczekaj – wymamrotała.

– Odpręż się – mruknął Craig, wciskając twarz w jej szyję, wpijając się w skórę wygłodniałymi ustami.

– Staram się.

– Postaraj się bardziej.

Jeszcze raz spróbował rozszerzyć jej nogi kolanami, ale Quincy wciąż kurczowo je zaciskała, aż drżały jej mięśnie.

– Przestań.

Craig uciszył ją, przyciskając wargi do jej ust i wpychając w nie język. Przyparł ją swoim ciężarem do łóżka i dyszał nad nią jak byk, nie przestając napierać na zaciśnięte uda. Quincy poczuła, że się dusi. Dłonie Craiga przeniosły się z jej piersi na kolana i uparcie próbowały je rozewrzeć.

– Przestań! – powtórzyła Quincy, tym razem z większą mocą. – Nie żartuję! – Odepchnęła go i wysunęła się spod jego ciała, a potem oparła się plecami o zagłówek łóżka. Craig uśmiechał się jeszcze przez kilka sekund, po czym spochmurniał, kiedy dotarł do niego sens tego, co się stało.

– Myślałem, że się dogadaliśmy – powiedział.

– Owszem.

– To w czym problem?

Quincy nie wiedziała, czy w ogóle jest jakiś problem. Jej ciało pulsowało pożądaniem, pragnęła Craiga, chciała czuć go przy sobie, na sobie, w sobie. A jednak coś jej mówiło, że to nie musi tak wyglądać. Że robią to zbyt pospiesznie i obcesowo, jakby się stosowali do jednej z tych głupich zasad Janelle.

– Chcę, żeby mój pierwszy raz był wyjątkowy.

Myślała, że Craig ją zrozumie. Że pojmie, ile to naprawdę dla niej znaczy. Ale on powiedział tylko:

– A nie jest? Ja miałem gorszy.

Jego słowa potwierdziły to, co Quincy zawsze podejrzewała, chociaż wolała nie pytać. To nie był pierwszy raz Craiga. On już swój przeżył. To odkrycie zabolowało ją jak zdrada – niezbyt mocno, ale jednak dotkliwie.

– Myślałem, że wiesz – powiedział Craig, jakby czytał jej w myślach.

– Po prostu założyłam, że ty też jeszcze nigdy...

– Nie twierdziłem, że jestem prawiczkim. Przykro mi, jeśli tak pomyślałaś, ale to nie moja wina.

– Wiem – powiedziała Quincy.

Zastanawiała się, ile innych dziewczyn znalazło się z nim w takiej samej sytuacji i czy wszystkie po prostu uległy presji. Miała nadzieję, że chociaż jedna z nich mu się oparła. Że ona nie okaże się jedyna.

– Nie okłamałem cię, Quincy. Więc jeśli chcesz się teraz wycofać, to wymyśl sobie lepszą wymówkę.

– Ale ja wcale się nie wycofuję – odparła Quincy, zła na siebie za brak konsekwencji. – Po prostu myślałam...

– Że będą świece, kwiaty i nastrój?

– Że to będzie coś znaczyło – wyjaśniła. – Czy ja nic dla ciebie nie znaczę?

Craig zsunął się z łóżka, nagle zawstydzony. Rozglądał się za swoimi spodniami, jednocześnie naciągając dół koszuli na krocze. Ten gest mówił właściwie wszystko. Mimo to wyciągnęła ku niemu rękę, próbując przywołać go z powrotem do łóżka, zanim się całkiem ubierze.

– Nie musimy robić z tego problemu – powiedziała. – Nadal chcę spędzić tę noc z tobą. Kto wie, co się jeszcze wydarzy.

Jej wysiłki nie zdały się na nic. Craig znalazł spodnie na podłodze przy łóżku i zaczął wpychać nogi w nogawki.

- Nic się nie wydarzy. Dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia.
- Proszę, wróć do łóżka. Muszę się tylko trochę zastanowić.
- No to się zastanawiaj. – Craig zapiął rozporek i ruszył do wyjścia. –

Ja mam dość.

Z tymi słowy zniknął za drzwiami i wrócił na trwającą w najlepsze imprezę, pozostawiając Quincy samą, zwiniętą w kłębek na łóżku. Wielkie łązy kapały na pożyczoną białą sukienkę i wsiąkały w jedwab, pokrywając go ciemnymi plamami.



32

Docieram do domu po północy. Mimo drzemki w samolocie nie czuję się wypoczęta, a raczej ospała i osłabiona. Trzęsą mi się ręce, kiedy przekręcam klucz – trochę z wyczerpania, a trochę z niepewności. Nie wiem, co zastanę w mieszkaniu. Wyobrażam sobie, że jest ogołoczone ze wszystkiego, co posiadamy, a na podłodze leży mój postdatowany czek. Ale nawet to byłoby lepsze niż Sam czyhająca na mnie w ciemnym przedpokoju z uniesionym nożem.

Rzucam bagaż tuż za progiem, żeby mieć wolne ręce, na wypadek gdybym musiała się bronić. Ale Sam nie wyskakuje na mnie z nożem w garści. Ani nie wita mnie kieliszkiem wina zaprawionego środkiem nasennym. Jeden rzut oka wystarczy, aby potwierdzić, że wszystko jest

takie, jakie zostawiłam. W mieszkaniu panuje półmrok i najwyraźniej nikogo w nim nie ma. Sprawia wrażenie opuszczonego, jak gdyby ktoś ledwo co je porzucił i echo jego obecności wciąż unosiło się w powietrzu niczym drobinki kurzu.

– Sam? To ja.

Z bijącym sercem czekam na odpowiedź, która nie nadchodzi.

– Postanowiłam wrócić wcześniej – wołam z budzącą się w piersi nadzieją. – Złapałam nocny lot.

Obchodzę mieszkanie, zapalając wszystkie światła. W kuchni, jadalni, salonie. Żadnych śladów rabunku. Ani śladu Sam.

Odeszła. Jestem tego pewna. Wyjechała z miasta, jak na to liczyłam. Zabrała swoje sekrety ze sobą i zostawiła mnie z moimi. Przetrzęsłam torebkę w poszukiwaniu telefonu. Zaraz po wylądowaniu wysłałam Jeffowi wiadomość, że doleciałam bezpiecznie i zadzwonię do niego, jak tylko dotrę do domu. No i dotarłam. Stoję w korytarzu z komórką w ręku i już prawie wciskam „zadzwoń”.

Nagle dostrzegam, że drzwi do pokoju gościnnego są nadal zamknięte. Sączy się spod nich światło, które pada na moje buty, kiedy podchodzę bliżej. Z wnętrza dobiega stłumiona muzyka.

Serce zamiera mi w piersi.

Sam wciąż tu jest.

– Sam?

Ujmuję gałkę. Przekręca się łatwo, drzwi nie są zamknięte na klucz. Bez dalszego wahania otwieram je i zaglądam do środka.

Pokój zalewa krwisto-złocisty blask. Czerwone światło bije z lampki na nocnym stoliku, a kilka stojących obok niej świec roztacza wokół złotą poświatę. Muzyka płynie ze starego odtwarzacza CD wygrzebanego ze schowka. Peggy Lee śpiewa uwodzicielskim, przydymionym głosem *Fever*.

W miękkim półmroku dostrzegam sylwetkę siedzącej na krawędzi łóżka Sam. Przynajmniej wydaje mi się, że to ona. Wygląda tak inaczej niż zwykle, że z trudem ją rozpoznaję. Sukienka, którą ma na sobie, w niczym nie przypomina tej czarnej paskudy, w której ujrzałam ją po raz pierwszy. Ta jest czerwona z krótkimi, kimonowymi rękawkami, rozszerzanym dołem i kusząco głębokim dekoltem. Na nogach ma odpowiednio dobrane buty. Upięte do góry włosy odsłaniają jej bladą szyję.

Nie jest sama.

Obok niej siedzi mężczyzna w nienagannie odprasowanej czarnej koszulce polo i spodniach khaki. Z jego rozpoznaniem nie mam żadnego problemu.

Coop.

Dłonią obejmuje szyję Sam, pieści jasną skórę tuż pod jej podbródkiem. Ona też go dotyka – palcem wskazującym sunie wzdłuż wypukłości jego lewego bicepsa. Nachyleni ku sobie, już prawie stykają się ustami.

– Co...?!

Co tu się, kurwa, dzieje?!

Właśnie to chcę wykrzyknąć, ale udaje mi się wykrztusić tylko pierwsze słowo. Sam opuszcza rękę, którą muskała ramię Coopa, on za to siedzi jak sparaliżowany, wciąż z dłonią na jej szyi. Nie widziałam go w takim szoku od naszego pierwszego spotkania niedaleko Pine Cottage. Na twarzy ma ten sam grymas co tamtej nocy. Może tylko nie aż tak skamieniały i wstrząśnięty jak wtedy. Ale jednak. Lekko rozmyta kopia oryginału.

– Quincy – wyjąkuje. – Tak mi...

– Wynoś się.

Wstaje niezgrabnie i robi krok w moją stronę.

– Mogę to wyjaśnić.

– Wynoś się – powtarzam, cedząc słowa.

– Ale...

– Wynocha!

I nagle rzucam się na niego, jedną ręką drapiąc go po twarzy, a drugą wymierzając mu serię policzków. Wkrótce obie dłonie zaciskają się w pięści i młóca na oślep, nie dbając o to, w co trafiają, o ile trafiają w cokolwiek. Okładam go raz za razem, a Coop tylko stoi, pokornie przyjmując ciosy. Potem do akcji wkracza Sam. Spada na mnie jak czerwona błyskawica i niemal przypiera mnie do ściany.

– Idź! – syczy do Coopa.

On przystaje w drzwiach i przez chwilę przygląda się, jak się miotam i wyję, z coraz większą siłą uderzając głową o ścianę.

– No wypierdalaj już! – wrzeszczy Sam.

Tym razem Coop posłusznie czmycha z pokoju, a ja osuwam się na podłogę, szlochając. Z bólu aż zginam się wpół i obiema rękami obejmuję brzuch. Czuję się tak, jakby ostry nóż wbijał się w moje trzewia, raniąc mnie raz po raz.



PINE COTTAGE

22:56

Kiedy Quincy wypłakała już wszystkie łzy, opuściła pokój w poszukiwaniu Janelle. Potrzebowała tej kombinacji uszczypliwości i współczucia, którą mogła jej zapewnić tylko ona. Pod pewnymi względami Janelle była jak papier ścierny: potrafiła zarówno zadawać rany, jak i je koić.

W salonie ujrzała Ramdy – nierozłączna parka trwała spleciona w ciasnym uścisku na jednym z foteli. Amy siedziała na kolanach Rodneya, obejmując go swoim gibkim ramieniem za szyję i namiętnie go całując. Przypominali Quincy pływaków, którzy łapczywie chwytają powietrze ustami.

– Gdzie jest Janelle?

Żeńska połowa miłosnego tandemu, nagle wyrwana ze zmysłowego zapamiętania, złapała oddech i łypnęła niechętnie na przyczynę rozproszenia.

– Co?

– Janelle. Widzieliście ją?

Amy pokręciła głową i na nowo zanurzyła się w błogostanie.

Quincy wyszła zatem na taras, który zaskrzypiał jej pod stopami. Noc była bezchmurna, a księżyc w pełni barwił drzewa bladą poświatą. Zatrzymała się na schodkach tarasu i nasłuchiwała odgłosów, które pomogłyby jej namierzyć Janelle. Na przykład kroków na trawie. Albo gardłowego śmiechu, tak charakterystycznego, że rozpoznałaby go nawet w głośnym tłumie. Nie usłyszała niczego oprócz trzepotu ptasich skrzydeł wśród drzew i posępnego pohukiwania sowy w oddali.

Zamiast wrócić do chaty, Quincy ruszyła dalej, w stronę lasu, który zdawał się ją przyciągać. Po chwili znalazła się na tej samej ścieżce, którą szli wcześniej – liście wciąż były udeptane. Dopiero kiedy teren zaczął się wznosić, Quincy pomyślała, że powinna zawrócić. Ale wtedy było już za późno. Czowała, że musi iść dalej, choć sama właściwie nie wiedziała po co. Może to było przecucie. Instynkt. A może nawet pewność, której nagły przyływ sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach.

Zbliżając się do szczytu wzniesienia, ujrzała wyłaniający się z mroku wielki głaz. Tak wielki, że w zwartym baldachimie koron otaczających go drzew powstała wyrwa przypominająca dziurę w parasolu. Lejący się przez nią księżycowy blask padał na dwie leżące na głazie osoby.

Jedną z nich była Janelle.

Drugą był Craig.

Leżał na plecach, bez koszuli, którą zwinął w kłębek i podłożył sobie pod głowę jako prowizoryczną poduszkę. Spuszczone do kostek spodnie

pętały mu nogi niczym kajdany. Janelle siedziała na nim okrakiem i ochoczo go ujeżdżała. Dół jej sukienki na przemian unosił się i opadał w rytmie kolejnych ruchów – niczym seria tekstylnych przypływów i odpływów zakrywających i odsłaniających jego nagie uda. Opuszczona góra sukienki obnażała piersi Janelle, tak blade, że wręcz same jaśniały w księżycowej poświacie.

– Tak! – jęczała Janelle, a każde słowo niczym westchnienie rozwiewało się w nocnym powietrzu. – Tak, tak, tak!

Gniew i uraza ścisnęły żołądek Quincy, jakby czyjaś dłoń oplotła jej wnętrzności i zginała je, zwijając się w pięść.

A jednak nie była w stanie odwrócić wzroku. Widok Janelle jęczącej i prężącej się – raczej desperacko niż namiętnie – był zbyt piękny, chociaż bolesny i groteskowy.

Nagle z piersi Quincy wyrwał się szloch i szybko zakryła dłonią usta, aby go zdławić. Choć tak naprawdę miała gdzieś, czy ją usłyszą. Choć chciało jej się wyc wniebogłosy, aby żalonym lamentem obwieścić swój ból.

Ale wtedy ta pięść w jej wnętrzu zacisnęła się jeszcze mocniej, potęgując przepełniające ją gniew i udrękę. Quincy odwróciła się i ruszyła przez las w stronę chaty, czując, jak wzbierają w niej świeże łzy w miejsce tych wypłakanych. Zbiegała w dół zbocza, a jęki Janelle wciąż odbijały się echem w jej uszach niczym drwiące skrzeczenie jakiegoś ptaszyska.

„Tak, tak, tak!”



33

– **Dlaczego? – pytam, wciąż na podłodze.**

Ignorując mnie, Sam przechodzi przez pokój, żeby wyłączyć odtwarzacz CD. Potem pochyla się nad swoim plecakiem, z którego wyjmuje czarne dzinsy i zaczyna je wkładać pod czerwoną sukienkę.

– Dlaczego?

– Bo tak należało zrobić – mówi Sam.

– Nieprawda – protestuję, podnosząc się na kolana. – Tylko tak ci się wydawało.

Bo wiedziała, jak bardzo będę zraniona, kiedy się o tym dowiem. I nie mam wątpliwości, że zamierzała tego dopilnować. To był po prostu kolejny sposób, by mnie podjudzić, obudzić, rozwścieczyć.

Próbuję wstać, przytrzymując się kurczowo ściany. Opieram się o nią, wciąż na miękkich nogach, i wbijam wzrok w Sam, która zdążyła już zdjąć sukienkę i teraz wciąga przez głowę T-shirt Sex Pistols. Potem siada na łóżku i zmienia szpilki typu „przeleć mnie” na swoje glany.

– Jesteś chora – mówię do niej. – Wiesz o tym? Nie potrafisz znieść myśli, że któraś z nas mogłaby prowadzić normalne życie. Że przynajmniej jedna mogłaby naprawdę być szczęśliwa.

Sam podchodzi do okna, otwiera je szarpnięciem i zapala papierosa.

– Przejrzałaś mnie, co? – mówi, wydmuchując dym.

– Właśnie. Pojawiłaś się tu i zobaczyłaś, że jestem normalna i zrównowazona, więc postanowiłaś to spieprzyć.

– Zrównowazona? Posłałaś kolesia do szpitala, mała. Do dzisiaj leży w śpiączce.

– Przez ciebie! Ty tego chciałaś!

– Tak sobie mów, Quinn. Jeśli to kłamstwo pomaga ci siebie znieść, to się go trzymaj.

Odwracam wzrok. Już sama nie wiem, czego się trzymać.

Odnoszę wrażenie, jakby grawitacja przestała działać i wszystko, co kiedyś było w moim życiu pewne i stabilne, teraz bezładnie fruwało w powietrzu poza moim zasięgiem.

– Dlaczego Coop? – pytam. – To Manhattan. Miałaś milion facetów do wyboru. Więc dlaczego on?

– Dla zabezpieczenia.

– Przed czym?

– Rano była tu znowu ta detektyw – mówi Sam. – Hernandez. Chciała z tobą rozmawiać. Powiedziała jej, że wyjechałaś, a ona na to, że jeszcze wróci i że nie powinnaś była opuszczać miasta.

Widocznie tak nagły wyjazd z chłopakiem prawnikiem uznała za podejrzany. A jakże.

– Nie wiedziałam, co robić – ciągnie Sam. – Więc zadzwoniłam do Coopa.

Gwałtownie wciągam powietrze i cała drętwieję.

– Chyba nie powiedziałaś mu o parku?

Sam przewraca oczami, wydychając dym.

– No co ty. Powiedziałaś, że powinniśmy się lepiej poznać. I żeby wdepnął, jak będzie mógł. No to wdepnął.

– A ty go uwiodłaś.

– Bez przesady – mówi Sam. – Był bardziej niż chętny.

– Więc dlaczego to zrobiłaś?

Sam wzdycha ze znużeniem. Wygląda na zmęczoną, pokonaną przez życie.

Zrezygnowaną.

– Bo myślałam, że to nam pomoże – odpowiada. – Zwłaszcza tobie. Jeśli policji uda się powiązać nas z tym pobiciem, to lepiej, żebyśmy miały kogoś po swojej stronie. Kogoś oprócz Jeffa.

– Gliniarza – zgaduję ponuro, bo zaczynam rozumieć. – Takiego, który obroni nas przed swoimi kolegami. I będzie za bardzo otumaniony emocjami, żeby zrobić to, co należy, i oddać nas w ręce policji. Nawet jeżeli zacznie coś podejrzewać.

– Bingo – mówi Sam. – I zdaje się, że wiesz, o czym mówisz.

– Nigdy nie przystawiałam się do Coopa.

Sam prycha, aż jej dym wylatuje nosem.

– I co z tego? Wykorzystujesz go tak czy inaczej. I to od lat. Esemesujesz do niego bez względu na porę. Zjawia się tu na każde twoje

zawołanie. A ty od czasu do czasu z nim flirtujesz, żeby się nie zniechęcił.

– Wcale tak nie jest – protestuję. – Nigdy bym go tak nie potraktowała.

– Robisz to ciągle, Quinn. Sama widziałam.

– Nie celowo.

– Serio? – udaje zdziwienie. – Chcesz powiedzieć, że ta wasza dziwna, pokręcona relacja nie ma nic wspólnego z tym, co się stało w Pine Cottage? I że nigdy nawet przez myśl ci nie przeszło, że owinęłaś go sobie wokół palca?

– Właśnie.

Sam gasi papierosa i zaraz zapala następnego.

– Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

– Więc pogadajmy o kłamstwach – podchwytyję natychmiast. Rozzłoszczona odrywam się od ściany i wyprostowuję. – Skłamałaś, że nigdy nie poznałaś Lisy. Poznałaś ją. Mieszkałaś w jej domu.

Sam zamiera na chwilę z papierosem w ustach i wciągniętymi policzkami. Kiedy w końcu rozchyła wargi, spomiędzy nich bucha kłęb siwego, gęstego jak mgła dymu.

– Zwariowałaś.

– To nie jest odpowiedź – upieram się. – Przyznaj przynajmniej, że tam byłaś.

– Niech będzie. Byłam.

– Kiedy?

– Parę tygodni temu – odpowiada. – Ale ty przecież już to wiesz.

– Po co tam pojechałaś? Lisa cię zaprosiła?

Sam kręci głową.

– Czyli po prostu się u niej zjawiałaś, tak samo jak u mnie?

– Tak – odpowiada. – A kiedy się przedstawiłam, uprzejmie się ze mną przywitała, w przeciwieństwie do ciebie.

– Jak długo u niej zostałeś?

– Coś koło tygodnia.

– I była zadowolona z twojej wizyty?

Głupie pytanie. Była zachwycona. To był sens jej życia – przygarniała młode kobiety w potrzebie i im pomagała. A Sam miała za sobą najgorszy koszmar z nich wszystkich.

– Tak – potwierdza Sam. – Na początku. Ale pod koniec tygodnia miała mnie dość.

Bez trudu dopowiadam sobie resztę. Sam zjawiła się u Lisy zniecka, z plecakiem pełnym butelek bourbona i z gadką szmatką o siostrzanym wsparciu. Lisa z radością oddała jej pokój gościnny. Ale Sam to nie wystarczyło. Zaczęła węszyć, wbijać szpile. Prawdopodobnie próbowała wytrącić Lisę z jej samozadowolenia. Obudzić jej gniew, wydobyć z niej wojowniczkę.

Lisa jej na to nie pozwoliła. W przeciwieństwie do mnie. Każda z nas zapłaciła inną cenę.

– Więc dlaczego mnie okłamałaś?

– Bo wiedziałam, że zaczniesz histeryzować. I nabierzesz podejrzeń.

– Jakich podejrzeń? – pytam. – Masz coś do ukrycia? Zabiłaś Lisę, Sam?

No i proszę. Wreszcie zadałam to pytanie, które dręczyło mnie od wielu dni. Sam kręci głową z politowaniem.

– Biedactwo. Ty jesteś bardziej porąbana, niż myślałam.

– Powiedz mi, że nie miałaś nic wspólnego z jej śmiercią – domagam się.

Sam rzuca papierosa na drewnianą podłogę i demonstracyjnie miażdży go czubkiem swojego glana.

– Nieważne, co powiem, i tak mi nie uwierzysz.

– Jak dotąd nie dawałaś mi po temu powodów – odgryzam się. – Więc dlaczego teraz nagle miałabym ci zaufać?

– Nie zabiłam Lisy – mówi Sam. – Chcesz, to wierz, nie, to nie. Mam to w dupie.

Z głębi mojej kieszeni dobiega charakterystyczne brzęknięcie. Esemes.

– To pewnie twój chłopak – rzuca Sam z wyraźnym niesmakiem. – Ciekawe który.

Sprawdzam telefon. Faktycznie, przyszedł esemes od Coopa.

„musimy pogadać”

Stojąca przy oknie Sam pyta:

– No i?

Nie odpowiadam, co samo w sobie wystarczy za odpowiedź. Gapię się w wyświetlacz, a serce zamiera mi na myśl, że mam ponownie zobaczyć się z Coopem. Nie tylko dzisiaj. W ogóle.

Z kolejnym papierosem wetkniętym między wargi Sam mamrocze:

– Biegnij do swojego szeryfa, Quincy Carpenter. Tylko pamiętaj, nie wychlap mu za dużo. Ja też znam twoje sekrety. A funkcjonariuszowi Cooperowi mogłyby się nie spodobać.

– Idź do diabła – warczę.

Sam zapala i z uśmiechem odpowiada:

– Już tam byłam, mała.



PINE COTTAGE

23:12

Gdy Quincy dobiegła do chaty, brakowało jej tchu, a płuca paliły ją żywym ogniem tak od wysiłku, jak i od nocnego powietrza. Mimo panującego chłodu skórę miała mokrą od potu, zimnego i lepkiego.

W chacie zastała ciszę i rozgardiasz. Wszędzie poniewierały się brudne naczynia i butelki z niedopitym alkoholem. Salon był opustoszały. Nawet kominek wygasł i tylko resztki ciepła oraz woń dymu drzewnego w powietrzu przypominały, że w ogóle płonął w nim ogień.

Spać. Tylko tego w tej chwili chciała. Zasnąć, a po przebudzeniu nie pamiętać niczego, co tam ujrzała. Mózg dałby radę to zrobić. Już teraz sugerował, że coś jej się pomieszało, że wcale nie widziała tego, co widziała. Może Janelle była tam z kimś innym. Na przykład z Joem. A może Quincy tylko się wydawało, że patrzy na Craiga leżącego na

plecach, z ekstatycznym grymasem na twarzy, wchodzącego w Janelle raz za razem.

Serce wiedziało jednak swoje.

Quincy otarła łzy i przekradła się przez korytarz, mijając pustą sypialnię Janelle. Drzwi naprzeciwko były zamknięte – widocznie Betz już spała w tym swoim okropnym piętrowym łóżku. Drzwi do pokoju Amy i Rodneya też były zamknięte, ale nie tłumiły dobiegających zza nich odgłosów: gwałtownego chlupotania łóżka wodnego i sporadycznych postękiwań Rodneya.

Quincy skrzywiła się do pokoju Craiga.

Pieprzyć go.

Teraz to był jej pokój.

Ale nie był pusty. Księżycowa poświata wyławiała z półmroku niewyraźną sylwetkę kogoś, kto leżał na łóżku z rękami pod głową. Zza brudnych szkieł okularów połyskiwały szeroko otwarte oczy.

– Nie wiedziałem, gdzie mam spać – odezwał się.

Quincy gapiła się na niego, zazdroszcząc mu spokoju i nieświadomości. Pociągnęła nosem i otarła łzę, nie pozwalając jej potoczyć się po twarzy.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Musisz stąd wyjść – powiedziała Quincy.

Usiadł. W jego na wpół przesłoniętych okularami oczach mignęła troska.

– Nie czujesz się dobrze.

– Co ty nie powiesz – mruknęła Quincy, przysiadając na łóżku. Pocięła kolejną łza. Tej nie zdołała powstrzymać.

– Widziałem, jak razem wychodzili – powiedział. – Poszli do lasu.

– Wiem.

– Przykro mi.

Dotknął jej ramienia. Zaskoczona tym gestem Quincy aż się wzdrygnęła.

– Proszę, idź już – wykrztusiła.

– On na ciebie nie zasługuje.

Kiedy dotknął jej ramienia po raz drugi, pozwoliła na to. Ośmielona dłoń ześliznęła się na jej talię.

Quincy nie zaprotestowała.

– Jesteś od niego lepsza – szepnął. – Lepsza od nich obojga. I taka ładna.

– Dziękuję – powiedziała.

– Naprawdę.

Odwróciła się ku niemu, wdzięczna, że przy niej jest. Wydawał się taki szczerzy. Taki niedoświadczony. Zupełnie inny niż Craig.

Nachyliła się i pocałowała go. Poczowała gorąco jego warg, kiedy oddał jej pocałunek. Wsunął język w jej usta. Niepewnie. Badawczo. Quincy nieomal zapomniała, co zobaczyła w lesie: Janelle siedzącą okrakiem na Craigu, ujeżdżającą go. Jej ciało emanujące pożądaniem i bólem.

To jednak nie wystarczyło. Quincy chciała zapomnieć na dobre.

Bez słowa wspięła się na niego. Zaskoczyło ją, jak zbite miało ciało. Jakby usiadła na zwałonym pniu drzewa. Potężnego dębu. Quincy zdjęła mu sweter, który zalatywał jakimś przemysłowym środkiem czyszczącym, i cisnęła go na podłogę. Ostra woń zakręciła ją w nosie. Potem ściągnęła mu T-shirt przez głowę i przywarła ustami do jego wąskiej piersi, pieszcząc dłońmi mleczną skórę. Błądą. Chłodną. Jak u ducha.

Po chwili nie miała już na sobie majtek, a jego sztruksy były opuszczone do kolan.

Na podłodze przy łóżku leżał plecak Craiga, a w nim paczka kondomów. Quincy wyjęła jeden i wcisnęła go w drżącą dłoń Joego.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Tak.

– Powiedz, jeśli zaboli – wyszeptał. – Nie chcę ci zrobić krzywdy. Chcę, żeby było ci dobrze.

Quincy wzięła głęboki oddech i ostrożnie osunęła się niżej, gotowa poczuć przyjemność i ból, wiedząc, że jedno nie istnieje bez drugiego.

Że nie da się ich rozdzielić, że są i pozostaną splecione na zawsze.



34

Coop wysłała mi esemesem nazwę hotelu, który znajduje się kilka przecznic od mojego mieszkania, oraz numer swojego pokoju. Nie wiem, czy wynajął go przed przyjazdem na spotkanie z Sam, czy później. Postanawiam o to nie pytać.

Przez chwilę stoję pod jego drzwiami, niepewna, czy dam radę ponownie na niego spojrzeć. Czuję opór. Wolałabym znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie w tym przyćmionym korytarzu hotelowym z bucującym lodownikiem pod ścianą i zapaszkiem szamponu do dywanów. Ale coś nas łączy. Nieważne, co Coop zrobił, jestem mu winna szansę na wytłumaczenie się.

Pukam, a drzwi natychmiast otwierają się ze skrzypnięciem. Dłoń mam jeszcze zaciśniętą w pięść, kiedy w progu pojawia się Coop.

– Quincy. – Powitalne skinienie głowy jest szybkie, zawstydzone. – Wejdz. Jeśli chcesz.

Jestem tu tylko ze względu na przeszłość. Moją przeszłość. Rolę, jaką odegrał w niej Coop. Niezaprzeczalny fakt, że w ogóle nie miałabym przeszłości, gdyby nie on. Więc wchodzę do pokoju, który okazuje się szokująco mały. To zwykła klitka, do której wciśnięto łóżko i komodę. Między łóżkiem a ścianą jest może pół metra przestrzeni, przez co z ledwością udaje mi się ominąć Coopa, kiedy zamyka za mną drzwi.

W pokoju nie ma krzeseł. Nie siadam na łóżku, wolę stać.

Wiem doskonale, co muszę zrobić: powiedzieć Coopowi o wszystkim. O tym, co zrobiła Sam. O tym, co zrobiłam ja. Może wtedy uda mi się przywrócić w moim życiu normalność. Nie żeby po Pine Cottage kiedykolwiek było ono normalne.

A jednak nie potrafię wyznać Coopowi prawdy. Ledwo mogę na niego spojrzeć.

– Nie przeciągajmy tego – odzywam się. Zakładam ręce na piersi i przenoszę ciężar ciała na lewą nogę, wojowniczo wysuwając biodro do przodu.

– Dobrze – zgadza się Coop.

Dopiero co wyszedł spod prysznic i w mikroskopijnej łazience nadal unosi się para. Krótko przycięte włosy jeszcze nie wyschły, a całe ciało emanuje rozgrzaną wilgocią i zapachem mydła.

– Muszę się wytłumaczyć. Wyjaśnić swoje postępowanie.

– Nic mi do tego, co robisz w wolnym czasie – wtrącam. – Nie jesteś dla mnie kimś szczególnym.

Coop wzdryga się na te słowa, a ja czuję piknięcie satysfakcji. Też mogę go zranić. Do żywego.

– Quincy, oboje wiemy, że to nieprawda.

– Nie? – udaję zdziwienie. – Gdybyśmy coś dla siebie znaczyli, nie pobiegłbyś przelecieć Sam w moim mieszkaniu, gdy tylko wystawiłam nogę za próg.

– Nie po to tam poszedłem.

– Na moje oko tak to właśnie wyglądało.

– Quincy, ona do mnie zadzwoniła – mówi Coop. – Powiedziała, że się o ciebie martwi. Więc przyjechałem. Bo coś mi nie pasowało. Nie ufam jej. Od samego początku. Ona coś knuje i chciałem ją wybadać.

– Uwodzenie to bardzo ciekawa technika przesłuchań – zauważam. – Często z niej korzystasz?

– To, co zobaczyłaś, nie było zaplanowane. To się po prostu stało.

Przewracam oczami w teatralny sposób, jak to kiedyś robiła Janelle.

– Stara śpiewka.

– To prawda – mówi Coop. – Nie masz pojęcia, jaki jestem samotny, Quincy. Sam jak palec. Mieszkam w domu, w którym zmieściłoby się pięć osób. A jestem tylko ja. Do niektórych pokoi nie wchodziłem od lat. Stoją puste i pozamykane.

Jego wyznanie odejmuje mi mowę. Coop jeszcze nigdy tak się przede mną nie otworzył. Okazuje się, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sobie wyobrażałam. Mimo to wcale mu nie współczuję. Nie jestem gotowa mu przebaczyć.

– Po to miałam tu przyjść? – pytam. – Żeby się nad tobą litować?

– Nie. Poprosiłem, żebyś przyszła, bo muszę ci o czymś powiedzieć. Nie bez powodu... – Coop urywa i odchrząkuje. – Nie bez powodu

staralem się ciebie wspierać. Być do twojej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Quincy...

Instynktownie wiem, co zaraz usłyszę. Kręcę głową, wszystko we mnie aż krzyczy: „Nie! Proszę, Coop, nie mów tego!”.

A jednak to mówi:

– Kocham cię.

– Nie. – Tym razem wypowiadam to na głos. – Nie mów nic więcej.

– Ale to prawda – upiera się Coop. – Wiesz, że tak, Quincy. Myślę, że zawsze o tym wiedziałaś. Bo niby dlaczego zjawiam się tu na każde twoje zawołanie? Żeby cię zobaczyć. Być z tobą. Nieważne: przez minutę czy przez godzinę. Sam twój widok sprawia, że cała ta samotna podróż tutaj jest warta zachodu.

Robi krok w moją stronę, a ja odruchowo się cofam, by utknąć w kącie między komodą a ścianą. Niezniechęcony Coop podchodzi bliżej i zatrzymuje się tuż przede mną.

– Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Quincy – mówi. – Naprawdę, możesz mi wierzyć. Jesteś taka silna. Prawdziwa wojowniczką.

Gdy patrzy na mnie tymi swoimi błękitnymi oczami, czuję, jak drżą mi kolana. Jego kciuk muska mój policzek, a potem zsuwa się do linii ust.

– Coop – odzywam się, kiedy paznokciem wodzi po moich wargach. – Przestań.

– Ty też to czujesz – mówi chrapliwym głosem. – Wiem, że tak.

Przypominam sobie, jak tulił Sam, pieścił jej szyję, zbliżał usta do jej ust. Nienawidzę go za to. Powinien należeć tylko do mnie.

– Wcale nie – odpowiadam stanowczo.

– Kłamiesz.

W pokoju jest gorąco. Wręcz duszno. Szumiący pod oknem klimatyzator niewiele zmienia. A na dodatek od stojącego przede mną Coopa też bije gorąco, chociaż zupełnie innego rodzaju.

– Muszę już iść – mówię.

– Nie musisz.

Gdy się przysuwa, odpycham go, mocno napierając na jego pierś. Czuję, że pod koszulką jest spocony. Pod naciskiem moich dłoni tkanina klei mu się do skóry.

– Czego ode mnie chcesz, Coop? Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia. Czego jeszcze chcesz?

– Ciebie – odpowiada miękko. – Chcę ciebie, Quincy.

Wbrew temu, co powiedziałam Sam, czasem zastanawiałam się, co mogłoby sprawić, że uległabym Coopowi. Zawsze pociągały mnie te jego błękitne oczy. Jasne jak lasery, przenikające na wskroś. A jednak ostatecznie to jego głos okazuje się czynnikiem decydującym. Wyszepiane miękko wyznanie sprawia, że osuwam się w ramiona Coopa.

To nasz pierwszy uścisk od Pine Cottage. Wciąż pamiętam, jak wtedy obejmowały mnie jego silne ramiona. Spodziewam się, że wspomnienie tamtej chwili zmaćci obecną, ale nie. Przeciwnie – dodaje jej słodyczy.

Przy nim czuję się bezpiecznie.

Tak jest od zawsze.

Całuję go. Chociaż to zły pomysł. Coop oddaje mi pocałunek – łapczywie, drapieżnie. Tłumione od lat pożądanie w końcu znajduje ujście i w rezultacie nie tyle ulegamy zmysłom, ile zaspokajamy popęd. Więcej w tym bólu niż przyjemności.

Wkrótce lądujemy na łóżku. Nigdzie indziej nie ma miejsca. Jestem bez ubrania, choć nie pamiętam, żebym je zdejmowała. Zupełnie jakby samo ze mnie opadło. Z nas obojga.

Coop wie, czego chce.

A ja – niech Bóg mi wybaczy – pozwalam mu to wziąć.



PINE COTTAGE

23:42

Jeszcze spał, kiedy Quincy wysliznęła się z łóżka i na palcach przemknęła przez pokój, kolejno podnosząc z podłogi buty, sukienkę i majtki. Każdy ruch przyplącała bólem. Ilekroć się schylała, czuła, jak pieką ją obtarte uda. Mimo wszystko nie było jednak tak źle, jak się spodziewała. Zawsze to jakaś pociecha.

Ubrała się pospiesznie, bo nagle zdała sobie sprawę, jak przenikliwy chłód panuje w pokoju. Poczowała się tak, jakby miała gorączkę. Drżała z zimna, choć skórę miała rozpaloną.

Przebiegła przez korytarz i czym prędzej dała nura do łazienki, nie zawracając sobie głowy zapalaniem górnego światła. Nie miała ochoty oglądać się w lustrze w bezlitośnie ostrym oświetleniu. Zamiast tego wbiła

wzrok w ciemną taflę i majaczące w niej odbicie o rozmytych rysach. Stała się cieniem.

Przypomniała się jej zabawa, którą pamiętała z czasów szkoły podstawowej. Razem z koleżankami stały w kompletnie ciemnej łazience i powtarzały pewne imię: „Krwawa Mary, Krwawa Mary, Krwawa Mary”.

– Krwawa Mary – powiedziała Quincy, wpatrując się w swoje bezokie odbicie.

Po opuszczeniu łazienki przez chwilę wahała się przed wejściem do salonu, obawiając się, że Craig i Janelle mogli już wrócić i zastanie ich tam pijanych, rozbawionych i udających, że nic między nimi nie zaszło. Zdecydowała się wejść dopiero wtedy, gdy przekonała się, że w całej chacie panuje cisza.

Przeszła do kuchni i tam się zatrzymała, aby rozważyć swój następny krok. Czy powinna się z nimi skonfrontować? Zażądać powrotu do domu? A może po prostu znajdzie kluczyki Craiga i odjedzie jego SUV-em, zostawiając ich wszystkich samym sobie, bez komórek.

Ten ostatni pomysł ją rozbawił. Przeszła już do drugiej fazy żałoby, o której uczyła się na zajęciach z psychologii zaledwie trzy dni temu. Janelle nie było na tym wykładzie, a Quincy jeszcze nie dała jej swoich notatek. Nie wiedziała więc nic o tym drugim szczeblu drabiny żałoby. Ale Quincy i owszem.

Była to złość.

Dzika, warcząca, z pianą na pysku wściekłość.

Quincy czuła, jak pali jej wnętrze. Niczym zgaga, tylko mocniej. Biła z niej, emanowała ze środka, przeszywała ręce i nogi.

Quincy podeszła do zlewu, gotowa wykorzystać tę ognistą energię produktywnie. Tak robiła jej matka. Stara, dobra pasywno-agresywna

Sheila Carpenter, która sprzątała, zamiast wrzeszczeć, i sklejała, zamiast rozbijać. Natomiast nigdy, przenigdy nie mówiła, co czuje.

Ona sama nie chciała być tą kobietą. Nie chciała sprzątać bałaganu po innych. Chciała się wściec, do cholery. Była wściekła. Tak bardzo, że chwyciła brudny talerz ze zlewu i zamachnęła się, by cisnąć nim o blat.

Powstrzymało ją własne odbicie. Błada twarz wpatrująca się w nią z szyby nad kuchennym zlewem. Tym razem nie zdołała uniknąć jej widoku. Tym razem zobaczyła się bardzo wyraźnie.

Oczy czerwone od łez. Usta wykrzywione w grymasie. Skóra zaróżowiona ze złości, żalu i wstydu, że właśnie oddała się kompletnie obcemu mężczyźnie.

To nie była Quincy, za którą się uważała. To był ktoś zupełnie inny. Ktoś, kogo nie poznawała. Wokół czaił się mrok. Czuła, jak do niej podpełza, jest coraz bliżej. Jak czarny przypływ zalewający brzeg. Wkrótce ją osaczył, oblepił, wypełnił sobą kuchnię. Quincy widziała już tylko wpatrzone w siebie własne odbicie. Obcą twarz. Dopóki jej także nie pochłonęła ciemność.

Odłożyła talerz do zlewu i wzięła do ręki coś innego.

Nóż.

Nie wiedziała, dlaczego go chwyciła. Nie miała pojęcia, co z nim zrobić. Wiedziała tylko, że przyjemnie czuć go w ręku.

Mocno zaciskając palce wokół trzonka, opuściła Pine Cottage tylnym wyjściem i pokonała taras trzema szybkimi krokami. Drzewa rosnące najbliżej chaty przywodziły na myśl szarych wartowników strzegących wstępu do lasu.

Mijając tę linię straży, Quincy smagnęła jedno z drzew płaską stroną ostrza. Uderzenie odezwało się rezonansem w jej dłoni i ramieniu; wciąż czuła ich drzenie, gdy zagłębiała się w leśny gąszcz.



35

Drzwi zamykają się z trzaskiem, który odbija się echem po korytarzu i wyrywa mnie z głębokiego snu. Otwieram oczy i zachłystuję się powietrzem, które jest suche i drapie mnie w język. Poranne słońce wpada przez okno ukośnym strumieniem prosto na moją poduszkę. Mam wrażenie, jakby w moją siatkówkę wbiły się setki ostrych igiełek. Przewracam się na bok i przeklinając słońce, wyciągam rękę na drugą połowę łóżka.

Jest pusta.

W tym momencie dociera do mnie, gdzie jestem.

Z kim byłam.

Co zrobiłam.

Wyskakuję z łóżka. Kręci mi się w głowie, a pokój wiruje. Udaje mi się dotrzeć do miniaturowej łazienki i tam osuwam się na podłogę. Siedzę gołym tyłkiem na zimnych płytkach i przyciągam kolana pod brodę. W głowie snują mi się zamglone myśli. Czuję się tak, jakbym nie była częścią otaczającego mnie świata. Nagle uświadamiam sobie, że to kac. Kac moralny. Nie dręczył mnie od lat.

Wspomnienia wracają jedno po drugim, w miarowym rytmie sekundnika. Tyk, tyk, tyk. Nie mija minuta, a pamiętam już wszystko. Każdy bezwstydnny, ohydny szczegół.

Coop oczywiście już wyszedł. Możliwe, że to on trzasnął drzwiami, choć podejrzewam, że raczej wymknął się po cichu, nie chcąc mnie budzić. Szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwię.

Przynajmniej miał dość przyzwoitości, żeby zostawić mi liścik, nagryzmołony pospiesznie na hotelowej papeterii. Widziałam go obok telewizora, kiedy tarabaniłam się do łazienki.

Przeczytam go później. Kiedy już uda mi się pozbierać z podłogi. Całe ciało mam obolałe, ale w ten przyjemny sposób, jak po satysfakcjonującym wysiłku. Czasem tak właśnie czuję się po bieganiu. Wyczerpana i zaspokojona, choć trochę niespokojna, czy jednak nie przesadziłam.

Tym razem nie mam cienia wątpliwości. Przesadziłam jak wszyscy diabli.

Patrzę na swoje dłonie. Większość czarnego lakieru, który nałożyła mi Sam, już zeszła, zostały tylko resztki. Widzę, że mam coś pod paznokciami. To pewnie też lakier. Albo kawałki skóry Coopa, które zdarłam, kiedy rozorałam mu plecy, błagając, by pieprzył mnie mocniej. Na dłoniach został jeszcze jego zapach. Wyczuwam woń potu i nasienia oraz lekką nutę Old Spice'a.

Gramolę się z podłogi i podchodzę do maleńkiej umywalki. Ochlapuję twarz zimną wodą, starannie omijając wzrokiem lustro. Boję się tego, co mogłabym w nim zobaczyć. A tak naprawdę tego, że nie zobaczyłabym niczego.

Dwa kroki później znów jestem przy łóżku. Siadam na podłodze. Liścik Coopa łąpie na mnie ze swojego miejsca obok pilota do telewizora.

Sięgam po niego i czytam.

Droga Quincy, wstydzę się swojego zachowania.

Choć bardzo pragnąłem, aby do tego doszło, mam świadomość, że to nigdy nie powinno było się wydarzyć.

Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przez pewien czas nie będziemy się kontaktowali. Przepraszam.

I to by było na tyle. Dziesięć lat opieki, przyjaźni i adoracji zaprzepaszczone przez jedną noc. Zniszczone z taką łatwością, z jaką teraz zgniatam i wyrzucam ten liścik do stojącego pod ścianą plastikowego kosza na śmieci. Kiedy papierowy pocisk nie trafia do celu i ląduje na podłodze, podczołguję się, chwytam go i wrzucam jeszcze raz.

A potem podnoszę kosz i ciskam nim przez cały pokój.

Gdy wali w ścianę i spada na podłogę, biorę coś innego. Pilota. Teraz on frunie przez pokój i roztrzaskuje się o zagłówek łóżka.

Rzucam się na skłębione, zwisające do ziemi prześcieradła, ściągam je gwałtownie z łóżka i okręcam wokół pięści, które przyciskam do ust, by stłumić szloch.

Straciłam Coopa.

Zawsze czułam, że ten dzień w końcu nadejdzie. Cholera, już raz niewiele brakowało, zanim tamten anonim z pogrózkami wciągnął go

z powrotem na moją orbitę. Tyle że nie jestem gotowa na życie, w którym Coop nie zjawia się u mego boku, kiedy go potrzebuję. Nie jestem pewna, czy poradzę sobie sama.

Ale nie mam wyboru. Teraz został mi już tylko Jeff.

Jeff.

O kurwa.

Świadomość ogromu mojej zdrady przyprawia mnie o gwałtowną falę mdłości, jakbym oberwała cios w brzuch. To go załamie.

Bez wahania postanawiam, że nigdy, przenigdy nie wyznam mu, co zrobiłam. Nie mam wyboru. Jakoś zapomnę o tej zatęchłej klitce, skłębionej pościeli, torsie Coopa na moich piersiach i jego gorącym oddechu w moim uchu. Zepchnę to wszystko w niepamięć, jak Pine Cottage.

I kiedy znów spojrzę Jeffowi w oczy, niczego nie będzie podejrzewał. Zobaczy tylko tę Quincy, którą – jak mu się zdaje – dobrze zna. Tę normalną.

Mam plan. Siadam prosto, usiłując zignorować poczucie winy, które ściska mi żołądek. Do tego uczucia będę musiała się przyzwyczaić.

Sprawdzam telefon: trzy nieodebrane połączenia i jeden esemes od Jeffa. Pewnie się nagrał, ale nie jestem w stanie odsłuchać jego wiadomości. Załamałabym się na dźwięk jego głosu. Więc tylko odczytuję esemesa, z którego aż bije niepokój.

„dlaczego nie odbierasz telefonu? wszystko gra?”

Odpisuję:

„przepraszam. zasnęłam, jak tylko wróciłam do domu. zadzwonię później”.

Dodaję i zaraz kasuję „kocham cię”, bo te słowa mogłyby mu się wydać podejrzane. No proszę, już zaczęłam myśleć w kategoriach zdrady.

Mam jeszcze jedno nieodebrane połączenie. Od Jonaha Thompsona. Dzwonił krótko po ósmej. Jakąś godzinę temu. Kiedy oddzwaniem, odbiera po pierwszym sygnale.

– W końcu – mówi.

– Ciebie też miło słyszeć – odpowiadam.

Jonah ignoruje tę uszczypliwość.

– Wziąłem pod lupę Samanthę Boyd, znaną też jako Tina Stone. I myślę, że to, co odkryłem, bardzo cię zaciekaawi.

– A co odkryłeś?

– Trudno to wyjaśnić przez telefon – odpowiada Jonah. – Musisz to zobaczyć na własne oczy.

Wzdycham.

– Fontanna Bethesda. Za dwadzieścia minut. Przynieś kawę.



PINE COTTAGE

23:49

Księżyc skrył się za chmury i w lesie zrobiło się ciemniej niż wcześniej. Quincy z trudem trzymała się ścieżki, która zmieniła się w ledwie widoczną plataninę liści i poszycia. Kiedy w końcu dotarła do wzniesienia i zaczęła się wspinać, poczuła ten dodatkowy wysiłek w napiętych mięśniach łydek.

Tak naprawdę nie miała żadnego planu. Chciała tylko się z nimi skonfrontować. Podejść do tamtego głazu, stanąć przed ich zdyszanyymi, oświetlonymi księżycem ciałami i powiedzieć im, jak bardzo ją zranili.

Nóż miał sprawić, że jej uwierzą. I trochę ich nastraszyć.

Quincy szybko znalazła się w połowie wzniesienia. Serce pompowało gorącą krew. Z ust wyrywał się przyspieszony oddech. Nagle doznała dziwnego wrażenia, że nie jest w lesie sama. Poczuła mrowienie na karku, jakby ktoś ją obserwował. Zatrzymała się i rozejrzała. Chociaż niczego nie

zauważyła, nie potrafiła otrząsnąć się z przeświadczenia, że ktoś wbija w nią wzrok. Przypomniała sobie o duchach Indian, które podobno nawiedzały ten las. Zapragnęła, aby to była prawda i aby te mściwe dusze przyłączyły się do niej.

Z głębi lasu dobiegł ją jakiś dźwięk. Szybkie kroki zaszeleściły wśród opadłych liści. Przez chwilę Quincy myślała, że to naprawdę duchy, że nadciąga ku niej całe ich stado. Zerknęła przez ramię, jakby się spodziewała, że zaraz rzucą się na nią spomiędzy drzew. Ale ten duch brzmiał jak człowiek, bez dwóch zdań. Dyszał z wysiłku bardziej niż ona sama. I nagle ten ciężki oddech rozległ się tuż za jej plecami. Odwróciła się błyskawicznie.

Za nią stał Joe, bez śladu rozespania na twarzy. Musiał ubierać się w pośpiechu, bo sweter włożył tyłem na przód i teraz metka drapała go w jabłko Adama. Bez słowa gapił się na Quincy.

- Muszę być teraz sama – odezwała się.
- Nie rób tego – wykrztusił, wciąż ciężko dysząc.

Quincy odwróciła się od niego. Na sam jego widok zrobiło jej się nieswojo. Jeszcze czuła go w sobie. Pieczenie między nogami jednocześnie ją zawstydziło i podnieciło.

- Nie wiesz, co chcę zrobić.
- Wiem – powiedział. – I wierz mi, nie warto.
- Skąd możesz wiedzieć?
- Bo sam to zrobiłem. I czułem się wtedy tak jak ty teraz.
- Zostaw mnie w spokoju.
- Wiem, że chcesz ich skrzywdzić – odparł.

Spowijający Quincy gęsty mrok nagle gdzieś zniknął, pozostawiając po sobie zawroty głowy i dezorientację. Spojrzała na trzymany w ręku nóż

i głośno wciągnęła powietrze. Nie pamiętała, po co go wzięła. Naprawdę zamierzała zrobić im krzywdę? Albo sobie?

Zaczerwieniła się ze wstydu. Mocno potrząsnęła głową. Las rozmył jej się przed oczami.

– Nie jest tak, jak myślisz – powiedziała.

– Nie?

– Nie chciałam... – Urwała, czując, że cokolwiek powie, nie będzie miało sensu. Zabrakło jej odpowiednich słów.

– Powinnaś wrócić – nalegał Joe. – Lepiej nie błąkać się po tym lesie.

– Zranili mnie – pożałowała się Quincy i nagle znów wybuchnęła płaczem.

– Wiem – odparł. – Właśnie dlatego nie powinnaś tu zostać.

Quincy otarła oczy. Była na siebie zła za to, że przy nim płacze. I za to, że dobrze się przy nim czuje. A do tego wkurzał ją fakt, że ze wszystkich osób w całej chacie tylko on dostrzegł prawdziwą Quincy.

– Zaraz wrócę – obiecała. – A ty dokąd pójdziesz?

Spojrzał przed siebie, jakby wypatrywał jakiegoś miejsca w oddali, gdzieś za drzewami.

– Do domu – odparł. – Ty też powinnaś.

Quincy skinęła głową.

Upuściła nóż.

Upadł bokiem na grubą warstwę liści.

Quincy pobiegła z powrotem tą samą drogą, którą przyszła, omijając Joego i udając, że nie zauważa, jak księżycowa poświata odbija się w szklach jego okularów i sprawia, że stają się nieprzeniknione. Jakby zasnuła mgłą.



36

Dwadzieścia pięć minut po telefonicznej rozmowie z Jonahem wpadam do Central Parku i pędzę barokowym tunelem, który prowadzi na taras Bethesda. Widzę go przez ozdobne łuki na końcu tunelu – siedzi na krawędzi fontanny. Różowa koszula, niebieskie spodnie, szara sportowa marynarka. Nad nim góruje Anioł Wód, na którego rozpostartych skrzydłach siedzi stadko gołębi.

– Wybacz spóźnienie – mówię, siadając obok.

Jonah pociąga nosem.

– Fuj – rzuca z dezaprobatą.

Sama czuję, że cuchnę. Chciałam wziąć prysznic w hotelu, ale zabrakło ciepłej wody. Musiałam zadowolić się kilkoma chlapnięciami z umywalki,

a potem włożyć na siebie to samo, co nosiłam poprzedniego dnia.

Ubierając się, zastanawiałam się, ile kilometrów przebyły te ciuchy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Z Chicago do Muncie i z powrotem. Z Chicago do Nowego Jorku i do tej spartańskiej klitki wstydu. A teraz – cuchnące i przeopcone – znalazły się w Central Parku.

Kiedy w końcu ściagnę je z siebie wieczorem, chyba je spalę.

– Prosto z biby? – pyta Jonah.

– Daruj sobie – ucinam. – Gdzie moja kawa?

U jego stóp stoją dwa kubki, a obok nich torba kurierska, pełna – mam nadzieję – materiałów, dzięki którym będę mogła wykopać Sam z mojego życia. Albo chociaż z mieszkania.

– Czym się trujesz? – pyta Jonah, podnosząc kubki. – Czarną i gorzką czy białą z cukrem?

– Białą z cukrem. Najlepiej dożylnie.

Wręcza mi kubek oznaczony iksem. Wypijam łąpczywie połowę jego zawartości, po czym równie łąpczywie chwytam powietrze.

– Dzięki – mówię. – Bez względu na to, ile dobrych uczynków dzisiaj zrobisz, nic nie przebije tego.

– Za chwilę zmienisz zdanie – stwierdza Jonah, sięgając po torbę.

– Co odkryłeś?

Rozpina suwak i ze środka wyjmuję beżową teczkę.

– Sensację stulecia.

Teczka zawiera kilkadziesiąt luźnych kartek. Jonah przerzuca je tak szybko i zwinnie, że ledwie zdążę zerknąć na skserowane artykuły prasowe i jakieś wydrukowane z internetu materiały.

– Po wpisaniu w wyszukiwarkę „Samantha Boyd” wyświetlają się zwykle informacje na temat Nightlight Inn – mówi. – Tylko ona przeżyła

ten koszmar. Jest Jedyną Ocalałą. Zniknęła z radaru osiem lat temu i od tamtej pory wszelki śluch po niej zaginął. Aż do teraz, kiedy kilka dni temu wyszła z ukrycia.

– To już wiem – zauważam.

– Tina Stone to zupełnie inna historia. – Jonah wreszcie przestaje kartkować zawartość teczek. Podaje mi znaleziony wycinek. – To z „Hazleton Eagle”. Sprzed dwunastu lat.

Na widok artykułu serce zaczyna mi walić jak młotem. Poznaję go. Widziałam go już u Lisy.

HAZLETON, Pensylwania: Mężczyzna zginął od ciosów nożem. Do zdarzenia doszło wczoraj w jego własnym domu, w którym mieszkał z żoną i pasierbicą. Wezwano policję z Hazleton, która znalazła zwłoki Earla Potasha, lat 46, w kuchni dwurodzinnego domu przy Maple Street. Ofiara otrzymała liczne rany kłute w klatkę piersiową i brzuch. Władze śledcze uznały, że śmierć była wynikiem zabójstwa. Śledztwo jest w toku.

– Gdzie to znalazłeś?

– Na portalu LexisNexis. Wpisałem w wyszukiwarkę „Tina Stone” – wyjaśnia Jonah.

– Ale co to ma z nią wspólnego?

– Według tej gazety pasierbica Earla Potasha przyznała się do zamordowania go i wyjaśniła, że od wielu lat ją molestował. Ponieważ była ofiarą napastowania seksualnego, jej dane usunięto z akt sądowych.

Teraz rozumiem, dlaczego Lisa miała ten artykuł.

– To była ona – zgaduję. – Tina Stone. Zabiła swojego ojczyma.

Jonah przytakuje stanowczym skinieniem głowy.

– Obawiam się, że tak.

Pociągam kolejny potężny łyk kawy z nadzieją, że odpędzi ból głowy, który znowu zaczyna rozsadzać mi czaszkę. W tej chwili mogłabym zabić za tabletkę xanaxu.

– Dalej czegoś nie rozumiem – wyznaję. – Po co Sam miałyby przyjąć nazwisko kobiety, która zabiła swojego ojczyrna?

– W tym właśnie rzecz – mówi Jonah. – Nie jestem taki pewien, czy to zrobiła.

Wyjmuję z teczki kilka stron dokumentacji medycznej. U góry widnieje nazwisko Tina Stone.

– Czy informacje medyczne też nie powinny być poufne? – pytam.

– Chyba nie doceniasz mojej skuteczności – odpowiada Jonah. – Łapówki bywają bardzo przekonujące.

– Kawał drania z ciebie.

Przeoglądam rejestry pochodzące z ubiegłego roku i wcześniejsze. Tina Stone nieczęsto chodziła do lekarza, właściwie tylko w nagłych przypadkach i zwykle bez ubezpieczenia. Przed czterema laty złamała nadgarstek – wskutek wypadku motocyklowego. Rok wcześniej zrobiła mammografię, bo znalazła guzek w piersi, który ostatecznie okazał się łagodny. Osiem lat temu przedawkowała anitrofilinę. Ta informacja daje mi do myślenia.

Na kolejnej stronie znajduję wpis o jeszcze jednej próbie przedawkowania, wcześniejszej o dwa lata. Sprawdzam datę. Trzy tygodnie po Pine Cottage.

– To nie może być Sam – mówię. – Daty nie pasują. Powiedziała mi, że zmieniła tożsamość dopiero parę lat po Pine Cottage.

Kiedy wreszcie dociera do mnie waga tego spostrzeżenia, o mały włos nie wlatuję do fontanny. Teczka wypada mi z rąk i kartki się rozsypują, więc Jonah rzuca się je zbierać, aby nie odleciały z wiatrem.

Wciąż siedzę bez ruchu, kiedy wraca z wetkniętą pod pachę teczką.

– Teraz rozumiesz?

– Tina Stone i Samantha Boyd – wyjąkuje – to dwie różne osoby.

– I tu nasuwa się pytanie, która z nich jest teraz w twoim mieszkaniu.

– Nie mam pojęcia.

Ale muszę to ustalić. Natychmiast. Wstaję i już mam odejść, chociaż kolana się pode mną uginają, kiedy Jonah mnie zatrzymuje.

– Niestety to nie wszystko – mówi z przeproszającym wyrazem twarzy.

– Otwiera teczkę i wyciąga ostatnią z pliku kartkę. – Chodzi o to przedawkowanie.

– Wiem – mówię. – To było przed tą rzekomą zmianą nazwiska.

– Lepiej popatrz, gdzie to się stało.

Jonah wskazuje nazwę placówki, w której leczono Tinę Stone.

Szpital psychiatryczny w Blackthorn, mieszczący się za lasem, w którym stał Pine Cottage.

Od samej nazwy robi mi się słabo. Czuję się gorzej niż dzisiaj rano po przebudzeniu. Może nawet gorzej niż wtedy, gdy do mnie dotarło, że pobiłam Ricarda Ruiza prawie na śmierć.

Tina Stone była pacjentką w Blackthorn.

W tym samym czasie co On.

Dokładnie wtedy, kiedy się zjawił w Pine Cottage i wypatroszył cały mój świat.



PINE COTTAGE

PÓŁNOC

Pierwszy krzyk rozległ się, kiedy Quincy dotarła do tarasu na tyłach chaty. Dobiegł z lasu i dopadł jej, gdy wchodziła po niskich drewnianych schodkach. Odwróciła się w stronę dźwięku, zbyt zaskoczona, by się przestraszyć.

Strach miał dopiero nadejść.

Omiotła wzrokiem ciemny las za chatą, przeskakując spojrzeniem od drzewa do drzewa, jakby ten krzyk doleciał zza jednego z nich. Ale w głębi duszy wiedziała, kto krzyczał.

Janelle.

Quincy była tego pewna.

W lesie eksplodował drugi krzyk. Dłuższy niż pierwszy, wzniosł się pod niebo ostrym echem. Był też głośniejszy, i to na tyle, aby wypłoszyć sowę

z górnych gałęzi pobliskiego drzewa. Śmignęła obok tarasu, łopocząc skrzydłami, i znikła w mroku nad dachem chaty. Odgłosy jej ucieczki zmieszały się z innym dźwiękiem – szybko zbliżających się kroków. Ktoś pędził na oślep.

Chwilę później z lasu wypadł Craig. Jego puste oczy nie wyrażały niczego, ale zachowywał się tak, jakby zupełnie oszalał. Znów miał na sobie koszulkę i spodnie, choć Quincy zauważyła, że nie zapiął rozporka, a luźny pasek majta się na wszystkie strony, pobrzękując.

– Uciekaj, Quincy! – krzyknął gorączkowo. Potknął się i zatoczył do przodu. – Musimy uciekać!

Wskoczył na taras i w szalonym pędzie spróbował pociągnąć ją za sobą, ale napotkał opór. Quincy nie zamierzała się stamtąd ruszać. Nie bez Janelle.

– Janelle? – zawołała.

Głos poniósł się po lesie, a echo powtarzało jej wezwanie raz po raz, choć coraz ciszej. W odpowiedzi rozległ się kolejny krzyk. Craig wydał z siebie rozdzierający jęk. Zachwiał się i wzdrygnął gwałtownie, jakby usiłował strząsnąć coś z pleców.

– Prędziej! – wrzasnął do Quincy.

Ale wtedy zabrzmiał czwarty krzyk i pociągnął ją w stronę zejścia z tarasu. Zatrzymała się na najwyższym stopniu, z czubkami butów wysuniętymi nad jego krawędź. Tymczasem za nią Craig próbował wejść do chaty i przepychał się w drzwiach z innymi, którzy nadbiegli z wnętrza, zaalarmowani hałasem.

– Co to było? – pytała łamiącym się z przerażenia głosem Amy.

– Gdzie Janelle? – zawtórowała jej Betz.

– Nie żyje! – wrzasnął Craig. – Janelle nie żyje!

Ale to nie była prawda. Quincy nadal słyszała jej zdławione rżenie dobiegające z ciemności, ciche, niemal kocie kroki i wyraźniejsze odgłosy potknięć.

Janelle pojawiła się tak nagle, jakby to jeden z tych jej indiańskich duchów zmaterializował się na granicy lasu za chatą. Nie tyle stała, ile chwiała się na nogach, wyłącznie za sprawą instynktu, który nie pozwalał jej upaść. Plamy ciemnej czerwieni rozlewały się na jej sukience w okolicach barku, klatki piersiowej i brzucha.

Obie dłonie, jedną na drugiej, mocno przyciskała do szyi. Tryskająca spod palców krew spływała szkarłatnym wodospadem po piersiach.

Wtedy ogarnął ich strach.

Ściskający żołądek, paralizujący strach, który sprawił, że grupka przy tylnych drzwiach zamarła w bezruchu.

Tylko Quincy zdołała się poruszyć; strach popchnął ją do przodu, z tarasu na trawę, którą właśnie posrebrzył szron. Chrząścił pod jej stopami, gdy biegła do Janelle, czując, jak zimna wilgoć przesiąka do wnętrza jej butów. Dopadła do przyjaciółki i wyciągnęła ręce, by ją podtrzymać akurat w chwili, gdy ta zaczęła osuwać się na ziemię. Dłonie Janelle opadły, odsłaniając szerokie rozcięcie na szyi, z którego buchnęła krew, gorąca i lepka, prosto na białą sukienkę Quincy.

Dziewczyna zakryła ranę obiema rękami. Wciąż pompowana przez serce krew łaskotała wewnątrz jej dłoni. Nagle ciało Janelle zwiotczało i całym ciężarem zawisło na Quincy, zmuszając ją do opadnięcia na kolana. Zaraz potem usiadła na ziemi, tuląc do siebie bezwładną niczym szmaciana lalka Janelle. Wybałuszone z przerażenia oczy wpatrywały się w nią niewidzącym spojrzeniem, a z rozplatanego gardła wydobywał się zduszony charkot.

– Ratunku! – krzyknęła Quincy, chociaż wiedziała, że przyjaciółce nie można już pomóc. – Pomóżcie! Proszę!

Wszyscy wciąż stali na tarasie jak wryci. Amy wtulała się w Rodneya; rąbek jej koszuli nocnej powiewał na wietrze. Betz zaczęła spazmatycznie szlochać, jej płacz wznosił się i opadał. Patrzył na nie tylko Craig. Quincy miała wrażenie, jakby wzrokiem przenikał w głąb jej duszy. Jakby znał każdy z jej najgorszych sekretów.

Nagle w jego oczach mignął nowy błysk strachu.

– Quincy! Uciekaj!

Ale Quincy nie mogła. Nie kiedy Janelle umierała w jej objęciach. Nie mogła się ruszyć, nawet gdy wyczuła w pobliżu czyjąś obecność. Bezlitosną, zionącą nienawiścią.

Ktoś dopadł do nich, zanim zdążyła się obejrzeć. Czyjeś palce wczepiły się w jej włosy, zacisnęły i mocno szarpnęły. Ostry ból przeszył jej ciało, kiedy na moment obrócona, ujrzała to samo co pozostali.

Majaczącą nad nią sylwetkę.

Uniesiony nóż.

Srebrny błysk.

Ciosy spadły raz za razem, niemal jednocześnie. Dwa ostre pchnięcia w bark. Zapiekły żywym ogniem. Przebiły skórę i mięśnie. Drasnęły kość.

Quincy nie krzyknęła. Za bardzo bolało. Zamiast niej krzyczał sam ból.

Osunęła się bezwładnie, a Janelle stoczyła się z jej kolan. Teraz obie leżały na ziemi, twarzą w twarz, i Quincy patrzyła w martwe oczy przyjaciółki. Na trawie między nimi powstała kałuża krwi, która topiła szron i lekko parowała.

Wciąż tam był. Quincy słyszała jego miarowy oddech.

Znów dotknął jej włosów. Ale nie szarpnął. Pogładził je.

– Już dobrze – wyszeptał.

Quincy widziała go kątem oka, wciąż jako niewyraźny cień. Czekwała, pewna, że spadnie na nią ostateczny cios, i wtedy cień się poruszył.

Minął ją.

I to, co kiedyś było Janelle.

Ruszył w kierunku Pine Cottage.

To była ostatnia rzecz, jaką Quincy zarejestrowała, zanim ból, rozpacz i strach wreszcie ją pokonały. Świat zasnuł się czernią i rozmył. Przymknęła powieki i odpłynęła w niebyt, pozwalając, aby pochłonął ją mrok.



37

Jonah błaga, żebym pozwoliła mu pójść ze sobą do mieszkania, ale nic z tego. Mówi, że narażam się na niebezpieczeństwo, i ma rację. Jednak jego obecność tylko by wszystko skomplikowała. To sprawa między mną a Sam.

Albo Tiną.

Czy kim tam, kurwa, jest.

Wchodząc do mieszkania, znów zachowuję wielką ostrożność. I znowu mam cichą nadzieję, że nie będzie w nim Sam.

Ale jest. Stojąc w przedpokoju, słyszę dobiegający z łazienki szum wody. Bierze prysznic. Podkradam się pod drzwi i nasłuchuję odgłosów. Słyszę, jak kaszle. Odchrząkuje, żeby się pozbyć papierosowej suchości w gardle. Woda pod prysznicem wciąż szumi.

Szybko przemykam do pokoju Sam, gdzie jej plecak nadal leży w kącie. Nie mogę go rozpiąć, bo za bardzo trzęsą mi się ręce.

Biorę kilka głębokich oddechów, marząc o xanaxie, choć wiem, że muszę mieć jasny umysł. Uzależnienie bierze jednak górę i popycha mnie do kuchni, a tam wkładam sobie do ust tabletkę i popijam ją kilkoma łykami napoju winogronowego. Piję dalej, mimo że pigułka już dawno spłynęła do żołądka.

Odpowiednio wzmocniona wracam do pokoju Sam. Ręce mam teraz spokojniejsze i bez trudu otwieram plecak. Wygrzebuję ze środka skradzione ciuchy, czarne T-shirty oraz masę znoszonych staników i majtek. Dalej natrafiam na butelkę Wild Turkey – jeszcze nienapoczętą. Wytacza się na podłogę i zatrzymuje obok moich kolan.

Sięgam głębiej, żeby sprawdzić, co znajdę na dnie. Szczotka do włosów, dezodorant, pusta buteleczka po pigułkach. Patrzą na etykietkę. Ambien – lek nasenny. Nie anitrofilina.

Znajduję iPhone'a, którego Sam zabrała z mojej sekretnej szuflady. To ten, który ukradłam w kawiarni. Jest wyłączony, pewnie padła bateria. Na samym dnie plecaka czuję pod palcami chłód gładkiego papieru. Jakieś czasopismo.

Wyszarpuję je ze środka i odwracam, żeby spojrzeć na okładkę. To egzemplarz „Time'a”, z oślimi uszami i ledwo trzymający się w jednym kawałku. Na zdjęciu widać zaniedbany motel otoczony policyjnymi radiowozami i sosnami wirginijskimi porośniętymi hiszpańskim mchem. Na tle sinoszarego nieba ciągnie się alarmująco czerwony nagłówek: **HORROR W HOTELU!**

Tym samym numerem „Time'a” zaczytywałam się w dzieciństwie, drżąc z emocji pod kołdrą w obawie przed koszmarami sennymi. Przerzucam kartki, aż wreszcie natrafiam na artykuł, który wywoływał we

mnie tyle dziecięcych lęków. Zilustrowany jest jeszcze jednym zdjęciem Nightlight Inn – to ujęcie z zewnątrz jednego z pokoi. Przez otwarte drzwi widać coś białego. Prześcieradło, którym przykryta jest jedna z ofiar.

Obok fotografii widnieje wąska kolumna tekstu – początek artykułu.

Myślimy, że coś takiego zdarza się tylko w filmach. Nigdy w prawdziwym życiu. Przynajmniej nie w taki sposób. I na pewno nie nam. A jednak to się zdarzyło. Najpierw w akademiku w Indianie. Potem w motelu na Florydzie.

Ten fragment brzmi znajomo. Jakbym doznała déjà vu. Z tym że to wspomnienie nie sięga czasów dzieciństwa, chociaż na pewno czytałam wtedy ten tekst. Jest całkiem świeże.

Te same słowa usłyszałam od Sam pierwszej nocy, którą tu spędziła. Leżaliśmy w łóżku, gadając i pociągając bourbona z gwinta, a wtedy ona wygłosiła swój szczerzy monolog o Nightlight Inn.

Teraz okazuje się, że to były same bzdury, których wyuczyła się z tego artykułu i powtórzyła mi słowo w słowo.

Wpycham jej rzeczy z powrotem do plecaka. Wszystkie poza czasopismem, które przyda mi się jako amunicja przeciwko niej, oraz skradzionym iPhone'em, którego ona mogłaby użyć przeciwko mnie. Zwiniętego „Time’a” trzymam pod pachą, a komórkę wsuwam za dekollet, pod ramiączko stanika.

Zadowolona, że zostawiam pokój w niemal niezmiennym stanie, przemykam się do kuchni, chwytam napój winogronowy i idę z nim do laptopa. Upijam łyk, po czym otwieram komputer i wchodzę na YouTube’a. W okienko wyszukiwarki wpisuję „samantha boyd wywiad”. Otrzymuję kilka wersji jedyne go występu telewizyjnego Sam – wszystkie zostały

wrzucone do sieci przez tych świrów od stron o krwawych zbrodniach. Klikam w pierwszy filmik.

Na ekranie pojawia się ta sama prezenterka telewizyjna, która wsunęła mi pod drzwi pachnącą perfumami Chanel karteczkę z propozycją wywiadu. Jej łagodny wyraz twarzy to w rzeczywistości maska udająca dziennikarski obiektywizm. Prawdę zdradzają jej oczy. Czarne i drapieżne. To oczy rekina.

Naprzeciw niej, tyłem do kamery i niemal poza kadrem, siedzi młoda kobieta. Właściwie widać tylko ciemny zarys jej sylwetki. Jest nie do rozpoznania.

– Pamiętasz, co stało się tamtej nocy, Samantha? – pyta dziennikarka.

– Tak, oczywiście.

Ten głos. Brzmi inaczej niż głos znanej mi Sam. Udzielająca wywiadu dziewczyna mówi mniej wyraźnie i ma gorszą dykcję.

– Często o tym myślisz?

– Sporo. Właściwie to bez przerwy.

– Mówisz o Calvinie Whitmerze, prawda? O Workowym?

Ciemna postać kiwa głową.

– I nadal go widzę, wie pani? Kiedy zamknę powieki. Miał w tym worku wycięte otwory na oczy. I niewielką szparę nad nosem, żeby mógł oddychać. Nigdy nie zapomnę, jak materiał w tym miejscu unosił się i opadał. Ani sznurka, którym obwiązał sobie ten worek wokół szyi, żeby się lepiej trzymał.

Tę kwestię też ukradła. Powtórzyła mi ją, jakby mówiła to po raz pierwszy.

Wracam na początek nagrania. Trochę kręci mi się w głowie, kiedy pani Chanel No. 5 wbija rekinie oczy w swoją rozmówczynię.

– Pamiętasz, co stało się tamtej nocy, Samantha?

Przymykam nagle zmęczone oczy.

– Tak, oczywiście.

Głosy w komputerze stają się odległe i niewyraźne.

– Często o tym myślisz?

Moje ciało zaczyna lekko drętwieć. Powoli ogarnia mnie dziwne mrowienie – najpierw dłonie, potem ramiona. Zupełnie jakby maszerowały po nich czerwone mrówki.

– Sporo. Właściwie to bez przerwy.

Ekran laptopa mętnieje, twarz prezenterki traci ostrość. Odwracam wzrok i widzę, że cała kuchnia zmienia się w miszmasz kolorowych smug. Zerkam na napój winogronowy, który nagle rozjarzył się neonowym fioletem. Ręce mam zbyt ociężałe, by podnieść butelkę, więc szturcham ją łokciem. Resztką płynu lekko musuje. Na dnie mieniają się błękitem drobinki sproszkowanego xanaxu.

Za moimi plecami rozlega się głos.

– Wiedziałaś, że będziesz chciała się napić.

Odwracam się i widzę ją w kuchni, ubraną i suchą.

W oddali wciąż słyszać szum prysznic, stłumiony tak samo jak sączący się z laptopa głos telewizyjnej Sam. To był podstęp. Pułapka.

– Co...?

Nie mogę mówić. Spuchnięty język nieporadnie podryguje w ustach jak wyjęta z wody ryba.

– Ciii... – słyszę szept.

Teraz widzę przed sobą tylko rozmyty cień, podobny do tego, który wciąż mówi w moim laptopie. Telewizyjna Sam na żywo. Tyle że to nie jest Sam. Tej świadomości nie stłumią nawet pigułki siejące spustoszenie

w moim układzie nerwowym. Mój umysł jest całkowicie jasny. Dawno taki nie był.

Może nigdy.

– Tina – bełkoczę, bo mój obrzmiały język nadal się płacze. – Tina Stone.

Robi krok w moją stronę. Natychmiast sięgam do stojącego na blacie drewnianego stojaka na noże, ale poruszam się jak na zwolnionym filmie. Chwytam największy nóż. W mojej dłoni zdaje się ważyć ze sto kilo.

Potykam się, nogi odmawiają mi posłuszeństwa, a stopy mam jak z ołowiu. Z trudem wykonuję jedno słabe pchnięcie i nóż wysuwa się z moich zwiotczących palców. Kuchnia zaczyna się chwiać. Tyle że tak naprawdę to ja się chwieję. Upadam na bok, walę głową o podłogę i nagle wszystko rozplywa się w mroku.



ROK PO PINE COTTAGE

Tina miała wyjść jako jedna z ostatnich. Siedziała na swoim skrzypiącym łóżku, tępo wpatrzona w drugie, stojące po przeciwnej stronie pokoju. Ostatnio zajmowała je Heather, piromanka o włosach jak strąki. Pościel już zabrano i został tylko gruzłowaty materac z podłużną plamą uryny. Na ścianie obok, nie całkiem zakryte cienką warstwą farby, widać było przekleństwa nabazgrane szminką przez poprzedniczkę Heather, niejaką May. Kiedy ją przenoszono, przekazała swój tajny zapas szminek Tinie.

W sumie Tina spędziła w tym pokoju ponad trzy lata. Dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Nie żeby miała wybór. System zdecydował za nią.

W końcu jednak i na nią przyszła pora. Siostra Hattie wykrzyczała to na korytarzu tym swoim skrzekliwym głosem z prostackim akcentem:

– Zamykajom nas! Wszystkie wychodzić!

Tina sięgnęła po stojący przy łóżku plecak. Wcześniej należał do Joego. Jego rodzice uprzątnęli pokój po śmierci syna, ale plecak został. Teraz był jej i trzymała w nim swoje rzeczy, których nie miała zbyt wiele. Lekkość plecaka wręcz ją zdumiała.

Tina opuściła pokój, nie oglądając się za siebie. Miała za sobą dość przeprowadzek, by wiedzieć, że długie pożegnalne spojrzenia nie ułatwiają odejścia. Nawet jeśli marzyło się o nim od chwili przybycia.

Na korytarzu ustawiła się razem z resztą maruderów do ostatniego liczenia głów. Tym razem jednak sanitariusze nie sprawdzali, czy wszyscy stoją w szeregu. Upewniali się tylko, czy nikt nie został w żadnym pomieszczeniu. W południe szpital w Blackthorn miał zostać zamknięty na dobre.

Większość pacjentów wciąż była zbyt szalona, by można było wypuścić ich na wolność. Już wcześniej zostali przeniesieni do innych zakładów, tak jak Heather. Tina należała do tych nielicznych, których uznano za wystarczająco zdrowych, by mogli zakończyć leczenie. Odsiedziała swoje i mogła odejść.

Po przeliczeniu przeprowadzono ich przez wielką i pełną przeciągów salę rekreacyjną, którą już opróżniano z mebli. Tina zauważyła, że ze ściany wymontowano telewizor, a większość krzeseł ułożono w stosy i ustawiono w jednym kącie. Ale jej stół wciąż był na swoim miejscu, pod zakratowanym oknem, gdzie siadywali z Joem, patrzyli na las rozciągający się po drugiej stronie porośniętego krzakami szpitalnego trawnika i wymieniali wszystkie miejsca, do których pojedą, jak już się stąd wyrwą.

Tina pozwoliła sobie na to jedno ostatnie spojrzenie w stronę ich zakątka i natychmiast tego pożałowała, bo jego widok przypominał jej o Joem. A kazano jej o nim nie myśleć.

Ale i tak to robiła. Cały czas. I nawet opuszczenie szpitala nie mogło tego zmienić.

Zabroniono jej także myśleć o tamtej nocy. O tych potwornych rzeczach, które się wtedy wydarzyły. O tych wymordowanych ludziach. Ale jak mogłaby o tym nie myśleć? Przez to wszystko zamykano szpital. To dlatego ona i inni musieli stąd odejść.

Paru sanitariuszy przyszło popatrzeć, jak wychodzą. Między innymi Matt Cromley, ten kutas z trwałą na łbie. Tyle razy ją obmacywał, że straciła rachubę. Mijając go, rzuciła mu wściekłe spojrzenie, a on puścił do niej oko i oblizał wargi.

Przed budynkiem czekała furgonetka, która miała zawieźć ich na dworzec autobusowy. Nikogo nie obchodziło, dokąd się stamtąd udadzą, byle jak najdalej.

Gdy Tina wsiadała do samochodu, siostra Hattie wręczyła jej dużą kopertę. W środku znajdowały się namiary na ośrodek pomocy społecznej, który miał ją wesprzeć w znalezieniu zatrudnienia, jej dokumentacja medyczna, wszystkie niezbędne recepty oraz gotówka, która – Tina nie miała złudzeń – mogła wystarczyć najwyżej na marne dwa tygodnie.

Siostra Hattie poklepała ją po ramieniu i z uśmiechem powiedziała:

– Życzę ci wspaniałego życia, Tino. Niech ci się wiedzie.



DWA LATA PO PINE COTTAGE

Nikogo nie ma w domu. Tina powtarzała to w myślach, pukając ponownie do wypłowiących od słońca drzwi. Nikogo nie ma w domu, a ona powinna sobie pójść.

Ale nie mogła. W kieszeni nie miała już ani dolara.

Robiła, co mogła, i przez pewien czas dawała sobie radę. Dzięki tej miłej pani z ośrodka pomocy społecznej miała pracę, nawet jeśli było to tylko pakowanie zakupów w zapłutym supermarkecie, oraz dach nad głową – w domu z kwaterami do wynajęcia dla takich jak ona. Ale liczne naruszenia zasad higieny w końcu wykończyły sklep, co oznaczało, że nie miała z czego opłacić czynszu. A zasiłek dla bezrobotnych ledwo wystarczał na jedzenie i bilety autobusowe.

Więc wróciła do Hazleton i teraz dobijała się do dwurodzinnego domu, którego nie widziała od czterech lat, modląc się, żeby nikt jej nie otworzył. Prawie uciekła, kiedy drzwi jednak się uchyliły. Wolałaby umrzeć z głodu, niż tu być. Ale siłą woli unieruchomiła nogi na tej sfatygowanej wycieraczce.

Kobieta, która stanęła w progu, była grubsza, niż kiedy Tina widziała ją ostatnio. Dupę miała jak stodoła. Na biodrze opierała niemowlę – wiercącego się, ryczącego, czerwonego na buzi małego gówniarza w opadającej pieluszce. Tina rzuciła jedno spojrzenie na dziecko i serce jej się ścisnęło. Kolejny dzieciak. Biedny, jeszcze nie wie, w jakie gówno wdepnął.

– Cześć, mamó – powiedziała Tina. – Wróciłam do domu.

Matka spojrzała na nią, jakby była kimś obcym. Wciągnęła tłuste policzki i wyduła wargi.

– To nie jest twój dom – rzuciła. – Sama się o to postarałaś.

Serce Tiny zamarło, choć przecież dokładnie takiego powitania się spodziewała. Matka nigdy nie uwierzyła, że Earl robił jej to wszystko. Że ją obmacywał, tarł i wślizgiwał się pod jej kołdrę o trzeciej nad ranem. „Ciii – szeptał, a z gęby cuchnęło mu piwkiem. – Nie mów nic mamie”.

– Mamó, proszę – powiedziała Tina. – Potrzebuję pomocy.

Dzieciak marudził coraz bardziej. Tina wątpiła, czy powiedziano mu, że ma przyrodnią siostrę. I czy w tym domu w ogóle się o niej wspomina.

Przez głośny płacz przebił się dobiegający z salonu męski głos. Tina nie miała pojęcia, do kogo należy.

– Kto przyszedł?

Matka Tiny spojrzała na córkę.

– Nikt ważny.



TRZY LATA PO PINE COTTAGE

Jak na wtorkowy wieczór bar był pełen ludzi. Wszystkie stołki zajęte. Stoliki też. Nic tak nie przyciąga ledwo funkcjonujących na co dzień alkoholików jak piwo za dwa dolce. Przy takim tłumie Tina musiała uwijać się przez całą zmianę, bo stosów pustych kufli i umazanych ketchupem talerzy ciągle przybywało. Myła je i myła, tak długo zanurzając dłonie w wodzie, aż palce się pomarszczyły i zbieleły.

Po skończonej zmianie ściągnęła siatkę do włosów, zdarła z siebie fartuch i wrzuciła je do kosza na pranie przy tylnym wyjściu z kuchni. Potem przeszła do baru na darmowego drinka, który zdaniem właściciela miał wynagrodzić pracownikom lichą pensję.

Tego wieczoru barmanem był Lyle. Tina lubiła go bardziej niż innych. Miał podkreślony do góry wąsik, seksowny przodozgryz i muskularne,

owłosione przedramiona. Nalał jej drinka, nawet nie pytając, czego się napije.

– Wild Turkey dla panny Tiny – powiedział, po czym nalał także sobie. Stuknęli się szklaneczkami.

– Zdrówko – odparła Tina i wychyliła whiskey jednym haustem.

Zamówiła drugiego drinka. Tego też dostała za darmo, choć powiedziała Lyle’owi, że stać ją, żeby zapłacić. Sączyła alkohol, siedząc w kącie baru i obserwując gości. Tłum zlewał się w jednolitą masę napuszonych czupryn, brzuchów piwnych i czerwonych nosów. Większość tych ludzi kojarzyła z widzenia.

Nagle ujrzała kogoś, kogo naprawdę rozpoznała. Wciśnięty w boks na tyłach baru, obściskiwał jakąś rudą, której najwyraźniej się to nie podobało. Minęło kilka lat, ale wyglądał dokładnie tak samo. Nie zmieniła się nawet ta jego śmiechu warta męska trwała.

Matt Cromley.

Sanitariusz, który obmacywał ją i Heather, i Bóg wie ile jeszcze innych kobiet w szpitalu w Blackthorn. Po tylu latach na jego widok w głowie Tiny odblokowała się szufladka ze złymi wspomnieniami. Przypomniała sobie, jak wciągał ją do składziku i wpychał łapy w jej majtki, sycząc: „Nikomuni słowa, rozumiano? Albo zmienię ci życie w piekło. W prawdziwe piekło”.

Powiedziała tylko Joemu. Tak go to rozzłościło, że chciał zadźgać oblecha, a przecież właśnie za coś takiego wylądował w psychiatryku. Jakiś gnojek w szkole policealnej ciągle go dręczył i Joe w obronie wbił mu w bok nóż do steków.

Tina powstrzymała go, a teraz tego pożałowała. Złamasom w rodzaju Matta Cromleya nie powinno się odpuszczać.

Dlatego Tina raz-dwa dopiła drinka i chyłkiem wróciła do kuchni po parę rzeczy. Potem niepostrzeżenie zbliżyła się do jego boksu, posłała mu uwodzicielski uśmiech i rzuciła półgłosem:

– Hej, nieznajomy.

Dziesięć minut później stali w kępie chwastów za barem i Matt już wsadzał jej w dzinsy jedną rękę, a drugą wściekle tarosił swojego miniaturowego fiutka.

– Lubisz to, nie? – charczał. – Lubisz, jak Matty cię pieści?

Tina kiwnęła głową, choć gdy jej dotykał, chciało jej się rzygać. Ale jakoś to zniosła. Wiedziała, że to nie potrwa długo.

– Ilu dziewczynom to robiłeś? – spytała. – Tam, w Blackthorn?

– Nie wiem – wydyszał jej do ucha chrapliwym głosem. – Dziesięciu, jedenastu, może dwunastu.

Ciało Tiny zeszywniało.

– To za nie wszystkie.

Rąbnęła go łokciem w brzuch, aż zgiął się wpół i cofnął, wysuwając z jej spodni zimne, obłe łapsko. Odwróciła się błyskawicznie i zadała mu serię ciosów. Szybkich, celnych ciosów w nos. Drań padł na kolana, przyciskając dłonie do twarzy, aby zatamować strumień krwi.

Wtedy Tina go kopnęła. W brzuch. W żebra. W krocze.

A kiedy leżał na plecach, zwijając się z bólu, wepchnęła mu do gęby ścierkę do mycia naczyń. Zdarła z niego dzinsy i bieliznę. Rozszarpała koszulę, rozrywając szwy, aż z ramion zwisały jedynie strzępy materiału. Potem sięgnęła po znaleziony pod kuchennym zlewem sznur i związała mu nadgarstki i kostki, tak by nie mógł się ruszyć. Błyskawicznie wyjęła z kieszeni czarny marker zwędzony z tablicy suchościeralnej, na której codziennie wypisywano promocje na drinki. Zdjęła zatyczkę zębami i na nagim torsie Matta Cromleya nabazgrała trzy słowa.

GWAŁCICIEL. ZBOK. ŚCIERWO.

I odeszła, zabierając jego ubranie ze sobą.



DZIEWIĘĆ LAT PO PINE COTTAGE

Był październik, więc myślała o Joem. Jak zawsze, gdy nadchodziła jesień. Nawet dziewięć lat później rześki chłód w powietrzu sprawiał, że oczyma wyobraźni widziała go przemykającego się korytarzem w tym jego piaskowym swetrze. „Zaczekaj na mnie!”, zawołała za nim gorączkowym szeptem, kiedy dotarła do tylnych drzwi, próbując go dogonić.

Co roku zdawało jej się, że będzie inaczej, że te wspomnienia zbledną. Teraz jednak podejrzewała, że stały się jej nieodłączną częścią. Jak ten napis na nadgarstku.

Miała przerwę, więc stała na tyłach knajpy, paląc papierosa. Potarła kciukiem ciemne, gładkie litery.

PRZETRWAŁAM

Minęło sześć lat, odkąd zrobiła ten tatuaż. Na długo zanim pojechała na północ do Bangor. Sprawiała go sobie w przypiływie natchnienia, po tym jak wypisała tamte trzy słowa na różowym, tłustym cielsku Matta Cromleya. Nigdy nie żałowała swojej decyzji. Dzięki tatuażowi poczuła się silna, choć później trochę się obawiała, że niektórzy klienci mogą się poczuć zniesmaczeni i dawać jej mniejsze napiwki. Skutek był jednak odwrotny: dostawała więcej. Z litości. Dzięki temu mogła sobie kupić samochód. Nic specjalnego, zwykły używany ford escort, ale co tam. Miał cztery koła i jeździł.

Była pora lunchu i do knajpy zaczął napływać tłumek klientów. Tina знаła większość z nich. Pracowała tam wystarczająco długo, by wiedzieć, kim są i co lubią. Tego dnia wśród gości znalazł się tylko jeden nieznajomy – ubrany na czarno młody got. Gapił się na nią w taki sposób, że poczuła się nieswojo. Kiedy podeszła do niego, by przyjąć zamówienie, spytała:

– Znam cię?

Chłopak podniósł na nią wzrok.

– Nie, ale ja znam ciebie.

– Nie sądzę.

– Jesteś tą dziewczyną – powiedział, wbijając spojrzenie w jej tatuaż. – Tą, którą kiedyś prawie zabili w tamtym hotelu.

Tina strzeliła balonem z gumy do zucia.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie zdradzę twojego sekretu. – Chłopak ściszył głos do szeptu. – Nikomu nie powiem, że jesteś Samantha Boyd.

Zaraz po skończonej zmianie Tina poszła do biblioteki, która dysponowała kilkoma przestarzałymi komputerami. Siedząc pośród ramoli i golców, których nie stać było na dostęp do internetu, wygooglowała Samantha Boyd.

Nie łączyło ich aż takie podobieństwo, aby je wziąć za bliźniaczki.

Tina była nieco szczuplejsza od Samantha i miały trochę inne oczy. Niemniej były do siebie podobne. A byłyby jeszcze bardziej, gdyby Tina ufarbowała włosy na czarno jak tamten got.

Znowu pomyślała o Joem. To było silniejsze od niej. Po wpisaniu jego imienia i nazwiska w wyszukiwarce na ekranie wyświetliło się to samo zdjęcie, które po morderstwach w Pine Cottage drukowały wszystkie gazety. A wszędzie, gdzie pojawiała się jego podobizna, towarzyszyła jej inna – twarz tamtej dziewczyny.

Quincy Carpenter. Jedynej, która przeżyła.

Tina zapatrzyła się w fotografię Quincy. Potem przeniosła wzrok na Joego. A potem znów na Samanthę Boyd, swojego ciemnowłosego sobowtóra.

Nagle w jej głowie coś się skryształizowało. Plan.



DZIEWIĘĆ LAT I JEDENAŚCIE MIESIĘCY PO PINE COTTAGE

Tina wyciągnęła plecak z bagażnika swojego escorta, powtarzając sobie w duchu, że da radę. Planowała to prawie rok. Przyszykowała się do roli. Wszystkie kwestie wykuła na blachę.

Była gotowa.

Zarzuciła plecak na ramię, pomaszerowała wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką i nacisnęła dzwonek. Kiedy drzwi otworzyła blondynka o życzliwym spojrzeniu, Tina doskonale wiedziała, na kogo patrzy.

– Lisa Milner? – zapytała. – To ja, Samantha.

– Samantha Boyd? – odparła Lisa schrypniętym z emocji głosem.

Tina skinęła głową.

– Wolę Sam.



38

Już nie śpię, tyle że moje oczy jeszcze o tym nie wiedzą. Powieki nie chcą się unieść, choćbym nie wiem jak bardzo wykrzywiała twarz. Chcę je otworzyć palcami, więc próbuję ruszyć ręką, ale nie mogę. Spoczywające na kolanach dłonie są ciężkie jak z ołowiu.

– Wiem, że mnie słyszysz – dobiega mnie głos Tiny. – Możesz mówić?

– Tak. – To słowo jest tak ciche, że trudno je uznać choćby za szept. –
Co...

To wszystko, na co mnie stać. Umysł mam tak bezwładny jak dłonie. Myśli pełzają niczym ślimaki w kałuży błota.

– To minie – mówi Tina.

Już mija. Trochę. Odzyskuję czucie. Przynajmniej na tyle, by sobie uświadomić, że siedzę przepasana czymś, co biegnie ukośnie przez moją klatkę piersiową. To pas bezpieczeństwa. Jestem w samochodzie. Tina siedzi po mojej lewej. Czuję jej obecność. Słyszę skrzypienie skórzanej kierownicy w jej dłoniach, mimo że silnik jest zgaszony, a samochód stoi w miejscu. Zaparkowany.

Napieram na pas, próbując się ruszyć.

– Dlaczego...

– Odpręż się – mówi Tina. – Oszczędzaj siły. Niedługo będziesz ich potrzebowała.

Ale ja dalej wiercę się w fotelu. Sięgam do klamki. Ciężkie palce chwytają tylko powietrze.

– Mogłaś wszystko ułatwić, Quinn – ciągnie Tina. – Wierz mi, chciałam, żeby szybko nam poszło. Żeby nie trwało to dłużej niż jeden dzień. Góra dwa. Pojawiam się, jest miło, a potem ty opowiadasz mi, co pamiętasz z Pine Cottage. I znikam.

Moje palce w końcu dosięgają klamki. Jakimś cudem udaje mi się za nią pociągnąć. Drzwi się otwierają i w twarz uderza mnie poryw leśnego październikowego powietrza. Nachylam się ku niemu, próbując wytoczyć się z auta, ale nie pozwala mi na to pas bezpieczeństwa. Mój otumaniony umysł zupełnie o nim zapomniał. Nie żeby to miało jakieś znaczenie.

Nawet gdyby nic nie krępowało mi ruchów, a ja nie siedziałabym w samochodzie, i tak nie zdołałabym uciec. Nie kiedy ciało mam ciężkie jak z marmuru.

– Zara, chwila! – woła Tina, wciągając mnie z powrotem na fotel. Kiedy wysuwa rękę nad moimi kolanami, żeby zatrzasnąć drzwi, uderzam ją w ramię. Pacnięcia są tak słabe, jakbym ją po przyjacielsku poklepywała.

– To nie musi być dla ciebie nieprzyjemne, mała – dodaje. – Ja tylko chcę usłyszeć prawdę. Co pamiętasz z Pine Cottage?

– Nic – odpowiadam, czując, że znowu panuję nad językiem. Mogę nawet wypowiedzieć całe zdanie. – Nic nie pamiętam.

– Ciągłe to powtarzasz. Ale ja ci nie wierzę. Lisa zapamiętała każdy szczegół. Napisała o tym książkę. Sam też niczego nie zapomniała. Nagrała wywiad, w którym o wszystkim opowiedziała.

Mój umysł zaczyna się rozkręcać. Usta idą za jego przykładem.

– Od dawna się pod nią podszywasz?

– Niezbyt. Od miesiąca czy coś koło tego. Odkąd się okazało, że uchodzi mi to na sucho.

– Dlaczego?

– Bo musiałam odkryć, ile wiesz ty, Quinn – odpowiada. – Po tych wszystkich latach musiałam w końcu dotrzeć do prawdy. Ale potrzebowałam pomocy. Więc podszyłam się pod Sam, bo wiedziałam, że inaczej ani ty, ani Lisa nie raczycie ze mną porozmawiać. Wiedziałam, że ryzykuję i że może mi się nie udać. Ale wiedziałam też, że zwrócę waszą uwagę. Zwłaszcza Lisy. Robiła, co mogła, żeby pomóc mi odkryć jak najwięcej na temat Pine Cottage. Powiedziałam jej, że w ten sposób pomożemy tobie. Że dzięki odzyskaniu pamięci szybciej dojdiesz do siebie. W pierwszej chwili łyknęła to jak młody pelikan, dopiero po paru dniach zaczęła mieć wątpliwości.

– Ale ty nie odpuściłaś – wtrącam. – Zadzwońska do mojej matki.

Tina nie wydaje się zaskoczona, że o tym wiem.

– Tak, kiedy zrozumiałam, że Lisa tego nie robi. Zaraz potem mnie wykopała.

– Bo odkryła, kim naprawdę jesteś. – Czuję, że mówienie dodaje mi sił. Energia znów zaczyna krążyć w moim ciele. Ręce robią się lżejsze. Nogi

też. Mogę swobodnie mówić, nie zastanawiając się nad każdym słowem.

– Znalazła moje prawo jazdy. I trochę pogrzebała w mojej przeszłości.

– Dlatego ją zabiłaś?

Tina tak mocno wali dłońmi w kierownicę, że aż drży całe auto.

– Nie zabiłam jej, Quincy! Lubiłam ją, na miłość boską. Poczulałam się jak świnia, kiedy poznała prawdę.

– Ale i tak do mnie przyjechałaś.

– Prawie z tego pomysłu zrezygnowałam. Nie wydawał się najlepszy. – Wyrywa jej się śmiech, niestosowny i ociekający ironią. – Okazuje się, że miałam rację.

– Czego ty właściwie szukasz?

– Informacji.

– Niby jakich?

– O Joem Hannenie – odpowiada Tina.

To imię i nazwisko spada na mnie jak grom z jasnego nieba – ostatecznie wyrywa mnie z otępienia. Gwałtownie mrugam, między rzęsami migocze różowopomarańczowy blask. Zachód słońca. Promień gasnącego światła pada na deskę rozdzielczą i odbija się od czegoś, co Tina tam położyła.

To nóż. Ten z mojej kuchni.

– No dalej, spróbuj go chwycić. – W głosie Tiny słychać ostrzeżenie. – Gwarantuję ci, że jestem szybsza.

Przenoszę spojrzenie z noża na przednią szybę umazaną śladami wycieraczek i plamami od mokrych liści. Za brudnym szkłem widzę drzewa, zwirowy podjazd i walącą się chatę z powybijanymi oknami po obu stronach pokrytych mchem drzwi.

– Nie – szepczę, na powrót zaciskając powieki. – Nie, nie, nie.

Powtarzam to słowo raz po raz z nadzieją, że dzięki temu to, co widzę, okaże się nieprawdą. Sennym koszmarem. Z którego zaraz się obudzę. Ale to nie jest sen. To jawa. Przekonuję się o tym, gdy tylko znowu otwieram oczy.

Tina przywiozła mnie do Pine Cottage.



39

Czas nie był łaskawy dla tego miejsca – zaniedbane i zbutwiałe, chyli się ku upadkowi. Mniej przypomina budynek, a bardziej obrzydliwy twór wyrastający z leśnego poszycia. Niczym trujący grzyb. Opadłe liście oblepiają dach i krzywo sterczący z niego komin z polnych kamieni, który przywodzi na myśl zepsuty ząb. Zewnętrzne ściany chaty spłowiały i teraz są matowoszare; kępki mchu znaczą je niby ospowate blizny, a ze szczelin w drewnie zwisają uschłe pędy. Tabliczka nadal wisi nad drzwiami, ale jest przekrzywiona, bo jeden z gwoździ kompletnie przerdzewiał.

– Nie wejdę tam! – krzyczę piskliwie, a w każdym słowie słyszę histerię. – Nie zmusisz mnie!

– To nie będzie konieczne – mówi Tina, znacznie spokojniej niż ja. – Wystarczy, że powiesz mi prawdę.

– Powiedziałałam ci już wszystko, co wiem!

Odwraca się do mnie, opierając łokieć na kierownicy.

– Quinn, nikt nie wierzy, że niczego nie pamiętasz. Czytałam transkrypt. Ci gliniarze uważają, że kłamiesz.

– Coop mi wierzy – upieram się.

– Tylko dlatego, że chciał cię przelecieć.

– Uwierz mi, ja naprawdę nic nie pamiętam – błagam. – Przysięgam na Boga!

Tina kręci głową z westchnieniem, a otwierając drzwi po swojej stronie, oznajmia:

– Czyli jednak wchodzimy.

Moje ciało zaczyna dygotać. Adrenalina buzuje mi w żyłach. Zerkam na deskę rozdzielczą i rzucam się na nóż. Tina robi to samo i usuwa go z zasięgu mojej wyciągniętej ręki.

Miała rację. Jest szybsza.

Może z kluczykami pójdzie mi lepiej. Błyskawicznie sięgam po plastikowy brelok, ale Tina znów mnie ubiega. Wyrzywa kluczyki ze stacyjki, a potem razem z nimi i nożem wysiada z samochodu.

– Zaraz wracam – mówi. – Nie próbuj uciekać. Daleko nie zajdziesz.

Oddała się w kierunku chaty, zostawiając mnie samą w aucie, a ja gorączkowo próbuję coś wykombinować. Wtykam kciuk w zapięcie pasa na biodrze. Zatrask puszcza i pas się rozpina. Przetrząsam kieszenie, szukając komórki.

Nie ma jej.

Tina ją zabrała.

Ale mam drugą. Wspomnienie o niej wiruje jak derwisz w moim oszołomionym prochami umyśle. Wkładam dłoń pod bluzkę, aby wymacać palcami ukradziony telefon, który wciąż tam tkwi, bezpiecznie wetknięty pod ramiączko stanika.

Przez przednią szybę obserwuję Tinę przy drzwiach wejściowych chaty. Stoi tuż pod przekrzywioną deseczką z nazwą Pine Cottage i usiłuje dostać się do środka, szarpiąc za gałkę. Kiedy to nie odnosi skutku, rzuca się całym ciałem na drzwi, uderzając w nie ramieniem. Włączam telefon i wstrzymując oddech, sprawdzam poziom naładowania baterii. Ikonka świeci się na czerwono, a do tego zasięg jest bardzo słaby. Tylko jedna kreseczka pojawia się i znika w krótkich odstępach czasu. Wygląda na to, że energii i zasięgu wystarczy mi na jedno połączenie.

Oby.

Nie mogę zadzwonić pod numer alarmowy. Tina mnie usłyszy i odbierze mi komórkę. Albo zrobi coś jeszcze gorszego. Nie mogę ryzykować, nawet jeśli podejrzewam, że to gorsze i tak w końcu nastąpi.

A zatem muszę wysłać esemesa. Czyli zostaje mi tylko Coop. Ponieważ to nie mój telefon, nie rozpozna numeru. Może to i lepiej, zważywszy na to, co zaszło wczorajszej nocy. Rzucam okiem na chatę i widzę, że Tina nadal usiłuje wyważyć drzwi. To moja jedyna szansa.

Z odmętów pamięci przywołuję numer Coopa i szybko piszę wiadomość, stukając palcami w klawisze błyskawicznie rozładowującego się telefonu.

„tu quinn sam mnie porwała do pine cottage pomocy”

Naciskam „wyślij”, a telefon potwierdza krótkim sygnałem, że wiadomość jest w drodze. Zaraz potem ekran gaśnie – bateria wyzionęła ducha – więc wsuwam aparat do kieszeni.

Tinie udaje się w końcu sforsować drzwi wejściowe do chaty. Otwierają się złowieszczo niczym wielka, ziejąca ciemnością paszcza, gotowa połknąć mnie w całości. Światło przednich reflektorów samochodu przecina szybko postępujący zmierzch i ginie w tej mrocznej czeluści, oświetlając jedynie niewielki fragment zakurzonej podłogi we wnętrzu chaty.

Ten widok wystarczy, aby potroić przerażenie, które rozsadza mi płuca. Zupełnie jakby szkło przebijało gąbczastą tkankę, odcinając dopływ powietrza. Kiedy Tina rusza z powrotem w stronę samochodu, nie mam wyboru, jak tylko uciekać.

Niestety nic z tego.

Ustać prosto na nogach to coś zupełnie innego, niż usiedzieć w fotelu. Gdy tylko wysiadam z samochodu, okazuje się, że środki nasenne nadal działają, i zaczynam tracić równowagę. Chwieję się na boki, pewna, że zaraz runę na ziemię. Ale Tina podbiega i mnie podtrzymuje. Przyciska mi nóż do szyi, czuję na skórze jego ostrze.

– Sorry, mała – mówi Tina. – Nie wywiniesz się.

Wlecze mnie w stronę chaty, choć miotam się w jej uścisku. Wbijam obcasy w żwir, co jednak wcale nas nie spowalnia, a jedynym skutkiem moich prób stawiania oporu są ciągnące się za nami bliźniacze bruzdy. Jedno ramię mam unieruchomione, bo Tina przyciska je ręką. Tą, w której trzyma nóż, którego co prawda nie widzę, ale za to wyraźnie go czuję. Uderzam podbródkiem o jego trzonek za każdym razem, kiedy krzyczę. Czyli często.

Gdy nie krzyczę, usiłuję odwieść Tinę od zrobienia tego, cokolwiek zamierza.

– Nie możesz tego zrobić – dyszę, aż z ust tryska mi ślina. – Jesteś taka jak ja. Jesteś ocalałą.

Tina nie odpowiada. Po prostu wlecze mnie w stronę chaty, od której teraz dzieli nas już tylko jakieś dziesięć metrów.

– Twój ojczym cię wykorzystywał, prawda? Dlatego go zabiłaś?

– Coś w tym rodzaju, tak – potwierdza Tina.

Nieco rozluźnia uścisk. Ledwie odrobinę. Ale to wystarczy, abym wiedziała, że powoli zacznę do niej docierać.

– Zamknęli cię w Blackthorn – ciągnę – chociaż wcale nie byłaś szalona. Po prostu się broniłaś. Przed nim. I od tamtej pory nadal to robisz. Chronisz kobiety. Krzywdzisz facetów, którzy robią im krzywdę.

– Milcz – rzuca Tina.

Nie milknę. Nie mogę.

– A w Blackthorn poznałaś Jego.

Te słowa nie dotyczą już Earla Potasha, a Tina dobrze o tym wie, bo nagle mówi:

– On miał imię, Quincy.

– Byliście sobie bliscy? Był twoim chłopakiem?

– Moim przyjacielem – odpowiada Tina. – Jedynym cholernym przyjacielem w życiu.

Przestaje mnie wlec do chaty. Zacieśnia uścisk, aż krawędź noża wpija się w ciało tuż pod moim podbródkiem. Chcę przełknąć ślinę, ale nie mogę – ze strachu, że wtedy ostrze przebije skórę.

– Wypowiedz jego imię – rozkazuje Tina. – Musisz je powiedzieć, Quincy.

– Nie mogę – jęczę. – Proszę, nie zmuszaj mnie.

– Możesz. I zrobisz to.

– Proszę. – Głos mam zdławiony i ledwo mnie słychać. – Proszę, nie.

– Wypowiedz, kurwa, jego imię.

Mimowolnie przetykam ślinę. Ten ruch sprawia, że ostrze noża mocniej napiera na moją szyję. Draśnięcie piecze jak oparzenie. Pali i pulsuje. Wyciska łzy z oczu.

– Joe Hannen.

Te dwa słowa pociągają za sobą falę wymiotów. Tina ani na chwilę nie odsuwa noża, kiedy opróżniam zawartość żołądka. Kawa, sok winogronowy i okruchy tabletek, które jeszcze nie zdążyły przeniknąć do mojego krwiobiegu.

Gdy jest po wszystkim, wcale nie czuję się lepiej. Nie z nożem, który wciąż wciska mi się w szyję. I nie kiedy od Pine Cottage dzieli mnie tylko pięć metrów. Dalej mam mdłości i kręci mi się w głowie. A ponad to wszystko jestem wykończona, osłabienie mojego ciała graniczy z paraliżem.

Tina znowu zaczyna ciągnąć mnie w stronę chaty, a ja bezwolnie się jej poddam. Nie mam już siły do walki. Mogę tylko płakać – z oczu płyną mi łzy, a z podbródka ściekają strużki wymiocin.

– Dlaczego? – pytam.

Ale już znam odpowiedź. Ona tu wtedy była. Tamtej nocy. Z Nim. Pomogła Mu zabić Janelle i pozostałych. Tak jak wcześniej pomogła Mu zamordować tamtych turystów w lesie. I tak jak potem zabiła Lisę, choć uparcie się tego wypiera.

– Bo muszę się dowiedzieć, ile pamiętasz – odpowiada Tina.

– Ale dlaczego?

Bo to jej pomoże zdecydować, czy i ja powinnam umrzeć. Tak jak Lisa.

Docieramy do drzwi, tej podstępnej paszczy. Czeluść tchnie chłodem, zdaje się coś szeptać, przejmuje dreszczem.

Zaczynam krzyczeć. Z przepełnionego żółcią gardła wrywa się paniczny wrzask.

– Nie! Błagam, nie!

Tak kurczowo zaciskam palce wolnej ręki na futrynie, że paznokcie wbijają się w drewno. Wystarczy jedno ostre szarpnięcie Tiny i kawałek drewna, który ściskam, odłamuje się z trzaskiem. Wypuszczam go z dłoni, nie przestając przeraźliwie krzyczeć.

Pine Cottage powitał mnie w swoich progach.



40

Milknę, gdy tylko znajduję się w środku.

Nie chcę, żeby Pine Cottage wiedział, że tu jestem.

Tina mnie puszczą i popycha naprzód. Zataczam się na śliskiej podłodze i zatrzymuję dopiero pośrodku salonu. Na szczęście wewnątrz chaty spowija ciemność. Brudne okna blokują większość gasnącego światła dnia. Przez otwarte drzwi wpada żółta poświata reflektorów samochodowych i kładzie się jasnym prostokątem na podłodze. Jego środek przesłania cień Tiny, która stoi z założonymi na piersi rękami, odcinając mi drogę ucieczki.

– Coś ci się przypomina? – pyta.

Rozglądam się z ciekawością zmieszaną z przerażeniem. Na ścianach powstały ciemne zacieki z wody. A może z krwi. Staram się omijać je

wzrokiem. Na suficie też widać plamy – okrągłe. To zdecydowanie woda. Między krokwiami pełno jest pajęczyn i gniazd. Spore fragmenty podłogi upstrzone są ptasimi odchodami. W kącie leży zdechła, niemal zmumifikowana mysz.

Całe wnętrze zostało opróżnione, a wszystkie rustykalne meble wywiezione i – miejmy nadzieję – spalone. Z tego względu pokój wydaje się większy, w przeciwieństwie do kominka, który okazuje się mniejszy, niż go zapamiętałam. Jego widok przywodzi mi na myśl klęczących przed nim Craiga i Rodneya – chłopców, którzy usiłowali zachowywać się jak prawdziwi mężczyźni, majstrując przy rozpalce i zapalkach.

Inne wspomnienia napływają do mnie w postaci krótkich, szybko zmieniających się obrazów. Jakbym przerzucała kanały w telewizorze, zatrzymując się na każdym przez sekundę i oglądając migawki z filmów, które na pewno już kiedyś widziałam.

Janelle tańczy boso na środku pokoju i wyśpiewuje naszą ukochaną piosenkę, aż wszyscy inni mają jej dość.

Betz i Amy przygotowują kurczaka, sprzecząc się o coś, a potem zgodnie chichoczą.

I wreszcie On. Gapi się na mnie z drugiego końca pokoju. Oczami ukrytymi za brudnymi szklami okularów. Tak jakby wiedział, że wkrótce do czegoś między nami dojdzie.

– Nie – odpowiadam, a w pustym pokoju mój głos brzmi donośniej. – Nic nie pamiętam.

Tina odchodzi od drzwi i mocnym szarpnięciem stawia mnie na nogi.

– Rozejrzyjmy się.

Ciągnie mnie w stronę otwartej kuchni, obecnie pustej jak wydrążony orzech. Po zdemontowanej kuchence został tylko kwadrat podłogi zasypany liśćmi, ziemią i zwiewnymi kłębami kurzu. Szafki nie mają drzwiczek. Na

ogółoconych półkach walają się mysie odchody. Ale zlew nadal jest na swoim miejscu, chociaż przeżarty rdzą w czterech miejscach. Przytrzymuję się jego krawędzi dla utrzymania równowagi. Nogi mam jak z waty. Ledwo je czuję. Jakbym się unosiła w powietrzu.

– Nic? – pyta Tina.

– Nie.

Więc przechodzimy na korytarz, Tina idzie przodem, bezlitośnie i boleśnie zaciskając dłoń na moim ramieniu. Stąpa ciężko, a ja płynę.

Obie zatrzymujemy się przed pokojem z piętrowym łóżkiem. To sypialnia Betz. Jest pusta, jeśli nie liczyć leżącej na środku podłogi szarej szmaty. To pomieszczenie nie przywołuje żadnych wspomnień. Nigdy wcześniej do niego nie wchodziłam.

Milczę, więc Tina ciągnie mnie dalej, do pokoju, który miałam dzielić z Janelle. Tak jak w akademiku. Wciąż stoi tu jedno z dwóch łóżek, choć pozbawione materaca. Została tylko upstrzona cętkami rdzy goła rama odsunięta od ściany.

W przeciwieństwie do poprzedniego ten pokój budzi wspomnienia. Przypominam sobie, jak rozmawiałyśmy tu z Janelle o seksie, przymierzając sukienki. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie włożyła tej białej kiecki, którą pożyczyła mi Janelle. Gdybym uparła się spędzić tamtą noc tutaj, a nie w pokoju w głębi korytarza.

Tina rzuca mi badawcze spojrzenie.

– Masz coś?

– Nie. – Czuję, że z oczu ciekną mi łzy. Powrót w to miejsce, ponowne przeżywanie tamtych chwil to dla mnie zbyt wiele.

Nie tracąc czasu, Tina ciągnie mnie do sypialni po drugiej stronie korytarza. Łóżko wodne zniknęło, rzecz jasna. Wszystko inne też. Jedynym zwracającym uwagę elementem w tym pustym pokoju jest pokaźny ciemny

fragment przegniłej podłogi. Rozciąga się aż do drzwi, biegnie pod naszymi stopami, a potem dalej, przez cały korytarz, do ostatniej sypialni.

Mojej sypialni.

Waham się przed wejściem do środka. Nie chcę sobie przypominać, co tam robiłam. Z Nim. Ani co zrobiłam potem, kiedy pobiegłam do lasu jak wariatka. Z nożem w rękę. Nie chcę pamiętać, że cisnęłam go tam na ziemię, gdy tylko oprzytomniałam. Bo to tak, jakbym sama włożyła Mu go do rąk.

To wszystko przeze mnie.

Nawet jeśli to On ich zamordował, a Tina mu pomagała, ja za to odpowiadam. Mnie jednak nie zabił – mimo że miał okazję. Chciał, abym przeżyła. Rany, które mi zadał, nie były śmiertelne, co później wzbudziło podejrzenia Cole'a i Freemonta. Oszczędził mnie z uwagi na to, co zrobił mi wcześniej. Na co mu pozwoliłam.

Ocalałam tylko dlatego, że uprawiałam z Nim seks.

Teraz to wiem.

Wiedziałam cały czas.

Tina zauważyła zmianę w mojej twarzy. Skurcz. Drgnięcie.

– Przypomniałaś sobie coś nowego.

– Nie.

To kłamstwo.

Jest coś nowego. Strzęp wspomnienia, którego wcześniej nie miałam.

Jestem w tym pokoju.

Leżę na podłodze.

Spod zamkniętych drzwi sączy się woda, napływa ku mnie, otacza mnie. Zalewa mi włosy, ramiona i całe ciało, które wije się w konwulsjach

z bólu i przerażenia. Ktoś siedzi obok mnie. W jego urywanym oddechu pobrzmiwają łzy.

„Dasz radę. Oboje damy radę”.

Za drzwiami rozlega się złowieszcze szuranie i chlupot. Odgłos kroków w wodzie. Są tuż-tuż.

Kolejne wspomnienia. Krótkie przebłyski. Walenie w drzwi. Szarpanie za gałkę. Głośny trzask. Drzwi otwierają się gwałtownie i z hukiem uderzają w ścianę. Księżycowa poświata pada na ostrze noża, błyska czerwień.

Krzyczę.

Wtedy.

Teraz.

Te dwa krzyki zderzają się ze sobą i już sama nie wiem, który rozlega się w teraźniejszości, a który należy do przeszłości. Gdy ktoś mnie chwytą, zaczynam wrzeszczeć i kopać, żeby się uwolnić, choć nie mam pojęcia, z kim walczę ani co się ze mną dzieje.

– Quincy. – Przez moje oszołomienie przedziera się głos Tiny. – Quincy, co jest grane?

Podnoszę na nią wzrok, wreszcie czując, że jestem tu i teraz. Wciąż trzyma w ręku nóż, który mi uzmysławia, że nie mogę jej rozczarować.

– Zaczynam sobie przypominać – szepczę.



41

Szczegóły.

Wreszcie.

Pamiętam przyływy i odpływy świadomości, gdy na zmianę otwieram i zamykam oczy. Jakbym tkwiła w zamkniętym pokoju, w którym ktoś zapala i gasi światło. Przewracam się na plecy z nadzieją, że w tej pozycji rany zadane nożem w bark będą bolały mniej. Nic z tego.

Gwiazdy nade mną zdają się wirować, a z tarasu dobiegają paniczne krzyki moich przyjaciół przepychających się w wejściu do domu.

„A co z Quinn? – pyta ktoś płaczącym głosem, być może to Amy. – Co z nią?”

„Ona nie żyje”.

Ten głos znam. Zdecydowanie należy do Craiga.

Tylne drzwi zatrząskują się z głośnym łupnięciem. Szczeka zamek.

Chcę spojrzeć, ale nie jestem w stanie. Ból rozrywa mi bark, kiedy próbuję obrócić głowę. Strasznie boli. Pali jak ogień. I jeszcze ta krew. Mnóstwo krwi. Tryska w rytm panicznego bicia mojego serca.

On wciąż idzie w stronę chaty, słyszę chrzęst jego butów na oszronionym trawniku. Kiedy dociera do tarasu, chrzęst szronu zmienia się w skrzypienie drewna. We wnętrzu Pine Cottage ktoś krzyczy tuż przy oknie, ale szyba skutecznie tłumi hałas.

Zaraz potem rozlega się brzęk rozbijanego szkła.

Znów szczeka zamek, skrzypią drzwi i słysząc krzyki ludzi uciekających w głąb chaty. Stopniowo cichną, aż w końcu zostaje tylko jeden. To głos Amy. Przez otwarte drzwi jej wrzask dociera do mnie bez przeszkód. I nagle się urywa. Zastępuje go makabryczny bulgot.

Amy milknie.

Z jękiem zamykam oczy.

I znów gaśnie światło.

Budzi mnie szarpnięcie. Ktoś kładzie ręce na moich ramionach i usiłuje podnieść mnie z ziemi. Ten ruch sprawia, że ból w moim barku wybucha z nową siłą. Wyrzywa mi się okrzyk, który czym prędzej zostaje uciszony ostrzegawczym szeptem.

„Cicho!”

Otwieram oczy i po jednej mojej stronie widzę Betz, a po drugiej Rodneya. Ręce Betz są umazane krwią. Na wszystkim, czego dotyka, zostawia czerwone plamy. Mam na sobie pełno jej szkarłatnych odcisków.

Rodney także jest zakrwawiony. Czerwone smugi znaczą jego twarz i bark, a opaska uciskowa na przedramieniu jest przesiąknięta posoką.

„Chodź, Quinn – słyszę jego szept. – Wynosimy się stąd”.

Zarzucają sobie moje ręce na ramiona, nieświadomie zadając mi tyle bólu, że chce mi się wyć. Tłumię ten krzyk w gardle, prawie się nim dławiąc.

Gdy odchodzimy, przed oczami miga mi obraz Janelle – w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłam. Leży na boku ze zwieszoną głową i szeroko otwartymi oczami. Jedną rękę wyciąga przed siebie na zalanej krwią trawie, jakby błagała mnie, żebym została.

Porzucamy ją jednak i nasza trójka oddala się w stronę chaty. Betz i Rodney właściwie mnie niosą. Ja ledwo się ruszam, osłabiona od utraty krwi i otumaniona bólem. Jestem tak bezradna, że Rodney musi mnie wnieść po schodkach na taras.

Potem znowu stawiają mnie na nogi i szepczą do siebie:

„Jest tam?”

„Nie widzę go”.

„Dokąd poszedł?”

„Nie wiem”.

Milkną, nasłuchując. Ja też wyteżam słuch, ale do moich uszu dochodzą jedynie odgłosy nocy – cykanie ostatnich świerszczy tej jesieni, trzaski ogołoconych gałęzi, upiorny szept opadających liści. Poza tym otacza nas cisza.

Ruszamy dalej, tym razem szybciej. Rozbite szkło chrzęści nam pod butami, gdy przekraczamy próg i wpadamy do chaty.

Amy leży tuż za drzwiami, oparta o ścianę niczym porzucona lalka. Nawet ją przypomina. Oczy ma puste jak plastikowe guziki, ramiona bezwładnie rozrzucone na boki.

„Nie patrz – szepcze Rodney załamującym się głosem. – To nie jest prawdziwe. Nic z tego nie jest prawdziwe”.

Chcę mu uwierzyć. I już prawie mi się udaje. Ale wtedy włączymy w kałużę krwi, ślizgam się w lepkiej mazi i wyrywa mi się głośny okrzyk. Rodney zasłania mi usta, ostrzegawczo kręcąc głową.

Docieramy do salonu i podchodzimy do okna przy drzwiach frontowych.

„Dokąd idziemy?”, pytam szeptem.

„Jak najdalej stąd”, odszeptuje Rodney.

Całą trójką stoimy przy oknie i wyglądamy na zewnątrz. Nie mam pojęcia po co. I nagle rozumiem.

Na dworze jest Craig. Biegnie pochylony w kierunku SUV-a, którym tu przyjechaliśmy. I w którym znajdują się wszystkie nasze komórki. Craig powoli, trzęsącymi się rękami otwiera drzwi i nagle się wzdryga, kiedy w aucie zapala się światełko. Potem wsiada do środka i odpala silnik.

„Teraz!”, krzyczy Rodney.

Betz gwałtownym ruchem otwiera drzwi i wyskakujemy na zewnątrz. Zalewające nas światło reflektorów SUV-a rzuca nasze cienie na ścianę chaty. Odwracam się, by na nie spojrzeć – trzy ciemne olbrzymy, ogromne i złowieszcze.

Obok nich pojawia się czwarty. Trzyma nóż, którego cień jest długi na metr.

Nagle czuję, że ktoś ciągnie mnie z powrotem do Pine Cottage. Znów słyszę krzyki. To Betz. A może i ja.

Rodney zatrzaskuje drzwi chaty od środka i podpira je zniszczonym fotelem. Betz i ja znowu stoimy przy oknie. Omiatają nas reflektory SUV-a, gdy Craig zawraca na trzy.

„On odjeżdża! – wyje Betz. – Ucieka bez nas!”

Samochód oddala się o jakieś trzy metry, po czym uderza w rosnący przy podjeździe wielki klon. Na przednią szybę spada deszcz liści. Z wgniecionej maskownicy z sykiem ulatnia się para. Silnik krztusi się i gaśnie.

We wnętrzu auta Craig wali głową w kierownicę, trafiając podbródkiem w klakson. Nocną ciszę rozdziera jednostajne trąbienie.

Cień z nożem błyskawicznie doskakuje do SUV-a, gwałtownym szarpnięciem otwiera drzwi i wywleka Craiga na zewnątrz.

Klakson milknie. Znowu zapada cisza.

Mimo uderzenia głową w kierownicę Craig jest przytomny. Nie wydaje jednak ani jednego dźwięku, kiedy napastnik powala go na kolana przy samochodzie. Patrzy tylko przed siebie, a w jego oczach błyszczy przerażenie.

Odwracam się od okna, czując nagły zawrót głowy. Zataczam się na ścianę i osuwam po niej w dół, a podłoga wychodzi mi na spotkanie. Tuż zanim wszystko znów ginie w mroku, Craig w końcu zaczyna krzyczeć.

Później.

Nie wiem, ile dokładnie minęło czasu.

Leżę na podłodze w jednej z sypialni. W mojej. Rozpoznaję wiszące na ścianie ozdobne narzuty. Spod drzwi wypływa woda. Nie wiem, skąd się bierze. Pękła rura? Powódź?

Wiem tylko, że jestem mokra, zakrwawiona i bardziej przerażona niż kiedykolwiek w życiu.

Gdy wyrywa mi się jęk, Rodney szepcze:

„Dasz radę. Oboje damy radę”.

Siedzi skulony obok mnie, okryty jedną z narzut ze ściany. We włosach ma krew.

„Gdzie jest Betz?” – pytam szeptem.

Rodney nie odpowiada.

Za drzwiami i oknem panuje cisza. Milczą nawet świerszcze, a drzewa i liście zastygły w bezgłośnym bezruchu. Nagle na korytarzu rozlega się jakiś dźwięk.

Kroki.

Stawiane w rozlanej wodzie, powoli i ostrożnie. Każde chlupnięcie przypomina mi odgłos mopa mojej matki przesuwanego po kuchennej podłodze.

Chlup, szur.

Chlup, szur.

Ktoś zatrzymuje się tuż za drzwiami.

Spoglądam na Rodneya, oczami zadając mu pytanie, którego nie śmiem zadać na głos: „Zamknąłeś drzwi na klucz?”.

Kiwa głową. Gałka grzechocze.

A potem coś wali w drzwi, aż się uginają, jakby miały wylecieć z zawiasów. Kolejne łupnięcie sprawia, że ze strachu zrywam się na równe nogi. Drzwi stają otworem i widzę złowrogi błysk noża.

Krzyczę.

I zamykam oczy.

Nóż wbija mi się w brzuch. Wypełnia mnie. Gwałci stalowym ostrzem. Gdy ze mnie wychodzi, biorę chrapliwy wdech przez zaciśnięte zęby i osuwam się na podłogę.

„Quincy, nie!”

Rodney rzuca się naprzód i zasłania mnie własnym ciałem. Nie otwieram oczu. Nie jestem w stanie. Znowu zgasły światła. Mogę jedynie słuchać odgłosów walki, która przenosi się na korytarz. Słyszę, jak Rodney stęka i klnie, zmagając się z napastnikiem.

Nagle wydaje jeden krótki, zdławiony skowyt.

A potem zalega cisza.

Jeszcze później.

Znowu budzę się w zalanym pokoju. Moim pokoju.

W chacie panuje cisza. Milczą świerszcze, drzewa i liście. Wszystko albo umarło, albo uciekło. Wszystko prócz mnie.

Podciągam się do pozycji siedzącej. Rozcięty brzuch boli mnie bardziej niż bark. Obie rany nadal krwawią. Sukienka jest przesiąknięta krwią i wodą. Głównie krwią. Która jest gęstsza.

Jakimś cudem udaje mi się stanąć na nogi – stopy mam bose, Bóg jeden wie, gdzie są moje buty. To nie koniec cudów: na tych umęczonych nogach wychodzę na korytarz i nie przewracam się nawet wtedy, gdy w sąsiednim pokoju widzę martwą Betz leżącą w kałuży wody z rozciętego nożem łóżka wodnego.

Rodney leży w głębi korytarza, też martwy. Przechodzę nad jego zwłokami, omijając je wzrokiem.

„To nie jest prawdziwe – szepczę do siebie. – Nic z tego nie jest prawdziwe”.

Wchodzę do salonu i zatrzymuję się przy kominku, drżąc z zimna i utraty krwi. Dopiero wtedy Go zauważam. Stoi na czworakach obok Amy niczym pies obwąchujący znalezione padlinę, nim zatopi w niej kły.

Z Jego gardła wydobywają się dziwne odgłosy. Ciche skomlenie. Pies cierpi.

Nagle wyczuwa moją obecność i obraca głowę, by na mnie spojrzeć. Na podłodze obok Niego leży nóż, poczerniały od świeżej krwi. Chwyta go i unosi nad głowę.

„Chciałem odejść – mówi, ciężko dysząc. – Usłyszałem krzyki. Zawróciłem. I ujrzałem...”

Reszty nie słyszę, bo rzucam się do ucieczki. Strach, ból i wściekłość eksplodują we mnie, zlewają się ze sobą, bulgoczą mi w żyłach, jakby zachodziła we mnie jakaś reakcja chemiczna. Biegnę, nie zatrzymując się.

Wypadam z chaty.

Pędzę do lasu.

A z moich ust wyrywa się nieprzerwany krzyk.



42

Wspomnienia wracają wszystkie naraz. Niczym wstająca z grobów horda zombie chwytają mnie obłężącymi ze skóry rękami. Próbuję się z nich otrząsnąć, ale na próżno. Dopadają mnie jedno wspomnienie po drugim, osaczają, obez władniają i przyprawiają o konwulsje. Wszystkie te dźwięki i obrazy, które tak długo tłumiłam, teraz wróciły i wtargnęły w mój umysł, który odtwarza je wciąż od nowa, bez końca.

Amy o oczach martwych jak u lalki.

Siłą wywlekany z SUV-a Craig.

Wręcz namacalne przerażenie i rozpacz Betz i Rodneya.

Oni widzieli więcej niż ja. Widzieli wszystko.

A jednak ja zobaczyłam coś, czego oni zobaczyć nie mogli. Jego. Pełzającego wokół Amy, skomlącego, chwytającego i unoszącego nóż.

Ten obraz powtarza się najczęściej. Jest w nim coś osobliwego i nie do końca zrozumiałego.

Wyrywam się z uścisku Tiny i biegnę korytarzem, pokonując odrętwiałość nóg, pchana siłą wspomnień. Mam płytki oddech. Serce wali mi jak szalone.

Nie zatrzymuję się, póki nie docieram do salonu. Do miejsca, od którego zaczęłyśmy tę podróż w przeszłość. Stoję dokładnie tam, gdzie stałam dziesięć lat temu, i wbijam wzrok w miejsce, w którym Go wtedy widziałam. Mam wrażenie, jakby wciąż tam był, zastygły w bezruchu od dekady. Widzę nóż w Jego uniesionej ręce. Widzę upaprane szkła Jego okularów, a za nimi dwa księżycy w pełni – szeroko otwarte, nierozumiejące oczy, z których wyziera strach.

Przede mną.

On bał się mnie.

Myślał, że zrobię mu krzywdę. Że to ja wymordowałam pozostałych.

Osuwam się na kolana, gwałtownie wciągam w płuca zakurzone powietrze i zaczynam się krztusić.

– To nie on – wyrzucam z siebie, gdy moim ciałem wstrząsają ataki kaszlu. – On tego nie zrobił.

Tina podbiega do mnie, opuszczając rękę i zapominając o trzymanym w niej nożu. Pada przede mną na kolana i chwyta mnie mocno za ramiona. Tak mocno, że to boli.

– Jesteś pewna? – W jej słowach słychać nadzieję. Drżącą, niepewną, rozpaczliwą nadzieję. – Powiedz, że jesteś pewna.

– Jestem pewna.

Wreszcie rozumiem, po co tu przyjechałyśmy. Dlaczego Tina szukała kontaktu z Lisą i ze mną. Chciała, żebym sobie wszystko przypomniała, aby dowieść niewinności Joego – raz na zawsze potwierdzić, że nie popełnił tej zbrodni.

Zrobiła to wszystko dla niego.

Dla Joego.

– Chciałam pójść z nim – opowiada Tina. – Uciec. Razem. Ale kazał mi zostać. Nawet kiedy poszłam za nim korytarzem do tych popsutych drzwi. Mówił, że po mnie wróci. Więc zostałam. A potem mi powiedzieli, że on nie żyje. Że zabił całą grupę ludzi. Ale ja wiedziałam, że to nieprawda.

– Ja nie – mówię głucho. – Naprawdę sądziłam, że to on.

– Więc kto to zrobił? Kto ich zabił?

W gardle rośnie mi gorzka jak żółć gula niedowierzania. Znowu kaszlę, próbując ją przełknąć.

– Ktoś inny.

– Ty? – dopytuje się. – To byłaś ty, Quinn?

Ma prawo tak myśleć, bez dwóch zdań. Tak wiele zapomniałam. A ona widziała mnie w napadzie szału. Ostatecznie taki był jej cel. Rozjuszyc mnie, doprowadzić do wściekłości, przekonać się, do czego jestem zdolna. Nie zawiodłam jej.

– Nie – odpowiadam. – Przysięgam, że tego nie zrobiłam.

– W takim razie kto?

Kręcę głową. Brak mi tchu, nie mam już sił.

– Nie wiem.

A jednak wiem. Przynajmniej tak mi się zdaje. Wraca kolejne wspomnienie. Dopiero teraz, guzdrała. Widzę w nim siebie: biegnę przez las i nagle dostrzegam coś przed sobą.

Kogoś.

– Znowu coś sobie przypomniałaś – zauważa Tina.

Przytakuję. Zamykam oczy. Myślę. Z taką intensywnością, że w głowie zaczyna mi pulsować. I nagle to widzę, tak wyraźnie jak w dniu, w którym się to stało. Biegnę przez las, krzyczę, gałąź uderza mnie w twarz. Widzę światła samochodu. I rysującą się na ich tle sylwetkę mężczyzny.

To policjant. Poznaję po mundurze.

Jest pokryty czymś ciemnym i wilgotnym. W przyćmionym blasku księżyca wydaje się umorusany olejem silnikowym. A jednak to coś innego. Biegnąc ku niemu, wiem, że mundur jest przesiąknięty krwią.

Moją. Janelle. I wszystkich innych.

Jestem jednak zbyt przerażona, by jasno myśleć. Zwłaszcza że gdzieś w lesie czai się Joe. Ściga mnie. A ja nadal czuję smak jego ust.

Więc pędzę prosto ku policjantowi, obejmuję go, przyciskam sukienkę do jego munduru.

Krew do krwi.

„Oni nie żyją – wykrztuszam. – Wszyscy nie żyją. A on tam wciąż jest”.

I nagle pojawia się Joe, wypada spomiędzy drzew. Policjant sięga po broń i strzela trzy razy. Dwie kule trafiają w klatkę piersiową, jedna w głowę. Huk we wspomnieniu jest równie głośny jak wtedy, w rzeczywistości.

Słyszę czwarty strzał.

Głośniejszy niż tamte.

Z pewnością realny.

Niesie się echem po całym Pine Cottage, odbija od ścian. Energia pocisku wpada przez otwarte drzwi, śmiga w głąb chaty. Wypełnia sobą cały salon.

Czuję na twarzy coś gorącego i wilgotnego.

Wrzeszczę przeraźliwie i wytrzeszczam oczy, by ujrzeć, jak Tina osuwa się na bok. Wyrzucona w górę ręka bezwładnie opada za głowę, knykcie uderzają o deski podłogi i z rozluźnionych palców wypada nóż. Spod ciała zaczyna wypływać krew; kałuża szybko się powiększa.

Tina leży bez ruchu. Nawet nie jestem pewna, czy jeszcze żyje.

– Tina? – wołam, potrząsając nią. – Tina?!

Od drzwi dobiega mnie jakiś odgłos. Czyjś oddech. Podnoszę wzrok i w progu widzę Coopa. Nawet w ciemności dostrzegam błysk jego błękitnych oczu, kiedy opuszcza broń.

– Quincy – mówi ze skinieniem głowy.

Jak zawsze.



43

Natychmiast dostrzegam jego sygnet. Czerwony studencki sygnet, który nosi zamiast obrączki ślubnej. Znajomy, a jednak obcy. Widziałam go tyle razy, że przestałam zauważać. Stał się dla mnie czymś oczywistym, jak wiele innych rzeczy dotyczących Coopa.

To dlatego nie rozpoznałam go na fotografii stojącej na komodzie Lisy Milner. Jego twarzy nie było widać. Tylko rękę, którą obejmował Lisę, i dłoń z sygnetem – jednocześnie widocznym i niewidocznym.

Teraz jednak widzę go wyraźnie na tej samej dłoni, która trzyma glocka. Broń jest co prawda opuszczona, ale palec wskazujący jeszcze drży na cynglu.

– Jesteś ranna? – pyta Coop.

– Nie.

– Dobrze – mówi. – To bardzo dobrze, Quincy.

Robi kolejny krok naprzód – dwa razy dłuższy niż normalny, za sprawą jego długich nóg. Jeszcze jeden i stoi obok nas, górując nade mną i Tiną. A może tylko nade mną. Tina prawdopodobnie już nie żyje, choć nie mam pewności.

Mocnym kopniakiem Coop posyła nóż leżący obok dłoni Tiny w odległy kąt pokoju, gdzie pochłania go mrok.

Ucieczka nie ma sensu. Coop nadal trzyma palec na spuście. Położyłby mnie jednym strzałem. Tak jak Tinę. Zresztą nawet nie jestem pewna, czy mam dość sił do biegu. Rozpacz, pigułki i ciężar wspomnień z tamtej nocy skutecznie paraliżują moje ruchy.

– Przez kilka pierwszych lat zastanawiałem się, ile naprawdę wiesz – mówi Coop. – Gdy zażyczyłaś sobie mojej wizyty w szpitalu, myślałem, że ze mną pogrywasz. Że chcesz, abym był przy tym, jak wyznasz tym detektywom, że wszystko pamiętasz. Mało brakowało, żebym nie przyszedł.

– Więc dlaczego przyszedłeś?

– Bo chyba już wtedy cię kochałem.

Chwieję się lekko, od obrzydzenia kręci mi się w głowie. Kiedy zanadto przechyliłam się w lewo, Coop mocniej przyciska palec do cyngla. Zmuszam się, by znieruchomieć.

– Ile osób było wcześniej? – pytam. – Przed tamtą nocą?

– Trzy.

Odpowiada bez wahania. Z taką samą łatwością, z jaką zamawiałby kawę. Liczyłam przynajmniej na chwilę wahania.

Trzy. Udużona kobieta na poboczu drogi i dwoje biwakowiczów zadźganych w namiocie. Ofiary wymienione w artykule, który znalazłam

w domu Lisy. Myślę, że wiedziała, co ich spotkało. I że właśnie dlatego sama zginęła.

– To choroba – dodaje Coop. – Musisz to zrozumieć, Quincy. Nigdy nie chciałem robić tych rzeczy.

Wyrywa mi się szloch. A kiedy zaczyna mi cieknąć z nosa, nawet nie próbuję go wycierać.

– Więc dlaczego je robiłeś?

– Całe życie spędziłem w tych lasach. Włóczyłem się, polowałem, robiłem rzeczy, na które byłem za młody. Straciłem cnotę na tej wielkiej skale na wzgórzu. – Krzywi się na to wspomnienie, wyraźnie zniesmaczony. – Ze szkolną dziwką. Robiła to z każdym. Nawet ze mną. Po wszystkim zrzygałem się w krzakach. Jezu, strasznie było mi wstyd, że to z nią zrobiłem. Do tego stopnia, że najchętniej skręciłbym jej kark, byle tylko nikomu nic nie powiedziała. Powstrzymał mnie tylko strach przed złapaniem.

Kręcę głową i przykładam dłoń do skroni. Z każdym jego słowem od mojego serca odrywa się kolejny okruch.

– Przestań, proszę.

Ale on nie przestaje. Z ulgą wyrzuca z siebie całe wyznanie.

– Jednak ciekawość pozostała. Kusilo mnie jak diabli. Myślałem, że wojsko mnie z tego wyleczy. Że zabijanie w imię ojczyzny wystarczająco mi te rzeczy obrzydzi. Ale nic z tego. Wszystkie potworności, które tam widziałem, jeszcze pogorszyły sprawę. I ledwo wróciłem do domu, znowu zacząłem się włóczyć po tych lasach. Kiedyś siedziałem w samochodzie z jakąś kurewką, która mi obciągała, bo jej się zdawało, że złapała stopa do Nowego Jorku. Tym razem już się nie bałem. Wojna wysssała ze mnie cały strach. Wtedy naprawdę to zrobiłem.

Ze wszystkich sił usiłuję zachować kamienną twarz. Nie chcę okazać lęku i obrzydzenia, które się we mnie kotłują. Nie chcę, żeby wiedział, co myślę. Nie chcę go rozwścieczyć.

– Poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej nie ulegnę pokusie – ciągnie Coop. – Że wyrwałem ją z siebie jak chwast. Ale ciągle wracałem do tego lasu. Zazwyczaj z nożem. I kiedy ujrzałem tych dwoje turystów, wiedziałem, że nie wyleczyłem się z choroby.

– A teraz?

– Staram się, Quincy. Naprawdę się staram.

– Tamtej nocy się nie postarałeś. – Cała dygoczę. Chciałabym przeszyć go wzrokiem, aby poczuł, jak bardzo go nienawidzę. Z mojego serca nic już nie zostało. Rozpadło się na ostre jak sztylety odłamki.

– Poddawałem się próbie – mówi dalej Coop. – Parkowałem na końcu drogi i podkradałem się do tej chaty, zaglądałem przez okna, pełen nadziei i obaw, że ujrzę coś, co wywoła nawrót choroby. Nic takiego się nie działo. Dopóki nie zobaczyłem ciebie.

Czuję, że jeszcze chwila, a zemdleję. Modlę się o to.

– Miałem odszukać jednego świra, który zwiął z psychiatryka – kontynuuje. – Zamiast tego zacząłem krążyć po okolicy, gotowy na kolejną próbę. I wtedy natknąłem się w lesie na ciebie. Z nożem. Minęłaś mnie. Przeszłaś tuż obok, tak blisko, że mógłbym cię dotknąć, gdybym wyciągnął rękę. Ale byłaś zbyt wściekła, żeby mnie zauważyć. Tak bardzo wściekła, Quincy. I tak strasznie smutna, że aż piękna.

– Nie zamierzałam zrobić tego, co myślisz – wtrącam z nadzieją, że mi uwierzy. I że pewnego dnia sama w to uwierzę. – Wyrzuciłam ten nóż.

– Wiem. Widziałem, jak wypada ci z ręki, kiedy pojawił się ten świr. Potem odeszłaś. On też. Ale nóż został. Więc go podniosłem.

Coop zbliża się o kolejny krok. Jest tak blisko, że czuję zapach jego potu zmieszanego z wodą po goleniu. Atakują mnie migawki z zeszłej nocy. On na mnie. We mnie. Teraz pachnie dokładnie tak samo jak wtedy.

– Nigdy nie chciałem, żeby do tego wszystkiego doszło, Quincy. Musisz mi uwierzyć. Po prostu musiałem zobaczyć, dokąd szłaś z tym nożem. Byłem ciekaw, co mogło rozwścieczyć kogoś tak doskonałego jak ty. Więc poszedłem do tamtej skały, zobaczyłem ich i już wiedziałem, co cię tak wkurzyło. Gzili się tam bezwstydnie jak jakieś zwierzęta. Tak właśnie wyglądali. Jak dwie stęskające, brudne bestie, które należy zaszlachtować. – Coop lekko kołysze ręką, w której trzyma broń. Zgina i wyprostowuje łokieć, jakby nie miał ochoty już we mnie mierzyć. – Ale wtedy ten twój chłoptaş zaczął uciekać – ciągnie. – Craig. Chyba tak miał na imię? Nie mogłem mu na to pozwolić, Quincy. Po prostu nie mogłem. A on doprowadził mnie do ciebie. I do całej reszty. Wiedziałem, że muszę pozbyć się was wszystkich.

Mój płacz się wzmacnia. Twarz mam mokrą od łez wstydu, żalu i konsternacji.

– Dlaczego nie zabiłeś i mnie? Tak jak pozostałych? Dlaczego?

– Bo wiedziałem, że jesteś wyjątkowa – odpowiada powoli Coop, jakby po tylu latach wciąż był tym faktem zdumiony. – I miałem rację. Szkoda, że się nie widziałaś, gdy biegłaś przez las, Quincy. Już wtedy byłaś silna. A w dodatku biegłaś ku mnie. Chciałaś, żebym ci pomógł. – Rzuca mi spojrzenie pełne zachwyty. Wręcz nabożnego podziwu. – Nie miałem prawa tego niszczyć.

– Nawet jeśli istniało ryzyko, że odzyskam pamięć? I przypomnę sobie, że to byłeś ty?

– Tak – odpowiada Coop. – Bo zrozumiałem, co się stało. Stworzyłem następną Lisę Milner. Następną Samanthę Boyd.

– Wiedziałaś o nich.

– To oczywiste. Jestem policjantem – kwituje Coop. – Jedyne Ocalałe. Silne, nieposkromione kobiety. I sam stworzyłem jedną z nich. Ja. Pomyślałem, że to wyrównuje całe zło, które wyrządziłem. I poprzysiągłem sobie, że nigdy nie pozwolę, aby stało ci się coś złego. Dbałem o to, żebyś zawsze mnie potrzebowała. A mimo to więź między nami zaczęła w końcu słabnąć.

W pierwszej chwili nie wiem, co ma na myśli. Ale potem zaczynam rozumieć i ta świadomość przytłacza mnie swoim ciężarem. Osuwam się na podłogę jeszcze bardziej.

– Anonim – mówię słabo. – To ty go napisałeś.

– Musiałem – odpowiada Coop. – Za bardzo się ode mnie oddalałaś.

To prawda. Tak było. Założyłam bloga, zamieszkałam z Jeffem i wreszcie stawałam się kobietą, którą zawsze chciałam być. Więc Coop pojechał do Quincy w stanie Illinois i wysłał te napisane na maszynie groźby, wiedząc, że gdy je otrzymam, przybiegnę do niego w podskokach. No i przybiegłam.

W moim umyśle powoli krystalizuje się pewne pytanie. Boję się je zadać, ale muszę to zrobić.

– Co jeszcze zrobiłeś? Po tamtej nocy? Skrzywdziłeś kogoś więcej?

– Byłem grzeczny – odpowiada Coop. – Przeważnie.

Wzdrygam się na to słowo. Te trzy krótkie sylaby są pełne grozy.

– Nie było mi łatwo, Quincy. Czasem byłem bliski utraty kontroli. Ale wtedy myślałem o tobie i udawało mi się nad sobą zapanować. Nie mogłem ryzykować, że cię stracę. To ty nauczyłaś mnie trzymać się w ryzach.

– A Lisa? – pytam. – Jak było z nią?

Coop zwiesza głowę, wygląda na autentycznie skruszonego.

– To była konieczność.

Bo zaczęła coś podejrzewać. Prawdopodobnie po tym, jak pojawiła się u niej Tina i wypytywała o Pine Cottage. Lisa przyjrzała się sprawie, bo właśnie taka była – lubiła dociekać szczegółów. I nie przestała drążyć nawet po wyjeździe Tiny. Znalazła artykuły o morderstwach w tamtejszym lesie, napisała parę maili, połączyła fakty i wywnioskowała, że Joe nie był fizycznie zdolny do wymordowania wszystkich w Pine Cottage. Nie dałby rady komuś tak wysokiemu jak Rodney albo tak wysportowanemu jak Craig. Spośród wszystkich osób, które tamtej nocy były na miejscu, tylko Coop mógł ich pokonać.

To dlatego Lisa napisała do mnie tuż przed śmiercią. Chciała mnie ostrzec przed Coopem.

– Znałeś ją, prawda? – pytam. – Dlatego wpuściła cię do domu i poczęstowała winem. Ufała ci.

– Nie – zaprzecza Coop. – Nie tamtej nocy. Próbowала skłonić mnie do wyznania prawdy.

– Ale kiedyś ci ufała.

Przytakuje lekkim skinieniem głowy.

– Wiele lat temu.

– Byliście kochankami?

Kolejne skinienie. Ledwo zauważalne.

Nie jestem zaskoczona. Znów przypominam sobie to zdjęcie na komodzie w sypialni Lisy. Swobodny sposób, w jaki Coop ją obejmował, wskazywał na łączącą ich bliskość.

– Kiedy? – dopytuję.

– Niedługo po tym, co stało się tutaj. Poprosiłem Nancy, żeby nas skontaktowała. Kiedy zdałem sobie sprawę, że stworzyłem nową Jedyną Ocalałą, chciałem poznać pozostałe. Przekonać się, czy są tak silne jak ty.

Coop mówi rzeczowym tonem, jakby cały ten obłąkańczy pomysł miał sens. I jakbym to właśnie ja najlepiej ze wszystkich ludzi mogła zrozumieć jego pragnienie porównania i skontrastowania naszej trójki.

– Lisa mi zaimponowała – przyznaje. – Naprawdę jej na tobie zależało. Nie zliczę, ile razy dopytywała się, jak sobie radzisz i czy nie potrzebujesz pomocy. Przykro mi, że spotkał ją taki koniec. Jej troska o ciebie była godna podziwu, Quincy. Szlachetna. Samantha była zupełnie inna.

Staram się nie okazywać szoku. Nie chcę dawać Coopowi tej satysfakcji. On jednak nie daje się zwieść i uśmiecha się pod nosem, wyraźnie z siebie dumny.

– Owszem, poznałem Samanthę Boyd – oznajmia. – Prawdziwą. Nie tę kiepską oszustkę.

Ruchem podbródka wskazuje na ciało Tiny, krzywiąc się z niesmakiem. Przez jedną makabryczną chwilę spodziewam się, że na nią splunie. Na wszelki wypadek zamykam oczy, żeby uniknąć tego widoku.

– Od początku wiedziałeś, że to nie jest Sam?

– Jasne – przyświadcza Coop. – Odkąd ujrzałem wasze zdjęcie w gazecie. Owszem, one są do siebie trochę podobne. Ale wiedziałem, że to nie może być prawdziwa Samantha Boyd. Nie byłem tylko pewien, co w związku z tym zrobić.

Wracam myślą do zeszłej nocy, kiedy wróciłam do domu i zastałam ich razem. Przypominam sobie dłoń Coopa na jej szyi. Wyglądało to na pieśczętę, ale równie dobrze mógłby zacisnąć palce. Zamierzał zamordować Tinę. Może właśnie tam, w moim pokoju gościnnym.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie mogłem – odpowiada Coop. – Musiałbym zdradzić, że Samantha Boyd nie żyje.

Z moich ust wyrywa się jęk. Nie mogę już tłumić bólu i żalu. Jęczę coraz głośniej, próbując zagłuszyć dalszy ciąg wyznań Coopa. Ale i tak usłyszałam zbyt wiele. Teraz wiem, że zabił także Samantha Boyd. Ona wcale nie zniknęła z radaru. To Coop ją z niego usunął.

– Dlaczego? – rozpaczam.

– Bo ona nie była taka jak ty, Quincy. Nie dorównywała ci. Poleciałem do jakiejś zapadłej dziury na Florydzie tylko po to, żeby się z nią zobaczyć. I znalazłem tam nic niewartą pyzată łajzę. Ani trochę nie przypominała Samantha Boyd, jaką sobie wyobrażałem. Nie mogłem uwierzyć, że to ona przeżyła tamtą masakrę w motelu. Była wystraszona i potulna. Nie taka jak ty. I aż nadto chętna. Chryste, praktycznie sama weszła mi do łóżka. Lisa przynajmniej trochę się hamowała.

Nagle wszystko zaczyna do siebie pasować. Każdy szczegół wskakuje na swoje miejsce. Jak paciorki w naszyjniku. Jeden łączy się z drugim, a ten z kolejnym i tak dalej. I koło się zamyka.

Coop przespał się z każdą z naszej trójki.

Z Sam, Lisą i ze mną.

Dwie z nas już zabił.

Jestem jedyną, która została przy życiu.

Nadal płaczę. Rozpacz oplata mnie jak pięść, miażdży, wyciska łyżę z oczu.

– Nawet o ciebie nie zapytała – mówi Coop, jakby to usprawiedliwiało fakt, że ją zabił. – Samantha Boyd, jedna z was, Ocalałych, była tak zajęta dobieraniem się do mnie, że nawet nie raczyła zapytać, jak sobie radzisz.

– A jak sobie radziłam, Coop? – Moje słowa są równie gorzkie jak łyżę. – Dobrze mi szło?

Opuszcza broń i płynnym ruchem wsuwa ją do kabury. Okręża ciało Tiny, podchodzi bliżej i klęka tuż przy mnie. Patrzy mi prosto w twarz,

widzę jego błękitne oczy.

– Szło ci doskonale.

– A teraz?

Drzę z przerażenia, że mnie dotknie. Wolę nie myśleć o tym, co to będzie za dotyk.

– Nadal tak może być – odpowiada Coop. – Możesz o wszystkim zapomnieć. O tym, co stało się dzisiaj. I dziesięć lat temu. Już raz zapomniałaś. Możesz to powtórzyć.

Czuję ukłucie w nogę. Czegoś ostrego.

– A jeśli nie dam rady? – pytam.

– Uda ci się. Pomogę ci.

Na sekundę odrywam od niego wzrok i ryzykuję zerknięcie na podłogę. Widzę leżący nóż, którego ostrze kłuje mnie w nogę. To ten, który wypadł z kieszeni Rocky’ego Ruiza. Tina go zabrała. A teraz popycha go ku mnie. Jakimś cudem ona wciąż żyje i wpatruje się we mnie zakrwawionym okiem.

Spod rękawa jej kurtki wyziera tatuaż. Choć jest odwrócony, umiem go odczytać bez trudu.

PRZETRWAŁAM

– Możemy dokądś wyjechać – mówi Coop. – Tylko ty i ja. Zaczniemy od nowa. Razem.

Mówi tak żarliwie. Jakby wierzył, że coś takiego jest możliwe. Ale nie jest. Oboje to wiemy.

Mimo to ciągnę ten blef. Kiwam głową. Na początku powoli, potem coraz szybciej, gdy Coop się nachyla i dotyka mojego policzka.

– Tak – mówię. – Zgoda.

Potakuję, dopóki Coop nie zaczyna mnie całować. Najpierw w czoło, później w oba policzki. Kiedy jego usta dotykają moich, całą siłą woli zmuszam się, by nie zwymiotować, nie wzdrygnąć się ani nie wydać żadnego dźwięku. Oddaję mu pocałunek, jednocześnie opuszczając prawą rękę i dotykając podłogi.

– Quincy – szepcze Coop. – Moja słodka, piękna Quincy.

Oplata dłońmi moją szyję i delikatnie zaciska palce, starając się nie sprawić mi zanadto bólu. On też płacze. Jego łzy mieszają się z moimi, gdy uścisk na gardle staje się coraz mocniejszy.

Mój drżący kciuk muska ostrze noża, sunie wzdłuż jego krawędzi.

Coop nie przestaje mnie dusić. Jego kciuki coraz mocniej wbijają się w moją tchawicę. Znów mnie całuje. Wdmuchuje mi powietrze w płuca, choć jednocześnie je z nich wyciska. Nie przestaje płakać i jęklwym szeptem powtarza raz po raz:

– Quincy. Słodka Quincy.

Moje palce odnajdują trzonek noża. Mocno go oplatają.

Brak mi tchu. Uszło już ze mnie całe powietrze, mimo że Coop wciąż mnie całuje, wtłaczając mi w usta swe przeprosiny.

– Wybacz mi – szepcze.

Unoszę nóż.

Coop nadal mnie dusi, całuje, przeprasza.

– Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

Spodziewam się, że ciało Coopa stawi opór, jakby było czymś więcej niż tylko masą pokrytych skórą tkanek. A jednak ostrze zatapia się w jego boku z łatwością, a on zdumiony zamiera w bezruchu.

– Quincy.

Tym jednym słowem wyraża cały swój szok. A także wyrzut z powodu zdrady i jak podejrzewam, lekki podziw.

Nie cofa dłoni od mojej szyi, dopóki nie wyszarpuję noża. Z rany tryska krew, lepka i gorąca. Coop usiłuje się ode mnie odsunąć, ale jestem zbyt szybka. Zadaję mu drugi cios, tym razem prosto w brzuch.

Przekręcam nóż i ciałem Coopa wstrząsa gwałtowny skurcz. Z ust wytryskują mu kropelki śliny i krwi.

Przykrywa moje dłonie swoimi, próbując wyciągnąć ostrze. Zaciskam zęby i stękam z wysiłku, aby utrzymać nóż na miejscu. Przekręcam go znowu, po raz ostatni, gdy uścisk Coopa słabnie.

– Quincy. – Słyszę, jak w głębi gardła bulgocze mu krew.

Odpowiadam pojedynczym skinieniem głowy, upewniając się, że zobaczy ten gest, zanim oczy wywróca mu się białkami do góry. Chcę, aby wiedział, że jestem kimś więcej niż wojowniczką, za którą mnie zawsze uważał, kimś więcej niż zwykłą ocalałą.

Jestem jego dziełem stworzonym z krwi, bólu i zimnej stali.

Jestem pieprzoną Jedyńą Ocalałą.



CZTERY MIESIĄCE PO PINE COTTAGE

Beż nie był kolorem Tiny. Odbierał jej wyrazistość, bo tkanina i skóra niemal zlewały się ze sobą. Niemniej wyglądała dobrze, jeśli nie liczyć jej bladości. Te same ostre rysy twarzy. Ta sama wyzywająca mowa ciała. Tylko włosy miała inne. Krótsze i ciemnobrązowe, już nie kruczoczarne.

– Kiedy stąd wyjdiesz, będziesz nie do poznania – powiedziała Quincy.

– Zobaczymy – odparła Tina. – Piętnaście miesięcy to szmat czasu.

Obie wiedziały, że może to potrwać krócej. Albo nie. Sytuacja była nietypowa, mogło być różnie. Długość wyroku zaskoczyła Quincy, ale nie Tinę. Zdumiewające, o co można cię oskarżyć, kiedy udajesz kogoś innego. O podszywanie się. Kradzież tożsamości. I masę innych oszustw. Zarzuty, które usłyszała Tina, były bardzo zróżnicowane, a w dodatku obejmowały

przestępstwa popełnione na terenie kilku stanów, więc Jeff ostrzegał, że grozi jej nawet dwuletnia odsiadka.

Quincy miała nadzieję, że wyrok nie będzie tak surowy. Tina przeszła już dość, choć uparcie twierdziła, że było warto.

Może i miała trochę racji. Zwłaszcza jeśli chodzi o oczyszczenie imienia Joego Hannena. Informacja, że był niewinny, została podana do publicznej wiadomości, a właśnie tego Tina pragnęła.

Ale przecież niemal zginęła. Z Jego winy – nowej osoby, której imię nie przechodziło Quincy przez usta. Wystrzelona przez Niego kula przeszła o kilka milimetrów od lewego płuca Tiny. Serce ominęła o włos. Co prawda utrata krwi była na tyle poważna, by zaniepokoić lekarzy, ale koniec końców rekonwalescencja przebiegła pomyślnie. Tina wyzdrowiała w samą porę, by pójść do więzienia.

– Wiesz, że nie musisz tego robić – powiedziała nie po raz pierwszy Quincy. – Wystarczy słowo, a przyznam się do wszystkiego.

Rozejrzała się po sali widzeń, pełnej innych kobiet w beżowych uniformach oraz ich gości. Od sąsiednich stołów dobiegały przyciszone rozmowy w najróżniejszych językach. Przez zakratowane okno widziała zasy brudnego śniegu zalegające pod wysokim ogrodzeniem zwieńczonym spiralami kolczastego drutu. Nie miała pojęcia, jak można wytrzymać w tym miejscu, choć Tina zapewniła ją, że nie jest tak źle. Twierdziła, że to więzienie przypomina jej Blackthorn.

– Nawet jeśli się przyznasz, nie wyjdę stąd wcześniej – stwierdziła. – Zresztą miałas rację. Pobiłaś Rocky'ego Ruiza, bo cię podpuściłam.

Rocky obudził się ze śpiączki mniej więcej w tym samym czasie, gdy Quincy zadawała ostatni cios Jemu. Napaść pamiętał jak przez mgłę, nie tyle na skutek samego pobicia, ile dlatego, że był upalony crackiem, kiedy do niego doszło. Wiedział jednak, że go zaatakowano. Wbrew woli Quincy

Tina przyznała się do winy. Rocky nie zaprotestował, a detektyw Hernandez nie drażyła tematu. Jeff zaproponował pójście na układ, dzięki któremu Tina miała odsiedzieć wyrok łącznie za napaść i oszustwo.

– Do niczego mnie nie zmuszałaś – zaprotestowała Quincy. – Sama dokonuję swoich wyborów.

Tu miała rację – decyzje podejmowała sama. Tyle że nie panowała nad ich konsekwencjami.

– Znaleźli już prawdziwą Samanthę? – spytała Tina. – Ciągłe nagabuję o to strażników.

– Nie – odparła Quincy z zagadkowym wyrazem twarzy. – Nadal szukają jej ciała.

Kiedy stało się jasne, że Samantha Boyd została zamordowana, policja na Florydzie zaczęła się dwoić i troić, aby odnaleźć jej ciało. Od czterech miesięcy Quincy śledziła działania władz przeczesujących mokradła, przeszukujących jeziora i przekopujących puste parcele. Ale Floryda to duży stan, więc szanse na sukces były mizerne.

W końcu Quincy uznała, że tak jest chyba lepiej. Bo dopóki nie było zwłok Sam, mogła mieć nadzieję, że gdzieś na świecie istnieje jakaś inna Ocalała. Że nie jest ostatnia.

– A Jeff? – spytała Tina. – Co u niego?

– Zdaje się, że ty rozmawiasz z nim częściej niż ja – odparła Quincy.

– Możliwe. Pozdrowię go od ciebie przy następnym spotkaniu.

Quincy wiedziała, że to niewiele zmieni. Podczas ich długiej i bolesnej rozmowy, kiedy wyznała mu wszystkie swoje winy, Jeff wyraził się jasno. Z ciężkim sercem patrzyła, jak szamocze się między miłością a gniewem, współczuciem a obrzydzeniem. W pewnym momencie zaczął ją rozpaczliwie błagać o jeden rzeczowy powód, który sprawił, że się z Nim przespała.

Nie była w stanie mu go podać.

To dlatego uznała, że powinni się rozstać, nawet gdyby Jeff zdobył się na to, by jej wybaczyć. Nie pasowali do siebie. Powinni byli to dostrzec już dawno, na samym początku.

– To miło z twojej strony – powiedziała Quincy. – Przekaż, że dobrze mu życzę.

Mówiła szczerze. Jeff potrzebował kogoś normalnego. A ona musiała się skupić na innych sprawach. W pierwszej kolejności na reanimacji swojego bloga. Na odstawieniu wina. I xanaxu.

Dzień po wyprowadzce Jeffa matka Quincy przyjechała z dłuższą wizytą. Wreszcie zrobiły to wszystko, co należało zrobić wiele lat wcześniej. Rozmawiały. Płakały. Wybaczały sobie nawzajem. Wspólnie spuściły w toalecie cały zapas małych niebieskich pigułek. Teraz ilekroć jej wygłodniały mózg domagał się xanaxu, Quincy oszukiwała go łykiem napoju winogronowego. Czasem działało, a czasem nie.

– Czytałam twój wielki wywiad – oznajmiła Tina.

– A ja nie – mruknęła Quincy. – Jak wypadł?

– Jonah odwalił kawał dobrej roboty.

Po drugiej odsłonie masakry w Pine Cottage Quincy tylko raz rozmawiała z prasą – był to wywiad na wyłączność udzielony Jonahowi Thompsonowi. Czowała, że jest mu to winna, zważywszy na fakt, że jej pomógł, na swój wazeliniarski sposób. Wszystkie największe serwisy informacyjne od Trenton po Tokio natychmiast podchwyciły temat. Każdy chciał uszczknąć kawałek jej historii. Ponieważ jednak ona sama zamilkła, rzucili się na Jonaha, a on zdołał obrócić całe to zainteresowanie na swoją korzyść. W poniedziałek zaczął nową pracę w „New York Timesie”. Quincy miała nadzieję, że są tam na niego gotowi.

– Cieszę się, że dobrze wyszło – powiedziała.

Sala zaczęła pustoszeć. Godziny odwiedzin miały się ku końcowi. Quincy wiedziała, że i na nią już pora, ale po głowie chodziło jej jeszcze jedno pytanie, które koniecznie chciała zadać.

– Podejrzewałaś, że to On był odpowiedzialny za Pine Cottage?

– Nie – odparła Tina, doskonale wiedząc, o kim mowa. – Wiedziałam tylko, że to nie mógł być Joe.

– Przykro mi, że winiłam go przez te wszystkie lata. I że tyle przez to wycierpiałas.

– Nie przepraszaaj. Uratowałaś mi życie.

– A ty mnie.

Patrzyły na siebie bez słowa, dopóki strażnik przy drzwiach nie oznajmił, że to koniec odwiedzin. Gdy Quincy podniosła się z miejsca, Tina zapytała:

– Przyjdiesz jeszcze? Żeby posiedzieć i pogadać?

– Nie wiem. A chcesz?

Tina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

Przynajmniej były ze sobą szczerze. W pewnym sensie zawsze tak było, nawet kiedy się okłamywały.

– W takim razie poczekamy, zobaczymy – podsumowała Quincy.

Kąciki ust Tiny drgnęły, przez twarz przemknął cień uśmiechu.

– Będę czekać, mała.

Quincy wracała do miasta wynajętym samochodem, mrużąc oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, które odbijało się od śniegowych zwałów zalegających na poboczu drogi. Przesuwający się za oknem widok był w najlepszym razie pospolity. Nudny szereg pawilonów handlowych,

kościółów i komisów samochodowych pełnych aut poznaczonych białymi cętkami soli drogowej. A jednak coś przyciągnęło jej uwagę – wąska witryna wciśnięta między pizzerię a zamknięte na czas weekendu biuro podróży. W oknie lśnił na różowo neonowy napis:

TATUAŻE

Bez namysłu skręciła na podjazd, zgasiła silnik i weszła do lokalu. Błaznany dzwoneczek nad drzwiami zaanonsował jej przybycie. Kobieta za kasą miała rubinowe usta w kształcie łuku Kupidyna, wytatuowaną na szyi konstelację różowych gwiazdek oraz włosy w takim samym kolorze jak niegdyś Tina.

– Mogę w czymś pani pomóc? – zagaiła uprzejmie.

– Tak – odparła Quincy. – Myślę, że tak.

Godzinę później skończyły. Bolało, ale nie tak mocno, jak Quincy się spodziewała.

– Dobrze wyszło? – spytała tatuażystka z różowymi gwiazdkami.

Quincy obróciła ramię, żeby obejrzeć jej dzieło. Tusz nadal był wilgotny, a skóra jeszcze piekła, ale ciemny napis wyraźnie odcinał się na pokrytej meszkiem skórze nadgarstka.

Kropelki krwi znaczyły krawędzie liter niczym światełka na markizie. Mimo to z łatwością można było odczytać wyraz:

PRZETRWAŁAM

– Jest idealnie – odrzekła Quincy, podziwiając tatuaż. Teraz był jej częścią. Tak trwała jak blizny.

Nadal się weń wpatrywała, gdy ekran telewizora w salonie wypełniła wiadomość z ostatniej chwili. Dopóki igła wkłuwała się w jej skórę, Quincy bardziej skupiona była na bólu niż na treści programu informacyjnego, któremu poświęciła kilka nieuważnych spojrzeń. Teraz jednak znieruchomiała ze wzrokiem wbitym w ekran.

W jednym z domów w Modesto w stanie Kalifornia znaleziono zwłoki kilkorga nastolatków, oznajmił prezenter wiadomości. Łącznie zabitych zostało dziewięć osób.

Quincy wybiegła z salonu, wsiadła do auta i pędem ruszyła do miasta.

Po powrocie do domu resztę nocy spędziła na przerzucaniu kanałów informacyjnych w kablówce w poszukiwaniu szczegółów zdarzenia, które już nazwano „masakrą w Modesto”. Zginęło ośmioro uczniów klasy maturalnej bawiących się na domówce urządzonej pod nieobecność rodziców jednego z nich. Dziewiątą ofiarą był szkolny konserwator, który niespodziewanie pojawił się na miejscu z ostrym sekatorem. Masakrę przeżyła jedynie osiemnastoletnia Hayley Pace, która uniknęła śmierci, zabijając oprawcę swoich przyjaciół.

Quincy nie poczuła się zaskoczona, kiedy w jednym z programów usłyszała swoje nazwisko. W końcu chodziło o pierwszy tego rodzaju incydent od czasów Pine Cottage. Dziennikarze dobijali się do niej przez całą noc, na przemian dzwoniąc i wysyłając esemesy.

O trzeciej nad ranem wyłączyła telewizor. O piątej była na lotnisku. Gdy zegar wybił siódmą, siedziała w samolocie lecącym do Modesto, a wytatuowany nadgarstek wciąż pulsował bólem.

Dopiero kiedy zaczęła się konferencja prasowa, Quincy niezauważenie wemknęła się do szpitala. Medialne sępy otoczyły drzwi frontowe, zanadto skupione na wygłaszającym przez lekarzy i rodziców Hayley oświadczeniu o jej stanie zdrowia, aby zauważyć, jak Quincy pospiesznie wślizguje się do budynku, ukryta za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, które kupiła w sklepie z pamiątkami na lotnisku.

W środku podeszła do stanowiska informacji i słodkimi minkami oczarowała siedzącą za biurkiem kobietę w typie macierzyńskim, która bez

oporów podała jej numer pokoju Hayley.

– Jestem jej kuzynką – oświadczyła Quincy. – Właśnie przyleciałam z Nowego Jorku i muszę koniecznie się z nią zobaczyć.

Szpitalny pokój Hayley tonął w posępnym półmroku i kwiatach. Jakby to była kaplica. Jakby ciało Hayley miało się wkrótce znaleźć w relikwiarzu.

Gdy Quincy stanęła w drzwiach, dziewczyna nie spała. Siedziała w łóżku obłożona poduszkami. Wyglądała zwyczajnie. Była ładna, ale urodą nie powalała. Miała proste brązowe włosy i zadarty nosek. Nie wyróżniałaby się w tłumie.

Gdyby nie oczy.

To one sprawiły, że Quincy weszła do środka. Zielone i świetliste niczym szmaragdy, emanujące siłą i inteligencją pomimo bólu i cierpienia. Quincy ujrzała w nich cząstkę siebie. I Tiny.

Promieniały.

– Jak się czujesz? – spytała, podchodząc do łóżka.

– Boli mnie – odparła Hayley głosem lekko bełkotliwym od mieszanki zmęczenia, środków przeciwbólowych i rozpacz. – Wszystko.

– To normalne – uspokoiła ją Quincy. – Ale z czasem minie.

Hayley nie spuszczała z niej wzroku.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Nazywam się Quincy Carpenter.

– Po co tu przyszłaś?

Quincy ujęła dłoń Hayley i delikatnie ją uścisnęła.

– Przyszłam – powiedziała – bo chcę cię nauczyć, jak być Jedyną Ocalałą.



PODZIĘKOWANIA

Pisanie książki to zajęcie samotne. Jej publikacja natomiast to sport drużynowy, a ja mam wielkie szczęście być częścią międzykontynentalnej drużyny, którą tworzą wspaniali, oddani swej pracy ludzie.

Podziękowania należą się mojej agentce Michelle Brower, której entuzjizm dla *Jedynych ocalałych* pomógł mi pobić rekord w pisaniu na czas, Chelsey Heller, która dopilnowała, aby ta powieść znalazła się w rękach wydawców na całym świecie, a także wszystkim innym osobom z agencji Kuhn Projects i Zachary Shuster Harmsworth. Specjalne podziękowania składam Annie Hwang z Folio Literary Management, która jako pierwsza stawiała czoło niezbornej wersji roboczej tego tekstu.

Dziękuję mojej niesamowitej i wyjątkowej redaktorce Mai Ziv, z którą współpraca jest dla mnie zawsze najwyższą przyjemnością, Madeline Newquist, która sprawiła, że wszystko poszło jak z płatka, Christopherowi Linowi za znakomity projekt okładki oraz Rachele Mandik, która

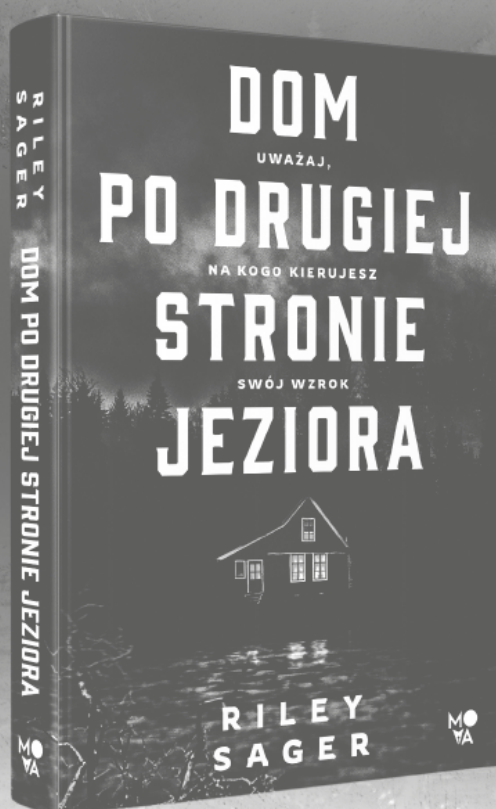
uratowała mnie przed obciachem z powodu niejednej gramatycznej wpadki. Wyrazy wdzięczności należą się także mojemu brytyjskiemu wydawcy Ebury, a przede wszystkim redaktorce Emily Yau, która od samego początku podchodziła do mojej książki z nieskrywanym entuzjazmem.

Ogromne podziękowania jestem też winien moim koleżankom po piórze: Hester Young, Carli Norton i Sophie Littlefield za przychylną opinię dla wcześniejszej wersji tej książki. Wasza aprobatą była dla mnie niezwykle istotna.

Na koniec pragnę podziękować wszystkim przyjaciołom i krewnym okazującym mi emocjonalne wsparcie w tym mrocznym okresie, w którym pisałem *Jedyne ocalałe*, a szczególnie Sarah Dutton. Niech Twoje chatki z piernika zawsze zdobywają pierwsze nagrody. Co zaś się tyczy Ciebie, Mike'u Livio, to żadne podziękowania nie wyrażą mojej wdzięczności. Nic nie byłoby możliwe bez Twojej cichej siły i niezachwianej pewności, że owszem, naprawdę mogę tego dokonać. Tak właśnie się stało i Tobie to w pełni zawdzięczam.

WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

**UWAŻAJ,
NA KOGO KIERUJESZ SWÓJ WZROK...**



Dostępna również jako:



E-BOOK

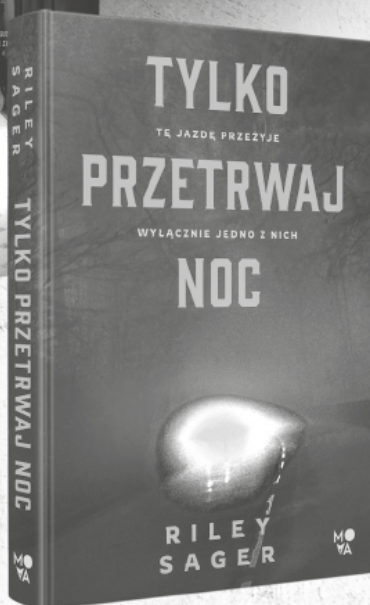
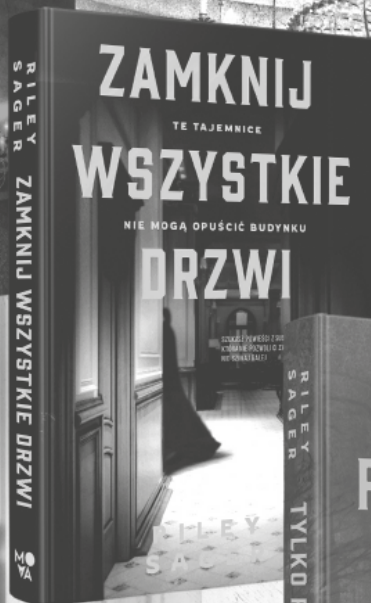
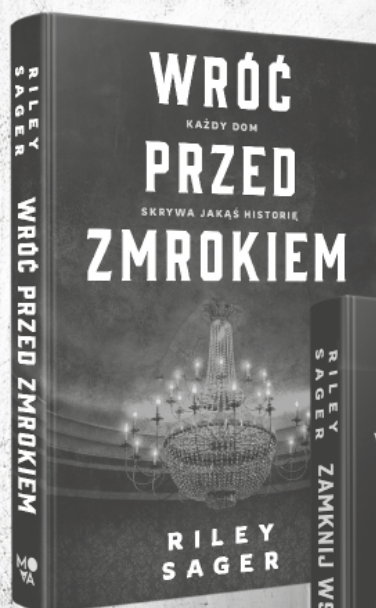


AUDIOBOOK

- wydawnictwokobiece.pl
- [kobiece](#)
- [wydawnictwo.kobiece](#)

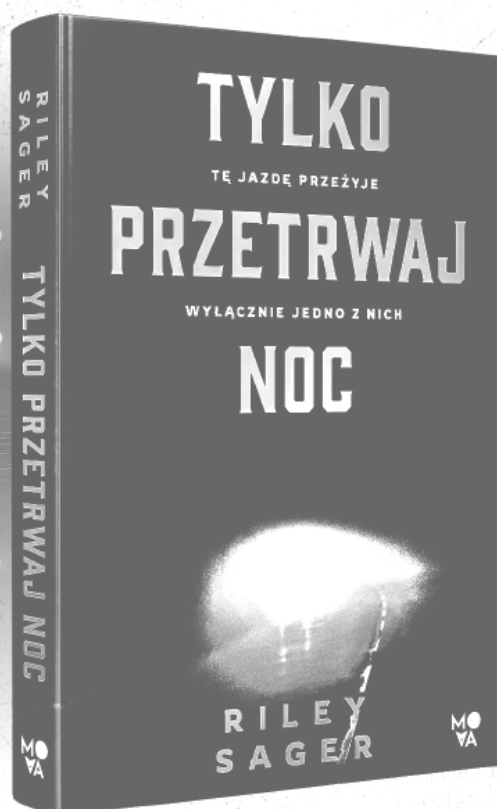
MOVA

POZNAJ RÓWNIEŻ:



WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

**ABY PRZEŻYĆ,
MUSISZ ZROBIĆ JEDNĄ RZECZ –
PRZETRWAĆ NOC.**



Dostępna również jako:



E-BOOK



AUDIOBOOK

 wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)

**MO
VA**